ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA,
1897.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.

Zeszyt zawiera arkuszy **13½**.

Druk ukończono d. 4 kwietnia 1897 r.

Z OPUSTOSZAŁYCH DRÓG.

Jedni swe bole tłumią śmiechem,
Albo cyniczną piosnką głuszą —
Lecz kto ma litość nad swą duszą,
Cierpienia koi wspomnień echem.

Inni, nie mogąc przenieść męki,
Przekleństwem, krzykiem jątrzą rany —
Ja koję boleść zasłuchany
W cichy szum lasów, w pól podźwięki.

I.

Wiosenny dzień. Pod strzechą niską,
Co się nad szarą drogą zwiesza,
Świegot i ćwierk. Skrzydlata rzesza
Zaciszne tutaj ma schronisko.

Widok tych kilku gniazd jaskółek
Otworzył smutku mego rany —
Bo czemuż tylko ja skazany
Na wieczny chłód i bezprzytułek?

II.

W pośrodku bagien i topielisk,
Co się rozlały w duszy mojéj,
Spokojny, biały, wzniosły stoi
Młodzieńczych moich wiar obelisk.

Dumnie się wznosi — lecz nieznacznie
Już się rysuje, szczerbi, pryska,
I niezadługo w trzęsawiska
Powoli się obsuwać zacznie.

III.

Czasami wspomnień mdłe łuczywo
Udręczeń moich mrok rozprószy —
Naówczas z dni zamierzchłych głuszy
Znane mi kształty wstają żywo.

Idą posępne w blaskach łuny,
Zbliżają się nieśmiało, zwolna —
Lecz nagle gaśnie głownia smolna
I noc zarzuca znów całuny.

IV.

Na łodzi tęsknot wiekuistych,
Na chwiejnéj łodzi moich pragnień,
Środkiem trzęsawisk i zabagnień
Płynę do źródeł natchnień czystych.

O, jakże blisko, jakże blisko
Te czyste źródła! Szmer ich słyszę!..
Jak cicho!.. Łódź się nie kołysze...
Wyschło, opadło wód łożysko.

V.

W noc pełną trwóg i przeczuć ślepych —
Smutku mojego i tęsknoty
Zapłonął stos ognisty, złoty,
I rzucił wokół blasków przepych.

A gady szyderstw, upokorzeń
Poczęły z ciemnic pełzać ku mnie,
Obsiadać serce moje tłumnie
I zgryzot w nie zapuszczać korzeń.

VI.

Kiedyż z nad gruzów i spopieleń
Wstanie różowy półkrąg zorzy,
Kiedyż nademną się otworzy
Ponurych lasów ciemna zieleń?

Płyną mi chwile w bezczynności...
A jam tak spragnion wielkich wzruszeń,
Potężnych starć, wzniosłych pokuszeń,
Pieśni, zachwytu i miłości!

VII.

Patrząc na moich uczuć zgliszcza,
Czekam wznioślejszych żądz odrodzin,
Lecz mija wiele długich godzin
I nic z mych pragnień się nie ziszcza.

Zrezygnowany na cierpienia,
Na snów minionych bezpowrotność,
Na łzy, na smutek, na samotność —
Odchodzę w głuchą noc zwątpienia.

VIII.

W przepaść zwątpienia, co ogromem
I głębią głuchą, niedostępną
Przeraża duszę mą posępną,
Zstępuję w dół po zboczu stromem.

A chociaż wzrok, gdziekolwiek padnie,
Nic wśród ciemności nie rozróżnia —
Pociąga mnie ta wielka próżnia,
Bo może tam — jest spokój na dnie.

IX.

Głośno załkały serca straty
I utajone duszy smutki;
Lecz dzisiaj płacz ten cichy, krótki,
Odszedł w miesięczny blask poświaty.

Na jasne pola dusza znowu
Z opustoszałych dróg powraca;
Czeka ją tam pokoleń praca,
Co moc straconą wróci słowu.

Józef Klemensiewicz.



WSTYD I OBYCZAJE.[1]

Owoc zakazany! Od czasu matki Ewy słowa te są symbolem miłości, która łamie szranki praw zwyczajowych i pisanych. Co zakazane, bywa ponętne — co tajemnicze, bywa kuszące — o tėj prawdzie wiedzą wszyscy, począwszy od podlotków aż do zgrzybiałych starców.

Czy więc dobrze się stało, że etyka ludów cywilizowanych otacza sprawy miłosne gęstym woalem i zaostrza popędy wrodzone?

Czy miłość nie nabrała przez to w ciągu wieków charakteru zbyt gorączkowego? Czy w dobie fizycznego dojrzewania młodzieży tajemniczość ta nie jest przyczyną, że popęd staje się namiętnością złowrogą lub szałem?

Anatol France w swoim „Ogrodzie Epikura" powiedział, że chrystyanizm odkrył kobietę, bo zrobił z niėj grzéch. Cnota bywa piękną, podniosłą, szlachetną ale nie zawsze zajmującą. Chrystyanizm wznowił hebrajską tradycyę matki Ewy, od którėj na kobietę padł urok pokusy i winy ponętnėj.

Bywała dawniėj reproduktorką i zwierzęciem roboczem, niewolnicą w gyneceum, matroną lub heterą. Stała się dzisiaj kwiatem egzotycznym, który rozsiewa odurzające wonie, mistrzynią rozkoszy i zbytku—niezależnie od swego fachu: sprowadzania ludzi na ten padół marności.

---

[1]) Ustęp z większéj pracy p. t. „Występek i miłość" przez autora ukończonėj.

Stendhal twierdzi, że miłość jest cudem cywilizacyi — że wstyd jest matką miłości, albowiem potęgując za pomocą wyobraźni, daje jéj życie. Dlatego też w społeczeństwie bardzo rozwiniętém miłość namiętna jest tak samo naturalną, jak miłość fizyczna u dzikich [1]).

Starożytni znali uczucie wstydu w daleko mniejszym stopniu aniżeli ludy nowsze. Powściągliwość nie była dla nich cnotą. Religie pogańskie głosiły cześć siły płodnéj w przyrodzie i objawiały ją w formach, które dzisiaj byłyby poprostu skandaliczne.

Moralność starożytna nie brała w zbyt silne kluby fizycznéj strony człowieka i może dlatego nie mogła powstrzymać szalonego rozkwitu rozpusty w epokach upadku. Nie wprowadzała jednak do życia także sztuczności, jaką dziś widzimy na każdym kroku.

Wstyd bywa z natury swojéj ojcem poezyi i kłamstwa. On każe kobiecie strzedz czystości ciała, ukrywać pokusy, pożądania a nawet uczucia szlachetne, bo tak każą przepisy dobrego tonu.

Obyczaje wszystkich narodów cywilizowanych, kładąc kaganiec zmysłom człowieka, zmuszają go do maskowania pewnych właściwości swéj natury. Pod wpływem tresury zwierzątko ludzkie zmienia swe instynkta, przybiera nawet zwyczaje wprost im przeciwne.

Wybornym tego przykładem był np. jeden mój dobry znajomy, któremu najsłuszniéj opinia dawała z obyczajów stopień celujący. Przyznał mi się kiedyś w poufnéj gawędce po paru kieliszkach, że w głębi duszy jest zmysłowym i zwolennikiem orgii... Znaléźć się na jakiéj biesiadzie w stylu Nerona, wśród grona pół-nagich bachantek i heter było jego najmilszém marzeniem. A jednak człowiek ten prowadził życie, jak na mężczyznę swobodnego, prawie kwakierskie, nieznał półświatka, chociaż na wesołe grzeszki patrzył bardzo pobłażliwie. Nie miał on w sobie ani krzty purytańskiéj srogości, twierdząc, że ludzie niepotrzebnie robią z cnoty straszydło na utrapienie własne. W karbach trzymało go poczucie wstydu, dochodzące, jak twierdził do „idyotyzmu." Był to niewyrozumowany nałóg człowieka rozwiniętego umysłowo i estestycznie, nałóg wszczepiony przez domowe wychowanie. Za czasów studenckich koledzy, znając tą dziwną skromność, płatali mu figle. Mówili dwuznaczniki wobec kobiet, w specyalnym żargonie. Damy niczego się nie domyślały, a on mieszał się, czerwienił jak burak i wybiegał do drugiego pokoju. Mógł potém robić podboje bardzo ponętne, ale nie chciał przy ludziach się afiszować. Nie udawał świętoszka, nie był nieśmiałym, miał swoje grzeszki, ale wtedy tylko, gdy mógł je popełnić, siedząc cicho jak mysz pod miotłą. Ożenił

---

1) De l'amour str. 56, 265.

się bardzo szczęśliwie — ale miał utrapienie z żoną nie mogącą zrozumiéć jego nałogu skromności. Prowadząc życie przykładne, podpadał jednak pokusom, na jakie się naraża dobrze zorganizowany mężczyzna. Cieszył się względami kobiet, mógłby niejeden kwiatek uszczknąć pokryjomu, twierdził jednak, że nie potrzebuje szukać po za domem „sztuki mięsa, gdy ma w domu bażanty." Często jednak myśl o możliwych grzeszkach wywoływała na jego twarzy rumieniec. Przypadkiem żona np. wspomni o jakiéjś osobie, co do któréj nawet nie ma żadnéj podstawy go podejrzéwać. Mój znajomy, wściekły na samego siebie, „miesza się, rumieni jak żak, jak smarkacz." Jego pani dąsa się, robi scenki i nie da się przekonać odrazu, że w tém nic nie było. Czasami powodem tego wstydu bywa jakiś odruch, jakaś myśl niejasna, jakieś słowo, które nagle go zaskoczy, jakaś obawa całkiem urojona. W głowie ludzkiéj myśli biegną czasem jak myszy: wyskakują niewiadomo skąd i kryją się w ciemne kąty. To porównanie nie przekonywało jego pani, którą jednak w końcu uspokajał zupełny brak faktów i dowodów. Nałóg ten zatruwa parę chwil życia i sprowadza pewien rozdźwięk, powtarzający się od czasu do czasu. Pani jego nie da się przekonać dowodzeniami o „mimowolnych odruchach." Pomartwi się trochę, ale w końcu spojrzy swém wielkiém, poczciwém okiem gazelli, w którem perli się łezka—a wtedy mąż uściskiem i słowem serdeczném więcéj wskóra niż argumentami z psychologii.

Jestto ciekawy przykład dobywania się z głębi duszy instynktów zmysłowych, które wskutek moralnéj kultury wywołują natychmiastową reakcyę wstydu. Podobne usposobienie u mężczyzny, uważa mój znajomy za objaw nienormalny. Nie lubi on obłudy i pruderyi tak częstéj w dzisiejszych obyczajach, które zresztą, jak twierdzi Balzac, są hipokryzyą narodów mniéj lub więcéj udoskonaloną [1]).

Ponieważ kodeks moralny zobowiązuje kobietę do daleko większéj wstydliwości niż mężczyznę, przeto ona także bywa większą mistrzynią w sztuce udawania i fałszu.

Wstyd jest „sumieniem ciała", otacza kobietę urokiem ponętnym i wkłada na nią obowiązki strzeżenia swego honoru. Wstydliwość nadaje cenę kobietom, tak samo jak kruszcom kryjącym się w łonie ziemi. Brylanty lub złoto nie byłyby skarbami, gdyby leżały przy drodze, jak krzemienie lub brukowce.

* * *

---

[1]) Physiologie du mariage. Wyd. 1834 r. Tom I str. 47.

Wstyd stanowi dla kobiety tarczę jéj honoru, osłaniającą od napastniczéj zmysłowości mężczyzn. Tę jednak cnotę usiłował wytłomaczyć Schopenhauer jako objaw zbiorowego egoizmu. W studyum swojém o kobietach twierdzi on, że honor u nich jest wynikiem pewnego *l'esprit de corps.* Tylko za cenę umowy zwanéj małżeństwem, która wkłada na mężczyznę obowiązki ponoszenia ciężarów utrzymania rodziny—kobieta według tej teoryi może poświęcić swą dziewiczość. Tak każe instynkt zachowawczy całéj płci, która według ponuréj mrzonki pesymistów jest naszym wrodzonym wrogiem. Poświęcając mężczyźnie honor bez małżeństwa, kobieta, wyłamuje się z téj solidarności, niby kupiec, co za bezcen sprzedaje dobre towary z własną stratą. Dlatego téż kobiety uczciwe potępiają ostro błędy, za któremi idzie utrata honoru. Według Schopenhauera, robią to w dobrze zrozumianym interesie płci swojéj. Mężczyźni uciekaliby od małżeństwa jak od zarazy, gdyby bez niego mogli się stawać panami wdzięków płci nadobnéj.

Teorya ta jest złośliwą i płytką. Źródłem moralności płciowéj, jak twierdzą nowsi badacze etnologii, jest egoizm nie kobiet ale mężczyzn, którzy w czasach pierwotnych zdobyte branki uważali za swoją własność, usuwając je od pokus i pożądań innych członków gromady.

Tkwi jednak w teoryi Schopenhauera pewne ziarnko prawdy. Kobieta prawom skromności podlega instynktowo, ale wstyd bywa dla niéj środkiem podniesienia uroku, orężem w miłosnym podboju. U zwierząt często samiczki w tym samym celu uciekają przed wielbicielami, drażniąc ich zapędy oporem.

Wstyd u ludzi bywa towarzyszem miłości szlachetnéj, oznaką przewagi uczucia nad zmysłami i ginie w miłości nieprawéj albo sprzedajnéj, która zrywając z nim, czuje niesmak cynizmu i gorycz upokorzenia.

Miłość młodzieńcza wykwita w obsłonie wstydu, jak róża wychylająca się powoli z pączka. Panienka swobodna i wesoła z młodzieżą, bywa zalęknioną i nieśmiałą wobec człowieka, do którego serce jéj się wyrywa... Nawet zawodowe kokietki wiedzą, że na sznurku fabrykowanéj wstydliwości, można wielbiciela naiwnego zaciągnąć aż do... ołtarza.

Przypominam sobie komiczne oburzenie pewnego młodego człowieka, który opowiadał mi o swych konkurach do osoby, jak się potém pokazało, niegrzeszącéj zbytkiem cnoty. — Kochałem się jak waryat,—mówił—konkurowałem, nadskakiwałem, robiła mi nadzieje, pozwalała się uważać za pana sytuacyi, ale trzymała zawsze o sto

mil zdaleka. Raz pamiętam grała na fortepianie. Podsunąłem się cichaczem i pocałowałem w szyjkę, chciałem potém pocałować w twarz, ale powiadam panu, zerwała się jak furya, zrobiła awanturę, chciała mnie formalnie za drzwi wyprosić. Uderzyłem w pokorę i otrzymałem przebaczenie—ale ten zbytek obrażonéj dumy wydał mi się mocno podejrzanym. Dowiaduję się po pewnym czasie, że dla pewnego doktorka, (o którego jéj nie posądzałem) — ta dama była uprzejmą, no, ale tak uprzejmą, że... proszę siadać...

— Czy wiedziałeś pan na pewno — zapytałem — o tym zbytku uprzejmości?

— Niestety przekonałem się aż nadto, mniejsza z tém w jaki sposób.—Niespodzianie wpadłem na poszlaki i dowody. Nie była świętą—oj nie! Ponieważ formalnie praw żadnych mi nie przyznała — nie miałem powodu robić scen ani tragedyi — usunąłem się na bok zły i rozczarowany. Po pewnym czasie jednak myślę sobie: trzeba lżéj traktować tę osóbkę—zawszeć to miły kąsek. Zmieniam tedy systemat, nadskakuję, żywię, staram się podobać. Ona, panie, uzbraja się w skromność, jak stal hartowaną i znowu robi mi scenę, z minami obrażonéj wielkiéj pani!

— Sprytna kobiétka—byłeś pan dla niéj dobrą partyą, epuzerem pierwszéj klasy, więc traktowała pana stosownie do wartości z należnym szacunkiem.

— Co mi tam po jéj szacunku! — odrzekł mój młodzian zirytowany. Kręciłem się koło niéj parę miesięcy, znosiłem grymasy, wysługiwałem się, dawałem prezenty i co mi z tego przyszło?

— Trochę doświadczenia, że nie trzeba wierzyć kobietom wątpliwego pokroju, gdy one biorą nas na seryo!..

* * *

Nietylko przez komedyę uczciwości, takie kobiety chcą robić dobre interesa. Istnieje pewien rodzaj moralności praktycznéj, która popłaca na targowisku powszedniego życia.

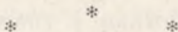
Stendhal nazwał cnotą merkantylną, taką cnotę, która liczy na stokrotną nagrodę w raju za dobre czyny. Podług mnie, w zakresie moralności płciowéj inną zupełnie jest cnota merkantylna. Dba ona o głos opinii, uważa prawa dobrego tonu i przyzwoitości za ostateczne reguły życia. Kobiety zbrojne w taką moralność, są na codzienne potrzeby przyzwoitemi pannami na wydaniu; jako małżonki bywają cierpkie ale znośne, żyją w kółku raz wyrobionych stosunków i wy-

twarzają atmosferę jałową, banalną, która jednak nie przeszkadza pracy zawodowéj małżonków.

Cnota merkantylna nadaje pannie z „porządnego domu" z takim lub owakim posagiem, pewną wartość na matrymonialnéj giełdzie. Mężatkom żyjącym w błogosławionéj miernocie ducha pomaga do utrzymania towarzyskiéj pozycyi.

Po napisaniu tych słów przypadkowo natrafiłem na ustęp w powieści „Bez dogmatu", w którym Sienkiewicz podobnie mówi o „filisterstwie cnoty" cechującém kobiety małego serca. „Chcą one mieć w porządku swoje księgi rachunkowe, tak jak pierwszy lepszy sklepikarz", lubią przedewszystkiém spokój „bo tylko w spokoju idą dobrze prawdziwie pozytywne interesy." „Cnota ma swoje góry i otchłanie, ale ma także swoje płaszczyzny."

Taka płaska, filisterska i merkantylna cnota panuje wśród mieszczańskich lub prowincyonalnych stosunków. Roztacza ona koło siebie zaduch kramarski lub atmosferę zabójczéj nudy.



Nuda bywa towarzyszką także pruderyi, która jest karykaturą cnoty, najnieznośniejszym owocem fałszywie pojętéj tresury człowieka. Pruderya grasuje głównie wśród społeczeństw protestanckich, gdzie moralność nabiéra odcienia ponuréj powagi, staje się nawet drapieżną i napastniczą, jak np. w krajach skandynawskich.

Zdawałoby się, że ten rodzaj cnoty nie może mieć nic wspólnego z poezyą—jednakże Hebbel w „Pierścieniu Gygesa" nadał jéj znaczenie tragiczne. Bohaterka dramatu posuwa pruderyę do granic niedorzeczności, zwłaszcza jak na starożytną Greczynkę. Jestto Rhodope, żona legendowego króla Lidyi Kandaulesa, którą przyjaciel męża Gyges za jego zgodą ujrzał bez kostiumu w kąpieli, używając w tym celu swego czarodziejskiego pierścienia. Kandaules chciał się poszczycić pięknością żony, która go bardzo kochała. Dowiedziawszy się jednak o tym fakcie, skromna Rhodope uroiła sobie, że hańbę zmyć może tylko wtedy, gdy zostanie żoną człowieka, który miał sposobność podziwiać całą jéj plastykę. Układa tedy z Gygesem spisek na życie męża. Gdy Kandaules padł w boju, zaślubia zwycięzcę, ale czując po mężu żal niewygasły, zabija się zaraz po ceremonii przy ołtarzu *Hestii*, bogini małżeństwa. Tym sposobem okupiła swą czystość, pokalaną niedyskretném spojrzeniem cudzoziemca.

Z podania naiwnie opowiedzianego przez Herodota, Hebbel, stworzył sztucznie wyśrubowaną tragedyę abstrakcyjną moralności

ciała. Z kobiety, która mści się za obrazę na mężu, zrobił niemiecką doktrynerkę pruderyi silniejszéj nad miłość.

Pamiętam, jak niesmaczną i ciężką wydała się nam ta sztuka, chociaż ją w Burgu znakomicie wystawiono. Podziwiałem wiedeńczyków, jak mogli cierpliwie słuchać i oklaskiwać taką tragiczną androne, napisaną pięknym, chociaż zawiłym językiem. U nas wyśmiano by ją niemiłosiernie.

Pomimo przesady i legendowego charakteru, udało się jednak Hebblowi pochwycić niektóre istotne rysy pruderyi. Jest ona fanatyzmem pozorów moralności, łączy się z brakiem tolerancyi dla ludzkich błędów dochodzącym nieraz do okrucieństwa.

* * *

Wiadomo, że cnotliwe i poprawne damy, troszczące się tylko o własną opinię lub zbawienie, wykazują często brak wybitniejszych przymiotów serca i charakteru. Są to maryonetki poruszane na nitkach formuł towarzyskich, suche pedantki dobrego tonu — bez iskry miłości dla bliźnich.

Zdarza się tymczasem, że kobiety mające na sumieniu pewne grzeszki, poczuwszy niesmak winy, podnoszą się moralnie i nabierają wartości. Pokazał to Sudermann w „Gnieździe Rodzinném", którego bohaterka zahartowała się w nieszczęściu i „urosła nad swój grzech." Czasem kobiety niepospolite i bogatsze duchem, popełniają błąd lub winę, szamocąc się z próżnią życia. Znalazłszy w małżeństwie czczość i rozczarowanie, szukają wrażeń, pociechy i błądzą — gdy tymczasem natury banalne znoszą swoje położenie z cielęcą cierpliwością—albo wpadają w apatyę.

Dla natur szlachetniejszych—ale nieprzeciętnych — ból i gorycz błędu bywa ogniem oczyszczenia. Odzywa się w nich potrzeba samodzielności i rehabilitacyi, podnieca energię, zamienia kobietę zbłąkaną na „człowieka" w całém znaczeniu tego wyrazu. Na tém zaś podniesieniu czysto ludzkiéj godności w kobiecie, polega podług mnie, jéj rola wśród nowego porządku moralnego przyszłych wieków.

Nie trzeba jednak rozumiéć tego w duchu śmiesznéj emancypacyi, za którą gardłują feministki. Będzie to zapewne zgodne z wiekuiście kobiecym pierwiastkiem, pogłębienie wartości wewnętrznéj, zdobycie pewnych przymiotów, których w niewolniczém życiu kobieta dotąd zdobyć nie mogła.

Nie mam zamiaru, mówiąc to, wtórować zwietrzałéj frazeologii o odkupieniu kobiet zupełnie upadłych. W kałużę wpadają najczęściéj

istoty, mające, jak powiada Augier w „Małżeństwie Olimpii" — pociąg kaczek do błota.

Śmiejemy się dziś z téj wrzawy o nierządnicę, którą Dumas (młodszy) napełnił literaturę francuską, śmiejemy się z téj filozofii szóstego przykazania, głoszonéj z apostolskiém namaszczeniem—chociaż bierze ją na seryo pewna część krytyki francuskiéj.

Zdrowa filozofia życia nie każe jednak wszystkich zbłąkanych istot mierzyć jedną skalą, ani też nieszczęścia uważać za występek.

Wskutek instynktów, wychowania, kobiéta zwykle jest bardziéj wstydliwą od mężczyzny. Nawet bardzo nisko stojące istoty—zwłaszcza u nas—zachowują w téj mierze resztkę skrupułów. Zdaje im się, że pozorami uciszą wyrzuty sumienia lub ratują sytuacyę, która uratowaną już być nie może. Są wtedy bardzo zabawne — a zawsze godne pożałowania.

Mężczyźni opowiadają w téj mierze historyjki, w których właściwy kobietom brak logiki staje się po prostu komicznym.

Potrafią one wmawiać w swych wielbicieli, że są szlachetne i nie zepsute, wtedy właśnie gdy dały aż nadto dowodów, że ich wartość spadła... poniżéj zera.

* * *

Nieporządek w zakresie spraw miłosnych nie jest *eo ipso* dowodem nicości moralnéj mężczyzny. Księcia Józefa Poniatowskiego słusznie cytują jako przykład, że pomimo narowów hulaszczych można być człowiekiem czynu i bohaterem.

U kobiét daleko częściéj życie, skażone pod względem erotycznym, wywołuje zgangrenowanie całego charakteru.

Pamiętam, jak przykre zrobiła na mnie wrażenie niedawno rozmowa z kobietą niepospolitą, która łączyła dobre serce, inteligencyą z temperamentem i nałogami kurtyzanki. Była dawniéj cyniczną, ale ten cynizm miał w sobie pewien wdzięk szczerości, rozjaśnionéj humorem ulicznika. Nie sądziłem jéj surowo, tak jak ciotki i kuzynki, zgorszone wybrykami cygańskiéj natury. W téj kurtyzanie, która zresztą umiała samodzielnie pracować, czułem naturę nieporządną ale szlachetną, szczerą i nieobojętną na cierpienia ludzkie. Spotkałem ją po sześciu latach życia dosyć burzliwego, chociaż wypełnionego pracą, która powinnaby uszlachetniać. Rdza moralna przegryzła jéj duszę. Cynizm zasłonił dawną dobroć. Bez ceremonii popisywała się lekceważeniem wszelkich obowiązków, okazując przytém niezdrową sympatyę dla ludzi znikczemniałych, którzy dokoła siebie budzili zasłu-

żoną pogardę i nienawiść. Lepsze strony duszy całkiem w niéj nie zamarły. Znać było jednak postęp zgnilizny — instynktowne powinowactwo—z podłością.

Kobiéty wogóle nie odznaczają się nadmiarem popędów szlachetnych. Wyjątek stanowi nieznaczna liczba istot pół-anielskich. Ileż to razy u kobiét, niepospolitych nawet, raził mnie serwilizm, próżność, zawiść, skłonność do fałszu, obłudy i brak poczucia sprawiewiedliwości.

Nigdzie tak typowo nie występują te rysy, jak właśnie u kobiét żyjących w poczuciu swego towarzyskiego i moralnego upośledzenia. Trudno uwierzyć, że kobiéta, którą znało się np. przed paroma laty jako przyjemną, czarującą, chociaż lekkomyślną istotę, staje się po pewnym przeciągu czasu skończonym potworkiem.

* *
*

Dla mężczyzny, który pracuje i rozwija swą energię ze świadomością celów, koniecznėm jest uporządkowanie erotycznéj strony życia.

Musi on być sam dozorcą i poskramiaczem siedzącéj w nim menażeryi. Silne charaktery umieją sobie poradzić z szympansem zmysłowości, która gubi czasem niepospolitych ludzi. Bjönrsterne Björnson w swéj broszurze „Jednożeństwo i wielożeństwo" cytuje jako przykład dwu mężów stanu francuskich: Mirabeau, który padł ofiarą rozpasania w pełnym rozkwicie swéj karyery politycznéj, i Gambettę, który zginął wskutek niewstrzemięźliwości, kiedy ojczyzna właśnie najbardziéj go potrzebowała [1]). W życiu społecznėm upadek moralności płciowéj bywa znamieniem anarchii moralnéj wogóle. Zniewieściałość i rozpusta pojawia się w epokach upadku i rozprzężenia, — w towarzystwie szalonego zbytku. Epoka, poprzedzająca upadek Rzymu oraz wiek Ludwika XIV i XV, odznaczały się niezmiernėm rozluźnieniem obyczajów.

Społeczeństwa, rozmiękczone w rozkoszy i użyciu, nie umieją się obronić od zagłady,—dowodem tego Prowancya średniowieczna, która zajęta miłością i poezyą, nie mogła stawić czoła barbarzyńcom północy. W latach, poprzedzających upadek polityczny rzeczypospolitéj polskiéj, krzewiły się lekkie obyczaje, rozpusta zniszczyła życie domowe, sprzedajność ogarnęła szerokie koła szlachty i możnowładztwa.

---

[1]) Przekład polski wydany przez redakcyę „Głosu". Warsz., 1896, str. 19.

We Francyi współczesnéj rzeczpospolita szamocze się w walce z korupcyą. Polityka w oczach ludzi porządnych popadła tam w pogardę z powodu skandalów i przekupstw parlamentarnych na wielką skalę. Prasa, literatura i scena, coraz częściéj bywają służebnicami bezwstydu. Do czego dochodzi zwyrodnienie wyobraźni autorów, uprawiających pornografię, przekonałem się czytając nowelkę w *Gil-blas*'ie, która się kończy wybuchem zmysłowéj miłości dla trupa.

Nie mówiąc o świstkach ulotnych i brukowych, takie pismo jak *Vie parisienne*, redagowane wytwornie, pełne jest rysunków, powiastek, scen dyalogowanych lub opisów, w których zmysłowość i zepsucie występują z całą szczerością i swobodą, odziane w formę literacką przejrzystą, jak gaza odalisek wschodnich.

W teatrzykach kawiarnianych paryskich, przedstawiane bywają epizody i sceny tak drastyczne niemal, jak widowiska za czasów Nerona, gdy publiczność oglądała w całéj plastyce najbardziéj zmysłowe i brutalne sceny z mitologii.

Ten pieprzny cynizm przechodzić zaczyna do większych teatrów paryskich, a prasa przeciw temu nie protestuje. Gdy w teatrze Varietés grano w końcu 1895 roku nad wszelki wyraz cyniczną fantazyę „Karnecik dyabelski" (*Carnet du diable*), poważni nawet krytycy delektowali się tą sztuką. Nagość fizyczna, bezwstyd, prezentowały się w niéj bezczelnie przy wybuchach rozpasanego humoru widzów.

Zepsucie obyczajów we Francyi jest przyczyną słabego przyrostu ludności i zmniejszania się żywotnéj siły narodu.

* *
*

Tymczasem w obyczajach narodów zdrowych i silnych, erotyzm bywa poskramiany, a przynajmniéj w życiu i literaturze—nie staje się czynnikiem tak przeważnym.

Plemię anglo-saskie zawdzięcza w znacznéj części swą czerstwość, siłę, rozrywkom sportowym, oraz panującemu w obyczajach rygorowi. Prowadzi on za sobą nieznośną obłudę, puryzm i sztywność obyczajów, ale dla utrzymania sił narodu lepszym jest aniżeli francuska lekkość i pustota.

W Ameryce, jak twierdzi Bourget w swéj pięknéj książce *Outre-mer*, wysokie stanowisko kobiéty, grającéj ogromną rolę w życiu społeczném, łączy się z tym faktem, że jest ona przedewszystkiém człowiekiem, a potém dopiéro samicą.

We Francyi miłość dla kobiét ma w sobie coś oryentalnego, jest w gruncie rzeczy zmysłową, łączy się z nienawiścią i zazdrością zwie-

rzęcą. Obyczaje krępują tam swobodę kobiéty, która w Anglii jest daleko bardziéj samodzielną.

U Anglików klimat, sport i religia poskromiły temperament; Amerykanie w téj mierze są podobni do Anglików, gdyż energia zdobywcza, sposób odżywiania się, religijny i polityczny zapał wytworzyły w ich usposobieniu cechy czerstwości i zdrowia. Sztuka i literatura nie podsycają tam wyobraźni. W całych Stanach Zjednoczonych nie ma ani jednego nagiego posągu. Żądza miłosna stoi na drugim planie i dlatego nie jest chorobliwą, ani bolesną. Kobiéty tamtejsze rosłe, bez wielkich piersi o grzbiecie opadłym, figurze gibkiéj i zgrabnéj; są odważne, energiczne, pociągają wdziękiem, który nie ma lubieżności, ale raczéj pewną męską swobodę.

Panna gra wielką rolę w obyczajach amerykańskich, pędzi życie bardziéj samodzielne, niż w Europie; sama stanowi cząstkę odrębną domu i rodziny, zaprasza swoich znajomych i przyjaciół. Nie śpieszy się ona z utratą swéj dziewiczéj wolności, wiedząc, że małżeństwo jest dla niéj rodzajem abdykacyi.

Kwestya miłości dla panien amerykańskich stoi na drugim planie. Z mężczyznami od lat młodych postępują zażyle. Czasem lubią trzymać wielbicieli na uwięzi, grają rolę narzeczonych z kandydatami, których nie mają zamiaru poślubić. To im daje opinię osób poszukiwanych i cenionych na targowisku małżeńskiém. Trzymają wtedy zdaleka chłopczyków, pozwalają na flirt... bardzo dyskretny i przerywają go bez pardonu, gdy mężczyzna chce przekroczyć demarkacyjną linię. „Mają one nawet deprawacyę czystą.”. Ponieważ młoda Amerykanka z klas zamożniejszych (których obyczajom bliżéj się Bourget przyglądał) nie obraca myśli i wyobraźni koło kwestyi miłosnych, jéj charakter posiada więcéj odcieni, aniżeli panien europejskich. Te ostatnie rozwijają się dopiéro naprawdę, gdy serce przemówi i gdy zaczną podlegać wpływowi męża.

Bardzo często Amerykanki dla karyery idą za starych bogaczy. W takim razie, uważając małżeństwo jako rodzaj spółki komandytowéj, żyją spokojnie zadowolone ze swego losu, nie popełniając wybryków, które mogłyby zaszkodzić wspólnym interesom.

Małżeństwa nie są tam wzorem czułości. Życie rodzinne nie ma ciepła, ani spójni serdecznéj. Każdy żyje dla siebie w téj egzystencyi ruchliwéj, hotelowéj, ale za to panie nie mają historyjek miłosnych, nie dostarczają materyału dla kroniki skandalicznéj.

Pomiędzy pannami, które do 25 lub 26 lat wieku nie idą za mąż Bourget znalazł najrozmaitsze typy i podaje ich ciekawe album. Jedne pełnią obowiązki piękności zawodowéj, reprezentują urok płci swo-

éj jako gwiazdy wśród zebrań i zabaw publicznych. Drugie ambitne mieszają się do polityki, pracują dla karyery przyszłych małżonków. Daléj idą kokietki, kolekcyonistki, panny interesowane, sentymentalne, ale najbardziéj typowemi są „panny zrównoważone, które potrafią wśród bardzo skomplikowanych warunków dać sobie radę. „Ani majątek ojca — mówi Bourget — ani zbytek, jaki otacza taką pannę, ani gorączka życia światowego, w którego wirze tonie, nie może, wywrzéć złego wpływu wobec jéj rozsądku. Ona sama oryentuje się wśród wrażeń swego otoczenia, rozpoznaje zdrowe od niezdrowych, wybiéra pierwsze, odpycha drugie. Urabia sobie charakter zupełnie zgodny ze swą pozycyą w społeczeństwie, indywidualny i szczególny. Dla téj młodéj dziewczyny żadna próba nie będzie niebezpieczna. Stanie ona na wysokości każdego losu i zrobi, co jéj wtedy wypadnie.

Prawda, że ten wizerunek nie ma nic wspólnego, ani z naszém niewiniątkiem, która nie wié o życiu i jego goryczach, a potém zamienia się często na dyabełka — nie ma nic wspólnego z aniołem salonowym, powolnym lecz biernym, ani z kokietką wykrygowaną i nienaturalną, ani wreszcie z doktrynerką i emancypantką, o przewróconéj głowie.

Swoboda obyczajów kobiécych nie zmieniła w Ameryce wdzięku płci, ale wzmocniła go przez pewną siłę, która zapewnia przyszłemu mężowi wierność nienaganną. Amerykanka bywa podporą w przejściach, doradczynią, powiernicą i przyjaciółką w małżeństwie — łączy delikatność kobiécą z męską wolą, przywiązuje, zadziwia i pociąga. W małżeństwie pomimo to niepodległa; w sferach bogatszych jest ona „delegatką zbytku", reprezentuje świetną i estetyczną stronę życia w kraju: wysiłków i zbytku. Nie symbolizuje czułości, ani rozkoszy, może nie być kochaną i nie potrzebuje miłości, ale jest żywym storczykiem, przedmiotem sztuki żyjącéj, arcydziełem swéj cywilizacyi [1]).

Bourget, stwarzając tę ciekawą charakterystykę, nie jest podobnym do Bourget'a dawnego, który z zamiłowaniem badał wszystkie odcienia brudnych miłostek. W *Cosmopolis* i w *Outre-mer* uległ przemianie, która oczyściła i pogłębiła jego moralną organizacyę—odjęła jednak talentowi dawną nerwową siłę.

Podobnież Taine w swych głośnych „Zarysach Anglii" (*Notes sur l'Angleterre)* podaje obraz obyczajów angielskich, panujących przed ćwierć wiekiem. Przeciwstawia on rygor moralny i hypokry-

---

[1]) „Outre-mer", tom I, str. 100—114 i 139—149.

zyę angielską, wrodzonéj Francuzom fanfaronadzie występku. Kobiéty angielskie dobrze się prowadzą, ponieważ cieszą się od dzieciństwa wolnością, przestają swobodnie z młodymi ludźmi. Ośm lub dziewięć miesięcy corocznego pobytu na wsi oszczędza im wiele pokus,—dobry ton zabrania czytać gorszących powieści. Małżeństwo, zawarte z przywiązania i opieka nad liczną gromadką dzieci, utrzymuje ich umysł w stanie moralnego zdrowia. Różne poboczne zajęcia, jako to: zbiéranie roślin, opieka nad szkołami ludowemi, strzegą od rozleniwienia, które podsyca pracę wyobraźni i rozstraja nerwy. W Anglii, jak twierdzi Taine, moralność ma głębsze podstawy, albowiem opiéra się na poczuciu obowiązku, gdy we Francyi wypływa z poczucia honoru, które jest pojęciem bardziéj dowolném, kojarzącém się z próżnością i egoizmem. Tymczasem idea obowiązku jest bardziéj ścisłą i nie znosi kompromisów.

Mężatki angielskie prawie wszystkie są wierne, z wyjątkami bardzo rzadkiemi w klasach wysokich, częstszemi wśród bogatego kupiectwa; kobiéty te prowadzą w téj sferze życie bezczynne, nie zajmują się domem, ani dziećmi, więc dla zapełnienia próżni życia bawią się czasem w roskoszne grzeszki.

Półświatek nie przybiéra w Anglii takich rozmiarów, jak w Paryżu, nie ma pretensyi do występowania na zewnątrz, jako klasa społeczna lub warstwa towarzyska.

Nawet mężczyźni w Anglii mają więcéj wstydu, niż gdzieindziéj, albowiem późniéj czują pokusy zmysłów. Jeśli który ma miłostkę tajemną, kryje się z nią lękliwie. Pracują dużo, oddają się sportowi, poważnie myślą o małżeństwie i boją się opinii, która nie jest pobłażliwą. Religia i obyczajność purytańska okiełznały temperament Anglików, niegdyś zmysłowy i brutalny, dlatego rozpusta kryć się tam musi. Pomimo rygoru i obyczajów, prostytucya i występki przeciw moralności występują z tém większą ohydą. „Nie wiem dlaczego — mówi Taine — patrząc na to piękne społeczeństwo, dostrzegam zawsze po za ludzką głową i wspaniałym biustem, grzbiet zwierzęcy i obłocony [1]).

Od czasu napisania „Zarysów Anglii", grzbiet ten pokazywał się całemu światu w słynnych odkryciach dziennika *Pall-mall-gazette*, ukazujących zepsucie i rozpustę wśród najwyższych warstw towarzystwa,

---

[1]) „Zarysy Anglii", przekład A. Świętochowskiego. Warszawa, 1872 Tom I, str. 97.

oraz w morderstwach erotycznych, które odsłoniły straszną gangrenę w życiu londyńskiego pospólstwa.

Jeżeli mamy wierzyć p. Naganowskiemu, to obraz narysowany przez Taine'a powlokł się tu i owdzie bardzo głębokiemi cieniami. W jednéj ze swych zajmujących kronik [1]) pisarz ten, wcielony od lat wielu w życie londyńskie, daje ponury szkic zepsucia obyczajów obecnych. Przyczyną tego ma być gorączka spekulacyjna i chuć złota, która wstrząsa konwulsyjnie życiem klas średnich. W rozmowach sfer zarówno salonowych, jak i rzemieślniczych, dawna schludność ustępuje cynizmowi. Dyskusya kręci się jak wrzeciono na nitkach drażliwych. Anglicy traktują te kwestye brutalnie, a jednocześnie z jakąś fanatyczną zaciekłością. Brak im lekkiéj swobody Francuzów, która umie treść brudną podać w smacznéj formie, albo ubrać ją błyskotkami dowcipów. W wyższych sferach prąd spekulacyjno-finansowy wprowadził panowanie „otwartego cynizmu i pogardę cnoty *par excellence*". Nawet w średniéj warstwie, która jest przybytkiem „dostatniéj cnotliwości", psuje się moralność tradycyjna kobiét. Zaczyna im się podobać, przynajmniéj w teoryi, swoboda miłosna i związki małżeńskie, bez pozwolenia „księdza-pastora". W téj sferze panie po obiedzie idą do siebie niby na kawę, a pocichutku piją *brandy*. Inne szukają upojeń w paleniu opium, inne wreszcie w praktykach spirytyzmu i krystalomancyi.

Znać w téj charakterystyce zbyt silny może rozmach i forsowanie ciemnych tonów. Ukazuje ona jednak powiększanie się grzyba moralnéj anarchii na zdrowym pniu narodu angielskiego. Ogólne to znamię epoki naszéj.

* *
*

Ciekawy rys obyczajów francuskich podaje karykatura, pomieszczona w *Petit journal*'u.

— Papo, chciałabym pójść na bal do Wielkiéj Opery — mówi młoda panienka.

— Nie możesz, moja córko—odpowiada z powagą papa—jest to bowiem miejsce, w którém cnota kobiéty bywa narażoną na wielkie niebezpieczeństwo. Gdy pójdziesz za mąż, to i owszem.

Do dwudziestu lat panny francuskie ze sfery mieszczańskiéj i arystokratycznéj bywają strzeżone jak kanarki w klatce. Mama stara się o to, aby córeczka nie ruszyła się ani kroku bez opieki, wzbrania

[1]) „Biblioteka Warszawska", zeszyt grudniowy, 1895 r., str. 438.

do domu wstępu młodym ludziom, ponieważ mogłoby to rozbudzać złe myśli. „Klimat wpływa zbyt wcześnie na dojrzewanie panien — tak mówi pan Graindorge w znanéj książce Taine'a — potrzeba więc klasztoru, albo domy rodzinne urządzać po klasztornemu, jak w krajach południowych. Jeżeli kontrola własna nie wystarcza, potrzeba więzienia i zamknięcia" [1]). Ale w pensyonatach dziewczęta zaczynają (zupełnie tak samo jak u nas) wzdychać do nauczycieli. Niewiniątka i trusie, potém zamieniają się czasem na jaszczureczki, na uczone papugi, albo... kokotki. Skłonność do kokieteryi mają od pieluch, świegocą niby ptaszyny żywe a puste, w każdém słowie okazując chęć podobania się i rezolutną energię. Bywają płytkie, lekkomyślne, powierzchownie religijne, „umieją się ubrać, podobać, głowę zawrócić, są sprytne, ale brak im szlachetności, zanadto kłamią." Sztuka podobania się polega u nich na podrażnieniu nerwów i wyobraźni mężczyzn, na powiewaniu „tuż koło ich ust gałązką z dojrzałemi wiśniami." W manewrach tych wdzięk łączy się ze sztuką świadomego podniecania wrażeń. Naiwność u panien, zwłaszcza paryskich, należy do cnót przebrzmiałych. Na jednym humorystycznym rysunku smagła panienka pyta młodego chłopca, który ją w pół obejmuje:

— I ty się jeszcze rumienisz, kuzynku?

— Czasami, zależy od tego, co mi mówią panny.

Idą za mąż najczęściéj dla konwenansu, albo dobréj pozycyi. Małżeństwa układają po za plecami młodych ludzi, praktyczne mamy, ojcowie lub ciotki. Młoda mężatka cieszy się jak dziecko swobodą, zaczyna pochłaniać zakazane romanse, chodzi do „Palais-Royal" na farsy, rozkoszując się pieprznemi konceptami. Cnota Francuzek jest powierzchowną, należy po prostu do dobrego tonu. Umieją one w półsłówkach dawać bardzo dużo do myślenia. Skromność ich „niby prześliczny penioar haftowany, roztwiéra się nie chcący lub dobrowolnie, gdy wiatr powieje albo ktoś przejdzie za prędko."

Życie światowe we Francyi uważa Taine jako zwichnięcie wszelkiéj prawdy, która w rozmowach wychodzi połamana, niby „kobiéta po skończeniu tualety wypchana z jednéj strony, a ściśnięta z drugiéj." Zwłaszcza kobiéty światowe kłamią tyle razy na dzień, że tego nawet przeliczyć nie można. Małżeństwa w średniéj klasie bywają czasem szczęśliwie dobrane, zwykle banalne. „W stadłach wyższéj burżuazyi

[1]) H. Taine. „Życie i spostrzeżenia o niém pana Graindorge." Przekład dolski. Warszawa. 1893, str. 72. 74.

spekulacye i ruina, w arystokratycznych cudzołóstwo — w burżuazyi wyższéj, która ma pretensye do artystokracyi— często jedno i drugie.”

* * *

Ulegając wpływom francuskim, przejęliśmy niektóre rysy obyczajowe najbardziéj płochego narodu na świecie. Pomimo wrodzonéj lekkomyślności, nie lubimy jednak zbytnio brnąć w błotku. Skrzydła motyle opaliły nam się w ciężkich próbach.

Obyczaje nasze mają jeszcze dużo rycerskości. Kultura klas średnich i mieszczańskich urabia się u nas na podstawie kultury szlacheckiéj. Dosyć parę dni znaléść się wśród burżuazyi paryskiéj, aby się przekonać, że odbiega ona od pojęć, jakie mamy o elegancyi francuskiéj. W stosunkach codziennych w Paryżu czuć szorstkość demokratyczną, pod powłoką właściwéj Francuzom *bonhommie*, zaprawionéj lekkim odcieniem ironii lub cynizmu. W sferach arystokratycznych francuskich kwitnie podobno dawna ogłada, — ale u nas w stosunkach codziennych ze średniém mieszczaństwem lub inteligencyą, zwłaszcza w Warszawie, spotykamy daleko więcéj delikatności i galanteryi.

Ze szlacheckiego podkładu obyczajów wynika przewaga zasady honoru, który ma w sobie szlachetny pierwiastek godności własnéj, bywa poezyą przymiotów męskich, wyrobionych w życiu klas rycerskich. Ale tkwi w niém zawsze odrobina pychy, egoizmu i brawury na pokaz. Sarkali niektórzy pisarze nasi na Sudermanna, że obniża wartość honoru jako zabytku pojęć średniowiecznych — ale miał on wielką racyę, podnosząc znaczenie obowiązku, jako zasady moralnéj wyższego rzędu.

W zakresie etyki płciowéj mężczyźni nasi, pomimo honoru, bywają wstrętni, poprostu niemożliwi. Nawet ludzie skądinąd wyrobieni i rozumni nie posiadają zwykłéj delikatności, zapominają o tém, że nie należy wszystkich kobiét traktować jak pokojówki — że, biorąc do ręki aksamit lub jedwab', trzeba się inaczéj z nim obchodzić, jak ze zgrzebném płótnem. Pamiętam, z jaką goryczą uskarżała mi się pewna śliczna kobiéta, którą koleje losu skazały na słomiane wdowieństwo. Obracała się w towarzystwie ludzi wybitnych, inteligentnych, umiała się podobać, była wesołą, w miarę zalotną, strzegąc się wyzywającéj kokieteryi. Ta milusia koteczka wyznała mi ze smutkiem, że żaden ze znajomych nie oszczędził jej brutalnych umizgów. — Znając mnie — mówiła — każdy z góry powinien był wiedzieć, że odejdzie z kwitkiem. Cisnęli się jednakże jak trutnie do ula, musiałam ich kąsać.

Przypuścić szturm brutalny do żony przyjaciela, do kobiéty najuczciwszéj dlatego tylko, że nie jest pedantką i lubi wesoło zabawić się z chłopczykami — to dla naszych panów jest chlebem powszednim. W jednéj chwili mężczyzna inteligentny, dobrze wychowany, staje się rozhukanym byczkiem nawet wobec kobiéty, która nie miała zamiaru drażnić jego zmysłów.

Według naszych pojęć honoru, jak słusznie zauważył bohatér w powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu", kradzież cudzéj żony sprowadza hańbę na okradzionego, a kradzież portmonetki karę na złodzieja. Przed laty kilkudziesięciu w obyczajach prowincyonalnych francuskich, jeśli młody człowiek uwiódł pannę było to dla niego chlubą, a dla niéj hańbą — jak twierdzi Stendhal. Ten krzyczący rys etyki konwencyonalnéj świadczy, jak dalece wskutek pojęcia honoru może się spaczyć poczucie sprawiedliwości. Tylko próżność i głupota może z łez i wstydu kobiéty uwić wieniec chluby dla zjadacza serc. Zdrowiéj tę sprawę sądzą chłopi z okolic Krakowa. Winę błędu zwalają głównie na parobczaka, który uwiódł dziewczynę, chociaż i jéj nie przebaczają. Wioskowy donżuan nie ma prawa się pysznić, ale musi kryć się albo uciekać ze wsi.

Według pojęć panujących w sferach eleganckich, tryumfy donżuanów nadają im wielki urok. Jak wódz indyjski, chlubi się liczbą obdartych czupryn z głów nieprzyjacielskich tak dla zwycięzcy salonowego zaszczytem bywa liczba złamanych cnót kobiécych. Panie patrzą z zajęciem na pogromców płci swojéj, powtarzają sobie po cichu imiona ofiar, opowiadają legendy o najważniejszych podbojach.

Kradzież żony bywa nawet przedmiotem chluby, jak u Kirgizów uprowadzenie tabunu koni. Sienkiewicz, a raczéj jego bohatér Płoszowski, tłómaczy to po części słusznie aktem dwustronnéj woli, bo kobiéty nie można tak wziąć, jak portmonetki, ani wyprowadzić na uzdeczce jak konia. Jednakże gra tu rolę donkiszoterya pojęć honorowych, a może i ta okoliczność, że kradzież dokonywa się w sposób realny, chociaż jéj przedmiotem jest wartość, jaką traci kobiéta odnośnie do praw, mających charakter bardziéj idealny. Nie jestto rabunek własności, ale przywłaszczenie sobie... serwitutów na cudzym gruncie. Ale pod względem moralnym grabież taka zostaje zawsze grabieżą, sprowadza klęski i krzywdy, których nie okupią największe pieniądze.

* * *

Dla różnych powodów nie można nigdy nadto ostrzegać kobiét, aby nie ufały pewnéj kategoryi mężczyzn. Gdyby miały pojęcie o ich

niedyskrecyi, nigdyby dla flirtu lub przelotnéj igraszki nie ryzykowały zbyt wiele. Próżność męska bywa bezdenna. Głupota przeciętnych zdobywców szuka chluby w zwierzeniach, które powinnyby utonąć na zawsze w tajemnicach buduarów, hotelów lub powozów spacerowych. Przy kieliszku albo nawet w poufnéj gawędzie reputacya kobiét idzie w strzępy. Jawnie lub pod osłoną bardzo przezroczystą opowiadają sobie zjadacze serc historyjki bardzo drastyczne, bardzo często upstrzone kłamliwemi szczegółami. Gdy takiemu panu da kto do zrozumienia, że odgadł bohatérkę jego opowieści — z miną zadowoloną, pełną udanéj skromności odpowie:

— Ale co znowu, przecież ja nic nie powiedziałem — niech pan nie robi fałszywych przypuszczeń!...

Rozmawiałem w tym przedmiocie niedawno z pewną miłą mężatką, zaznaczając, że jestem bezstronny i oceniam ostro brzydkie przywary rodzaju męskiego.

— Mnie nic nie obchodzi niedyskrekcya mężczyzn, bo nie potrzebuję się jéj obawiać.

Mówiła prawdę, nie wiedząc, że i jéj nie oszczędzały lekkomyślne języki.

— To być nie może — mówiono — żeby ona nie miała jakichś grzeszków... Młoda, wesoła, lubi towarzystwo męskie... tylko sprytnie się kryje, szelmutka!

Ten krańcowy brak płciowego sumienia u mężczyzn wpływa na obyczaje.

Panienki nasze bywają strzeżone nieufnie. Na szczęście, rzadko je zamykają w klasztorach. Rygor ich nie odpowiada potrzebom dzisiejszego życia, albowiem obok tresury zewnętrznéj zaszczepia w samodzielniejszych główkach poczucie buntu i opozycyi, przeradzające się z czasem w lekceważenie zasad moralnych.

Nasze mamy i ciocie posuwają brak zaufania czasem do komicznéj przesady, wiedząc z doświadczenia, że skromność bywa trebhauzową roślinką, że cnotliwa panna wśród mężczyzn jest jagnięciem, na które czyhają wilcze zęby.

Klimat nie podsyca zbytnio u nas krewkości, ale broi dużo właściwa córom Ewy ciekawość i bujna wyobraźnia. Panienki nasze mniéj puste i szczebiotliwe, niż Francuzki, bywają jednak bardzo sprytne—domyślają się wielu rzeczy przedwcześnie. Wiem np. że pewna trzynastoletnia dzieweczka z siostrą o rok młodszą, wyśledziły tajemną korespondencyę swéj matki w inseratach. Zdziwił ich pośpiech nerwowy, z jakim brała do ręki ostatnie stronice dziennika i po nitce doszły do kłębka. Fakt ten świadczy--mówiąc nawiasem—że wychowawcy

nie powinni przyzwyczajać dzieci do wczesnego czytania pism peryodycznych, które nie mogą być redagowane dla żaczków lub pensyonarek.

* * *

Wielkim wrogiem kobiéty naszéj ze sfer wyższych i średnich jest próżniactwo. Wyszedłszy za mąż, rzadko kiedy karmią dzieci, chociaż na ich usprawiedliwienie można przytoczyć, że tak samo przed wiekami robiły niewiasty greckie za czasów bohatérskich w Helladzie, wyręczając się najemnicami.

Często się zdarza u nas nawet w średnich rodzinach, że kobiéta bywa... *une reine fainéante.*

Niadawno jechałem z młodém małżeństwem w jednym wagonie. On skromny urzędnik kolejowy, ona mieszczaneczka prześliczna, szatynka, w czarnéj sukni, o wielkiém oku i profilu greckiéj kamei. Nie była widocznie wykształconą, ani dystyngowaną, a jednak poczucie urody nadawało jéj pewien dumny spokój. Mąż ruchliwy, energiczny, mówił dużo, starał się jéj przypodobać. Ona od czasu do czasu rzucała mu uśmiéch miły, ale protekcyonalny. Mąż wydobył torbę z wiktuałami, podawał jéj przekąski i kawałki szynki, ona jadła ze spokojem. Mąż częstował trzyletniego synka, ubiérał go, rozbiérał, piastował na kolanach — ona raczyła raz pogłaskać malca i wetknęła mu do buzi kawałek pomarańczy. Przyjmowała wszystkie zabiegi mężowskie, jakby mówiła w duszy: To mi się należy, bo jestem piękną!

Chociaż to nie w smak pójdzie naszym paniom, powiem jednak, że zbyt często Polki w życiu domowém okazują brak poczucia obowiązku, że za mało zajmują się dziećmi, że nie dosyć dbają o ekonomikę, a zbyt wiele tracą czasu na ploteczki, wizytki, na mielenie i pytlowanie nowinek, na rozmowy banalne o strojach, skandalikach i o służących.

Za dużo także chłoną romansów francuskich, działających narkotycznie. Wiem od jednego ze zjadaczy serc niewieścich, że powodzenie swoje zawdzięczał tylko szczęśliwemu trafowi. Zastał przypadkiem po obiedzie panią czytającą na szeslongu książkę z żółtą okładką i wyzyskał chwilę, która się jednak potém nie powtórzyła. Z wielkiém jego zdziwieniem piękna grzesznica traktowała go potém chłodno i obojętnie, dała mu jasno do zrozumienia, że o chwili kaprysu powinien na zawsze zapomnieć.

Jeżeli pomimo tego Polki broją mniéj niż Francuzki, to przypisać należy ich naturze mało zmysłowéj. Dlatego téż mają przewagę nad mężczyznami, którzy daleko bardziéj podlegli są popędom, nieokieł-

znanym przez obyczaje. „Dziwne fantastyczne kobiéty o płonących głowach i rybim temperamencie” — mówi o Polkach Płoszowski — w uczuciach ich nie ma nietylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się one w formach uczucia, mniéj dbając o treść wewnętrzną. Wyrzeka również na nielogiczność Polek i na ich nieobliczalność w sprawach miłosnych. Cnota Polek daleko lepiéj bywa zabezpieczona, niż innych kobiét, ponieważ „oblegający nuży się śmiertelnie”, ale nie może im darować Płoszowski, że „zaciekłość obrony nie jest obrachowana na odpędzenie przeciwnika, ile na wyzyskanie wzruszeń walki.”

Ma dużo racyi Sienkiewiczowski bohatér, dekadent, wyrafinowany smakosz erotyzmu. Prawda to, że Polka szuka w zakazanym romansie nie tyle podrażnień nerwowych, ile wzruszeń wyobraźni. Dlatego więcéj u nas bywa połowicznych miłostek, flirtów, zdawkowéj kokieteryi, aniżeli wiarołomstw.

Sceptycyzm Płoszowskiego nie pozwolił mu jednak widzieć jednéj prawdy, którą może stwierdzić każdy, kto zna życie i obyczaje nasze, a nie patrzy jednostronnie na brudy lub niechlujstwo.

W kobiétach naszych silniéj, aniżeli w innych tkwią nietyle zasady, ile instynkta moralne, podtrzymywane przez tradycyę życia rodzinnego, która jeszcze nie zbankrutowała całkowicie. W związkach rodzinnych można u nas spotkać dużo ciepła i serdeczności. Pomimo zepsucia w XVIII-ym wieku, patryarchalność domowa przetrwała tu i owdzie w życiu średniéj szlachty, które nadało ton obyczajom współczesnym. Poezya romantyczna podniosła u nas miłość, oparła ją na pierwiastku szlachetnym, uczuciowym, umieściła to uczucie w sferze najwyższych pożądań i wzlotów ducha ku ideałom rodzinnym. Kobiéty nasze mają dużo idealnego ciepła, wdzięk ich częściéj niż innych kobiét ma cechę poetyczną. Kokieterya jest elegancka, pusta, wesoła, ale mało drażniąca. Przyczyną dysharmonii małżeństw, bywa często wymaganie żony, „aby mąż siedział u nóg jéj z gitarą” — jak mówi jeden z moich znajomych, gdy tymczasem mąż woli latać po knajpkach, albo grywać w winta.

Nawet w zakazanych miłostkach szukają Polki częściéj uczucia, aniżeli upojeń zmysłowych. Kochają się częściéj głową niż nerwami— obok żarów wyobraźni można spotkać u nich podbiegunowe lądy temperamentu.

Kobiéta nasza często bywa z natury dobrą. W życiu towarzyskiém spotkać można bardzo sympatyczną postać staruszki, która nie zna goryczy życia, nie ma pretensyi do świata, z pobłażliwym uśmiechem patrzy na szały i złudzenia młodości. Kaczkowski przy końcu

swéj książki „O kobiécie polskiéj”, opisał bardzo pociągający typ prababki, która przebyła epokę Stanisławowską, zachowując powagę matrony i tradycyę patryarchalną.

Na podwórzu wiejskiego domu stara lipa szumi cicho, chociaż przeszły po niéj burze i zawieje. Nie zawsze szanujemy dziś stare lipy. W ślicznéj noweli Orzeszkowej babunia jest rodzajem pięknego zabytku lekceważonego w graciarni mieszczańskiéj. Ale takie sympatyczne staruszki nie są dziś gatunkiem zaginionym i bywają bardziéj zajmujące od srok gadatliwych i pretensyonalnych.

Można tu powiedzieć bez optymizmu, że życie naszych klas średnich nie daje widoku zgnilizny. Nie widać w niém także tolerancyi bezwstydu, jak np. w wielkich miastach niemieckich, gdzie ludzie na grzeszki miłosne coraz mniéj zwracają uwagi, zajęci interesami i pieniędzmi.

W kołach inteligentnego mieszczaństwa w Warszawie, skandale domowe trafiają się rzadko. Kobiéty żyją nietylko uczciwie, ale znoszą ze spokojem płochość mężów. — Moja żona, to istota cierpliwości anielskiéj—słyszéć można wyznanie warszawiaka. Z takim nicponiem, jak ja, na jéj miejscu nie wytrzymałbym i pół roku!...

* * *

Zdrowie moralne klas średnich tłómaczy się u nas pewnym stopniem kultury, praktycznym nastrojem życia, zapełnionego pracą i obowiązkami fachu i skromnym, lubo dostatecznym zasobem środków do życia.

Demoralizacya u nas i wszędzie bywa towarzyszką bogactwa lub nędzy. Ze wzrostem proletaryatu krzewi się ona w gorączkowém życiu miast wielkich, będących targowicami użycia, zbytku i rozpusty.

W klasach arystokratycznych próżniactwo, zawieranie małżeństw dla interesu, rozleniwienie umysłu i wyobrażeń, oraz bogactwa, pozwalające na wybryki, wytwarzają zepsucie osłonięte i upiększone przez ogładę towarzyską. Lekkim uśmiechem, zgrabnym konceptem zbywają się w téj sferze tajemnice i romanse gorszące. Rozpusta, jak wydekoltowana strojnisia, okrywa gazą konwenansu gors mocno wycięty. Opinia przymyka oczy, zatyka uszy i wtedy dopiéro wybucha wielkim gniewem, gdy ją skandal zbyt głośny uderzy. Wiarołomstwo bywa winą o tyle, o ile się wyda — w ukryciu zostaje słodką przyprawą żywota. W wielu jednak gniazdach rodowych, tradycya zamyka drzwi i nie puszcza do domu prądów zepsucia, towarzyszącego wyrafinowanéj kulturze.

Inne są przyczyny demoralizacyi u ludu, z którą w pewnych okolicach walczy napróżno duchowieństwo. Tłem jéj nie jest zepsucie obyczajów, ale raczéj—posłuszeństwo instynktom—zmysłowość naturalna i naiwna. U ludu w niektórych okolicach, jak np. w Podlaskiém, ze swobody obyczajowéj korzystają nie mężatki, ale panny, jak się to działo w pogańskiéj Słowiańszczyźnie. Chłopka, idąc za mąż, dopiéro zyskuje pozycyę towarzyską, poszanowanie w gromadzie, dlatego pilnuje, strzeże swéj reputacyi. Wiarołomstwa bywają wynikiem namiętności gwałtownych, prowadzą często do zbrodni. Chłopki rzadko zdradzają po cichu mężów, częściéj trują ich do spółki z kochankami i idą do kryminału. Rzadkiemi bywają morderstwa z zazdrości, albo wskutek obrażonego honoru, jak w „Szkicach węglem” Sienkiewicza. Rzepa staje się katem własnéj żony, bo nie może ścierpiéć, że mu się sponiewierała.

Za to w sferach inteligentnych i szlacheckich w całéj mocy trwa nonsens średniowieczny, który upadek żony czyni skazą czci męża.

Zostajemy nadto jeszcze pod wpływem takich pojęć—zwykły jednak rozsądek wskazuje, że wina spełniona przez jedną osobę nie powinna plamić drugiéj. Tymczasem mąż, któremu żonę zbałamucono, musi oddać swój honor do prania w pojedynku. Staje więc z kochankiem do rozprawy, ginie czasem od jego kuli, przysięgli wygłaszają werdykt uniewinniający za to honorowe morderstwo!

W życiu codziennéni łatwo spotkać mężów, którzy przyjmują zdradę swych połowic z obojętnością, — ale biédacy robią to dla świętego spokoju.

Mało takich, którzyby podobną klęskę znieśli z godnością i bez przesądów.

Znałem jednego. Żona zdradziła go w sposób głupi i niedorzeczny, pod wpływem téj ślepoty uczucia, którą tak wybornie wyszydził Szekspir w romansie „Tytanii i Spodka z oślą głową”. Kochanek ani urodą, ani inteligencyą, ani charakterem nie mógł się porównać z mężem młodym, rozumnym i przystojnym. Miał głos basowy, twarz satyra, duże bary, trochę brutalnéj siły, a jednak oszalała za nim bez opamiętania kobiéta, o wielkich oczach, układnéj mince, pieszczotliwa i łagodna z pozoru jak jagnię.

Mąż kochał ją szczerze, był ambitny cierpiał bardzo, lecz pojęcia naprawdę nowożytne powstrzymały go od scen gwałtownych. Tylko za własne czyny poczuwał się do odpowiedzialności. Ze spokojną pogardą dał żonie możność wyboru pomiędzy sobą i kochankiem, zajął się losem dziecka i zostawił czułą parę w spokoju.

Lepsze to, niż donkiszoterya honorowa, która rycerskością osłania czasem mściwość i okrucieństwo, leżące na dnie instynktów zmysłowych.

* * *

Zamiast zemsty lub kary, na porządku dziennym w literaturze francuskiéj jest obecnie sprawa przebaczenia.

Francuzi są niewyczerpani w robieniu wielkich kwestyi na temat szóstego przykazania. Nie chodzi obecnie o zmazanie win kurtyzany, ale o przebaczenie błędów kobiécie zamężnéj. Temat ten powraca w różnych powieściach, jak melodya, którą w orkiestrze oddają sobie skrzypce, flety i wiolonczele. Poświęcił mu kilkadziesiąt kartek René Doumic, krytyk bajecznie jasny i logiczny, którego analiza współczesnéj literatury francuskiéj jest silną, jak wielka lampa elektryczna, trafną jak kula padająca w centrum. W swéj książce „Młodzi", gromadzi on różne pyłki téj teoryi, z kwiatów najnowszéj literatury francuskiéj i włoskiéj [1]. „Jeżeliś się ożenił, panie *A.* lub *B.*, przyrzekając żonie opiekę i miłość, jeżeli ona doznała w małżeństwie zawodu, jeśli wié, że przed ślubem miałeś kochanki, a i po ślubie ją zdradzałeś — jeśli popełniła błąd, czując się osamotnioną i bezradną — to dlaczego masz ją karać, gdyś sam nabroił co niemiara? A jeżeliś ty niewinny jak baranek (z tego przypuszczenia śmiejesz się po cichu), jeżeli ona uległa słabości chwilowéj, jeżeli czuje swą winę i błaga, żebyś jéj nie odtrącał na zawsze — to pamiętaj, że nie masz prawa potępiać nikogo, że takie winy przebaczasz innéj kobiécie, a wobec swojéj żony honor i miłość własna czynią cię okrutnym. Przebaczenie, ma się rozumiéć, nie powinno być połowiczne, ale zupełne, z powrotem do praw i przywilejów małżonki."

Tak wygląda ta teorya.

W życiu jednakże i w romansach współczesnych instynkta zmysłowe szydzą z pięknych doktryn. Mężczyźni przebaczają żonom nie dlatego, że są szlachetni i wspaniałomyślni, ale dlatego, że nabiérają do nich na nowo przekonania. Pamięć błędu kobiéty w takich wypadkach siada czasem na mózgu jak robak i żre go nieustannie. Zamiast nowéj ery szczęścia domowego tworzy się życie, będące torturą dla stron obu.

Tak się dzieje w romansach Gabryela d'Annunzio *L'intruse* i Pawła Marguerite'a *Tourmente* — tak się działo w jednéj sprawie kryminalnéj, znanéj mi z mów prokuratora Koni'ego. Obraz małżeńskiego

---

[1] René Doumic. „Les jeunes". Paris, 1891, str. 111 i nast.

piekła w tym procesie jest bardzo podobny do męczarni opisanych w romansie Marguerite'a, tylko przybiera charakter większéj dzikości i okrucieństwa. Doumic tłómaczy te objawy naturą instynktu, który nie przebacza, ale może tylko zapomnieć. Tymczasem dopóki trwa jego siła, zapomnienie nie przychodzi, a popędy destrukcyjne zjawiają się w wybuchach nienawiści.

Podstawą miłości, według francuskiego krytyka, jest walka dwu płci, która się uspokaja chwilowo pod wpływem żądzy i rozkoszy. Ta nieszczęsna teorya walki pierwiastku męskiego z kobiecym jest dla mnie jednym z najbardziéj wstrętnych owoców współczesnego dekadentyzmu umysłowego. Wprowadza ona do literatury zdziczenie, stawia człowieka pod pewnemi względami niżéj od gołębi albo perlic, będących przykładem pięknéj harmonii obu płci.

Prawda, że małżeństwa rzadko kiedy przedstawiają widok sielankowéj zgody — ale pytam się jakie strony życia, jakie stosunki realne, są widownią niebiańskiéj harmonii? Wszędzie starcie się egoizmów, walka interesów z akompaniamentem powszedniéj lichoty, miłostek, zawiści i swarów. Małżeństwo takie, jak je pojmuje moralność monogamiczna, jest formą współżycia dwu jednostek, w któréj trudno osiągnąć zupełną harmonię. Dlaczego?—o tém pomówię późniéj. Objawów dysharmonii małżeńskiéj ani téż okrucieństwa i zboczeń, do których są zdolne jednostki niewolniczo podległe popędom zmysłowym, nienależy tłómaczyć wynikiem walki wiekuistéj mężczyzny z kobietą. Potrzeby rodzaju, którym służy miłość, opiérają się na zasadzie doboru, na połączeniu jednostek czujących silnie pociąg rozrodczy. Zboczenia tego pociągu nie powinny być uważane za objaw antagonizmu dwu płci, które kojarzą się ze sobą w walce o byt i trudach koło wychowania potomstwa. Walka dwu płci istnieje chyba w miłości czysto zmysłowéj, w związkach pokątnych, w miłostkach mających na celu rozkosz i użycie. I tam jednak walka jest raczéj szermierką, w któréj mężczyzna naciéra a kobieta udaje lub przedłuża opór, aby się poddać na korzystnych warunkach.

Nie można jednak stosunku dwu płci opierać jakoby na walce dwu gatunków, jak chce Strindberg, który w swym „Ojcu" robi z kobiety istotę chytrą, drapieżną i zwyciężającą mężczyznę w walce o byt środkami nieszlachetnemi.

W małżeństwach niedobranych życie bywa podobném do walki a raczéj do drapania się dwu drapieżnych zwierzątek zamkniętych w jednéj klatce. Ale w stadłach żyjących normalnie, troska o dzieci, klęski grożące domowi lub rodzinie, wspólne potrzeby a nawet ciosy i nieszczęścia, tworzą ogniwa pomiędzy tymi nawet małżonkami, któ-

rych rozdzieliły swary chwilowe. Walka płci nie jest wcale cechą biologiczną gatunku ludzkiego. Teorya téj walki, należy do chimer pesymizmu.

Słusznie jednak twierdzi Doumic, że zasada przebaczenia nie może się opiérać na rozpuście, na wskrzeszonym apetycie zmysłów, że miłość na ruinach szacunku, podtrzymywana przez rozkosz jest upadkiem lub strasznėm cierpieniem.

A jednak wiem o stadłach, którym pamięć przeszłych błędów nie zatruła życia. Nie było mowy nawet o przebaczeniu, bo mąż nie myślał wszczynać procesu o sprawy przebrzmiałe. Ona tak samo patrzała na dawne przyjaciółki swego pana i władcy, ze spokojem, czując się panią sytuacyi. Wiedziała, że co najwyżéj mógł popełnić jakiś wybryk, ale mogła być pewną, że żadna kobieta nie mogła jéj wyrugować z serca i szacunku męża. Źródłem téj harmonii była ufność, płynąca ze zdrowego poglądu na życie i zrozumienia głębszéj wartości obu stron. Gdy ci ludzie stawali u ołtarza, nowiniarze i kumoszki miejscowe były pewne, że „najdaléj w pół roku się rozlecą.” Tymczasem on uważał dawne jéj grzeszki za przelotny objaw rozigrania nerwów, przeczuł i odgadł dzielne przymioty serca i charakteru, niezależnie od bardzo powabnéj oprawy cielesnéj. Nie dziwił się, że tak miła kobietka mogła uledz pokusie, ale ufał jéj poczciwéj naturze, dowodom energii i dobrego serca. Nie był to żaden filozof, ani teoretyk, ale człowiek czynu i pracy, który umiał się poznać na wartości kobiety i ocenić ją nie wedle skali zdawkowego morału.

Przykład ten wskazuje, jak należy zmienić całą rutynę obecnéj opinii i sposobu wydawania przez nią wyroków o wartości kobiét. Dzisiaj motywy tych wyroków bywają zwykle płytkie lub obłudne. Kobiéta banalna, poprawna, umiejąca zachować pozory, bywa bardziéj cenioną aniżeli kobiéta niepospolita i dobra, która nie lubi ciasnego gorsetu w ubraniu, a zbytku form w stosunkach towarzyskich. Nie kontroluje ona każdego swego kroku myślą, co też o tém powiedzą gęsi i lalki. Nie troszczy się o zazdrosną nieufność kumoszek, które w każdéj kobiecie młodéj i ponętnéj widzą skłonność do zakazanych miłostek.

Podług mnie, zmienić trzeba nie tylko ciasnotę zdawkowéj opinii ale nawet podstawy do moralnéj oceny kobiety. Trzeba wartość jéj odnośnie do porządku moralno-płciowego uznawać jako część wartości ogólnéj.

Trzeba jedném słowem, za przykładem Yankesów—widzieć w kobiecie przedewszystkiém człowieka a potém dopiero samicę.

* * *

Chociażby jednak feministki i emancypantki płodziły miliony paradoksów i „wielkich frazesów", nigdy nie dowiodą, że wina rozpusty lub niewiary jest równą u płci obojga.

— To trudno—ale nie może być inaczéj—mówiła do mnie w téj materyi pewna dzielna niewiasta,—literatka. Mężczyźni są adwokatami, lekarzami, profesorami, urzędnikami—pracują dużo—my znacznie mniéj od nich. Jeżeli mężczyzna hula lub broi, mimo to ma jakąś wartość, jest siłą... A my? Pilnować domu i cnoty to nasz główny fach—zapominając o tém, popełniamy wielkie życiowe partactwo.

Mężczyzna zwykle swą rozpustę wynosi za drzwi domu, kobieta je na oścież dla niéj otwiera. Ma ona obowiązek pilnować świątyni rodzinnéj—a sama wpuszcza do niéj złodzieja.

Natura przeznaczając kobiecie wielką sprawę utrzymania rodzaju, powiększyła także jéj odpowiedzialność. Ponosząc widomie skutki błędu, musi kobiéta baczniéj go unikać aniżeli mężczyzna, który w wielu razach wykręca się szczęśliwie od następstw winy, gdy jego ofiara pije gorycz hańby i upokorzenia. Nie jestto słuszne z punktu widzenia idealnéj sprawiedliwości, ale wynika z logiki praw przyrodzonych.

Dlatego téż nie przyjęła się w praktyce zasada chrześciańska, którą wypowiedział Św. Hieronim, twierdząc wbrew kodeksom, że zarówno mąż ma prawo odepchnąć żonę za niewiarę jak i żona męża — albowiem w „równych warunkach obowiązki są równe." Prawo kanoniczne średniowieczne nie trzymało się téj teoryi, skazywało kobiétę za niewierność na dożywotnie zamknięcie w klasztorze, w razie schwytania na gorącym uczynku, pozwalając nawet małżonkowi sprowadzić syna, aby był świadkiem zamordowania matki [1], kodeks francuski ustala prawie takie same barbarzyństwo, czyni bezkarnym mężczyznę nawet w tym wypadku, gdy prawo średniowieczne karało go za uwiedzenie żony człowieka wolnego, bo służące i chłopki nie wchodziły w rachunek. Légouvé walczy z całą siłą uczuciowéj deklamacyi przeciwko téj niesprawiedliwości, przytacza proces z roku 1847, będący ciekawą ilustracyą potworności prawnych. Mąż łotr, brutal, pijak, bił żonę, tracił cały zarobek z kochanką, gdy dzieci jego po całych dniach głód cierpiały. Wreszcie opuścił biédną kobietę, która dla ocalenia maleństwa od nędzy przyjęła pomoc i opiekę innego mężczyzny. Wtedy złośliwy pijaczyna oskarżył ją o niewiarę. Sąd stwierdził ciężkie położenie żony, rozpustę i niegodziwość męża, ale idąc za literą prawa, musiał ją skazać na osiem dni aresztu razem ze wspólnikiem.

---

[1]) Légouvé: „Histoire morale de femmes" str. 162.

Mąż został bezkarnym chociaż mu dowiedziono niewiarę i rozpustę, chociaż sam był przyczyną upadku żony. Legouvé twierdzi, nie bez słuszności, że ta absolutna bezkarność mężczyzny w podobnych wypadkach, jest skandalem prawodawstwa francuskiego.

Gdzie tylko sięga wpływ tego prawodawstwa t. j. w Belgii, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, ma miejsce nierówne traktowanie niewiary małżonków. Dopiéro ustawa o rozwodzie z d. 27 lipca 1884 r. zniosła we Francyi tę nierówność, ale tylko w prawie cywilném, zostawiając jéj siłę w prawie karném.

Większość prawodawstw europejskich, zostawia opinii publicznéj sąd surowszy, nie robiąc różnicy pomiędzy niewiarą mężczyzny lub kobiéty, jeżeli ona stanowi powód do separacyi. Tak się dzieje w Szwajcaryi, Austryi, Niemczech (z małemi wyjątkami) w Holandyi, krajach Skandynawskich, Rosyi i Rumunii, a po części i w Anglii. W tych krajach kodeksy, sądząc jednakowo niewiarę małżonków, zajmują wobec tego faktu bardzo różne stanowiska. W Austryi, Holandyi, Szwajcaryi i Rosyi winni podlegają więzieniu—w Węgrzech kara ta spotyka ich tylko wtedy, jeśli następstwem niewiary jest separacya. W Anglii, w stanie Nowo-Yorkskim i kantonie Genewskim kodeks nie wspomina nic o karach za niewiarę [1]).

Rzecz to godna uwagi. Społeczeństwa wykształcone na etyce protestanckiéj, najbardziéj moralne pod względem płciowym — nie chcą straszyć małżonków rozpustnych więzieniem ani klasztorem. Zostawiają obyczajom i opinii powstrzymanie stron obu od wycieczek po za granice miłości legalnéj. W sferach rachujących się z opinią ujawnienie faktu niewiary bywa tam skandalem, który zabija reputacyę kobiety a i mężczyźnie płazem nie uchodzi.

Siła opinii przenika do głębi sumień ludzkich, do tajników wewnętrznego życia—gdy prawo reguluje porządek zewnętrzny. Horacy powiedział: cóż znaczą próżne prawa bez obyczajów? Bywają one wtedy martwą formułą, z któréj życie szydzi lub fałsz jéj zadaje. Żadne kodeksy nie sprowadzą w obyczajach winy obu płci do jednakowego mianownika.

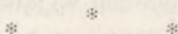
Upadek fizyczny kobiéty prowadzi za sobą uczucie poniżenia. Gdy potém wejdzie na pochyłą drogę, uczucie to zabija w niéj godność ludzką i staje się początkiem ogólnéj zgnilizny. Mężczyzna, jak słusznie zauważył Płoszowski, ma naturę elastyczną. Może unurzać się w rozpuście ale potém łatwo z zarazy się otrząśnie, „odzyskując łatwo moralne zdrowie i świeżość a nawet dziewictwo serca."

---

[1]) Patrz L. Bridel'a „Prawo kobiet i małżeństwo" tłom. Marya Chojecka. Warszawa 1895, str. 23–29.

Tak jest. Rozpusta bywa u niego rodzajem choroby lokalnéj lub przemijającéj. U kobiety często staje się zarazą, która psuje krew i toczy powoli cały organizm.

Kobieta upadła i dająca folgę zmysłowości staje się cyniczną i zepsutą nawet po za sferą moralności płciowéj — stępiałą na punkcie uczuć obywatelskich, nawet zdolną do występku, za który w dramacie Dumas'a (syna) Klaudyusz zabija swą żonę jako zwierzę podłe i szkodliwe. Kobieta skąd inąd niepospolita, o naturze artystycznéj, może w sprzedajném rzemiośle zmarnieć do obrzydzenia. Mężczyzny sama rozpusta nie zepchnie w taką kałużę, ale gdy się w niéj znajdzie, bywa jeszcze wstrętniejszy. Równać się może z kobietą tylko na najniższych szczeblach upadku.



Inaczéj chce porównać moralność kobiety i mężczyzny Björnson, apostół jednożeństwa. Teorye wypowiedziane w głośnéj broszurze „O jednożeństwie" ilustruje w komedyi „Rękawiczka." Bohaterka téj sztuki porzuca narzeczonego, ponieważ nie był skromnym jak panienka. Młody człowiek broni swéj sprawy, tłomaczy upartéj doktrynerce, że nie powinna iść za uprzedzeniem teoryi, ale słuchać tajemnego głosu uczucia i skłonności, który odezwał się niedawno, gdy go darzyła uściskiem...

— A ty ściskałeś setki innych kobiet — odrzecze ostro panna, rzucając mu w twarz rękawiczkę.

Jestto symbol wyzwania rzuconego całemu rodowi mężczyzn przez kobietę. Chcecie od nas czystości i dziewictwa a sami—czém jesteście? Rozpustnikami i brudasami.

Björnson żąda na seryo, aby młodzi mężczyźni przystępując do małżeństwa, mieli prawo uważać lilię za symbol swéj cnoty. Co więcéj chce, aby „młode kobiety przed wstąpieniem w związek małżeński przekonywały się o moralnéj odpowiedzialności mężczyzny, któremu gotowe powierzyć swój los" [1]).

Obszerniéj poruszyłem tę sprawę w szkicu „Ascetyzm czy moralność" („Przegląd tygodniowy" z 1893 r.) i teraz nie mam potrzeby poważnie jéj traktować. U nas oprócz kilku artykułów, broszura norweskiego dramaturga, wywołała lekceważące żarty. Radzić naszym chłopczykom, aby wiedli życie klasztorne, to znaczy rzucać groch o ścianę.

---

[1]) Björnsterne Björnson: „Jednożeństwo i wielożeństwo", przekład polski. Warszawa 1893 str. 47.

Niedorzeczném jest poprostu żądanie, aby kobieta prowadziła indagacyę o przedślubném sprawowaniu się mężczyzny.

Wystawmy sobie pannę przyzwoitą lub dobrze wychowaną, która prowadzi indagacyę i zadaje pytania narzeczonemu: Ile pan miałeś kochanek? kiedyś poraz pierwszy zgrzeszył? Czy prowadziłeś korespondencyę miłosną? Czy uwiodłeś pannę, mężatkę lub wdowę?

Żaden rozsądny człowiek nie zaślubiłby takiéj nieznośnéj pedantki.

Ola Hanson nazwał ruch wszczęty przez Björsterna-Bjärnsona — powrotną wysypką ascetyzmu średniowiecznego. Nie liczy się on z najpotężniejszemi popędami w człowieku.

Nie trzeba myśléć o tłumieniu tych popędów—bo natura mści się za to—ale starać się aby one u obu płci znalazły ujście z pożytkiem rasowego zdrowia. Asceza i wstrzemięźliwość płciowa czasem uszlachetniają charaktery: ale zwykle prowadzą za sobą rozstrój nerwów, histeryę a niekiedy melancholię. Wbrew twierdzeniu Björnsona, lekarze chorób nerwowych dalecy są od wychwalania męzkiego dziewictwa.

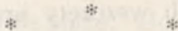
Jedna tylko w téj propagandzie tkwi zdrowa myśl: potrzeba wszelkiemi sposobami przyśpieszyć zawieranie małżeństw. Dzisiaj w życiu klas średnich opóźnia tę chwilę trudność zdobycia środków dla utrzymania domu.

Dobrze jednak Björnson radzi w téj mierze, słuchać wczesnego głosu natury. Dla dobra gatunku, młodzież jaknajmniéj powinna trwonić sił w miłostkach. Należy tedy w życiu klas średnich ograniczać wymagania komfortu, uprościć mieszkanie, znieść salon, połączyć pokój jadalny z kuchnią jak w Ameryce. Jeśli żona będzie w zarobkowaniu z początku pomagała mężowi, jeśli jéj pomogą ogródki froeblowskie w wychowaniu dzieci — wtedy trudności te zmniejszą się do połowy. Potrzebą społeczną jest, aby młodzież po dojściu do pełnoletności wstępowała rychło w związki małżeńskie. Będzie wtedy mniéj małżeństw nieszczęśliwych, mniéj dzieci skrofulicznych i rachitycznych, mniéj panien skwaśniałych i histeryczek.

W tym celu należy zreformować pojęcia i wymagania konwencyonalne. Powinny ustać związki dla posagu i karyery, bo z nich tylko płynie nędza życia domowego i lichota fizyczna potomstwa.

Żadne frazesy i artykuły nie poprawią warunków zdobywania pozycyi, od których zawsze zależéć będzie łatwość kojarzenia małżeństw. Przy obniżeniu wymagań może się powiększyć liczba młodych stadeł nawet w istniejących warunkach. W tym celu należałoby

protegować w pracy zawodowéj ludzi młodych, którzy zamiast knajpy i swywoli wolą życie domowe. Opinia może pewien nacisk wywierać na starych kawalerów, których np. w Koburgu okładają podatkami za to, że nie chcieli karku nagiąć pod brylantowe jarzmo. Prawda, że na dnie starokawalerstwa ukrywa się czasem tragedya—jak mówi Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich"—ale najczęściéj jest ono gniazdem samotnika, usłaném przez sybarytyzm i sobkostwo.



A teraz ogólny rzut oka na obyczaje współczesne. Występują w nich dwa ostre przeciwieństwa: moralność monogamiczna i głos namiętności. Z jednéj strony „kategoryczny imperativ" kultury duchowéj—z drugiéj strony kategoryczny imperativ przyrody.

Kontrast etyki i zmysłowości zaostrzył się dzisiaj raczéj niż złagodniał. Erotyczne szały w naszym wieku nie osłabły. Podnieca je żądza użycia, która do uciech i zbytków zaprasza wszystkich, co w pościgu za groszem większy trochę łup zdobyli.

Wzrost nerwowości w ostatnich pokoleniach, jak twierdzi Kraft-Ebing, stoi w związku z podnieceniem sfery płciowéj, prowadzi do nadużyć zmysłowych, do rozpusty, wycieńczenia i zboczeń popędu erotycznego. Kryminalistyka wskazuje, że płciowe przestępstwa w życiu współczesném wzrastają postępowo, zwłaszcza pewien gatunek przestępstw bardzo wstrętny. Moralista przychodzi do wniosku, że upada obyczajność w porównaniu z wiekiem poprzednim, że zbytnia łagodność prawodawców odnośnie do przestępstw płciowych, jest tego także przyczyną [1]).

Prawodawstwo karne może gromić i powściągać zbrodnicze popędy, ale nie zmieni z gruntu podstaw ustroju społecznego, nie zmieni trudności walki o byt, nędzy proletaryatu, militaryzmu, oraz innych przyczyn, powiększających ilość bezżennych mężczyzn.

Małżeństwo monogamiczne ujmuje w karby pewną sumę popędów miłosnych i obraca je na soki żywotne dla rodzinnego życia. Tak samo kanał irygacyjny rozprowadza wodę potoku, który niszczył groble i tamy—między żyzne pola i łąki.

Ale po za tém nadmiar erotyzmu znajduje ujście w miłości wolnéj i prostytucyi. Ta ostatnia jaskrawo występuje nawet w społeczeństwach bardzo moralnych u góry, jak np. w Anglii, gdzie wykryto najbardziéj ohydne jéj tajemnice.

---

[1]) Kraft-Ebing. „Psychopathia", str. 342.

Prostytucya — to odwrotna strona medalu moralności monogamicznéj. Okrutne, zwierzęce nawet obchodzenie się z kobiétą upadłą jest plamą społeczeństw dzisiejszych. Tłómaczy się ono do pewnego stopnia wstrętem i potępieniem, jakie spada na kobiétę, gdy się ona sprzeniewierza swemu posłannictwu: odnawiania rodzaju.

Według niektórych socyologów, prostytutka spłaca jednak podatek i stanowi ochronę cnoty mieszczańskiéj. Powstrzymuje ona grasowanie rozpusty ludzi bezżennych wśród rodzin — jest ofiarą poświęconą za grzechy ludu. W romansie Dostojewskiego Raskolnikow klęka przed prostytutką Sonią, jako wcieleniem cierpienia ludzkości.

Te szlachetne teorye wobec doświadczenia wyglądają, jak kwiaty skąpane w kałuży. Idealizować z tego stanowiska powołanie prostytutki jest to cenić rynsztok na równi ze strumieniem.

Swoją drogą rynsztoki i kanały są potrzebne i wymagają odpowiedniéj konserwacyi. Taka ich natura, że stanowią zbiornik brudu, że muszą się kryć pod ziemią i drażnią powonienie. Gdy jednak pełnią swe funkcye, nie należy ich zawalać kamieniami.

Wobec trudności zawiérania małżeństw, związki wolne są w wielu razach koniecznym wynikiem danych warunków społecznych i ekonomicznych. Wzrost ich według Letourneau'a jest oznaką poprawy racéj niż pogorszenia obyczajów. Jako wynik naturalnego doboru, mogą być szlachetniejsze niż prostytucya — a nawet niż małżeństwo dla pieniędzy, będące często prostytucyą w formie legalnéj.

*
* *

Drażliwe kwestye z tego działu patologii społecznéj nadają się tylko do prac i badań specyalnych. O leczeniu tych oraz innych chorób i ran toczących organizm społeczny za mało myśli schyłek naszego wieku, zajęty kwestyami wielkiéj polityki, która nie przyniesie odrodzenia ludom Europy, tamując nawet ich samorodny postęp.

To pewna jednak, że najpoważniejsi badacze i prawnicy uznają konieczność reform prawnych i społecznych w tym kierunku, że głoszą poglądy, odskakujące od dotychczasowego szablonu. Schröder przy końcu swéj cennéj książki redaguje projekt nowego prawa, w którym czytamy następujące paragrafy:

Prostytucya jest uznaną za rodzaj przemysłu i powołania kobiety.

Prostytutka, spełniająca przepisy prawne i policyjne, nie może być uważana za pozbawioną czci (*ehrlos*).

Wolna miłość jest dozwoloną.

Nie są to majaczenia doktrynera lub reformatora w czerwonym stylu ani frazesy belletrysty. Paragrafy te ułożył prawnik, przeprowadziwszy badanie przedmiotu, z całą ścisłością metody naukowéj, stojąc na gruncie religijnym [1]).

Rozumié się, że te reformy mogą być uzasadnione w sferze tylko prawnéj. Schröderowi chodzi o zasłonięcie kobiet upadłych przed poniewierką i samowolą — i odjęcie wolnym związkom charakteru przestępstwa prawnego, o ile nie są one złamaniem wiary małżeńskiéj.

Przyszłość pokaże o ile prawodawcy przyznają racyę tym poglądom i o ile je zechcą wprowadzić w praktyce. Dziwnie jednak będzie wyglądał sędzia rozstrzygający np. sprawę pieniężną, na podstawie rachunku wystawionego przez taką przemysłową damę? Chociażby parlamenty i kodeksy nadały takim artykułom moc obowiązującą—wielkie pytanie, czy prawa obyczajowe uznają prostytucyę za „fach" tak dobry, jak szycie bielizny, krawiectwo lub robienie pończoch.

Prawo może temu zapobiédz, aby nie znęcano się nad nieszczęśliwemi w swém spodleniu istotami, aby nie były one przedmiotem wyzysku ze strony handlarzy, wyrzutków ostatniego rzędu.

Ale nie wystawiam sobie, żeby hetery lub komety uliczne mogły kiedykolwiek zyskać uznanie w sferze moralnéj na równi z kobietami pracy. Wątpię téż, czy wesołe kobietki, pogardzające formalnościami prawa przy zawieraniu małżeństw, będą kiedy w życiu towarzyskiém mile widziane na równi z paniami, które bardziéj skrupulatnie załatwiły tę kwestyę.

Przed dwudziestu laty w artykułach „Przodownictwo bezwstydu" w „Przeglądzie Tygodniowym", wystąpiłem przeciw uroszczeniom półświatka, który zawsze ma ochotę grać rolę osobnéj sfery towarzyskiéj. Potępiłem cynizm wesołych chłopczyków, którzy próbowali w miejscach publicznych traktować kokotę na równi z kobietą uczciwą. Słowa te w swoim czasie nie były wołaniem bez echa.

Fanfaronada bezwstydu odtąd nie postąpiła ani kroku. Kokoty jeżdżą powozami, mają wspaniałe toalety, ale najczęściéj... pokątnych wielbicieli. Kamelie nie zyskały praw obywatelstwa obok róż i lilii.

* * *

Na uświęcenie stanowiska hatery, nie pozwoli zapewne konwenans. Ten wielki władca wśród dzisiejszych stosunków obyczajo-

---

[1]) Schröder „Das Recht in der Geschlechtlichen Ordnung" str. 367.

wych jest także na swój sposób artystą. Usuwa on kontrasty zbyt jaskrawe pomiędzy opinią a życiem.

Dlaczego np. ta pani B. gra rolę w towarzystwie, jest pożądaną w salonach—chociaż ludzie na ucho szepczą sobie o niéj różne ciekawe historyjki i wymieniają całą kolekcyę wielbicieli. Bo dba o konwenans, gra dobrze rolę pani domu i gospodyni i żyje z mężem w przykładnéj harmonii.—A mąż wié o tych wielbicielach, czy nie wié? Trudno zgadnąć, ale nie robi skandalu—wszystko w porządku. Dlaczego szamerują ludzie panią H., która jesł słomianą wdową i musi pracować, gdyż mąż za interesami pojechał w świat daleki? Jestto osoba miła, przyjemna, bardzo ładna i wierna temu mężowi, którego bardzo kocha. Tymczasem mówią o niéj, że darzy względami pana A. czy téż pana Z.—(niewiadomo na pewno którego), że czerpie fundusze z ich kasy. Pani H. traci opinię dlatego tylko, że za mało zważa na konwenanse, że nie ma taktu, że jest zbyt wesołą i swobodną z młodzikami, którzy skaczą koło niéj, jak pieski koło wiszącego na sznurku kawałka mięsa?

Tymczasem pani C., wdówka, ma opinię kobiety przykładnéj, mieszka ze starą ciotką, chodzi do kościoła z książką do nabożeństwa, nosi ciemne suknie, nigdy się nie dekoltuje — ale za to po cichu chrupie zakazane słodycze. Uważa na pozory, na konwenanse, więc języki nie szarpią jéj reputacyi, mocno jednak zamazanéj.

Takich przykładów można przytoczyć setkami. Konwenans, bacząc na formę moralności towarzyskiéj, nie pyta się czy pod jéj łupiną nie ma zgniłego ziarna. On milcząco przytakuje kompromisowi namiętności lub występku z pozorami obowiązku.

Ludziom zdolnym do tego kompromisu życie upływa najwygodniéj. Nie chcą oni dla zasad wyrzec się przyjemnych grzeszków, a dla namiętności nie mają ochoty się kompromitować. Tak samo szanujący się a niezbyt skrupulatny biurowiec unika fałszerstwa, deficytu, sprzeniewierzenia się, ale nie pogardzi kubanikiem lub łapówką.

Konwenans bywa dwulicowym. Jedno jego oblicze wyklina z gniewem skandale, na drugiém igra uśmiech pobłażania wobec słabości ludzkiéj.

Konwenans wié o tém, że dwunożne stworzenie, nazwane człowiekiem, nie zawsze może dostroić się do wymagań, jakie mu narzucają prawodawstwa, religie i filozofie. Robi więc ustępstwa milczące na rzecz popędów przyrodzonych — nie ściga rozkosznych grzechów, jeśli się dobrze kryją za parawanem.

Konwenans bywa pożytecznym heblem, gładząc w stosunkach to-

warzyskich chropowatości i powlekając je werniksem etykiety. Bywa on szklanką wody, która gasi w zarodku płomień skandalu.

Dla kogo jednak stanowi główną zasadę i kodeks życia—ten albo nie ma wyższéj idealnéj miary w ocenie ludzi oraz ich czynów, albo traci tę miarę powoli—a nawet łatwo dojść może do tolerowania nędzy moralnéj, byle tylko ładnie umiała się wystroić.

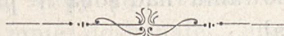
W jego sferze nie mogą się obracać natury szczere i bujne—nie mogą się rozwijać sprawy szersze i doniosłe. Łagodzą się za to drobne sprzeczności, ukrywają się słabostki, kojarzą interesa, dokonywa się codzienne przymierze małych dusz z powszedniością życia.

Józef Kolarbiński.



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]



V.

Kubacki wymyślał kolegom od filistrów i „burżujów", ale że w fabryce Rotte'go robót było mniéj i on znowu objął posadę „kontrolera liści spadających", nie wiedząc, co z czasem robić, chodził z Krępicem do Rańkowskich, albo do Bodziewiczów.

Zygmunt towarzyszył im na te wizyty bardzo rzadko. Zaplątał się w nici Amora, państwo Łamkowscy coraz częściéj dawali mu do zrozumienia, że uważają go za starającego się o pannę Maniusię, a on klął i wszystkie siły mózgu obracał teraz na to, by się z matni wydobyć.

— Daj nura, albo ogól się i ostrzyż przy saméj skórze—radził mu Kubacki.—Zobaczysz, panna się odkocha.

— Idź do dyabła!—odpowiadał Zygmunt i w pasyi darł list wuja senatora, którym co niedziela zapraszano go na obiad.

Ale Krępic radził to samo.

— Nic ma innéj rady—mówił.—Przestań bywać i kwita, albo się

[1]) Patrz zeszyt marcowy „Ateneum" r. b., str. 408.

żeń. Te wszystkie wasze flirty psa warte. Niby żarty, a czasem innym łzy wyciskają.

Zygmunt próbował wtedy iść za ich radami, ale pan senator przychodził sam, zabiérał go z sobą i położenie bez wyjścia wciąż trwało.

A tamci chodzili, albo na Smolną, albo na Złotą.

Bodziewicz witał ich obojętnie, lecz oni nic sobie z tego nie robili. Krępic wiedział, że mąż bywał zazdrosnym nawet o pannę Emilcię i że pani Marychna przywykła do tych kaprysów.

Gdy przyszli, zawsze się ucieszyła, dziękowała im, a potém się kłóciła z Kubackim.

— Pan nic nie zbudujesz! — wołała. — Nienawiścią nikt jeszcze nic nie zrobił, a miłością bardzo wiele.

On zaś odpowiadał, że na świecie jest więcéj rzeczy do nienawiści, niż do kochania i że to nie jego wina—poczém z niewzruszonym spokojem przyglądał się jéj błyszczącym oczom i rumieńcom na twarzy.

Kobiéty wogóle nie umieją dysputować spokojnie, Kubacki był zawsze mistrzem w panowaniu nad sobą i panią Marychnę ten jego chłód najwięcéj podniecał.

— Właśnie na świecie nie ma nic do nienawiści, lecz za to bardzo wiele do przebaczenia! — wołała ostatnim razem za nim, gdy już w przedpokoju palto naciągał. — Ale przebaczać jest trudniéj, niż niewidziéć, a pan wolisz to, co łatwiejsze!

— Bezwarunkowo trudniéj, bo czasami absolutnie niemożliwie—odparł na to spokojnie—pani zaś nie możesz o tém sądzić, bo się nie stykasz z rzeczami, które budzą nienawiści.

— Jak to, ja się nie stykam? — wołała oburzona.—Jak pan możesz mówić coś podobnego? Każdy, kto myśli i czuje, rozumié niesprawiedliwość... dobra noc, przyjdźcie panowie znowu kiedy, bo ja jeszcze nie wszystko powiedziałam, co myślę!

Już wychodzili z przedpokoju, gdy ona jeszcze raz wychyliła z saloniku głowę i rzekła:

— Ale wiedz pan, że siać rozdwojenie, to zbrodnia, a nienawiści to właśnie rozdwojenie.

Równocześnie zaś Bodziewicz mruczał:

— Już teraz wcale nie mam żony... biédne dziewczyny.

Gdy się znalezli na ulicy, Krępic rzekł:

— Czy już wiesz, do któréj kategoryi zaliczyć panią Bodziewiczową.

— Wiem—odparł i podniósł w górę kołnierz od paltota. — Psia aura i kwita i to się teraz nazywa majem, a on jest stanowczo bydlę, które grubemi kopytami depcze po gobelinach i oślinia je językiem, bo myśli, że to zwyczajne pastwisko. Szlachcic!

— Więc przyznajesz, że ona nie jest zwyczajném pastwiskiem?

— Nie, nie przyznaję. Dla męża jest. Niewiasta egzaltowana, a przytém gęś. Gdyby nie była gęsią, nie dałaby temu rozczulonemu ojcu rodu zrob... z siebie szlafroka.

Krępic uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie to myślisz, Kubasiu, nie! Panna Winia i pani Bodziewiczowa trochę ci podkopały teoryę o feministkach, flirtówkach i gęsiach, ale ty się nie lubisz przyznawać do omyłek, co jest właściwie konserwatyzmem. Postęp zasadza się na ciągłych poprawkach i ja téż nie jestem upartym. Wierzę, że bez zmian nie obejdzie się żaden postulat.

— Nie potrzebujesz się wysilać, bo już od roku dajesz mi tego dowody, co do twoich niewiast zaś, to panna Rańkowska w poprawném wydaniu, będzie téż gęsią, zapatrzoną jak gapa w gnat, w pierwszego lepszego bawoła, który ją weźmie za żonę. Metempsychoza tworów doskonałych, w mniéj doskonałe!... nieprzystępne Joanny d'Arc, zamienione na kapłanki i w dawnych przyłbicach gotujące dla męża zupę rakową!... Wspaniałe typy, tylko trzeba dla nich stworzyć nową kategoryę, nad którą pomyślę.

Krępic ciągle się uśmiechał, co widząc tamten, wzruszył ramionami i mruknął:

— Jesteś zawsze idyotycznym optymistą i w tém jedném katonizm ci dopisuje. A poczciwe życie tak się zawsze głupim układa, że do tego świętego ognia coraz kapnie jaka kropla oliwy. No! niechaj ci jéj starczy do końca żywota. Czy myślisz, że już zastaniemy Zygmunta?

— Wątpię. Zwykle wraca późno.

— I zły jak ocet siedmiu złodziei — dodał Kubacki, dzwoniąc na stróża.

Lecz Zygmunt był. Gdy weszli do gabinetu, służącego już od roku za sypialnię Kubackiemu, zastali go przy stole, wspartego na łokciach.

— Madonno ukrzyżowana! romantyk w hamletowskiéj pozie! Zygmunt, żenisz się, czy co?—huknął mu nad uchem Kubacki.

A gdy Zygmunt na to się zerwał i zaczął po pokoju rozbijać krzesła, tamten mówił znowu:

— Chyba Rotte zrobił go dyrektorem...

I urwał, Znamieniecki bowiem stanął teraz przed nimi i wybuchnął drewnianym śmiechem.

— Otóż zgadłeś, zgadłeś! Żenię się i niech mnie wszyscy dyabli porwą!

Patrzyli na niego zdumieni, a Krępic się zbliżył i wziął go za rękę.

— Jakto, seryo?... Już postanowione?

— Tam jeszcze nie, ale tu, we mnie — już! Mam dosyć i przymówek i grymasów i płaczu, chcę spokoju za jakąkolwiek cenę i jutro się oświadczę.

Siadł, patrzył na kolegów przez chwilę, a potém znowu mówił:

— I cóż tak lepszego mogę zrobić? Dom otworzę, żonę będę stroił, na bale ją prowadzał, węzeł już wziął w monopol wuj senator... no, może założę jaki klub racyonalnego palenia tytoniu i jakoś to będzie!

Tu się roześmiał, zerwał i znowu począł roztrącać krzesła, mrucząc:

— Żebym się był zapadł, żeby mi język skręciło i sparaliżowało nogi, nimem tam poszedł zawracać oczy do téj pliszki...

A potém nagle stanął.

— Albo sobie w łeb palnę, albo umknę gdzie pieprz rośnie i nie znajdziecie mnie, choćby wam się całe podeszwy zamieniły w jeden nagniotek!

Na co Kubacki rzekł spokojnie:

— Wspaniała myśl, romantyku! Dembosz i Wakowicz utorowali ci drogę, choć zdaje mi się, że tam gdzie oni są, pieprz nie rośnie, ale pewno ci na tém nie zależy wyjątkowo. Galewicz właśnie porobił fuszerki i skompromitował przezacną firmę, złota posada wakuje i wszystko się tak składa, jak w bajce. Jedź dziecko szczęścia, ale pozwól, że przedtém jako dobry kolega, ulżę twemu sumieniu. Nasze nagniotki niech ci nigdy nie będą cieniem Banka, albowiem ani ciebie, ani pieprzu, dobrowolnie poszukiwać nie będziemy.

Zygmunt go nie słyszał. Krępic siedział zamyślony, więc Kubacki chwilę na nich patrzał z uwagą, a potém parsknął śmiechem.

— A to wam ta dzierlatka paździor za kołnierze nasypała! Słuchaj, romantyku, ja ci doradzę po przyjacielsku. Zgól głowę, wąsy obetnij i zaprowadź sobie w nosie mosiężną obrączkę z piórkiem. I to jest elegancya, tylko egzotyczna, a dla warszawianki pewno będzie lekarstwem na miłość. Sprobój, mój drogi, i idź jutro do senatorów.

Lecz Zygmunt stanął teraz przed Krępicem i rzekł, nie zważając na tamtego:

— Słuchaj, Kato, ty masz jakąś swoją jedną drogę, która ma cię podobno nigdy nie zawieść. Co zrobiłbyś na mojém miejscu?

Krępic wstał.

— Ależ ty się nie możesz stosować do tego, co jabym zrobił, masz inne usposobienie, inny charakter...

— Mniejsza z tém, cobyś zrobił?

— A więc — zaczął tamten wahająco — ja, gdybym czuł, że to dziecko jest naprawdę nieszczęśliwe, że to się stało przez moją lekkomyślność... widzisz, być kochanym—to także coś znaczy, później przychodzą dzieci... Ale ty się musisz liczyć z twoim charakterem... Możesz unieszczęśliwić siebie i jéj nie dać szczęścia. W takim razie, powinieneś zerwać wszystko i natychmiast. To ci radziłem oddawna...

— Bardzo pięknie, to dziecko jest rzeczywiście unieszczęśliwione i trochę z mojéj winy, jak będzie potém, nie wiem. Cobyś zrobił?

Krępic milczał. Zygmunt patrzył mu w oczy, przecierał czoło i w końcu machnął ręką.

— Już trudno. Ożenię się, zaręczę się, wszystko co chcą, byle się raz skończyło i bylem odetchnął.

I poszedł spać.

Ale na drugi dzień, na karcie życia, którą Zygmunt śmiałą ręką odwrócił, ręka przeznaczenia starła postanowienie ludzkie i wypisała własne.

Gdy dwaj przyjaciele wrócili z fabryki, Kubacki, wyciągnięty na otomanie, wskazał dwoma palcami w kierunku Zygmutowego biurka i rzekł:

— Masz dwa listy. Ten z pachnącym herbem przyniósł obywatel w liberyi, ten drugi, zwyczajny pan z poczty, ale który cię więcéj udelektuje, to już się musisz przekonać sam. Mnie nie objaśniły ani liberya, ani dziury w butach listonosza.

Zygmunt rzucił wzrokiem na biurko i poznał, że jeden list jest od pani Łamkowskiéj, a drugi z Karolówki.

Pani Łamkowska donosiła, że Maniusia jest słaba i w gorących słowach prosiła Zygmunta, żeby ją przyszedł trochę rozerwać.

— Wpadnę i raz skończę! — pomyślał, poczém otworzył list ojca.

„Kochany Zygmuncie! — pisał pan Znamieniecki.—Powinienem ci zrobić wymówkę, że tak rzadko i nie wiele o sobie donosisz, ale być

może, że to wina twojego zajęcia i czasu, którego teraz nie musisz mieć do zbytku. Chociaż niewiele widuję się z ludźmi, doniesiono mi wszakże o tém, o czém ty, widocznie jeszcze nie miałeś czasu mi donieść, a mianowicie, że często bywasz u Łamkowskich.

„Nie mówiłem z tobą nigdy w kwestyi małżeństwa, bo mam to przekonanie, że w takich sprawach nigdy i nikomu nie powinno się narzucać swojego zdania, ale jeśli rzeczywiście masz jakie zamiary względem panny Sławskiéj, to wiedz, że dla mnie ta wiadomość będzie miłą niespodzianką.

„Moja parcelacya idzie licho, bo chłopi nie mają pieniędzy. Interes jest dobry, ale przytém potrzebna gotówka. Stobicki zażądał reszty należnego mu kapitału, że jednakże w obecnych warunkach o kapitał trudno, musiałem mu zabezpieczyć sumę nietylko na Leszczynach, lecz i na Karolówce. Nie wątpię, że ci ta wiadomość będzie trochę przykrą, ja jednakże jestem człowiek trzeźwy i nie uważam, aby pozłacanie pigułek było koniecznością w stosunkach między ludźmi zdrowymi. Nabrałem téż nadziei, że i ty zacząłeś patrzéć na rzeczy trzeźwo, czego ci winszuję, bo im prędzéj, tém lepiéj.

„Proszę cię, donieś mi, ile jest prawdy w tém, co ludzie mówią o twoich stosunkach z Łamkowskimi i jaki jest majątek panny Sławskiéj. Pewność w téj kwestyi jest teraz dla mnie konieczną.

Kochający cię ojciec

Znamieniecki."

Zygmunt przeczytał ten list dwa razy. Gdy czytał pierwszy raz, twarz pałała mu jak pieczone jabłko, ale za drugim razem czytanie trwało dłużéj i starło rumieniec.

Odsunął się od stołu, oparł o poręcz krzesła i ze wzrokiem utkwionym w liście, z zaciśniętemi ustami siedział. Po chwili wstał. Na czole miał pionową zmarszczkę, a w oczach, zamiast rozmarzenia, jakiś taki niezwykły wyraz, że koledzy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

A on tymczasem sięgnął po kapelusz i rękawiczki i stając przed nimi, rzekł chłodno:

— Kubacki zgadł po raz drugi. Już się nie żenię i idę do Rotte'go postawić moją kandydaturę na reprezentacyę odeską.

Krępic zbladł, patrzył na niego długą chwilę, poczém rzekł szorstko:

— Nie, takie żarty są stanowczo za głupie!

A Zygmunt próbował się roześmiać, lecz tylko wykrzywił usta.

— Postaraj się zrozumiéć, że to jest prawda — odparł, widocznie się siląc na spokój. — Mogę wiele zrobić, ale sprzedać się pannie Sławskiéj za posag, który ma mi uratować Karolówkę, nie potrafię.

Nie spuszczał powiek pod ich wzrokiem i Krępic pierwszy raz spostrzegł, że te marzące oczy matki umiały także świécić zimno jak stal i tak patrzéć, jak patrzył stary Znamieniecki.

— To już nieodwołalne — mówił daléj — bo ja muszę uratować Karolówkę. Może wy nie rozumiecie, co to jest przywiązanie do kawałka ziemi, który od setek lat przechodzi z ojca na syna, może wam się to zdaje przesądem, ale ja wam powiadam, że co innego mówić, a co innego czuć. Właściwe moje pole do pracy tylko tam i moich dzieci także tam! Wydobędę środki choćby z pod ziemi, ale je wydobędę własnemi rękami, nie cudzemi! Wyprę się przekonań, ale dla przekonań innych, widać silniejszych, kiedy przeważyły. Sprzedawać się nie umiem, to trudno!

Zdania suche i krótkie wylatywały mu teraz z ust jakby go parzyły. Ręką widocznie drżącą wziął list ojca i podając go kolegom, rzekł spokojniéj:

— Nie myślcie, żebym lekceważył wasz sąd o mojém postanowieniu. Przeczytajcie i obmyślcie inny sposób wyjścia. Ja zaczekam.

Siadł, a po chwili Krępic oddał list Kubackiemu, popatrzył w oczy przyjacielowi i rzekł z wahaniem.

— Czy nie mógłbyś wrócić do ojca i wpływać na zmianę systemu jego gospodarstwa?

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Zupełnie jakbyś nie znał ojca! Czy ja mam prawo odsunąć go od interesów, któremi żyje jak morfinista morfiną? Czy on-by zresztą na to pozwolił? Zdaje się, że z nas dwóch, on ma silniejszą wolę i wpływom nie podlega.

Ale Krępic jeszcze próbował.

— Skądże masz pewność, że Karolówka jest zagrożoną? Co znaczy marna suma Stobickiego na takich majątkach, jak ten i Leszczyny?

— Nic, zapewne. Ale ojciec miał trzy folwarki, zrobił z nich sześć, potém gdy ziemia spadała, a on ciągle handlował, z tych sześciu zrobiły się dwa. Były bez towarzystwa, czyste jak łza, teraz jest już towarzystwo i dług Stobickiego. Skąd mogę wiedzieć, co będzie daléj. Czy mi zaręczysz, że znowu mu nie przyjdzie do głowy jaka nowa spekulacya, jaki nowy tani nabytek, który zje resztę? Nie, nie odetchnę,

aż kupię Karolówkę. Będę robił pieniądze, będę zapychał hypotekę i nie wrócę, aż oba folwarki i ojca i matki, staną się moją własnością! Tak, nie wrócę, ani tu zajrzę, choćby mnie nawet wzywał! Niech się przyjrzy własnemu dziełu i niech je zgłębi!

Oczy mu pociemniały i szły z nich błyski takiéj zaciętości, że się wydała Krępicowi prawie nienawiścią.

A Kubacki wstał i rzekł:

— I po co sobie psujesz gębę? Chcieć, to znaczy musieć chcieć, więc i ty pewno musisz. Chodź, odprowadzimy cię do fabryki.

— Po co?—zdziwił się Zygmunt. — Rotte może mnie zatrzymać z godzinę, albo i więcéj.

Szyderstwo wykrzywiło mu usta.

— Będzie rad, że zadowolni pana Znamienieckiego z Karolówki i że proszony, wyświadczy łaskę. Czekajcie na mnie tu.

— Nie, idziemy z tobą—upiérał się Kubacki.

A Zygmuntowi dopiéro teraz przyszło na myśl, że jeśli Rotte przyjmie jego kandydaturę, to Galewicza usunie natychmiast i że oni, pomimo wszystko co myśleli o jego postanowieniu, nie chcieli się z nim rozstawać, by być dłużéj razem.

Popatrzył im w oczy, wyciągnęli do siebie dłonie, a potém wyszli wszyscy trzéj i szli pogrążeni w myślach.

Gdy w godzinę późniéj, Zygmunt opuścił wilę pana Rotte'go, koledzy przechadzający się przed bramą fabryczną dostrzegli go zdaleka. Szedł wolno i zdawał się przygnębionym, ale to przygnębienie każdy z nich zrozumiał inaczéj.

— Bez rezultatu—mruknął Kubacki i oczy mu pojaśniały.

— Jedzie—pomyślał Krępic, przyczém proste brwi zeszły mu się nad oczami i utworzyły prawie jedną linię.

— I cóż?—zapytali równocześnie, gdy się zbliżył.

— A cóż ma być? Jadę. Wprowadziłem go w taki dobry humor, że Rańkowski pewno pójdzie na moje miejsce, a Kubacki na miejsce Rańkowskiego, tylko prawdopodobnie z mniejszą pensyą. Powiedział mi, że żadna firma nie będzie miała za reprezentanta takiego salonowca i takiego nazwiska—słyszycie?

Ale oni nie rzekli nic, tylko poczęli iść bardzo prędko. Zygmunt zaś, nie czekając na odpowiedź, mówił daléj:

— Jadę za trzy dni. Dziś mamy poniedziałek, wyjadę we czwartek na noc. Chciał jeszcze prędzéj, ale odmówiłem. Pilno im. Galewicz robił oszczędności na materyale, fuszer! Musiał ich ubrać. A piszcie, żeby był ciągły łącznik. Za jakie ośm lat wrócę. Muszę tam być

całą duszą, jeżeli mam coś zrobić, ale tu zostanę sercem. Pamiętajcie, żebym się nie poczuł wyrwanym z korzeniami.

Mówił urywanemi zdaniami i tak je z siebie wyrzucał, jakby go dławiły.

Potém, przez całe trzy dni następne, wszyscy żyli gorączką pośpiechu. Zygmunt, przez wzgląd na Łamkowskich, był rad, że ma krótki czas przed sobą, ale chcąc pozałatwiać wszystkie interesy i pooddawać konieczne wizyty, musiał być w ruchu od rana do nocy. Koledzy mu pomagali, a właściwie wszystko za niego robili. Krępic pakował rzeczy, Kubacki załatwiał konieczne sprawunki i interesy, a on latał z pożegnalnemi wizytami, śpieszył się jakgdyby go coś popędzało, lub czekało na niego, co chwila uczuwał formalny strach, że o czémś zapomniał i nie zdąży i w rezultacie nic nie robił.

U Łamkowskich był zaraz nazajutrz i zabawił kwadrans. Gdy powiedział o wyjeździe, panna Sławska otworzyła oczy szeroko i zapatrzona w niego siedziała bez ruchu. Nie patrzył na nią, a jednak widział, że jej drżą usta i że ona je zaciska, by się nie rozpłakać. Lecz się nie rozpłakała.

Miał ją taką ciągle przed oczami i tego widoku nie mógł się pozbyć, ale gdy wybiegł, doznał wrażenia, że połknął lekarstwo, którego powtórna doza już mu nie groziła.

— Chwała Bogu! — myślał. — Poszło lepiéj niż przypuszczałem. Dziewczyna ma jednak charakter i ambicyę i, kto wié, może zapomni niedługo.

Pragnął tego i równocześnie był z siebie nie rad, bo oto uczuł, że gdyby to zapomnienie nastąpiło bardzo prędko, jego radość byłaby zaprawiona gorczycznem ziarnkiem zawodu.

W przeddzień wyjazdu napisał krótki list do ojca. Doniósł mu, że się nie żeni, lecz że wyjeżdża do Odesy, skąd nie wróci, aż spłaci wszystkie długi Karolówki i Leszczyn. Więcéj nie pisał nic.

Ten list Krępic zaniósł na pocztę, a gdy wracał, poraz pierwszy przyszła mu jasna świadomość, że gdy Zygmunt odjedzie, jemu będzie go brakowało ogromnie. Poczucie tego braku schwyciło go nagle i tak dojmująco, że począł się bać osamotnienia, jak dziecko, które straszą ciemnym pokojem.

Nie miał po za nim nikogo serdeczniejszego na świecie. Od tylu lat, prawie się nie rozstawali. Jeden przed drugim nie miał skrytéj myśli. Kubacki... tak, zapewne. Dobrze, że choć on zostaje, ale, to już nie to. Były rzeczy, które mówił Zygmuntowi, ale których nigdy nie byłby powiedział Kubackiemu. Liczyć na niego można, więcéj niż na kogobądź, może nawet więcéj niż na romantyka, ale to już

nie to. Ten odjazd, to zupełnie jakby mu coś wyjmowali z serca. Będzie w tém miejscu pustka, która już teraz go boli...

Gdy tak pogrążony w myślach dochodził do domu, minęła go na chodniku ciemna postać kobiéty, która, idąc nawprost niego, postępowała bardzo wolno i przyglądała mu się badawczo.

Było już ciemno i on był zamyślony, ale pomimo to zauważył ją i zastanowił się. Już gdzieś widział tę twarz i ruchy jakby mu były znane... Mimowoli zwolnił kroku, przed bramą się zatrzymał, a w téj saméj chwili usłyszał za sobą wołanie:

— Czy pan Krępic?

Odwrócił się szybko.

— Panna Sławska?

— Tak, ja! Przepraszam bardzo — chciałam z panem pomówić. Pan jest przyjacielem pana Zygmunta — i dlatego — i dlatego — proszę mi wybaczyć, ja nie mogłam inaczéj.

Widoczném było, że cała drży i że tylko siłą woli, albo nerwów, głos z siebie wydobywa. Krępic patrzył na nią z większém współczuciem, niż żdziwieniem i widząc, że ledwie się trzyma na nogach, podał jéj ramię.

— Proszę, niech się pani niczego nie obawia—przemówił najłagodniéj jak umiał. — Odprowadzę panią do domu i w drodze wysłucham, bo się domyślam, że to jakieś zlecenie do Zygmunta. Ja mu powtórzę wszystko dokładnie, tylko proszę się uspokoić.

Uchwyciła się jego ramienia bez namysłu, odetchnęła głęboko, ale idąc znów poczęła mówić szybko i tak, jakby ją jéj własna mowa, dusiła.

— Powiédz pan panu Zygmuntowi, żeby nie wyjeżdżał, bo ja tego nie mogę przenieść — bo to jest straszne. Wiem, jak on myśli — wiem, jak kocha — Warszawę, a teraz — przeze mnie... Powiédz pan, że ja go nie chcę widywać, że zapomnę o... wszystkiém, że będę spokojna... co tylko zechce—ale niech tam nie jedzie i niech nie myśli, że to przeze mnie, bo ja z tém nie mogłabym żyć.

Schwyciła ustami powietrze i znowu mówiła:

— Jak on zostanie, to ja wyjadę—niedługo--mogę zaraz i będę zdrowa, bo jestem ogromnie silna — tylko mama mnie nie zna. Ja wszystko przetrwam i o wszystkiém zapomnę, ale niech pan Zygmunt nie wyjeżdża.

Głos jéj zaczął drżéć, ostatnie wyrazy domówiła prawie cicho, a Krępic uczuł, że jéj ramię także drżało i że nią wstrząsa powstrzymywane łkanie.

— Pani sobie robisz zupełnie niepotrzebne wyrzuty — rzekł spokojnie, — a Zygmunt zawinił, jeśli nie powiedział, dlaczego wyjeżdża .

— Powiedział, że go zmuszają interesy, ale ja wiem, że to nieprawda—wiem! we mnie nikt nic innego nie wmówi!

— I mylisz się pani. Ja ci daję słowo, że Zygmunt miał zupełnie inne zamiary i że tylko smutne okoliczności zmusiły go do wyjazdu. Niech mu pani wierzy i niech pani wierzy w lepszą przyszłość.

Zadrżała silniéj, zatrzymała się i oczami zawisła mu na ustach. Te rozszerzone oczy, drżące rączki i łzy na rzęsach robiły ją podobną do dziecka. Krępicowi zrobiło się żal dziecka.

— Takie biédactwo—myślał—a tyle w tém zaparcia się siebie, że niemal bohatérstwa.

I wzięła go ogromna pokusa wlać w to biédne serce choć trochę nadziei, ale równocześnie przeląkł się odpowiedzialności i nie rzekł nic.

Ona zaś, widząc to puściła nagle jego ramię i obejrzała się wokoło siebie jakby z trwogą.

— Zostaw mnie pan — rzekła cicho — pójdę sama. Tak to na mnie spadło, że straciłam głowę. W domu są pewno niespokojni, ale niech pan nie ma o mnie złego pojęcia... ja myślałam, że co naprawię... niech pan nic nie mówi panu Zygmuntowi.

Z oczu puściły jéj się teraz dwa strumienie łez. Szybko odwróciła głowę i zaczęła iść przed siebie. Krępic poskoczył.

— Nie mogę pani zostawić saméj, ludzie się przyglądają, ja muszę panią odprowadzić.

Spojrzała po za siebie, przystanęła, potém posłusznie podała mu rękę i szła teraz biernie, jak automat.

Milczeli oboje, ale jemu to było nieprzyjemne. Zdawało mu się, że mówić było jego obowiązkiem, myślał ciągle, coby jéj powiedzieć i—nie mówił nic. Był zły na siebie, choć jéj widocznie nic już nie obchodziło—może nawet nie zdawała sobie sprawy, że ktoś przy niéj idzie? Szła raz prędzéj, raz wolniéj, stosownie do tego, czy on szedł prędzéj, czy wolniéj i mogła tak była iść póty, póki fizyczne zmęczenie, nie byłoby jéj oprzytomniło.

Jemu teraz przyszło na myśl, że śmiały krok dziewczyny musiał się w jéj umyśle przedstawić, niby jakiś zamach stanu. Odważyła się nań pod wpływem naprężenia nerwowego, chciała zrobić z siebie ofiarę, ale w jakimś zakątku jéj mózgu, musiało tkwić bezwiedne przekonanie, że ta ofiara zmieni coś na jéj korzyść. To była jakaś nić, któ-

réj się uchwyciła jak tonący. Nić pękła, a jéj pozostał zawód, który ją zobojętnił.

Tak doszli do ulicy Mazowieckiéj. Krępic wtedy zatrzymał się i rzekł:

— Jesteśmy na miejscu, żegnam panią.

Podniosła głowę, popatrzyła na niego i nagle spytała:

— Czy pan Zygmunt będzie miał w Odesie korzystniejszą posadę, niż tu?

— Wiele korzystniejszą—odparł trochę zdziwiony.

— On nie jest taki bogaty, jak wszyscy myślą i jemu są potrzebne pieniądze—prawda?

— Nie wiem, prawdopodobnie, pocóż-by jechał? Zresztą, to są jego osobiste interesy.

Zmieszała się po téj odpowiedzi, ale nie wchodziła w bramę. Krępic powtórzył:

— Żegnam panią.

— Żegnam pana, dziękuję i jestem bardzo wdzięczna, ale jeszcze chciałabym—chciałabym...

Zawahała się, poczém, jakby zrobiwszy nagłe postanowienie, zapytała:

— Czy ludziom bardzo szlachetnym nierówność majątkowa może być przeszkodą do... do małżeństwa?

Wypowiedziała to jednym tchem, zacięła się przy ostatnim wyrazie i odwróciła głowę. Krępic przyglądał jéj się i dziwił.

— Skąd jéj to przyszło? — myślał i był w kłopocie, co zrobić. Odebrać jéj złudzenia, z których widocznie na poczekaniu wystawiła sobie nową budowę, czy też ją utrwalić w domysłach, które, chociaż się obracały koło prawdy, były od niéj równocześnie bardzo dalekie? Niepewny milczał, a ona to milczenie biorąc za potwierdzenie, westchnęła ciężko.

— Tacy mężczyźni czasami robią dobrze, ale czasami źle, bardzo źle.

I znikła w bramie.

Nazajutrz Zygmunt odjechał. Koledzy odprowadzili go na pociąg, skąd wrócili pieszo, obadwaj zasępieni.

Gdy się znaleźli w mieszkaniu, Kubacki rzucił się na otomanę i rzekł.

— Wyobraź sobie, żeście mnie zdążyli ogłupić. Gdy pociąg ruszył i Zygmunt wychylił się przez okno — niewieścią ma on nietylko gębę, bo widziałem, że miał ochotę beknąć — otóż nie mogłem sobie

wtenczas wyobrazić, że jeszcze go kiedy zobaczę. Może być, że mnie djabli wezmą, ale zawsze to idyotyzm. Ja i przeczucia?!

Zrzucił nogami wałek z otomany, a Krępic tymczasem chodził po obu pokojach, porządkował i zbiérał śmieci. Przyszło mu też do głowy, że przy wszelakiego rodzaju rozstaniach, zawsze jest lepiéj tym, co jadą, niż tym, co wracają do pustych kątów i że takie kąty trochę przypominają mieszkanie, z którego wyniesiono trumnę. Poczém myślał, czy tego rodzaju ludzie, co Kubacki, mogą mieć przeczucia, czy wogóle przeczucia mają racyę bytu i kiedy też Zygmunt do nich napisze.

A w dwa tygodnie potém Kubacki przeniósł się na Wilczą. Do téj pory mieszkał ciągle u kolegów, ale jak tylko dostał posadę u Rotte'go, ani sobie dał mówić o współce.

— Dla ciebie lepiéj, jak ja będę daléj—rzekł i wyniósł się razem ze swoją lampą i swojemi stosami bibuły, któréj najmniejsze świstki pozbiérał z nadzwyczajną skrzętnością.

Pomimo to widywali się codziennie w biurze i po za biurem, razem jadali obiady, kłócili się często, a w niedzielę Krępic szedł rano na Wilczą i zabiérał kolegę do Łazienek.

W czerwcu Warszawa stała się nieznośną. Rozpalone mury, bruki, chodniki i niebo paliły mózgi i podeszwy, przygniatały myśli, pozbawiały energii i woli.

Krępic się dusił w tém powietrzu, złożoném z pyłu, ognia, oraz woni asfaltu, węgla kamiennego i wapna. Jak tylko mógł, wyciągał Kubackiego na miasto.

— Wiész—mówił jednéj niedzieli—uważam, że idyocieję.

— Toś się późno spostrzegł—odparł tamten. — Idyotyzm zawsze idzie w parze z filisterstwem.

Ale Krępic na to tylko wzruszył ramionami. Rozglądał się po parku, wciągał powietrze i wzdychał.

— A! tak odetchnąć pełną piersią, upić się wilgocią łąki, zobaczyć zamiast tego szmatu nieba, całe morze szafiru, od wschodu aż do zachodu!

— Maluczko, a będziesz rymował—pokiwał głową Kubacki i widząc, że Krępic dziś ciężki do rozmowy, rzekł:

— Myślałem, że mi powiész coś nowego o samopomocy, jedności i uczuciach chrześciańskich, że mnie w końcu przekonasz, a ty wzdychasz jak turkawka. No, gadaj co!

— Nie warto, nie przekonamy się, więc po co? Ty uprawiasz tylko specyalną literaturę, nie znasz dobrze historyi i nie liczysz się z duchem ludzi. Nie porozumiemy się na tym punkcie, a już sam ten

fakt nieporozumienia jest dowodem, że ja mam racyę, nie ty. W społeczeństwie, w którém, gdzie jest dwóch—tam są trzy zdania, trzeba dążyć do celu jedną drogą, nie dwiema. Tylko idyoci mogą sobie urywać łby o podział przyszłych mieszkań, gdy nie mają nawet dachu nad głową.

— Zdaje mi się, że to porównanie już kiedyś przytoczyłeś — wtrącił Kubacki.—Czy nie mógłbyś wymyśléć innego?

— Nie, nie wymyślę, bo jest dobre, bo o dachu powinniśmy myśléć przedewszystkiém, w dzień i w nocy. O reszcie niech myślą ci, którym nie cieknie za kołnierz, a my na ich modłę przerobimy dom, gdy dom miéć będziemy. Wiary w siebie i tylko w siebie, więcéj w nikogo, światła i miłości—oto, czego nam trzeba!

Krępic zapalił się, zapomniał o wilgoci łąk i o wzdychaniu i już był gotowy do długiéj dysputy, gdy nagle Kubacki zawołał:

— Patrz, zdaje mi się, że to pani Bodziewiczowa.

— A prawda! Chodźmy.

Był i Bodziewicz z dziećmi i panna Emilia i wszyscy siedzieli przed Łazienkowskim pałacem nad stawem.

Panna Emilia już przed rokiem opuściła Warszawę i tak się przez ten czas zmieniła, że aż Krępic nie mógł ukryć żdziwienia i objawił je głośno.

A ona na to odparła:

— Cóż pan chcesz, świéże powietrze, letarg myśli i drzémka sumienia tuczą.

Rzeczywiście trochę utyła i już teraz nie raziła wybujałym wzrostem. Krępic sobie przypomniał, że ją koleżanki nazywały konopiami i przyglądał jéj się ciekawie. Przytém pomyślał, że tego rodzaju panien nie spotyka się w Warszawie. Miała w sobie coś z Wenecyanki, coś z Angielki i coś z Polki. W ciemno-klękitnéj sukni w białe paski, w żółtym, skórzanym pasku, takichże bucikach i okrągłym, bardzo prostym kapeluszu, przypominała turystki, które się wybiérają na wycieczkę w góry. Pomimo swobody i śmiałości spojrzenia, które bez śladu zakłopotania wytrzymywało badawczy wzrok Krępica, było na jéj czole i w cerze twarzy coś czystego i świéżego. Pomimo upału, wyglądała jakby skwar nie działał na nią tak, jak na innych ludzi.

— Przywiozła z sobą świéżość białego bzu i swojego jeziora — pomyślał.

A ona wyczytała w jego oczach komplement dla siebie, lekko ściągnęła brwi i rzekła:

— Cóż, czy wyrosłam na odpowiedzialną kandydatkę do stanu małżeńskiego? Czy mogę miéć nadzieję, że mi się kto trafi? Mama

jest w rozpaczy, bo do téj pory — nic, ale jeśli taki warszawiak, jak pan, osądzi inaczéj, pocieszę ją za powrotem.

Mówiła zupełnie seryo, a pani Bodziewiczowa zarumieniła się lekko i spojrzała na nią z wymówką.

— Jesteś jeszcze wielkie dziecko i nie rozumiész matek — zauważyła.

— I co smutniejsze, nigdy ich nie zrozumiem, siostrzyczko!

A Kubacki także jéj się przyglądał z uwagą, i przy ostatnich słowach, zdjąwszy kapelusz, rzekł:

— Ponieważ mój kolega cały się zagłębił w dociekaniu, o ile pani kandydatura do stanu małżeńskiego ma szanse powodzenia, więc ja, pragnąc gorąco mieć także prawo głosu, muszę się przedstawić sam. Jestem Kubacki.

Szybko się odwróciła i ciemnemi oczami patrzyła na niego, jakby badając. Poczém rzekła bez uśmiechu:

— Bardzo proszę. Zobaczymy, do jakiéj mnie pan kategoryi zaliczysz—do feministek, do flirtówek, czy też do gęsi? Jeśli do tych ostatnich, nowa kandydatka nie będzie miała powodu rozpaczać i wróci na wieś pokrzepiona na duchu.

Kubacki się śmiał.

— Widzę, że pani siostra ubrała mnie w jéj oczach — zauważył bez cienia zakłopotania i usiadł przy niéj.

— Nie tyle, ile pan ubrałeś kobiéty.

— Alboż pani jest tak wielką zwolenniczką kobiét? To rzadki wypadek między niewiastami, które wogóle nie odznaczają się solidarnością.

— Tak pan sądzisz? Zadziwiająca rzecz, jakimi znakomitymi psychologami kobiét są mężczyźni! Przypuszczam, że z równém powodzeniem może lis pisać psychologię kur i gęsi.

Kubacki wpadł w wyborny humor.

— Jakby pani chętnie pobrała lisy na łańcuszek, a kurom i gęsiom poprzyczepiała skrzydła orłów i sokołów, prawda? Czy ta poetyczna natura wsi tak wpływa na złośliwość młodych panienek?

— Jeśli prawda jest złośliwością, to widocznie tak — odparła chłodno i zacisnęła usta, których zgrubienie tak kiedyś niepokoiło panią Olchowiczową, ale które pomimo to wydały się Kubackiemu bardzo ponętne, bo mówiły o temperamencie.

— I cóż pani robisz na wsi takiego, co tak służy rozwojowi tego zacnego przymiotu i uczy poznawać prawdy?

— Co? alboż pan nie wiész, co robią panny dobrze wychowane. Przyrządzam rano i wieczór kawę i herbatę, smażę konfitury, które,

zdaniem grzecznych mężczyzn tylko skutkiem tego są słodkie, na Wielkanoc lukruję baby i mazurki i—czekam na męża.

Kubacki parsknął śmiechem.

— Jedném słowem, na lisa — rzekł. — I tam nic więcéj panny robić nie mogą?

— I owszem, mogą — iść za mąż, jeśli...

— Jeśli chcą?

— Nie, jeśli je kto zechce. Panny mają prawo głosu i wyboru tylko w mazurze.

Kubacki był zachwycony. Nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać takiéj czupurności u dziewczyny, która wyglądała na lat szesnaście, miała zupełnie dziecinny wyraz oczu i nie umiała ich jeszcze spuszczać pod wzrokiem mężczyzny.

— A jeśli je kto zechce, to idzie każda?—pytał daléj.

— Naturalnie. Albożeś pan spotkał kiedy wyjątek od téj reguły? Mój szwagier twierdzi, że to mu się jeszcze w życiu nie zdarzyło.

— Co ten bęben ma znów do mnie za pretensyą? — odezwał się na to Bodziewicz, który mając z jednéj strony Marysię i Janka, z drugiéj ogromny pęk habru, rumianów i przeróżnych traw, siedział nad stawem i rzucał łabędziom kawałki bułki.

— Nie mam żadnéj — odpowiedziała żartobliwie panna Emilcia,—tylko wolałabym, abyś twoje oryginalne wyrażenia zachował dla własnéj córki, bo do niéj lepiéj by pasowały.

— Przepraszam cię siostrzyczko. To tylko przez zapomnienie o twoich siedmnastu jesieniach i z radości, że przyjechałaś.

Był naprawdę zadowolony, nie wiadomo czy z odbytéj przechadzki za miasto, czy z tego że siedział z dziećmi na trawie, czy rzeczywiście z przyjazdu szwagierki, do któréj zdaniem Krępica, trudno było żywić niechęć! Taka była świéża!

A panna Emilcia wzruszyła ramionami i uśmiéchnęła się do niego dość łaskawie. Po roczném niewidzeniu, była widocznie usposobiona względem szwagra pokojowo.

— Czy pani sama przyjechała? — zwrócił się teraz do niéj Krępic.

— Sama?!

Podniosła w górę ramiona i ręce z komicznym wyrazem przestrachu i roześmiała się wesoło.

— Alboż pan wraca z Tahiti? Panienka dobrze wychowana „pod żadnym pozorem" nie jeździ sama, tak jak nie pija czarnéj kawy. Przeczytaj pan: *savoir vivre* albo „wypada i niewypada" i nie siéj

zgorszenia! Przyjechałam z wujem Znamienieckim, który wprawdzie jest za mało blizkim wujem, ale zato dostatecznie starym.

— To pan Znamieniecki jest w Warszawie?

— Jest i ma ochotę zabrać pana na wypoczynek do Karolówki, z czego ja się cieszę, bo chcę z panem o wielu rzeczach pomówić. Będziesz pan miał jego wizytę dziś albo jutro.

— Zrobi mi tém wielką przyjemność, ale pomimo dobrych słów pani, nie będę mógł skorzystać z zaproszenia. Mamy w biurze tyle roboty, że nikt w tym roku nie bierze urlopu.

Pani Bodziewiczowa spojrzała na niego z żalem.

— Jaka szkoda! — rzekła. — Tak się cieszyłyśmy z Emilcią, że pan będziesz nas często odwiedzał w Kamionce i teraz z tego nic! To oburzające! Dwa lata pan pracujesz w fabryce i jeszcze nie wyjeżdżałeś ani razu.

— Tak zwykle bywa w biurach technicznych — odparł i zwrócił się do panny Emilii z zapytaniem—na jak długo przyjechała?

— O, tylko na parę dni. Marychna ma mię uczynić podobną do modnych kobiet, a potém uciekamy razem na wieś.

Na to rzekł Bodziewicz:

— Myślałby kto, że ona nic nie dba o to, czy komu zawróci głowę kapeluszem.

Uzbrojony w swój bukiet, zbliżył się właśnie do ławki na której siedziało towarzystwo i ciągnął dalej.

— Każda panna uważa, że przyzwoitość nakazuje jéj wypiérać się męża, ale niech no się trafi amator—bodaj szczotka od zamiatania, ubrana w tużurek i w krawat... No, zobaczymy naszą Emilcię! Dam sobie rękę uciąć, że będzie z niéj jeszcze uprzejmiejsza żonka, niż Howartówna, czy jak ją tam, z „Emancypantek."

— Wobec tego powinieneś wziąć rozwód z Marychną i uszczęśliwić się moją osobą—zażartowała panna Emilcia, ale bez gniewu.

A Bodziewicz parsknął śmiéchem.

— Brawo szwagierko! Jak Marychna trochę podstarzeje, a ty więcéj utyjesz, pomyślę o tém. Tymczasem wracajmy, bo już pora obiadowa.

Podniósł Marysię i jedną ręką przytrzymując córkę i bukiet, drugą prowadząc Janka, ruszył na przód.

— Czy ty myślisz iść tak Alejami i Nowym światem? — zapytała go żona ze śmiechem.

— A naturalnie! Czy co masz przeciwko temu?

— Nie, nic. Jeśli ci to robi przyjemność.,.

— Nieopisaną — bo Marysię bolą nogi.

I poszli, a panna Emilcia patrzyła długo na poprzedzającego ją szwagra, poczém zwróciła się do Krępica, który szedł przy niéj.

— Dochodzę do przekonania, że to jest jedyny, zupełnie szczęśliwy człowiek, jakiego znam—rzekła.

— A pani siostra?

— Marychna? Ona jest także szczęśliwa, ale za wiele się martwi, że on musi tak bardzo pracować, czego znów ja nie rozumiem.

— Pani tego nie rozumié?

— Nie, bo takim jest najlepiéj. Kto pracuje od rana do nocy, zaspakaja swoje potrzeby materyalne, z konieczności uważa je za cel życia i nie ma czasu na cierpienia moralne. Ja się nigdy nie lituję nad przepracowanymi i chowam współczucie dla przepróżnowanych.

Krępic nieznacznie się uśmiechnął, przyczém pomyślał, że panna Emilcia stanowczo nie musi być zachwycona, swoją rolą panny na wydaniu.

— Przepróżnowani mogą łatwiéj znaléźć zajęcie, niż przepracowani odpoczynek—zauważył.

— O, zapewne, tylko taka chwila odpoczynku nie da się porównać z żadną rozkoszą, a zajęcie wymyślone dla zabicia czasu, jeszcze bardziéj przypomina przepróżnowanemu jego nędzę.

— To niech zajęcie będzie celowe. Ludzie przepracowani, muszą z konieczności patrzéć blizko, choć czasami chcieliby patrzéć daléj, i dlatego ja się nie zgodzę, aby woły robocze wzbudzały zazdrość, a ci, którzy mogą żyć dla celów wybranych, zasługiwali na współczucie.

— Bo mnie pan nie rozumié! — zawołała panna Emilcia. Gdyby panu nie wskazano żadnych wyższych celów, a te które sam znalazłeś wyśmiano, gdybyś musial jak w kieracie, obracać się w kółko między małostkami, zazdrościł byś kamieniarzowi, tak jak ja zazdroszczę chłopkom, które chodzą z sierpem i którym nikt nie mówi, że się wdziérają w prawa mężczyzn. Wiek dziewiętnasty powinien się wstydzić, że tyle mówi o poszanowaniu wolności osobistéj, a tyle robi hałasu, jeśli się znajdzie panna, która powié, że także chce być kółkiem w maszynie, zwanéj społeczeństwem.

— Z czasem będzie inaczéj — uśmiechnął się Krępic. — Panny będą mogły być kółkami jeśli zechcą, tylko, że ich nie będzie wiele. Ale najważniejsza, matki będą mogły bez przeszkody wychowywać swoje dzieci i to dopiéro będzie emancypacya.

Panna Emilia patrzyła na niego rozszerzonemi źrenicami.

— A to śliczna emancypacya!—roześmiała się ironicznie — myślałam, że pan jesteś postępowszy. I gdzież są te matki, które nie mogą wychowywać swoich dzieci?

— Każda robotnica, która zostawia dom i idzie do fabryki—odrzekł Krępic i patrzył na nią spokojnie.

Twarzyczka jéj przybladła od oburzenia, ciemne oczy jeszcze pociemniały i wyglądały dziwnie przy włosach jak len.

— Gdyby była chłopakiem — myślał — i gdyby ją pokierowano odpowiednio, mogłaby coś zrobić, bo ma zapał i umié czuć niesprawiedliwość. Ciekawość jak téż prędko jéj przytrą rogi i co téż z niéj będzie?

Obserwował jak po jego ostatnich słowach zamyśliła się, widział po oczach, że jéj umysł pracuje i próbował ją sobie wyobrazić na tle Kamionki, obok grubego pana Olchowicza powtarzającego — dałbym ja jéj! — i pani Olchowiczowéj z namiętnością przerabiającéj stare krawaty dla męża i zięcia i oburzonéj na przewrócone głowy dzisiejszych dziewcząt.

— Więc pan przypuszczasz, że kobiety nigdy nie będą się kształciły wyżéj—zaczęła znowu panna Emilia.

— I owszem, wierzę święcie, że tak będzie.

— Zatém nic nie rozumiem i...

Ale tu panna Emilcia urwała i z okrzykiem radości — ciocia Winia! — podbiegła do panny Rańkowskiéj, która się ukazała na rogu Wiejskiéj ulicy.

Obie uścisnęły się, bez względu na liczną publiczność, a potém usunęły się na bok i panna Emilcia poczęła mówić bardzo prędko i bez odetchnięcia.

— Wczoraj przyjechałam, ale dziś wpadnę do pani i jutro także — pójdziemy razem na pensyą, dobrze? — Moja najdroższa ciocia Winia! Mam mnóstwo rzeczy do opowiedzenia! Pierrotka wyszła za mąż — wié pani? a Helka jest podobno narzeczoną. Płakałam cały dzień, jak mi o tém doniosła Krasulewicz—na pensyi uchodziły za takie porządne dziewczyny, i co to z nich świat zrobił!..

Pani musi bardzo kochać pannę Rańkowską, prawda? — mówił późniéj Krępic, gdy panna Winia pożegnała całe towarzystwo i skręciła na Smolną ulicę.

— Naturalnie, wszystkie ją tak kochamy. To przecież ukochana ciocia Winia całéj pensyi! Pisuje do mnie i do moich koleżanek, bo naszą klasę najwięcéj lubiła. Jak ją widzę, zaraz mi jaśniéj na świecie!

— I dzisiaj pójdzie pani zaczerpnąć tego światła więcéj?

— I dziś—i jutro—i co dzień póki nie odjadę.

Była rozpromieniona i śmiały jéj się oczy.

— Jak ja się nagadam i jak ja się nasłucham!—mówiła daléj.— Mnie nikt tak nie rozumié jak ona. Pana lubi bardzo, co już dowodzi wiele, bo ona nie dba o mężczyzn, tak jak i my wszystkie. Ja tylko dlatego jestem z panem taka otwarta.

— Czy wolno wiedzieć, na czém pani opiéra twierdzenie dotyczące mojéj osoby? — zapytał Krępic ukrywając uśmiech i z powagą przyglądając się dziewczynie, która z życiowéj malkontentki, nagle się przemieniła w rozradowane dziecko.

— Na czém? Ależ ona do mnie pisuje. Dziwiła się, że pan Zygmunt wyjechał z Warszawy i powiedziała, że pan nigdyby tego nie zrobił. Jak na nią, to już jest wielka pochwała. Prawda, że ona umié ślicznie mówić?

— Tak, jest bardzo sympatyczna, ale, najczęściéj mówi nie wiele.

Panna Emilcia machnęła ręką z lekceważeniem.

— To tylko przy mężczyznach — rzekła. — Z nami zupełnie co innego, ale bo też my ją rozumiemy! Mam zawsze wrażenie, że wszystkie myśli które miałam w głowie, ale o których sama nie wiedziałam, że są, ona mi wyciąga i stawia przed oczami jak żywe.

Zamyśliła się, a potém rzekła smutnie:

— Jak ona się zmartwi, gdy się dowié, w co się obróciły moje wszystkie projekty i marzenia!

— Jeżeli jedne marzenia się rozwiały, to może ciocia Winia pomoże do wysnucia innych? — zauważył Krępic i starał się spojrzéć jéj w oczy.

— O, ja też tylko na nią liczę.

— Więc zamiar występowania na scenie upadł stanowczo?

Panna Emilcia zarumieniła się aż po białka oczu.

— To było dzieciństwo — szepnęła.

— A medycyna?

Spuściła główkę i ciężko westchnęła.

— Ciocia Winia mówiła mi odrazu, że z tego nic nie będzie, bo mi rodzice nie pozwolą, a chcąc iść o własnych siłach, trzeba miéć ogromnie mocną wolę, wytrzymałość i zdrowie. Ona mię zna lepiéj, niż ja sama i dlatego teraz będę tak robiła, jak ona mi poradzi.

Na to Kubacki się przysunął i rzekł:

— Więc to tam na Smolnéj będzie dzisiaj walna narada. Może mnie i Krępicowi będzie wolno wziąć w niéj udział?

Zaczerwieniła się ogromnie, a Krępic zauważył, że było jéj ła-

dnie z tém, jak potém ten rumieniec ustępował powoli z czoła, z szyjki, jak zdawał się zbiegać w jeden punkt, aż znikł i tylko na policzkach pozostawił jakby odblask zorzy.

Patrzyła na nich z trwogą, poczém rzekła z prośbą w głosie.

— O, nie psujcie mi panowie dnia! Pójdziecie tam, jak już mnie nie będzie — możecie nawet chodzić codzień, byle nie teraz, jak ja jestem.

— Nie jesteś uprzejmą Milciu — uśmiechnęła się pani Bodziewiczowa.

Ale ona wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Uprzejmość dla panów, nie leży w obowiązkach panien — wogóle zwolniono je od wszelkich obowiązków, więc powinny korzystać przynajmniéj z tego.

Kubacki jéj się przyglądał z pod oka.

— Czy pani klasa, ciesząca się uznaniem panny Wini, poprzysięgła sobie pod jéj egidą celibat?

A gdy pani Bodziewiczowa zaczęła się dziwić, skąd wpadł na podobne przypuszczenie, dodał.

— Przecież słyszałem najwyraźniéj, że panna Emilia płakała cały dzień nad losem Pierrotki, która padła ofiarą instytucyi małżeńskiéj. Kto to jest Pierrotka, panno Emilio?

Spojrzała na niego z bezgraniczném oburzeniem i wzgardliwie wydęła usta, poczém przyśpieszyła kroku i szła milcząc aż do domu.

— Pycha dziewczyna! — mówił późniéj Kubacki, gdy się znalazł sam z Krępicem. — Pierwsza feministka jaką znam, która się jeszcze umié czerwienić i w któréj można by się zakochać po uszy — byle nie na sakrament. Wiész co? Tak Bodziewicza w nią ubrać, to byłaby piramidalnie figowa para!

Zkądżeż wiész, że byłaby gorszą żoną — gdyby kochała? — mruknął Krępic.

— Zwaryowałeś? Ona umiałaby być taką jak pani Bodziewiczowa? Chybaby ziemia stanęła, a słońce się kręciło!

Krępic nic na to nie odrzekł, bo mu się przypomniał rumieniec, który uciekał z czoła i z szyi dziewczyny i pozostawił ślad zorzy na policzkach. Poczém zaczął myśléć, że jeszcze takiéj nie widział, że gdyby ją nauczyć rozumiéć życie, to ona by je pojęła i że ten ktoś, kogo ona pokocha, może być bardzo szczęśliwy.

— Co téż z niéj zrobią ludzie i życie? myślał jeszcze i dziwił się, dlaczego to pytanie tak się go uczepiło.

VI.

Stary pan Znamieniecki odwiedził kolegę syna i był dla niego tak uprzejmy, że prawie serdeczny.

Mówił, że ludzie urodzeni na wsi, nigdy nie mogą tak się zżyć z miastem, żeby od czasu do czasu nie zapragnęli odetchnąć ciszą wiejską, że Karolówka odpowiada wymaganiom takich spragnionych odpoczynku, bo w niczém nie krępuje swoich gości i jest może aż zanadto cicha i że on zawsze z przyjemnością powita u siebie przyjaciela syna, jeśli ten przyjaciel zechce go odwiedzić.

Krępic dziękował i tłómaczył się, że w tym roku stanowczo nie może jeszcze myśléć o braniu urlopu, ale że z rozkoszą popatrzyłby na Karolewieckie jezioro i że jeśli będzie mógł, to może kiedy skorzysta z ofiarowanéj mu gościnności. Poczém mówili o Zygmuncie i o jego widokach na przyszłość. Pan Znamieniecki nic musiał odbiérać od syna częstych i obszernych listów, gdyż wypytywał się o niego drobiazgowo i widać było, że z jego obecnego życia nie znał żadnych szczegółów.

Krępicowi się wydało, że dostrzegł w tych zimnych oczach coś jakby zazdrość o syna, który nie miał tajemnic przed obcym, a dla ojca był jak zamknięta szkatułka, do któréj on nie umiał dobrać klucza. Skutkiem tego, choć udzielał szczegółowych wiadomości o Odesie, napomknął, że wié to przeważnie od fabrycznego korespondenta, bo Zygmunt jest tak pochłonięty przez interesy, że do niego rzadko pisuje.

— Nie wiész pan, jakie on może miéć dochody? — zapytał wtedy Znamieniecki, a w jego oczach nie było już teraz nic, prócz ciekawości aferzysty.

Na to Krępic odparł — że w téj kwestyi jeszcze nic nie można powiedzieć, że przez miniony rok Matelski miał podobno do dziewięciu tysięcy rubli, ale że wskutek niesystematyczności w robocie i oszczędności na materyałach, zepsuł fabryce markę i że Zygmunt ma teraz podwójnie ciężkie zadanie, bo musi walczyć przeciw opinii.

— My jednakże mamy nadzieję — dodał w końcu, — że to się naprawi nie długo, bo Zygmunt jest jakby stworzony na reprezentanta, wyrobił sobie mnóstwo stosunków, dużo bywa w Odesie i w okolicy i prócz tego zna robotę. Jak dobrze pójdzie, może miéć i do dwudziestu tysięcy rubli rocznie.

Znamieniecki rozjaśnił się przy ostatnich słowach, przyczém mrużył oczy i wyglądał jakby coś obliczał.

— Rotte nie przepowiada sobie takiego rozwinięcia interesu — zauważył po chwili.

— Może być, chociaż fabrykant z zasady powinien obliczać raczéj zamało niż zadużo i Rotte zawsze tak liczy.

— I dobrze robi — rzekł Znamieniecki. — Zawsze lepiéj stoi ten rolnik, który liczy na nieurodzaj i według tego reguluje przyszłe rachunki.

Mówili jeszcze potém o Łamkowskich, ale tu Krępic był bardzo wstrzemięźliwym w objaśnieniach i pomimo widocznéj w gościu chęci zbadania go, przeważnie milczał. Rozstanie było równie serdeczne jak powitanie. Pan Znamieniecki ponowił zaproszenie i prośbę, by Krępic uważał jego dom, za dom Zygmunta, oświadczył, że zawsze ma dla niego dużo szacunku i z tém odszedł.

A dni Krępica i Kubackiego zaczęły teraz zapadać w przeszłość bardzo szybko choć jednostajnie. Mieli dużo pracy w biurze i poza biurem, a ta pozabiurowa objęła teraz szersze koło. Poznali młodego inżyniera, który świeżo skończywszy kursa dostał posadę w fabryce Stelskiego. Zrozumieli się i to rozszerzyło ich stosunki. Ale pomimo, iż mieli mało wolnego czasu, nie zaniedbywali dawnych wizyt na Złotéj i Smolnéj. Z domem Rańkowskich łączyły ich wspólne interesy i dążenia. Było to środowisko stanowczo odpowiedniejsze dla nich, aniżeli salonik pani Marychny. Lepiéj ich tam rozumiano i więcéj się zajmowano kwestyami, które były dla nich żywotniejszemi, lecz dom Bodziewiczów miał znów inny urok. Wskutek dziwnéj sprzeczności, często leżącéj w charakterze ludzkim, wprost uczuwali chwilami potrzebę oderwania się od tego co było osią ich życia i szli na Złotą patrzéć na ludzi, którzy żyli tylko sobą i byli tak bardzo szczęśliwi.

Chodzili przynajmniéj raz w tydzień i zwykle projekt rzucał Kubacki, pomimo iż wracając, bywał najczęściéj w złym humorze i twierdził—że na psa te wizyty się nie zdały!

— Z jakiéj racyi, — mówił też raz do Krępica — taki Bodziewicz wziął sobie najlepszą cząstkę z tego, co się nazywa ozdobą życia i używa jéj bez wyrzutów sumienia? Ona tak wygląda, że mnie czasami napadają głupie myśli, skąd taka kobieta przyszła do dzieci? Zdaje mi się, że jestem przy niéj jak brudna ściérka przy welonie panny młodéj, a ten idyota, pewno nie lepszy ode mnie, patrzy na nią jak na rzecz, która mu się słusznie należy. To jest przecie coś bajecznie komicznego!

— Nie, tamto jest naturalne, — odparł na to Krępic — a bajecznie komiczne jest to, co ty mówisz. Że też zawsze musisz żyć ostatecznościami! Uważam, że chwilami miewasz ochotę wyrzucić Bodzie-

wicza za drzwi i wtedy drżę, żeby nie przyszła chwila w któréj Bodziewicz ciebie wyrzuci.

Powiedział to pół seryo, pół żartem, myśląc więcéj o fotografii panny Emilci, którą dziś dostał od pani Marychny, niż o przyjacielu. Pilno mu téż było do domu, bo chciał się lepiéj przyjrzéć jasnéj główce dziewczyny, patrzącéj z obrazka czarnémi oczami—jak żywa.

— Ładna! — mówił sobie i szedł prędko, a Kubacki podążał za nim i mruczał.

— Mnie tam nic do nich, kiedy jéj z tém dobrze! Poszłaby za nim i za dziećmi na biegun. Ale za inną niktby nie poszedł i dlatego czasami porywa mię na niego złość! Najłatwiéj zmarnować prawo i zdolność do szczęścia. W zysku można sobie oddać przynajmniéj tę sprawiedliwość, że się czuje własną nędzę. A taki idyota wierzy, że to białe stworzenie powinno na jego każde zawołanie zarzucać mu ręce na szyję i jeszcze czuć dla niego wdzięczność! Taki nic nie przemarnował, bo nic nie miał do przemarnowania. Ot!

Stanął i podniósł oczy ku gwiazdom, poczém podał rękę Krępicowi i rzekł prędko.

— Dobranoc! Ogarnął mię „spleen", a jutro może mię weźmie jaka choroba. Ot głupstwo, ale mam czarno w duszy. Dobranoc!

I poszedł, a Krępicowi dopiéro nazajutrz przypomniały się jasno jego słowa. Nie przyszedł do biura, i to było dziwne, bo się wyróżniał punktualnością. Na obiedzie także się nie pokazał i to zaniepokoiło Krępica. Postanowił do niego zajrzéć, ale gdy przedtém wpadł na chwilę do siebie, zastał trzech filozofów ze szkoły która wyznaje zasadę — chcesz poznać człowieka, poznaj dobrze jego mieszkanie. Szczęściem załatwił się z nimi dość prędko, a potém wsiadł w dorożkę i kazał się wieść do Kubackiego. W bramie spotkał stróża, który go znał i zaraz machnął ręką.

— Choroba wzięła. W szpitalu gdzie chorują ponoj na serce!

— Kiedy?

— Wczoraj. Nad ranem pojechał.

— Za mną niktby nie poszedł... — przypomniał sobie Krępic i wyszedł prędko, bo mu oczy zaszły mgłą. Poczém pojechał na Smolną.

Rańkowski poszedł z dziećmi na spacer, pani Rańkowska szyła mundurek dla młodszéj córki, a panna Winia siedziała nad stosem kajetów.

Krępic siadł przy niéj i rzekł.

— Wié pani, Kubacki — w szpitalu.

Zerwała się i patrzyła na niego, nic nie mówiąc, a on ciągnął daléj.

— To było do przewidzenia... i on sam przeczuwał.

— Już pan się z nim widział? — zapytała teraz.

— Nie, ale chciałbym jak najczęściéj... i przyszedłem się do pani dowiedzieć...

— Pani Rotte panu ułatwi, pobiegnę do niej, ona jest wielką filantropką i ma stosunki. Będziesz pan mógł chodzić często.

Tu się zatrzymała i po chwili rzekła.

— Postaram się ją zainteresować... on pewno nie ma żadnych środków...

Lecz Krępic jéj przerwał.

— Dziękuję pani, to już rzecz kolegów.

I znowu dni zaczęły zapadać w przeszłość, tylko dla Krępica były samotniejsze niż dawniéj.

Co tydzień odwiedzał Kubackiego, ale ten był rozdrażniony i nawet w początkach nie chciał z nim gadać.

— Trzeba być idyotą! — wołał. — Patrzcie jaki miłosierny, siebie pilnuj i okładów z zimnéj wody nie żałuj!...

Krępic pomimo to chodził jak tylko mógł, ale w pół roku i to się urwało. Padło na mózg i chorego odwieziono do Tworek.

Porozumiał się z kolegami, bo teraz koszty przeniosły jego możność, ale nie zawiódł go żaden, Naftal zaś i Znamieniecki okazali się aż nadto hojnymi.

A dla Krępica były teraz jedyną pociechą wiadomości od Zygmunta, choć zazwyczaj pisał krótko i pośpiesznie. Tylko raz jeden przysłał mu list obszerniejszy i to jeszcze w zimie, po kontraktach kijowskich, które nazywał swojem żniwem.

Nie masz pojęcia — pisał — jaki tu zupełnie inny duch ożywia ludzi. Interes, piéniądz, oto jedyne motory, które tutejszy świat poruszają! My nie mamy pojęcia o podobnéj przedsiębierczości. Człowiek, który dziś stracił posadę, tylko się śmieje, tak wierzy, że jutro dostanie lepszą. Tu nikt nie słyszy o umowach piśmiennych między pracującymi i pracodawcami. Po co, kiedy to krępuje? Właściciele fabryk częściej zmieniają dyrektorów, niż nieraz u nas robotników, a dyrektorzy i urzędnicy bez żadnéj ceremonii rzucają pracodawców, jeżeli tylko dojrzą dla siebie lepsze widoki. A widoków nie brak, bo horyzonty które obejmuje wzrok tutejszych ludzi, są obszerne, sięgają nie tylko Kaukazu, Uralu i Turkiestanu, ale zapadają jeszcze daléj, aż nad brzegami Amuru, rzeki Żółtéj i Niebie-

skiéj i może nie oparłyby się, chyba aż o nieskończoność, gdyby nie ocean, u stóp którego kładą się żądze i ludzka chciwość! Mogłem był dostać posadę nad Amurem i nawet wahałem się co lepiéj, czy tam posiedzieć cztery, pięć lat, czy tu ośm, dziesięć, ale w końcu postanowiłem zostać.

Widziałem też na kontraktach Dembosza. Dostał posadę pomocnika dyrektora, w przędzalni w Iwanowo - Wozniesieńsku. Protegował go jeden z tamtejszych dyrektorów, Bierezowski. Takiem się ucieszył, że aż mię wzruszył. To zawsze dobry chłopak i nie zupełnie jego w tém wina, że nie mógł wyżyć za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Z Wakowiczem często pisują. Wakowicz siedzi zagrzebany na jakiéjś małéj stacyi, na linii kursko-charkowskiéj. Do nas się nie odzywali, bo przypuszczali, że my nie uwzględnimy siły faktów i okoliczności, niezależnych od woli ludzkiéj. Posyłam ci ich adresy. Mówiliśmy też o Kubackim i Dembosz się rozbeczał jak baba. Może zrozumiał, jaka przestrzeń, dzieli nas od niego...

Czy wiész Kato? choć się nie łudzę co do wpływu klimatów i pamiętam o anti-dotach, gdy patrzę na tutejszych ludzi, jest mi zimno. Pisuj do mnie i o tamtych nie zapominaj. I nie licz się z listami, bo ja stale choruję na gorączkę pośpiechu. Pamiętaj!

— Chyba pojadę do niego — pomyślał Krępic.

Było mu ciężko, coraz cięższéj na sercu, a gdy jeszcze przyszła wiosna, nie mógł sobie dać rady. Z ciepłym wiatrem wróciły tęsknoty i smutki, pomieszane z nieokreślonémi pragnieniami szczęścia.

— Trzeba mieć choć jedno ciepłe ludzkie serce... — przypominały mu się słowa Zygmunta i pożądał tego serca, jak pragnący kropli wody.

A potém w nocy zaczęły go nawiedzać sny dziwaczne. Raz mu się marzyło, że wrócił do domu i że mu otworzyła drzwi młoda kobiéta, która go poprowadziła do stołu, nalewała mu herbatę i była jego żoną.

Gdy się zbudził, żałował, że jéj nie pocałował i nie przekonał się, jakie też robi wrażenie pocałunek żony, a potém tyle o tém myślał, że w jakiś czas sen wrócił i dał mu to, czego pragnął.

Jakaś mglista, jasna postać nachyliła się nad nim i całowała go w usta.

— Znowu sen — powiedział sobie, ale równocześnie chciał ten sen przytrzymać i zbudził się. Prawie czuł pocałunek, prawie widział twarz jakby z mgły i światła, więc przymknął oczy i próbował, czy marzenie nie wróci. Ale nie wróciło, a on zaczął myśléć o pannie Emilci.

— Ma czyste czoło Madonny i spojrzenie dziecka, ale jednak jest kobiétą, nie aniołem, a każda kobiéta gdy pokocha, staje się taką jak wszystkie. Może to szkoda, że tak jest, a jednak — co to za potęga miłości i co za zwycięztwo, jeśli takie jak ona i Bodziewiczowa dobrowolnie zarzucą ramiona na szyję mężczyzny!

Krępic już nieraz sprzeniewierzył się dawnéj zasadzie — czego wymagamy od kobiéty, to powinniśmy jéj dawać – ale to, tylko jego samego obniżyło w jego oczach. Kobiéta stała na dawnym piedestale.

Teraz zerwał się z łóżka, zapalił świecę i wyjął z biurka fotografią panny Emilii.

— Jest wiele ładniejszych, dla niektórych, ona może nawet nie jest wcale ładna, ale takiéj saméj chyba drugiéj nie widział. Gdyby mu okazała choć trochę serca, toby ją pokochał, bo czuje w sobie szaloną ochotę do kochania. Może nie był jéj wart, ale gdzież są inni? Widywał gorszych, nawet wstrętnych, ale lepszych od siebie nie spotkał. Pod tym względem są niżsi od kobiét. Kobiéty stanowczo daléj odskoczyły od typu zwierzęcia, a czy mężczyźni dorównają im kiedy, to jeszcze kwestya. Trzebaby zupełnie zmienić dawny system wychowania i dawne moralne kodeksy. Jak téż ona wyobraża sobie życie mężczyzn? Wyspowiadałby jéj się ze wszystkiego — kobiéty wierzą, że żal maże grzechy, a potém nosiłby ją na ręku całe życie... Czyżby już na niego przyszła chwila? Gdy przed rokiem wyjechała z Warszawy, długo o niéj myślał. Potém mu trochę zbladła, ale gdy pani Bodziewiczowa, lub panna Winia odebrały od niéj list, zawsze je prosił o udzielenie nowin i wtedy miał ją przed oczami jak żywą, a świéżą jak kwiat bzu. Było jéj podobno w domu smutno, bo jéj nikt nie rozumiał, rwała się do innego życia i czuła się nieszczęśliwą.

— Szkoda, że nie jest chłopcem — powiedział sobie przed rokiem — ale teraz, nie miał o to do natury żalu. Tego rodzaju kobiéty powinny przecie istniéć, bo któżby rozumiał takich ludzi, jak naprzykład on? Gdyby go pokochała, roztoczyłby przed nią widoki jeszcze szersze i jaśniejsze, niż ona je sobie wyobraża. Nie wątpił, że byłaby zdolną objąć je wzrokiem, a wtedy serce przy sercu, szliby razem — w słońce.

Wziął w rękę fotografią i umieścił ją tak, że światło świécy padło wprost na jasną główkę. Czoło i owal twarzy były dziewiczo czyste, ale pełne usta i ciemne oczy mówiły, że umiałyby całować i patrzéć z miłością.

Sam nie wiedząc jak i kiedy przybliżył portret do twarzy, przycisnął do niego usta i — doznał takiego samego wstrząśnienia jak we śnie.

— Gdybyś mię pokochała dziewczyno!—zawołał głośno i zerwał się zdziwiony swojem szaleństwem.

Co mu się stało? Wiosna zawsze go rozmarzała, ale tak jak dziś, nigdy. Nigdy jeszcze nie czuł takiego namiętnego pragnienia by go kochano i nigdy nie zużył tyle woli na zwalczenie siebie.

Szaleństwo! — myślał potém. — Nie danoby mu jéj. Gdyby miał jedną literę więcéj w nazwisku, mógłby próbować rozkoszy drapania się na kryształową górę, na któréj siedzi królewna, jasno-włosa jak Loreley. Ją może dostać każdy głupi szlachcic, ale chłop, nawet taki jak on — nie!—Wrzucił fotografią do biurka, zamknął szufladę, przyrzekł sobie nie poddawać się nigdy głupim myślom i postanowił, jeśli dostanie urlop jechać do Odesy.

Ale w czerwcu przyszedł list z Karolówki i dowiódł, jak są kruche postanowienia ludzkie, gdy w grę wchodzi serce.

— „Jeśli pan możesz się uwolnić w tym roku—pisał ojciec Zygmunta—to proszę nie zapominaj o Karolówce. Myślałem, że i Zygmunt przyjedzie, ale podobno nie może. Trochę to smutne, gdy młodzi nie rozumieją, że rodzice na starość chcieliby ich widywać częściéj, a gdy nie można, przynajmniéj wiedziéć o nich wszystko."

— Nemezys serca — pomyślał Krępic. — Odsunął od siebie syna, a teraz pragnie widoku obcego człowieka dlatego, że ten człowiek kocha jego dziecko i będzie mu o niém mówił.

Zrobiło mu się żal Zygmuntowego ojca, który może teraz siedział samotnie w zimnym gabinecie, albo się przechadzał po wielkich pokojach pustego domu, w towarzystwie ciężkich myśli.

— Pojadę — rzekł w duchu, a w tejże saméj chwili uczuł wielką radość i Karolówka zaczęła mu w oczach błękitniéć, aż się rozpłynęła za starym ogrodem i śpiczastym dachem Kamionki.

Jak żywą zobaczył pannę Emilcię i zrozumiał skąd radość.

— Pojadę! — zawołał teraz prawie głośno i z uporem.—Fakt, że to mię męczy, więc lepiéj zajrzéć w same oczy temu czemuś, co może ostatecznie jest tylko złudzeniem. To mię uspokoi, albo — mniejsza z tém! Jeśli to miłość, niechże i ja ją poznam z bliska!

Siadł i napisał list do Znamienieckiego, a gdy zamierzał wyjść, by go odnieść na pocztę, wszedł do pokoju Matelski.

Uścisnęli się za ręce, a gdy siedli, gość wydał się Krępicowi jakiś zmieszany.

Poruszał się niespokojnie, patrzył mu w oczy, zaczynał mówić o rzeczach obojętnych i nie kończył, wreszcie rzekł odrazu.

— Ja mam do pana prośbę.

— Proszę, cóż takiego?

Znowu się zmieszał, ale jednak po chwili zaczął:

— Widzi pan, razem bywamy u państwa Rańkowskich, i ja nawet wpierw zacząłem bywać. Ale posadę miałem lichą. Teraz dostałem się do Łodzi, mam sto rubli miesięczsie i nadzieję na podwyżkę. Mógłbym już pomyśléć o własnéj rodzinie... pan wié o kim myślę... ale nie jestem pewny... Znam wartość swoją i pańską, wybór łatwo zgadnąć i... i nie chciałbym narażać jéj i siebie na przykrość odmowy.

Krępic się podniósł i wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję panu i ręczę słowem, że panna Rańkowska nigdy i niczém mi nie okazała żywszéj sympatyi. Byliśmy tylko przyjaciółmi, masz pan wszelkie szanse powodzenia i ja go panu życzę, całém sercem. Oboje, nie mogliście państwo zrobić lepszego wyboru.

Twarz Matelskiego rozjaśniła się tak, jakby na nią padł cały snop promieni, a gdy się rozstali, Krępic poniósł swój list na pocztę i myślał ze smutkiem.

— Ot, i ci będą szczęśliwi!

A potém zabrał się gorączkowo do pracy i co dzień liczył dni, które go jeszcze dzieliły od dnia wyjazdu z Warszawy. Upały i duszność stawały mu się tak nieznośnemi, że teraz wcale nie mógł pojąć, jakim sposobem wytrwał trzy lata i jak wytrwają ci, którzy zostaną.

W przeddzień wyjazdu poszedł pożegnać Bodziewicza i zapytać, czy nie ma jakiego zlecenia do żony, która już od paru tygodni bawiła w Kamionce.

Bodziewicz był tém widocznie ujęty i bardzo serdecznie uścisnął mu obie ręce.

— Dziękuję, — mówił. — Powiédz jéj pan, że jestem zdrów i że jak mogę radzę sobie, żeby za niemi nie tęsknić! A niech uważa na dzieci i w razie jakiego wypadku da mi znać natychmiast. Co mnie to jezioro kosztuje, to pan nie ma pojęcia! Codzień mi się śni, że wyciągają siecią, albo Janka, albo Marysię. Niech jéj pan to powié. Jutro przyjdę na pociąg i przyniosę dla nich paczkę, niewielką. Czy można?

— Ale i największą! — rzekł Krępic i pożegnawszy go, poszedł na Smolną.

Nie był tam już trzy tygodnie, nic nie wiedział jak się powiodło Matelskiemu, ale że się u niego nie pokazał, więc pewno dobrze. W szczęściu zapomina się o innych i dziś może wypadnie złożyć życzenia pannie Wini. Lecz panna Winia wyjechala z partyą dzieci na ko-

lonie letnie, najstarszy z synów przyjął korepetycye i także wyjechał na wieś, a pani Rańkowska wzdychała—że mąż nie może sobie pozwolić na odpoczynek i że najmłodsze dzieci nawet nie znają wsi. O sobie nic nie mówiła, choć przy wielkiéj tuszy, może najtrudniéj było jéj znosić upały.

Krępic był tak zdziwiony wyjazdem panny Wini, że je otwarcie objawił.

A pani Rańkowska domyśliwszy się co miał właściwie na myśli—rzekła smutnie.

— Tak. To bardzo porządny człowiek, lecz dzisiejsze dziewczęta są naprawdę trochę inne niż dawniejsze. Nie zupełnie dowierzałam Wini, a jednakże teraz mię przekonała, że naprawdę nie myśli iść za mąż. Matki, jakto matki! Chciałyby mieć wnuków i w tém widzą szczęście, ale jeżeli jéj tak lepiéj, to i chwała Bogu!

Krępic nie wiedzieć czemu wyszedł ztamtąd z przykrém wrażeniem. Raz zazdrościł Matelskiemu, teraz znów było mu go żal, lecz zaczął się zbiérać do podróży i wrażenie minęło.

A nazajutrz, już zastał na dworcu Bodziewicza. Przyszedł obładowany paczkami jak wielbląd i z trochę dziecinnym uśmiechem po kolei je wręczał Krępicowi.

— To dla Marychny, to dla Janka, a to dla Marysi — mówił i był przytém rozpromieniony na podobieństwo księżyca w pełni.

— Na każdéj paczce są napisy, żeby się pan nie pomylił — ciągnął daléj uśmiechając się i ruszając obwisłemi wąsami, co było u niego objawem wzruszenia.

W końcu podał jeszcze jedną paczkę, bardzo dużą.

— To dla Marysi na imieniny. Niech matka schowa i nie pokaże dzieciom, aż w sam dzień piętnastego sierpnia. I wiész pan co to jest?

A gdy Krępic poruszył głową na znak bezwzględnéj nieświadomości, Bodziewicz dodał tajemniczo:

— To wóz drabiniasty. Marzyli o takim, bo oni sobie rwą trawę i układają w stogi, ale wtenczas był dla mnie za drogi. W lipcu zawsze wszystko tańsze.

Już pociąg ruszył, a on jeszcze objaśniał, biegł obok wagonu, machał kapeluszem i wołał.

— Uściskaj pan dzieci, nie zapomnij i powiédz, że to od tatusia. Matka niech im codzień mówi o mnie i niech pisze dwa razy na tydzień. Ja tak samo będę pisał, a jeśli nie odbierze listu, niech się nie martwi, bo z pewnością zginął na poczcie...

Pociąg pędził, Warszawa przepadła, a myśli Krępica leciały jak ptaki.

Było mu lekko na sercu, w oknie stał, oddychał nareszcie i rozkoszował się widokiem obszarów, mozajkowanych żytem, pszenicą, ciemną zielenią jarzyn, fioletem ugorów i śniegiem kwitnących kartofli.

Na stacyi jak niegdyś, czekał na niego węgierski wózek, czwórka szpaków i Pipczyński.

— Jak się macie!

— Dziękuję, dobrze — proszę jaśnie... proszę wielmo... proszę pana.

— Pan zdrów?

— A zdrów jasny pon tylko na głowie dycht zbioloł.

A w pół godziny potém wjechali na wzgórze i Krępic znowu ujrzał jar, który mu się teraz wydał podobny do wielkiéj, podłużnéj czary o brzegach miejscami rzeźbionych w skarpy i żółte, gliniaste wyrwy, miejscami oddychających falami zboża i przystrojonych dwoma wielkiémi bukietami, Kamionką i Karolówką. Czara była nalana Jeziorem jak światłem. Po łąkach chodziła cisza i drzémały szare kopy.

Gdy przejeżdżali tuż przy parkanie ogrodu Kamionki, Krępica wzięła chęć wstąpić, ale się przezwyciężył.

— Jutro uprzedzę pana Znamienieckiego i odwiozę paczki — pomyślał i jechał daléj.

Na ganku Karolewieckiego dworu czekał na niego sam gospodarz.

Rzeczywiście osiwiał i ogromnie się pochylił od czasu, jak go ostatni raz widział Krępic. Powitał gościa bardzo serdecznie, sam objaśniał służącego, by zaniósł rzeczy do pokoju pana Zygmunta i był jakiś gorączkowo ruchliwy.

— Pewno go opadły wspomnienia o Zygmuncie — pomyślał Krępic i gdy się znaleźli w gabinecie, umyślnie zaczął mówić o interesach.

Poczém wyjął z bocznéj kieszeni paczkę, wręczył ją gospodarzowi i rzekł.

— Zygmunt dał mi upoważnienie do podnoszenia swoich kapitałów i do umieszczania ich na Karolówce. Tu jest siedm tysięcy rubli, a na przyszły rok, mamy nadzieję, będzie dwa razy tyle.

Twarz gospodarza odrazu przybrała swój zwykły wyraz. Rozmawiali jeszcze chwilę o interesach odeskiéj filii, a potém przeszli na obiad.

Przy czarnéj kawie Znamieniecki rzekł, — że miał dzisiaj list od

Bodziewiczowéj, która zapytuje, czy pan Krępic już jest i widocznie pragnie mieć wiadomości o mężu.

— Pan pewno będziesz często zaglądał z nudów do Kamionki,— dodał—konie i łódka są zawsze gotowe. Proszę się niczém nie krępować i rozporządzać wszystkiém, nie jak u ojca Zygmunta, lecz jak u niego samego.

Po obiedzie Krępic przedewszystkiém odszukał Bonię, która czekała na niego już naprzód spłakana i ucałowała go tak, jak gdyby był Zygmuntem. Ale z nią rozmowa była teraz trudna Potrochu zdziecinniała, potrochu zestarzała się i spadła z sił i bezustannie powtarzała jedno.

— Już ja stara jestem i tego biedaka nie doczekam i już go nie ujrzą moje oczy, a jak Emilcia spyta o niego — tylko ręce rozłożę, bo nic nie wiem, nic! takam nieszczęśliwa!

Wyszedł od niéj trochę rozdraźniony, przeszedł się po ogrodzie, wreszcie postanowił jeszcze dziś jechać do Kamionki.

A gdy już ten zamiar powziął, ogarnęła go pusta wesołość. Gwiżdżąc wpadł do przedsionka, powiedział służącemu, że na herbatę nie wróci, a potém zabrał wszystkie paczki Bodziewicza i puścił się łodzią na jezioro.

Nareszcie miał przestrzeń bez końca, widział jak horyzont obejmuje ziemię od wschodu na zachód, oddychał światłem, myślał szafirami jeziora i nieba.

Ale łódź uderzyła o brzeg przeciwny i zbudziła go ze snu.

W altanie nie było nikogo, że jednakże z ogrodu dolatywał śmiéch dzieci, zabrał paczki i poszedł w stronę skąd dochodziły głosy. Na końcu szpaleru Janek i Marysia sypali kopiec z piasku, który nosili rączkami. Na jego widok, chłopak pierwszy krzyknął—pan Klępic! — za nim Marysia powtórzyła to samo, poczém oboje puścili się do niego co sił, raz po raz wybuchając śmiéchem.

— Gdzie mamusia? — zapytał malców i ucałował opalone buziaki.

— Mamusia — w domu — rzekł Janek i wsunąwszy rączkę w jego rękę, począł go prowadzić.

A przez drogę gość dowiedział się jeszcze, że babcia jest zła, bo ciocia Emilcia nie usmażyła malin, nie przyszyła dziadziusiowi guzika do kamizelki, zapomniała o podwieczorku i poszła do lasu.

— Do lasu — potwierdziła Marysia, poczém wszystko troje weszli przez werendę do salonu, gdzie dzieci zostawiły go samego.

Lecz po chwili wróciły prowadząc w tryumfie matkę i oboje państwa Olchowiczów. Nastąpiły powitania, rozwiązywanie paczek,

okrzyki radości dzieci, pytania i odpowiedzi, wreszcie zabrano Krępica na podwieczorek.

— A gdzie Emilcia? — zapytał nagle Olchowicz i rozejrzał się po jadalnym pokoju.

— Nie wiem. Teraz dzieci nie opowiadają się rodzicom co robią i dokąd chodzą.

Pani Olchowiczowa powiedziała to trochę cierpko, a Krępic zauważył, że córka spojrzała na nią z wymówką i że jéj leciuchno drżały usta, gdy mówiła.

— Poszła do lasu ojczulku, bo ją dziś bolała głowa. Ja sama ją namówiłam, żeby się przeszła.

— No tak, zapewne, ale mogłaby wrócić na podwieczorek i matkę wyręczyć — mruknął gospodarz. — Pewno mléka dla mnie nie ma.

— Jest ojczulku.

— Ale pewno bez lodu.

— I owszem z lodem.

Olchowicz się rozpogodził, rozpiął płócienną kurtkę i siadając przed wielkim dzbankiem mléka—mówił.

— Powiadam panu, że nie ma w lecie, jak mléko z lodem. Niech się schowają wasze wszystkie miejskie delicye!

Ale na werendzie, a potém w salonie dały się teraz słyszéć lekkie, bardzo szybkie kroki, Krępic uczuł, że mu krew nabiegła do twarzy, a do pokoju wbiegła panna Emilcia.

Trzymała w ręku kapelusz, włosy miała rozwiane, na twarzy mocne rumieńce i oddychała ciężko.

— Przepraszam mamusię — zaczęła zaraz ode drzwi i wysilona oparła się o ścianę, — myślałam, że zdążę. Już wracałam z lasu, gdy spotkałam starą Celmerkę. Powiedziała mi, że Zośka, jéj wnuczka, wié mamusia, ta co służyła we dworze do Nowego roku — umiéra i że ona musi ją samą zostawić i musi iść do Leszczyn, bo tam jedna baba się zna na takich chorobach. Chałupa tuż pod lasem, więc powiedziałam, że ja przez ten czas posiedzę przy Zośce, a ona...

— Czego ty mi się włóczysz po chłopach? — wrzasnął nagle Olchowicz takim głosem, że szyby zadrżały, a dzieci wybuchnęły płaczem.

Był czerwony jak sukno. Panna Emilcia mimowoli się cofnęła, a pani Bodziewiczowa spojrzała na niego ze zdziwieniem, poczém zbliżyła się do siostry i rzekła spokojnie:

— Nie mogłaś inaczéj zrobić. Co jest Zośce?

— Dziecko ma—szepnęła dziewczyna i patrzyła na nią z wdzięcznością. — Ledwie oddycha taka blada, ale jak dałam małéj rumianku, to się uśmiechnęła... Takie malutkie dziecko... a tatuś jeszcze na mnie...

Teraz pani Marychna się trochę zmieszała i spojrzała na matkę, pani Olchowiczowa zaś patrzyła na Krępica i szeptała ze zgrozą:

— Jezus Marya! do położnic chodzi — taka młoda dziewczyna... koniec świata!

Panna Emilcia nie spostrzegła dotąd gościa, bo go zasłaniały barczyste plecy ojca, ale teraz poszła za wzrokiem matki i — cała stanęła w pąsach. A Krępic się zbliżył, ujął jéj rękę i sam nie wiedząc, co robi, poniósł ją do ust jak relikwiarz.

W pokoju zrobiła się cisza. Pan Olchowicz nalał sobie mléka i pił je duszkiem, pani Olchowiczowa osłupiała i dopiéro pani Marychna pierwsza przerwała niemiłe milczenie. Spojrzała na Krępica z wdzięcznością, pogładziła siostrę po twarzy i prowadząc ją do stołu, rzekła:

— Pójdź, napij się mléka, to się ochłodzisz, siostrzyczko.

Ale pomimo to, nie było już swobody przy tym dużym stole, mówiono mało i wszyscy odetchnęli, gdy nareszcie gospodarz się podniósł i przeprosiwszy Krępica — że to ten, tego żniwa i robota — wyszedł.

Panna Emilcia chciała także wysunąć się niepostrzeżenie, ale matka zatrzymała ją pytaniem:

— Dokąd idziesz, Emilciu?

— Jeszcze nie usmażyłam malin i nie skończyłam... — zaczęła.

— No, no, ja za ciebie zrobię, a ty idź z Marychną do ogrodu i odpocznij.

W oczach córki, skierowanych na twarz matki, odbiło się takie żdziwienie, że pani Olchowiczowa się zmieszała i dodała, jakby się tłómacząc:

— Marychna już usmażyła syrop, więc tylko wrzucę maliny, możesz iść.

A Krępic, którego wzrok prawie nie schodził z twarzy dziewczyny, dostrzegł teraz na jéj ustach trochę szyderski uśmiéch. Wyszli we troje do ogrodu, dzieci pobiegły przodem, pani Bodziewiczowa zaś zwróciła się wtedy do siostry i rzekła łagodnie:

— Nie powinnaś była, Emilciu, opowiadać rodzicom, że byłaś u Zośki. Przecie znasz mamę, po co jéj robić przykrość.

Dziewczyna skrzywiła usta ironicznie.

— Masz racyę, Marychno. Nie powinnam była tam chodzić, choćby nawet od tego zależało ludzkie życie. Ale wy musicie się z tém pogodzić, że jestem dziwadło, jak mówi mama, że nie umiem się wstydzić rzeczy, których się nie wstydzi natura i że pewno jeszcze nie raz popełnię nieprzyzwoitość. Tak, nawet mi wszystko jedno, że pan Krępic był przy tém.

Ostatnie wyrazy wymówiła głośniéj i energiczniéj, ale równocześnie rumieniec począł jéj zabiérać policzki, czoło, uszy i spłynął aż na szyję.

Nie było jéj wszystko jedno, ale tak, czy owak, wydała się teraz Krępicowi biédną, niezrozumianą i w dodatku tak ładną, że miał ochotę całować bodaj ślad jéj nóżek, albo sukienkę.

A pani Bodziewiczowa otoczyła ją ramieniem i rzekła spokojnie:

— Nie zrozumiałaś mnie, Emilciu. Jabym tak samo postąpiła, jak ty i nawet tam trzeba będzie iść się dowiedzieć — ale mama nie może tego zrozumieć, mama jest inaczéj wychowana i ty się musisz z tém liczyć.

Dziewczyna nie słuchała końca. Schwyciła rękę siostry i nim się ta spostrzegła, poniosła do ust.

— Przepraszam cię, Marychno, jesteś lepsza ode mnie, sto razy lepsza! Widzisz, ja obiecałam, że jutro znowu przyjdę... dziękuję ci!

Pani Marychna się śmiała.

— No, patrz pan tylko! Nagadała mi co się zmieści, a teraz nie ma lepszéj ode mnie. Czyś pan kiedy widział taką zapałkę.

Krępic odparł z głębokiem przekonaniem, że nie widział nigdy— poczém zaczęli rozmawiać weselćj, tylko panna Emilia była ciągle jakby nie swoja, a on tylko z wysiłkiem odwracał od niéj oczy.

A gdy odjeżdżał wieczorem, był jakby pijany. Na środku jeziora położył wiosło, wyciągnął się w łodzi i podłożywszy ręce pod głowę — patrzył. Miał pieśń w duszy, a od téj pieśni rozkołysała się łódź i jezioro, powtarzały ją sobie szuwary na brzegu i opary na łące, tą pieśnią drgało niebo i cały świat, a każdy jéj ton rodził się w jego sercu i konał, aż gdzieś ponad gwiazdami.

Krępic powiedział sobie wtedy, że to już chyba jest kochanie, owo jedno, jedyne, że będzie teraz o nie walczył z nią i ze wszystkiemi przesądami świata i że albo zwycięży, albo—albo...

Lecz tu jego myśli gasły, jak pochodnie zanurzone w wodzie. Téj nocy nie spał dobrze, budził się co chwila, nie mógł się doczekać dnia, wreszcie wstał i wyjrzał przez okno.

Na prawo, za lasem dębowym jak race tryskały strumienie wschodzącego słońca, miały wszystkie kolory tęczy i koronkowe czuby drzew napoiły krwią. Niebo było w tém miejscu złote, nad łąkami białawe, a daléj, ku zachodowi płynął błękit, szafiry i wszystkie kolory fioletu. A na północy wałęsało się stado chmurek i niosło w łonie śnieg i spóźnione róże, jezioro było bez barwy, bo spało w tumanach, przestrzeń między niebem i jeziorem wypełniał wilgotny, białawy, a przecie przejrzysty płyn—powietrze letniego poranku.

Że jednakże była niedziela, te wszystkie czary i uroki zdawały się oddychać spokojem innym, niż zwykle, odświętnym, niedzielnym.

Krępic uczuł się rozrzewnionym.

— Świat jest dobry. Ona i ten wschód słońca to jedno. Może są lepsze, może są piękniejsze, ale on taką woli. Musiał ją kochać już bardzo dawno, tylko nie wiedział. Może ją kochał nawet nie znając? Teraz tak mu się zdawało. Na świat z tém przyszedł, to w sobie nosił, póty aż dojrzało samo i bez jego woli i wiedzy skrystalizowało się w niéj, takiéj, jaką wczoraj widział. Zresztą, co mu z tego przyjdzie, jak się to stało i co się z tém stanie później? Oto jest mu dobrze wsłuchiwać się w pierwsze drgania serca, przy takim niedzielnym wschodzie słońca. Nie myśli, tylko czuje — te wszystkie rosy, to płynne powietrze, tę całą świeżość ranka ma w sobie — jest tém wszystkiém.

Ubrał się, zeszedł cicho na dół, minął ogród skąpany w rosie i rozśpiewany ptastwem, wsiadł w łódkę i puścił się ku zachodowi, między mgły i tumany. Wyglądał na téj mlecznéj przestrzeni, jak nieznaczny punkt, jak kawałek kory rzucony bezmyślną ręką, jak nic! a jednak czuł się królem i panem. Piękno, które go otaczało, istniało i będzie istnieć, choć jego nie stanie, ale teraz on je miał w sobie i czuł—a piękno nic nie czuje. On tu jest królem, nie natura!

Gdy dotarł do przeciwnego brzegu jeziora i zawrócił z powrotem, powietrze już było czyste jak kryształ, resztki poszarpanéj mgły kryły się między trzciny i sitowia nadbrzeżne, a łąka pod lasem była przetykana rosą, jak opalami. Posuwał się teraz wzdłuż szeregu chat Kamionki, patrzących na niego z góry. Poniżéj był wąski gaj olszowy, bramowany od strony jeziora gęstym lasem trzciny, a w gaju kwitły dziwne kwiaty. Były niebieskie, z główkami białemi, różowe z żółte-

mi, żółte z zielonemi, szare i zupełnie ciemne. Stały bez ruchu, albo się przesuwały jak cienie, rosły pojedyńczo albo grupami, jak bukiety i wprowadziły Krępica w podziw. Zwrócił łódź w kierunku brzegu i także cichy jak cień, podsunął się pod sam las trzcinowy. Teraz doleciał go jakiś szmer, podobny do szmeru wody. Ostrożnie wcisnął się między trzciny, a gdy łódź się zatrzymała i ustał chrzęst łamanych łodyg, doleciał go wyraźny, czysty głos:

Nawet stary stojący zégar kurantowy
W drewnianéj szafie poznał, u wnijścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszéć mazurek.

Krępic wypuścił z rąk wiosła. Z zapartym oddechem siedział w swojéj łodzi, a głos panny Emilci dochodził do niego coraz wyraźniejszy i czystszy. A gdy ucichł i ucichł gwar, który jeszcze długo potém panował, z olszynki poczęły się wysuwać barwne i szare kwiaty— trochę mężczyzn i kobiét i dużo dzieci.

Krępic widział, jak to wszystko dążyło do wsi stromą ścieżką pod górę i dojrzał jeszcze dwie łodzie: z których jedna mieściła w sobie kilkoro wyrostków i sunęła prosto do Karolówki, a druga płynęła brzegiem, w kierunku altany w Kamionce.

Ta druga prawie się otarła o trzciny, za któremi był ukryty, potém wypłynęła na pełne jezioro i uniosła z sobą dziewczynę, w jasnéj sukience i w dużym kapeluszu.

Krępic uczuł wyraźnie, że w téj łodzi mieści się coś bardzo dla niego drogiego. Chwycił za wiosła i począł ten swój skarb gonić, ale i panna Emilcia wiosłowała doskonale. Na nieszczęście czy też szczęście, zapatrzona przed siebie utknęła z łodzią na piaszczystéj ławie, których było pełno od strony Kamionki, a wtedy Krępic wytężył siły i po chwili zbliżył się tyle, że wstał i zawołał głośno:

— Dzień dobry pani! Proszę się nie męczyć, ja zaraz pomogę.

Dziewczyna odwróciła się szybko, a na jéj twarzy ukazało się wielkie żdziwienie.

— Co pan tu robisz tak rano?—zapytała bez uśmiechu.

— Zaraz to wytłómaczę, tylko niech się pani nie męczy.

Jeszcze kilka razy uderzył silnie wiosłami i już był przy niéj. Położył wiosła, ujął linkę swojéj łodzi, potém wychyliwszy się, schwycił za brzeg łodzi panny Emilci i zdjął kapelusz.

— Mam zamiar wyspowiadać się z wielkiego grzechu — zaczął — ale przedewszystkiém muszę stąd panią wydobyć, czy można?

Była w jego wzroku prośba, radość i jeszcze coś takiego, czego panna Emilcia nigdy przedtém nie widziała w tych poważnych oczach.

Przyglądała mu się ciekawie i po chwili rzekła:

— I owszem, jeśli pan masz ochotę. Zazwyczaj sama sobie daję radę, a najczęściéj nie zdarza mi się nic podobnego. Dziś płynęłam zablisko brzegu.

Więc on wskoczył do jéj łodzi, przywiązał do niéj swoją, a potém oparł się wiosłem o podwodny piasek i w jednéj chwili oba czółna zakołysały się na głębinie.

— Jesteśmy w porządku — rzekł i siadł naprzeciw niéj na ławeczce.

— Dziękuję. Ale co pan tu robi tak rano?—powtórzyła.

— Obecnie już nie jest rano, bo dochodzi ósma, ale ja tu jestem od wschodu słońca. Pierwszy raz przejechałem całe jezioro wzdłuż, a gdym wracał zastanowiła mnie olszynka, więc podpłynąłem, ukryłem się w trzcinę i—także korzystałem z odczytu.

Zmieszała się.

— I dużo pan skorzystałeś?

— Bardzo wiele. Znowu się dowiedziałem, że jeszcze nie należy wątpić. Czy pani codziennie wykłada z téj poetycznéj katedry?

— Codziennie?! — wzruszyła ramionami. — Nie, tylko raz w tydzień, bo moje audytoryum w inne dni pasie gęsi i krowy.

— Ale w zimie może codzień?

— W zimie na dworze jest za chłodno, a w domu... Widzi pan, ja się chciałam choć o to w życiu zaczepić, ale mama nigdy nie może dostać na wsi gęsiarki i twierdzi, że chłop nie umié być wdzięcznym, więc nie warto się dla niego poświęcać. A ojciec powiedział, że to są faramuszki niebezpieczne i skutkiem tego, jak byłam, tak pozostałam liściem, który może sobie zwiednąć bez szkody dla drzewa. Trzeba się z tém pogodzić—trudno!

Podniosła główkę w górę i utkwiła oczy w niebo, a Krępic zobaczył, że zrobiła to dlatego, aby powstrzymać łzy.

Zdjęła go wtedy ochota wziąć ją w ramiona i wołać:

— Pójdź ze mną najdroższa! Będziemy razem nieśli nadzieję, wiarę i miłość i światło—tylko pójdź!

Ale nie powiedział nic, wiosłował zawzięcie, a ona po chwili roześmiała się trochę nienaturalnie, zrzuciła z głowy kapelusz i zanurzywszy rączki w wodzie, rzekła:

 Ponieważ pan, zgodnie z obecnym ustrojem, podjąłeś za mnie wszystkie trudy, więc ja, jak przystało panience, będę się bawiła w dziecko, któremu gorąco.

Przyglądała się swoim cienkim palcom, w wodzie zupełnie różowym, a on patrzył na nie także, mówił sobie w duszy, że są prześliczne, głośno zaś rzekł, aby coś powiedzieć:

— Pani pewno często jeździ po jeziorze?

— Nie, bo to nie wypada. Jeżeli jestem kiedy bardzo zła i już nie wiem co z sobą zrobić wtedy mniéj na to zwracam uwagi, idę do lasu tam i z powrotem pieszo, albo zabiéram największą łódź i puszczam się jak najdaléj. Zawsze potém śpię doskonale i przez parę dni jestem lepsza.

— Czy wolno zapytać, co pani rozumié przez to „lepsza"?

— To, że się zaczynam ucierać, jak mówi mama i godzić z mojém przeznaczeniem.

Krępic się uśmiechnął.

— Alboż pani wié, jakie jest jéj przeznaczenie?

— Naturalnie, że wiem. Albo będę starą panną, będę wiecznie zeszywała ojcu rękawiczki i wyręczała mamę, albo wyjdę za mąż za jednego z panów Stobickich. To ostatnie jest pewniejsze.

Krępic uczuł w sobie coś, czego nie byłby w stanie określić. Wypuścił z ręki wiosło, potém nachylił się po nie i nie patrząc na dziewczynę, zapytał:

— Kto to są panowie Stobiccy?

— Nasi sąsiedzi. Jest ich aż czterech, więc jest i nadzieja, że się który we mnie zakocha. Bardzo sympatyczni młodzi ludzie, tylko sztuki bawienia dam uczą się z Ollendorfa.

Umilkła na chwilę i przyglądała się swoim palcom, mokrym od wody, a Krępic zapomniał o wiosłowaniu i otoczyła ich na jeziorze zupełna cisza, która wszakże nie zakłopotała panny Emilii.

Uśmiechnęła się do własnych myśli, poczém rzekła:

— Raz zauważyłam głośno, że pan Edward Stobicki ładnie tańczy oberka, a na to pan Józef tak mi odpowiedział: Mój brat lepiéj tańczy, ale ja się lepiéj od niego ubiéram.

Wybuchnęła pustym śmiechem, Krępic zaś popatrzył na nią poważnie i rzekł prawie surowo:

— Pani poszłabyś za takiego człowieka?

— Czy poszłabym—to jedna rzecz, a czy pójdę — to druga. Jeżeli czasami mam ochotę kaszlać, a każą mi kichać, to wtedy nasuwa mi się myśl, że panu Stobickiemu przynajmniéj takie rzeczy byłyby obojętne i że swobody zawszebym trochę zyskała. Swobodę tylko ten

ceni, kto jéj nie ma. Widzi pan, ja siebie analizuję od rana do nocy, bo cérowanie, przyszywanie guzików i inne podobne społeczne prace, ogromnie uspasabiają do takiéj analizy i widzę, że jeśli się dam utrzéć, to pójdę za pana Stobickiego z dobréj woli, a jeśli się nie utrę, to po pierwszéj lepszéj burzy, których nie brak w mojéj rogatéj duszy, pójdę za niego z desperacyi.

Utkwiła w twarzy Krępica oczy, w których już nie było śmiechu i mówiła daléj:

— Ja będę z panem zupełnie otwartą, bo wiem, że pan mnie zrozumié. Nie jestem dzieckiem, mam pojęcie, co to jest małżeństwo, uważam je za poniżenie kobiéty i gdybym miała prawo wyboru, wybrałabym sobie inny zawód. Ale tego prawa nie mam, a po za tém wszystko mi jedno, ten czy ów. Jeśli wyjdę za pana Stobickiego, będę mieszkała na wsi i zrobię wiele dobrego. Moja godność będzie ofiarą, złożoną na tym ołtarzu, na którym inni składają życie...

W głowie Krępica zawirowało. Nachylił się, schwycił ją za rączki i zaczął mówić jak nieprzytomny.

— Nie rób tego, panno Emilio, przez litość... nigdy! Pani nie rozumiész, co to jest małżeństwo, pani sobie wyrobiłaś zupełnie fałszywe pojęcia, a jeśli chcesz iść bez żadnego przekonania, tylko dlatego, żeby miéć więcéj swobody, to... to weź przynajmniéj człowieka, który myśli i wierzy jak ty, który cię kocha i który połowę życia poświęci na to, żeby zdobyć twoje serce i zrobić cię szczęśliwą! Dziecko biédne, ja jestem tylko synem chłopa, a ciebie pewno wychowano w przesądach, ale ten chłop lepiéj cię zrozumié, niż pan Stobicki... nasze dusze są bliższe, będziesz szczęśliwsza ze mną...

Głos mu przycichł i przeszedł w gorący szept, w którym była trwoga, błaganie i moc uczucia.

A panna Emilcia skamieniała. Zbladła i tak drżała, że Krępic słyszał wyraźnie, jak jéj dzwoniły ząbki.

To go oprzytomniło. Puścił ją, odsunął się, a widząc, że ma w oczach niewysłowiony przestrach, czuł ochotę bić się, albo szczypać i gotów był zrobić wiele, by cofnąć to, co powiedział. Jak waryat, postawił wszystko na karcie, a teraz co? Oto ona siedziała ogłuszona jego wybuchem, a on powoli zbiérał myśli i napróżno wysilał mózg, jakby złe naprawić!

— Panno Emilio—zaczął wreszcie smutno—wiem, że postąpiłem jak szaleniec i nigdy sobie tego nie daruję. Ale ty sobie nic nie wyrzucaj, bo to nie twoja wina, to się we mnie samo zrodziło, już dawno,

bardzo dawno! Pani nie możesz się wiązać z człowiekiem, którego nie kochasz, bo choć ci się to wydawało tak łatwém, teraz twoja natura się na to wzdryga. Zapomnij o tym dniu, ale... ale gdybyś mnie kiedy lepiéj poznała... gdyby twoje serce za mną przemówiło, licz na mnie zawsze... ja będę czekał całe życie... Panno Emilio, niech pani co powié, bo ja na to nie mogę patrzéć!

Poruszyła ustami, ale te usta ciągle jeszcze drżały i nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Więc on teraz zaczął prosić, żeby wzięła ręką trochę wody i napiła się parę kropel.

Usłuchała go, potém odetchnęła głęboko i nie patrząc na niego, rzekła cicho:

— Ja dzisiaj nic panu nie powiem — nie wiedziałam, że to robi takie wrażenie i nic nie wiem, bo nie mogę myśléć. Niech mnie pan odwiezie do domu.

Krępic nic się już nie odezwał, tylko skierował łódź w kierunku altany. Rozmawiając, a właściwie słuchając, jak ona mówiła, umyślnie podpłynął na środek jeziora, by dłużéj na nią patrzéć i teraz trzeba było zawrócić.

Gdy się znaleźli przy brzegu, dziewczyna wyskoczyła i jak uwolniony ptak, chwilę szła wolno, a potém pędem pobiegła w szpaler. Z chaosu, który miała w myślach, poczęły się teraz odczepiać pojedyncze wyrazy Krępica i leciały razem z nią.

— Weź człowieka, który myśli jak ty i który cię kocha!... Kocha!

Przystanęła i przycisnęła ręce do twarzy, która pałała, a w okolicy serca uczuła jakby leciuchne drżenie, które szło wolno aż do gardła i nie było przykre. Przymknęła oczy.

— Kocha ją już oddawna i ona nic nie wiedziała! Ciągle się czyta i słyszy ten wyraz, ale to nie to. Gdyby tylko chciała, odrazu weszłaby w inny świat. Jedno słowo, jeden krok, oto zawrócić i krzyknąć za nim — dobrze!

Ale zamiast zawrócić, zaczęła znowu biedz przed siebie i myślała daléj:

— Czy też byłby szczęśliwy i jakby też wyglądał? Ciocia Winia bardzo go ceni... Jest prawdziwym człowiekiem, wykształconym i nie filistrem... To jednak dziwne, że i tacy myślą o dzieciństwach!... I dlaczego on kocha właśnie ją, która nic nie umié i jest niczém, a nie kocha cioci Wini, którą przecie zna także i do tego lepiéj...

Uczuła, że w niéj zbiéra ogromna duma.

— Jest inny niż ojciec, Jaś i wszyscy Stobiccy. Poświęci połowę życia, żeby zdobyć jéj serce—połowę, nie całe—on oprócz niéj ma

jeszcze co innego do kochania—jest przedewszystkiém człowiekiem... Czy też cierpiałby, gdyby się nie mogła w nim zakochać i czy też by ją długo pamiętał?

— Weź tego, który cię kocha! — wróciło echo i znowu zadrżało w niéj serce.

Ale teraz nie przymknęła oczu tylko biegła wciąż przed siebie, bo równocześnie przypomniało jéj się śniadanie.

Codzień ojciec przychodził na nie o siódméj i ona musiała być także, bo nie lubił siedzieć sam przy stole, ale w niedzielę robił wypłaty i dopiéro o dziewiątéj wszyscy pili herbatę razem. Nie wzięła zégarka i nie miała pojęcia o godzinie.

Zadyszana wpadła na werendę i do salonu, którego drzwi już były otwarte. W całym domu cisza, tylko z gabinetu ojca dochodziły głosy.

— Zdążyła!

Cicho weszła do jadalnego pokoju i spojrzała na zégar. Brakowało kwadransa do dziewiątéj, więc kazała podawać samowar, zaparzyła herbatę, posłała po mléko i masło, a resztę zostawiła na późniéj.

Czuła, że jest czerwona i miała włosy rozwiane.

— Trzeba się umyć i przyczesać, jeszcze zdąży — myślała i na palcach wbiegłszy do sieni poczęła się skradać na schody. — Mama zwykle przychodzi w niedzielę na gawędkę do Marychny i pewno teraz jest także, ale to nic, ona się załatwi cicho i prędko.

Weszła ostrożnie i zaraz spojrzała na drzwi prowadzące z jéj pokoju do pokoju Marychny. Były tylko przymknięte i siostra właśnie mówiła:

— Jest bardzo porządny człowiek, mamusiu, i gdyby się tylko pokochali, mogliby być szczęśliwi. Teraz ludzie mało zwracają uwagi na parentelę.

— To się tylko tak mówi, moje dziecko. Zawsze co rodzina, to rodzina. I owszem, niech sobie często bywa — dla panny zawsze lepiéj, gdy ma więcéj konkurentów. Może to zachęci Stobickiego.

— Ależ, mamusiu, czyżto mąż dla Emilci? Nie mówię już o tém, że ojciec Stobickiéj był karczmarzem, co jest gorsze, niż gdyby był uczciwym chłopem, ale Emilcia musi w swoim mężu widzieć człowieka, ona jest za inteligentna, żeby mogła pokochać takiego pana Józefa.

W głosie pani Marychny było czuć hamowane rozdrażnienie, ale matka odparła spokojnie.

— To są wszystko gadania przed ślubem. Po ślubie go pokocha, jak zwykle wszystkie panny. Nie mówię, żeby Krępic miał porządną posadę, możnaby na resztę zamknąć oczy, ale jeśli powiadasz, że sto rubli miesięcznie, to zastanów-że się, kobiéto? Emilka nic nie umié, jest niepraktyczna, nie będzie z niéj gospodyni i w życiu nie dałaby sobie rady, choć jéj się zdaje, że wszystkie rozumy pojadła. Zawsze tym lepiéj na świecie, co mają czém łzy ociérać.

Pani Marychna musiala się zerwać, bo odsunęła krzeslo.

— Nie, mamusiu, nie!—wołała. — Ja nie mam czém łez ociérać, ale téż i ociérać nie potrzebuję, bo ich nie znam. Zresztą Emilcia jest inna, niż ja. Ona jeszcze nie powinna wychodzić za mąż, bo jest za wielkie dziecko, pomimo swoich lat i swojéj inteligencyi, a już co bez miłości, to nie powinna iść wcale. Ja właśnie chciałam prosić mamusię, żebyście mi ją dali do Warszawy. Niech się czego nauczy, niech popróbuje swoich sił i niech się rozejrzy po świecie i ludziach. Może wtedy lepiéj zrozumié mamusię, więcéj wniknie w siebie i w niektóre rzeczy, które ją teraz oburzają.

— Co ty pleciesz, Marychno! — zawołała na to pani Olchowiczowa. — Panna ma ośmnaście lat i ma się uczyć? Czy wyście wszystkie powaryowały? I po co ona ma na siebie zarabiać, kiedy ma wszystko u rodziców? I coby na to okolica powiedziała? Oto, że tu męża nie może dostać, więc pojechała po niego do Warszawy. I ty, matka dzieciom, takie mi rzeczy mówisz?... Ja miałam szesnaście lat, jak wyszłam za mąż i umiałam—i dom poprodzić i was wychować. Małżeństwo to najlepszy uniwersytet dla kobiéty.

Panna Emilcia stała na środku pokoju i słuchała z zapartym oddechem, a tymczasem matka mówiła jeszcze, że zawsze dla niéj marzyła o Zygmuncie Znamienieckim, że to ładna rodzina, że zamożny, wykształcony i przystojny, ale że ani myśléć tak długo czekać, bo nim wróci, Emilka się zestarzeje, albo on tam się ożeni.

— Takiego wszędzie złapią — kończyła i nagle urwała, bo dolecialo ją z dołu.

— Cóż u wszystkich dyabłów!... Dziewiąta godzina, psa z kulawą nogą nie widać... Emilka! Emilka!

— Jest! znów Emilki nie ma. Że téż na tę dziewczynę nigdy się nie można spuścić...—jęknęła pani Olchowiczowa i podniosła się, a za nią córka.

Lecz gdy zeszły na dół, panna Emilcia już się uwijala koło stołu i zamiast masła, chleba, bułek i cukru, wyjmowała z szafy i na stół

niosła—musztardę, postument z octem oliwą, blat od tortu i karafki z wódką. Działo się to przy akompaniamencie krzyku pana Olchowicza, który w płóciennym szlafroku latał po pokoju i po prostu grzmiał.

Gdy we drzwiach zobaczył żonę i starszą córkę, na chwilę urwał i odsapnął, ale tylko na chwilę. Do żony się zwrócił i wołał:

— Jak ty ją wychowałaś? co z niéj będzie, z takiego próżniaka? w książkach tylko siedzi, albo się włóczy! — Podrę, popalę co do jednéj i do igły! do gospodarstwa! Prać się uczyć — prasować — jaja liczyć, nie gwiazdy!

Grzmiał coraz głośniéj, a tymczasem pani Bodziewiczowa jednym rzutem oka objęła całą sytuacyę, zastawiła stół, nalała herbatę i odważnie ujęła ojca za rękę.

— Ojczulku, już wszystko jest, niech ojczulek siada i napije się mléka z lodem. Dla niego taki gniéw nie jest dobry, a Emilcia téż jest nerwowa.

— Dam ja jéj nerwy! ona i mnie i matkę do grobu kiedy wtrąci--mruczał daléj, ale już ciszéj, bo głos pani Bodziewiczowéj miał dziwny dar uspakajania.

Przytém do pokoju wbiegły dzieci i zaczęły dziadusia ciągnąć za poły od szlafroka. Więc je pogłaskał po główkach, a po chwili wpadł nawet w bardzo dobry humor, bo już miał taką naturę. Jeżeli tylko wykrzyczał się w domu, albo na podwórzu, zawsze się potém rozrzewniał i wtenczas można z nim było robić co kto chciał. Pani Olchowiczowa twierdziła nawet, że ile razy fornal Guziej pragnął uzyskać coś, co mu się nie należało, najpierw wywoływał gniéw dziedzica, bodaj nawet czynny, a potém dopiéro prosił i zawsze dostawał.

Ale panna Emilcia nie posiadała dyplomatycznych zdolności Guzieja, przyczém już przywykła do ojcowskich wybuchów i więcéj się obawiała zimnych uwag matki. Wszakże te już jéj dziś nie groziły, bo pani Olchowiczowa posiadała znów ten dziwny rys charakteru, że ile razy wybuchał na córkę ojciec, tyle razy ona albo stawała w jéj obronie, albo się zachowywała neutralnie. Dzisiaj wybrała to ostatnie, może dlatego, żeby nie rozdrażniać więcéj męża i z uwagą przyglądała się córce, która wyglądała jakoś inaczéj niż zwykle.

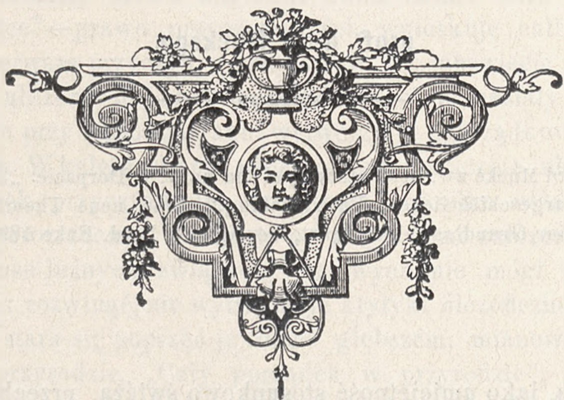
Szedł od niéj cichy smutek, a oczy miały taki wyraz, jakby tu blisko nic nie widziały.

I rzeczywiście nic nie widziały, bo za myślą biegły aż do Karolówki, aż do tego człowieka z poważnemi oczami i dobrym uśmiechem, który jéj powiedział, że ją kocha.

Chociaż zapomniała o tém nieszczęsném śniadaniu i była troszkę winna, on pewno nie pozwoliłby tak na nią krzyczéć, a przynajmniéj byłoby mu żal—bo przecież ją kocha.

Panna Emilcia uczuła pierwszy raz, że to jest dobrze miéć kogoś, ktoby nigdy nie był przeciwko nam — pomyślała, że jedno jéj słowo, a będzie miała takiego kogoś i zrobiło jéj się w duszy cieplej.

(*D. c. n.*). *Exterus.*



NOWA TEORYA SOCYOLOGICZNA

prof. d-ra Muckego.

Dr. Jan Ryszard Mucke zw. prof. statystyki na uniw. w Dorpacie: „Horde und Familie in ihres urgeschichtlichen Entwickelung.“ Eine neue Theorie auf statistischer Grundlage. Stuttgart, Verlag von Ferd. Enke 1895.

I.

Socyologia, jako umiejętność stosunkowo świeża, przechodzi po dziś dzień jesze przez stadyum prób nad własną metodą badań i nad własnemi zagadnieniami zasadniczemi. Z tego powodu—nowa teorya socyologiczna nie należy do tego rodzaju rzadkości naukowych, jak np. nowe odkrycia w umiejętnościach przyrodniczych, matematyce, historyi i innych, starszych od socyologii gałęziach wiedzy. Dość wymienić tylko nazwiska wybitnych socyologów współczesnych, jak Tarde, Ferri, Simel i in., ażeby przypomnieć i uzmyslowić sobie ów prawdziwy nawał nowości w zakresie téj umiejętności i jéj metodologii. Mimo to, nowości te rzadko i tylko częściowo zwracają się przeciw ścisłym wynikom zasadniczym badań etno- i socyologicznych—uczonych takiéj miary, jak Morgan, Spencer, Mac Lennan, Dargun i t. p., dopiéro autor, którego „nową teoryę” omówić zamierzamy, poszedł inną drogą, bo w swéj „hordzie i familii” stara się obalić wszystko prawie, co przed nim w tym kierunku powiedziano. Jest prof. Mucke — można

śmiało powiedzieć, — radykalnym w oryginalności swych twierdzeń i dlatego to, chcąc poznać jego teoryę, zgodzić się z nią lub też ją odrzucić, musimy iść skrupulatnie i ostrożnie za autorem; rozdział po rozdziale jego pracy streszczać, rozbiérać dokładnie szczegóły tam zawarte, ażeby w rezultacie móc wydać sąd ogólny o całéj téj „nowéj teoryi.” Autor omawia i uzasadnia ją w pięciu rozdziałach rzeczowych, które poprzedza długą rozprawką o metodzie, któréj się trzymać zamierza, a kończy krótkiém stosunkowo, uogólnieniem swych poglądów.

W rozdziale metodologicznym p. t. „Grundlegende Erörterungen” (str. 1—43) — zastanawia się prof. Mucke najprzód nadtém, że jestto już *a priori* niemożliwe, ażeby luźne związki płciowe t. zw. „Promiscuitäts Ehe” mogły być podstawą ewolucyi rodziny, bo i „jakżeż—pisze, — mógł się z takiego chaosu rozwinąć jakikolwiek porządek” (str. 1). Znakomity filozof angielski John Stuart Mill, rozbiérając w swéj „Logice”—prawo przyczynowości, wnioskuje całkiem ściśle, że chociaż pierwsze przyczyny porządku w wszechświecie nie były systematycznie ułożone, to jednak uporządkować się musiały same przez się dlatego, że przy współdziałaniu wytworzyły uporządkowaną syntezę, t. j. świat. W kalejdoskopie widzimy systematycznie ułożone obrazy, jakkolwiek przyczyna ich powstania, szkiełka różnobarwne są chaotycznie porozrzucane. Tak tedy apryorystyczne założenie prof. M., jakoby z chaosu luźnych związków płciowych nie mógł się jakikolwiek porządek rozwinąć, nie wytrzymuje krytyki filozoficznéj, nie dziw, że sam autor stara się poprzéć je czémś głębszém, mianowicie teoryą celowości w przyrodzie. „Cały porządek w przyrodzie”, polega zdaniem dorpackiego profesora, „na współdziałaniu przyczyn i celów (*Zweck*).” „Jakżeż tedy—pyta autor — mogła przyroda dojść do tego (mieć na celu), ażeby sprowadzić takie stosunki, które zresztą nigdzie, nawet u zwierząt—nie istnieją; a jeśliby nawet przyroda doszła do czegoś podobnego, to jakże mogłaby znów ten nieporządek uchylić?” Wobec takich twierdzeń, krytyka w łatwém jest położeniu. Po pierwsze, porządek w przyrodzie polega na współdziałaniu przyczyn i skutków, ale nie celów; jeśli nawet jak pisze Peschel — wszechświat jest celem sam dla siebie, to taka celowość jest zupełnie czémś inném, aniżeli ta, o któréj mówi Mucke. Powtóre nie wiemy na jakiéj zasadzie sądzi autor, że u zwierząt nie istnieją luźne związki płciowe, że zaś przyroda mogła z nieporządku dojść do porządku — o tém mówiliśmy już przedtém. Rozprawiwszy się z filozofią metafizyczną autora, — przejdźmy z kolei rzeczy do jego metodologii.

Metodę swą nazywa on „statystyczną", a to dlatego, że tak jak statystyka nie zbiéra materyałów bez systemu, lecz dla skonstatowania, czy i o ile zjawiska społeczne, z góry na podstawie mniejszéj ilości danych wysnute, istnieją rzeczywiście. Jestto „współdziałanie indukcyi i dedukcyi", a więc—dopiszemy do słów autora—nie jest metodą specyalnie „statystyczną", ale stwierdzeniem faktu, że autor zamierza badać zjawiska społeczne w ten sposób, iż dowody jego wytrzymają krytykę umiejętnéj logiki współczesnéj. Przecież Mill całkiem jasno dowiódł, że we wszelkiém dowodzeniu naukowém zawsze musi istniéć to „współdziałanie indukcyi i dedukcyi", które—według słów prof. Muckego, miałoby być tylko specyalną cechą statystyki i — jego „statystycznéj" metody w socyologii. Dzisiaj nikt już w logice nie przeciwstawia indukcyi—dedukcyom, tylko metodę doświadczalną—apryorystycznej. Autor chce się wystrzegać metody apryorystycznéj, ale *de facto* wystrzega się tylko terminologii swych poprzedników, przyjmując z góry, że „pojęcia takie, jak horda, familia, małżeństwo i t. p. są nam zupełnie nieznane" i zbijając w dłuższym wywodzie definicye tych pojęć, podane przez innych etno- i socyologów. Zrozumiemy w dalszym ciągu, że rzeczywiście autor „Hordy i familii" nie godzi się z terminologią i klasyfikacyą tych pojęć taką, jaką dotychczas posiadamy, ale nie dzieje się to dlatego, że prof. M. chce „bez uprzedzeń przystąpić do badania", lecz z powodu, że nie godzi się na definicye zjawisk społecznych, oparte na zszeregowywaniu i kombinowaniu faktów zebranych etnograficznie i uważając fakty te tylko za ilustracyę tychże zjawisk, przeciwstawia im fakta psychologiczne, jako takie, „które, zdaniem jego, są dla każdego bezpośrednio dostępne." A więc—nie etniczne lecz psychologiczne fakty stanowią dla autora „punkt wyjścia" i kryteryum objawów życia społecznego, czyli inaczéj powiedziawszy, metoda prof. M., nazwana przezeń nie ściśle „statystyczną" — okazuje się raczéj metodą *par excellence* — psychologiczną, a psychologię pojmuje autor, słusznie zresztą, tak—jak Wundt, t. j. jako naukę doświadczalną, opartą na fizyologii. Godząc się jednak na takie pojmowanie psychologii, jako umiejętności, nie możemy zgodzić się z autorem na całą jego metodologię socyologiczną. Słusznie powiada prof. Simel, że socyologia stoi tak, jak wszystkie zresztą gałęzie wiedzy, w ścisłym związku z innemi umiejętnościami, czerpiąc z nich wiele dla siebie, że jednak jestto przecież umiejętność odrębna, która bada specyalnie stosunek indywiduum do swéj grupy społecznéj i grup między sobą. Tą drogą zdąża socyologia do swego ideału, t. j. do wykrycia praw ewolucyi społecznéj; psychologia jest dla niéj bez kwestyi jedną z nauk pomocniczych, ale nie jedyną podstawą i probierzem dla wszystkich

zjawisk społecznych. Co gorsza, oto prof. Mucke wraca z całą swą metodą do odpartéj dzisiaj teoryi utożsamiania rozwoju jednostki z rozwojem całych społeczeństw i całéj ludzkości [1]). Nieuzasadnione to zapatrywanie oparł autor na równie hypotetyczném utożsamieniu psychologii indywidualnéj, z t. zw. psychologią masową, czyli społeczną, a oba te twierdzenia należą do zasadniczych założeń metodologii socyologicznéj twórcy „nowéj teoryi" o „hordzie i famili."

Człowiek dziki reaguje początkowo, zdaniem autora, jedynie na wrażenia zewnętrzne, że reaguje na nie przeważnie, jużcić prawda, ale niepodobna przypuścić, ażeby nie znał także takich czysto przyrodniczych emocyi wewnętrznych, jak np. głód, pragnienie, popęd płciowy i t. p., znają je przecież bez kwestyi także — zwierzęta. Mimo to, reagowanie dzikiego na wrażenia, zaczerpnięte j e d y n i e z zewnętrznego świata, jest pewnikiem dla psychologii ludów pierwotnych, według prof. M., a więc aksyomatem w téj właśnie psychologii, którą najmniéj znamy, że zaś, pisze daléj autor, główny zasób wyrazów w językach ludów nieucywilizowanych jest także niczém inném, jak tylko naśladownictwem odgłosów świata zewnętrznego, otóż wnioskuje autor, mowa dzikich jest kluczem do zrozumienia ich psychologii. Nie chcemy i nie możemy przeczyć, że tak być może i często—jest rzeczywiście; nie zawsze jednak, co sam autor przyznaje,—tak być musi. Co więcéj—języki ludów dzikich, dzisiaj znanych, są już dość, stosunkowo nawet bardzo odległe od owych naśladowanych dźwięków przyrody. Etymologia w językach tych jest trudna i nie pewna; sam autor posługuje się w ciągu pracy swéj głównie etymologią języków wykształconych, a te przecież nie mogą być nawet w swych pierwiastkach uważane za klucz do zrozumienia psychologii ludów pierwotnych i to takich, których wszelkie ślady istnienia już się zatarły, i o których dlatego musimy wnioskować tylko na podstawie kombinacyi, opartych na naukach przyrodniczych i na faktach, badanych t. z. metodą wsteczną. Tak tedy etymologiczny dodatek do mało uzasadnionéj i niedostatecznéj w socyologii—metody psychologicznéj, jest co najmniéj bardzo problematycznéj wartości, a właśnie autor bardzo często postępuje tą nie pewną drogą badań. I tak np. — przez etymologiczną analizę dochodzi on do bardzo śmiałego wniosku, że nazwy pokrewieństw u ludów dzikich nie oznaczały pierwotnie związków krwi, lecz były tylko nazwami odległości przestrzennych, a więc wrażeń zewnętrznych, na które reagował dziki, widząc, że najmłodsze dziecko leży tuż przy

[1]) „Es ist nicht anzunehmen, dass das menschliche Geschlecht in seiner Gesammtheit andere Entwickelungsstadien durchlaufen haben sollte, als der einzelne Mensch" (str. 12).

matce, nieco daléj mieszczą się starsze dzieci, wreszcie ojcowie, dziadkowie i t. d. Prof. Mucke przedstawia nam cały schemat takich „przestrzennych pokrewieństw”, natomiast stara się wykazać, że wysnuwanie wniosków z nazw pokrewieństwa o t. zw. gminnych związkach płci, jak to uczynił Morgan—jest nieuzasadnione. Przykłady etniczne, które autor na udowodnienie swego twierdzenia przytacza, są bardzo nieliczne i dowodzą tylko tego, że u niektórych ludów dzikich istnieją pewne analogie między wyrazami, służącemi na określenie pokrewieństw a słowami oznaczającemi odległości przestrzenne; nie mamy jednak żadnego prawa sądzić z tego, że te analogie były koniecznie—tożsamością, że więc np. wyraz „horda” znaczył pierwotnie to samo, co porządek przestrzenny—*ordo*.

Na takiéj to wątłéj, etymologicznéj raczéj niżli nawet psychologicznéj, podstawie, opiéra prof. Mucke swoje drugie — nie mniéj zasadnicze dla całéj jego teoryi twierdzenie, że w hordach pierwotnych najstarszą formą związków płciowych była monogamia, jakkolwiek zresztą, według niego, nie znano tam jeszcze wyrazów oznaczających związki płciowe, z czego więc łatwiéj byłoby wnioskować, że związki te były pierwotnie zupełnie luźne i dorywcze. Do zagadnień tych wrócimy jednak jeszcze w dalszym ciągu, na razie poruszyliśmy je tylko dlatego, że autor ilustruje na nich pokrótce wytrzymałość, iż się tak wyrazimy, swéj metody psychologiczno-etymologicznéj, czy zaś i o ile ilustracya ta może rzeczywiście metodę tę poprzéć, na to znajdziemy dokładniejszą, choć równie niekorzystną dla teoryi autora odpowiédź w dalszych, rzeczowych rozdziałach jego książki.

II.

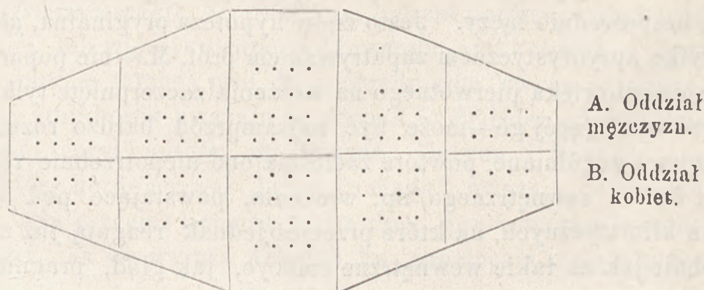
Komórką społeczną, z któréj prof. Mucke wysnuwa całą dalszą ewolucyą społeczeństw ludzkich, jest „horda”, od niéj więc rozpoczyna budowanie swéj całéj teoryi: w rozdziale p. t. „Ustrój hordy i jéj urządzenia”. Achellis (*Das Ausland* 1892), Karol Friedrich (*Zeitschrift für vergl. Rechtswissenschaft*, X, 1892) i in. uczeni porównywują hordę ze stanem mniéj lub więcéj nieuporządkowanym, jakkolwiek z drugiéj strony nie słusznie zarzuca prof. M. poprzednikom swym w nauce, że „chaotyczny stan hordy uważają za pewnik.” Przecież główni przeciwnicy „nowéj teoryi” autora, np. Morgan, Dargun i Spencer, nawet Hellwald, który hordę nazwał „luźną gromadą”, uważają, że luźność to względna, była przecież komuną archaiczną, pra-komórką wszelkich różniczkowań, jak się wyraża Achellis, ku zupełnemu zresztą zadowo-

leniu prof. M. Możnaby zresztą nawet luźność „hordy” w książce prof. M. rozumieć w dosłownem prawie tego słowa znaczeniu, a to dlatego, że mu chodzi, jak się nieco później dowiadujemy, o t. zw. „hordę pierwotną”, a więc o grupę pra-społeczną, o której dotychczas mało co więcej wiemy, po nadto, że jest terminem naukowym, wprowadzonym do socyologii przez Mac Lennana. Nazwawszy ściste wyniki badań dotychczasowych nad „hordą”—apryorystycznemi uogólnieniami, nie waha się jednak autor zupełnie *a priori* sądzić, że t. zw. matryarchat nigdy nie istniał w pierwotnych hordach. Na jakiéj podstawie doszedł autor do tak nowego i śmiałego wniosku? Oto! — nie na mocy ponownego zbadania i zszeregowania faktów nauki etnicznéj, na których się opiérają dawniejsi badacze, lecz na równie apryorystycznéj teoryi, względnie psychologicznéj, że samo tylko spostrzeganie *(das blosse Anschauen)* hordy macierzystéj nigdzie i nigdy nie doprowadziłoby do pomysłu o prawie ojcowskiém, gdyż jak to okazano w rozdziale poprzednim (?) duch ludzki zależny jest od świata zewnętrznego (s. 46). Rzeczywiście, że *das blosse Anschauen* nie mogło być zasadniczą przyczyną przemiany matryarchatu na patryarchat, bardzo być zresztą może, że matryarchat nigdy nie był tak konsekwentnym, jak go np. przedstawia Dargun, ale również nie da się zaprzeczyć, że w hordach wytworzyła się dopiéro z czasem przewaga mężczyzn nad kobiétami. Nie mniéj jasném jest z faktów nauki etnicznéj, zebranych i zestawionych dotychczas, że w ewolucyi téj nie decydowały względy tylko psychologiczne, lecz co najmniéj w równéj mierze przyczyny ekonomiczno-społeczne, które jednak prof. M. pomija bardzo często milczeniem lub odwracając naturalne następstwo przyczyn i skutków—podporządkowuje je motywom psychologicznym. Wychodząc ciągle z zapatrywania, że człowiek pierwotny oddziaływa wyłącznie na wrażenia zewnętrzne, twierdzi autor, że hordą pierwotną była „wspólnota” (*Gemeinschaft*) oparta na zupełnéj równości społecznéj, w której wspólność zamieszkania (*Wohnlagerung*) ugruntowała pierwotne pokrewieństwa. „Światem zewnętrznym”, na który zdaniem autora—człowiek pierwotny jedynie oddziaływa, jest tylko przestrzeń i to, co się z nią bezpośrednio łączy. Jesto znów hypoteza oryginalna, ale niczém jak tylko apryorystyczném zapatrywaniem prof. M.—nie poparta. Reagowania człowieka pierwotnego na wrażenia zaczerpnięte tylko z przestrzeni otaczającéj go—może być najsamprzód bardzo rozmaicie tłumaczone i uogólniane, powtóre zacieśnia ono niepotrzebnie resztę wrażeń z świata zewnętrznego, np. wrażenia, powstające pod wpływem zmian klimatycznych, na które przecież jednak reagują już zwierzęta, podobnie jak na takie wewnętrzne emocye, jak głód, pragnienie i po-

pęd płciowy, o których już mówiliśmy przedtém, że nie dadzą się podporządkować pod kategoryę wrażeń zewnętrznych, a tém mniéj zewnętrznych i tylko przestrzennych. Samemu autorowi musiały się widocznie nasuwać różne w tym względzie wątpliwości, bo bardzo często, wprost za często, upewnia czytelnika, że jednak on ma racyę i, że inne wrażenia zewnętrzne, prócz czysto przestrzennych były dla ludów pierwotnych—zupełnie niedostępne. Ta wyłączna przestrzenność wrażeń zewnętrznych, a więc tém samém całego stanu psychicznego człowieka z hordy pierwotnéj, jest integralnym dodatkiem do zasadniczych założeń metodologii i teoryi prof. M.; na téj to zasadzie, złączonéj z etymologią hawajską, tłómaczy autor system hawajskich pokrewieństw nie na podstawie ewolucyi familii gminnéj, jak to uczynił Morgan, lecz jedynie na zasadzie różniczkowań w przestrzenném ugrupowaniu się hordy pierwotnéj. Taki i to wyłącznie taki przestrzenny system pokrewieństw uważa prof. M. za wyraz całego ugrupowania się najprymitywniejszych hord, jakkolwiek graficzny schemat tego „porządku przestrzennego" hordy, nie odznacza się wcale prymitywnością. Wygląda on w przedstawieniu autora w ten sposób:

	Teściowie.	Szwagrowie.	Zięciowie.		A. Oddział męzczyzn
Pradziadkowie i dziadkowie.	Ojcowie.	„Ego" z braćmi.	Synowie.	Wnuki i prawnuki.	
Prabaki i babki.	Matki.	„Ego" z siostrami.	Córki.	Wnuczki i prawnuczki.	B. oddział kobiet.
	Teściowe.	Szwagrowe.	Synowe.		

Zbliżywszy oba oddziały zasadnicze t. j. męzczyzn i kobiét do siebie i nie licząc zmian nadzwyczajnych, kréśli prof. M. idealny obraz przestrzennego rozmieszczenia hordy w następujący sposób:



Chcąc zrozumieć całą teoryę autora o „hordzie i familii", trzeba ciągle mieć przed oczyma te jego schematy „porządku przestrzennego" hordy pierwotnéj. Jak widzimy, mężczyźni i kobiéty mieszkają tutaj osobno w przedziałach jednak odpowiadających sobie całkiem ściśle i dokładnie. Środkowe przedziały są najludniejsze, bo w nich mieści się najliczniejsza stosunkowo część hordy, mianowicie mężczyźni, względnie kobiéty, w wieku średnim. Obok matek mieszkają długo karmione małe dzieci, a po obu bokach tego schematycznego porządku, mamy mniéj i najmniéj liczne grupy, t. j. starszych i najstarszych członków „hordy" po jednéj, młodszych i najmłodszych zaś, z wykluczeniem niemowląt—pozostających przy piersi matek, po przeciwnéj stronie „przestrzennego" układu. Nazwy pierwotnych pokrewieństw miały—jak już przedtém wspominaliśmy, być niczém innéin, jak tylko wyrazami oznaczającemi mniejszą lub większą odległość *Ego* od członków innych przedziałów „hordy." Jeżeli np. wnuk (przedział 5-ty) u Hawajczyków chce wołać ojca (przedział 4-ty), to nazwie go *makua kana*, a wnuczka matkę w ten sam sposób *makua nakeena* i t. p. Nazwy te są w ten sposób dla d-ra M. pierwszą wskazówką do ułożenia całego schematu „porządku przestrzennego" hordy, który poznaliśmy. Ten „porządek" jest dla autora także podstawą ewolucyi pierwotnego prawa spadkowego, jest on wogóle treścią całego istnienia i rozwoju „hordy", oznaczającéj faktycznie i etymologicznie toż samo, co układ w przestrzeni, *ordo* — określające w stosunkach rodzinnych tylko „pokrewieństwa przestrzenne",—*die Ort-Verwandschaften*. Takie „przestrzenne pokrewieństwa" zszeregowują do wspólnych przedziałów „hordy" mężczyzn, względnie kobiéty, o równym mniéj więcéj wieku t. j. tworzą szeregi grup braci i siòstr bez względu na to, czy ci bracia lub siostry między sobą, pochodzą od wspólnych rodziców, ale zawsze tak, że zachowane jest pochodzenie od równorzędnych linii genealogicznych według wieku. Mamy więc w grupie takiéj braterskiéj, względnie siostrzanéj, dzieci rodziców np. A + B, obok nich dzieci stryjeczne lub wujeczne, daléj dzieci synowców lub synowie dziadków i kobiét i t. d. aż do współrzędnych linii, idących od pra i pra-prarodziców. Jak wiadomo, dotychczasowe badania nazw i systemów pokrewieństw pierwotnych złożyły się na wspólną teoryę o małżeństwach mniéj lub więcéj luźnych, grupowych, z niepewném ojcowstwem i dlatego oznaczających związki rodzinne tylko w linii żeńskiéj. Bogaty materyał etnograficzny, zwiększający się z dniem każdym, nie pozwolił nawet prof. M. zaprzeczyć bezwarunkowo istnieniu takich a nie „przestrzennych" form rodziny, poradził sobie jednak w ten sposób, że podporządkował je pod teoryą depráwacyi w ewolucyi społecznéj, a więc pod

taką teoryę, która słusznie, zdaniem mojém, jest do dziś dnia uważaną za fragmentaryczną i znajduje więcéj przeciwników, niżeli zwolenników. „Chcąc zrozumieć istotę hordy, musimy przedewszystkiém—czytamy w książce prof. M. — wyłączyć z pojęcia pokrewieństwa wszystko jako przesąd, co się znajduje w związku z płodzeniem" (s. 51), jeśli zaś mimo to istnieją wśród ludów nieucywilizowanych luźne związki płciowe i takież pokrewieństwa, to jestto już, zdaniem prof. M., nie pierwotnym stanem hord, ani nawet śladem tegoż, lecz „zdziczeniem", depráwacyą powstałą skutkiem wypaczenia „porządku przestrzennego" i takichże „pokrewieństw".

Przestrzenne zbliżenie i odpowiadanie sobie grup „hordy" według równości wieku, stanowi w najbliższéj konsekwencyi teoryi autora — „przestrzenną", a więc dla psychologii człowieka pierwotnego jedynie wrzekomo dostępną podstawę małżeństw pierwotnych. W tym względzie dopuszcza autor już istnienie pewnéj emocyi wewnętrznéj, mianowicie uczucia sympatyi u ludów pierwotnych, sądzi jednak, że uczucie to jest w każdym razie późniejsze, powstałe z powodu przestrzennego układu „hordy". „A jako sympatya pierwotnie polegała na pokrewieństwie z sąsiedztwa (*Lagerwervandschaft*), tak też naodwrót musiała pierwsza jeno wzmacniać tę drugą coraz bardziéj;" było to więc dokładne koło przyczyn i skutków, dostępnych dla psychologii ludów pierwotnych takiéj, jaką ją chce mieć autor i ono to utrwaliło zarówno pierwotny „porządek przestrzenny" hord, jak nie mniéj—małżeństwa wśród grup męzkich i kobiecych, sobie przestrzenią i wiekiem odpowiadających, z góry przeznaczało—„destynowało." Termin naukowy *destinierte Ehen*, wprowadzony przez autora do socyologii, oznacza jak widzimy jedno z jego najważniejszych założeń zasadniczych. Do szeregu tych założeń należy także znany dziś ogólnie fakt ekonomicznego komunizmu hord pierwotnych, wogóle plemion nieucywilizowanych, tylko, że autor nie szuka źródła téj społecznéj wspólnoty majątkowéj w warunkach terytoryalnych i w zakresie tudzież sposobach prymitywnéj produkcyi dóbr ekonomicznych, lecz także tylko i wyłącznie w przestrzennym charakterze psychologii i układu grup „hordy". Krótko powiedziawszy—„hordą pierwotną" nazywa prof. M. niezróżniczkowaną „wspólnotę" (*Gemeinschaft*) społeczną wśród ludów pierwotnych, dzisiaj już nieistniejących, ułożoną w systematyczny i trwały „porządek przestrzenny", według którego dostrajają się do konsekwentnéj całości: psychologia dzikich, „destynowane małżeństwa" i archaiczny komunizm. Wobec tego zdawać by się mogło, że autor włączy do takiéj bezwzględnéj „wspólnoty" także komunizm płciowy, a to tém bardziéj, że przecież sam pojmuje swe „destynowane czyli przeznaczone małżeń-

stwa" w „hordzie" jako związki płci między mężczyznami i kobiétami *grup* przestrzennych, odpowiadających sobie systemem „porządku" hordy i—wiekiem członków. Przyjmuje także prof. M. znany i uzasadniony pogląd, że człowiek pierwotny co do rozmnażania swego rodu, pozostawał pod naciskiem prawa natury (*in Banne der Natur*), z czego wynikałoby, że autor zechce obraz małżeństw pierwotnych ludzkich określić mniéj lub więcéj na podstawie związków płci wśród najwyżéj rozwiniętych zwierząt, jak to np. zrobił Westermarck i in., lub, że co najmniéj oprze się na pogardzanym wprawdzie przez się, ale przecież uwzględnianym w miarę potrzeby—materyale etnograficznym; niestety ani jedno ani drugie, natomiast wraca autor znów do swéj metody *par excellence* psychologicznéj i na téj zawodnéj, bo niepewnéj drodze, wysnuwa najoryginalniejsze może z zasadniczych założeń swéj teoryi, że człowiek pierwotny popchnięty raz popędem naturalnym do związku płciowego z jedną kobiétą odpowiadającéj mu grupy przestrzennéj w „hordzie", nie jest od téj chwili emocyonalnie w stanie do innego postępowania w przyszłości, jak tylko i jedynie „połączyć się z tą osobą, co wywołała owo uczucie rozkoszy" (s. 59). Zastanowienie się, choćby tylko ewentualne, pierwotnego człowieka na tém, że „toż samo uczucie rozkoszy" może być zaspokojone także i łatwiéj nawet przez luźne związkt płciowe, jest, nie wiemy dlaczego, dla prof. M. „psychologicznie całkiem nieprawdopodobne" (s. 59). Zdaje się, że sam autor miał chwilę refleksyi nad tą nieprawdopodobną hypotezą, bo pomaga sobie znów teoryą deprawacyi i to deprawacyi psychologicznéj rozumując, że my wogóle przesadzamy mówiąc o sile popędu płciowego, „gdyż zbyt mało przywykliśmy zagłębiać się w duszy człowieka pierwotnego i zawsze staje nam przed oczyma to, co spostrzegamy w zdziczałym człowieku cywilizacyi." (j. w.). Być to nawet może, ale nie wynika z tego, ażeby przecenianie czegoś można zastąpić niedocenianiem, a przecież jasném jest, że autor, który siłę popędu płciowego u człowieka pierwotnego ogranicza prawie do *minimum*, nie może, czy téż nie chce zauważyć, że takowa jest intensywniejszą nawet u tych zwierząt, które żyją parami. Zawodna teorya deprawacyi jest w tym względzie może najbardziéj przez prof. M. nadużytą, a chociaż on także z jéj stanowiska ocenia lub wprost odrzuca materyał etnograficzny, to przecież nie może tą drogą nikogo, nawet nie wykluczając zwolenników pierwotnéj monogamii — przekonać, że „małżeństwo pierwotne mogło być trwałym związkiem życiowym między dwoma osobnikami płci różnéj, przeznaczonemi dla siebie, przez pokrewieństwo przestrzenne (*durch Lagerung*), nie zaś wzajemnym jeno stosunkiem zadawalania popędu płciowego" (s. 61). Dawniejsze i ściśléj uza-

sadnione zapatrywania na pierwotne małżeństwa zbija bardzo pobieżnie, a to dlatego, że — jak sądzi — wynikły one z błędnego pojmowania i wskutek tego pomieszania dwóch odrębnych grup społecznych, t. j. „hordy” i — „familii”, jak się o tém zresztą jeszcze później dokładnie dowiemy.

Dobiéranie się par monogamicznych, przeznaczonych porządkiem „hordy”, miało się odbywać, zdaniem autora, publicznie, czego śladem mają być znane u ludów nieucywilizowanych „ceremonie wtajemniczania” i „tańce erotyczne”. W tym względzie, bogaty materyał etnograficzny popiéra twierdzenie autora, tylko że nie każą nam takie i t. p. fakty tłómaczyć sobie małżeństw *coram publico* na zasadzie „przestrzennego porządku” hordy, przeciwnie, wskazują one raczéj na to, że w „hordzie” nie było początkowo żadnego „porządku” w ugrupowaniu się par, chyba taki, jaki wynikał bezpośrednio z praw przyrody. Prędzéj możnaby się zgodzić ze zdaniem L. Krzywickiego („Ateneum”, 1895), że obrzęd „wtajemniczania” jest śladem konkurencyi starszych i młodszych mężczyzn o prawo wchodzenia w związki płciowe, przyczém starsi za pomocą bardzo przykrego nieraz „wtajemniczania” bronili się przed młodszymi. Inna rzecz, że i to zapatrywanie nie zawsze okazuje się słusznem, często bowiem „wtajemniczanie” np. obrzezanie u starych Egipcyan (Mayer, *Gesch. des alten Aegyptens*; zbiór Onckena), miało cechy i zapewne początek wybitnie religijny, związany z kultem duchów; mimo to prof. M. wszelkie przeciwne jego zapatrywaniu teorye odrzuca, ażeby tylko te fakty etniczne sprowadzić do swych zasadniczych założeń. Z założeń tych wypływa także, że monogamia w „hordzie” musiała być kazirodczą w rodzeństwach bezpośrednich lub pośrednich, np. stryjecznych, wiemy jednak, że i ten fakt, istniejący jako przeżytek wśród dzikich i barbarzyńców, wytłómaczono nie mniéj konsekwentnie, jak prof. M., i ponadto znacznie ściśléj, bardziéj prawdopodobnie na zasadzie małżeństw gminnych. Także totemizm, który prof. Mucke, stosownie do swych założeń uważa za odrywanie się poszczególnych „totemów”, t. j. grup przestrzennych „hordy” od pierwotnego wspólnego pnia, wytłómaczono przed nim inaczéj i — zdaniem mojém — lepiéj, na zasadzie stopniowéj ewolucyi kultu duchów (por. np. Stade, *Gesch. des Volkes Israel*; zbiór Onckena). Totemizm w zrozumieniu autora, jako stopniowe różniczkowanie się, a raczéj rozczłonkowywanie się „hordy”, jest właściwie inném zjawiskiem społecznem, które łączy się już z wędrówkami plemion, ponieważ jednak autor terminu tego zawsze w tém tylko znaczeniu używa, dlatego i my musimy się chwilowo na to zgo-

dzić, a to tém bardziéj, że „totemy", jako odrębnie stojące grupy hordy, odgrywają wielką rolę w dalszym ciągu książki i teoryi, mianowicie w rozdziale III, omawiającym powstanie, istotę i formy rodziny.

III.

W „hordzie" pierwotnéj układu prof. Muckego mamy: 1) zupełną równość społeczną, która trwa nadal nieprzerwanie w okresie odrywania się „totemów"; 2) na przykładzie z Mohikanów wykazuje autor, że zróżniczkowana na totemy „horda" poczuwa się długi czas jeszcze do dawnéj wspólności, późniéj dopiéro poczucie to zanika i totemy przetworzone już w grupy odrębnych „hord" poczynają się zwalczać; 3) różniczkowanie się na totemy może być powolniejsze lub szybsze, w każdym jednak razie wprowadza, zdaniem autor, nowy czynnik do psychologii ludów pierwotnych. Przeniósłszy się na inne terytoryum, porównywał je dziki z miejscem, z którego przybył; przez to wytwało się w jego myśli odróżnienie tego, co było pierwéj od tego, co nastąpiło i co jeszcze nastąpić może. U Brehma byłby prof. Mucke odnalazł dowody, że takie wyobrażenie istnieje już w świecie zwierzęcym, a etnografia nie zna ludów, któreby go w mniejszym lub większym stopniu nie posiadały; wobec tego mamy tu znów przed sobą apryorystyczny pogląd autora, nie łączący się nawet koniecznie z takimże poglądem jego — na całą psychologię człowieka pierwotnego. Już przecież samo rozdzielenie przestrzennych oddziałów i grup „hordy"—mówiąc językiem prof. M.—musiało wpływać, nawet w myśl jego spekulacyi psychologicznych, na wytworzenie się wyobrażenia „następstwa w czasie", a całkiem nie rozumiem, dlaczegoby takiego wyobrażenia nie mógł nabyć dziki, obserwując własny swój rozwój fizyczny i innych członków hordy od dzieciństwa do starości, niemniéj następstwo nocy i dnia, tudzież inne tym podobne fakty.

Słusznie — pisze daléj prof. M. za Hobbesem — że wyobrażenie „przyszłości" stwarza inne wyobrażenia, wielka jednak jest jeszcze kwestya, czy człowiek pierwotny, spodziewając się w „przyszłości" czegoś przyjemnego, „musi przedstawić sobie z tego powodu jakąś siłę duszy własnéj." W ten tylko sposób wytwarza się, zdaniem autora, w umyśle dzikiego pojęcie możności zrobienia czegoś własną siłą i dlatego „poczucie siły jest uczuciem wyobrażeniowém, nie zaś żywiołowém." W ten sposób zwierzę rzucające się na zdobycz w nadziei, że ją w najbliższéj „przyszłości" — „przyjemnie" pożre, byłoby w konsekwencyi zapatrywań psychologicznych prof. M., więcéj „ideowo" rozbudzoną

jednostką niźli człowiek z „hordy” pierwotnéj, który wpierw musi przeżyć długą epokę zróżniczkowania się „hordy” na „totemy”, później nieco wytwarza się u niego wyobrażenie następstwa w czasie razem z wyobrażeniem „przyszłości” i z tego ostatniego dopiéro poczucie własnéj siły zrobienia czegoś, jako uczucie „idealne”. Jestto próbka spekulacyi apryorystycznych autora o psychologii ludów pierwotnych, mająca określić wzrost pojęcia własnéj woli u dzikich, bez któréj nie byłoby możliwém zrozumienie tego, co profesor M. nazywa „familią”.

„Spowodowane, względnie nakazane, przez przestrzeń rozszczepienie się poszczególnych części hordy, musiało oddziałać szkodliwie na stosunki życiowe poszczególnych par rodzeństwa (*Geschwister-Paare*), zwłaszcza gdy owo rozszczepienie się nastąpiło w ten sposób, iż rozdzieliło przeznaczone sobie od natury szeregi braterskie i siostrzane, albo też gdy powstały jednostronne totemy siostrzane lub braterskie” (str. 111): — taki jest punkt wyjścia autora w określeniu ewolucyi początkowéj tego społecznego nowotworu, który on w odróżnieniu od „hordy” nazywa „familią”. Nie może ulegać wątpliwości, że stopniowe rozczłonkowywanie się „hordy” musiało wpływać decydująco na jéj dalszy rozwój; inna rzecz, że takie odrywanie się „totemów”, o jakiém mówi prof. M., sprzeciwia się téj celowości w przyrodzie, o któréj autor mówił w rozdziale wstępnym. Trudno, nawet niepodobna téj celowości, któréj ulegać ma także „horda”, pogodzić z różniczkowaniem się, które samo przez się jest już „zaburzeniem” (*Störung*) naturalnego „porządku przestrzennego” hord. Idźmy jednak za autorem daléj:

Oto rozerwanie par „dystynowanych” w łonie „hordy” do małżeńskich związków rozrywa tę ścisłą przestrzenną monogamię, która przedtém istniała, ale... prof. M. nie chce na taką konsekwencyę własnych przesłanek zgodzić się, natomiast sądzi, że mimo zaburzenia „porządku przestrzennego”, stosunki płciowe bardzo mało modyfikowały się początkowo, natomiast zmieniały się rdzennie stosunki ekonomiczne, czyli — jak je autor nazywa — „odżywcze” (*Mundschaft*). Jest to częste u prof. M. odwrócenie przyczyn i skutków, bo jużcić nie odrywanie się grup z „hordy” mogło wpływać na ewolucyę ekonomiczną pierwotnéj „wspólnoty”, lecz raczéj odwrotnie — warunki ekonomiczne, zmieniające się w miarę przeludnienia względnego „hord”, wytępienia zwierzyny i t. p., zmuszały do odrywania się „totemów” i przenoszenia się tychże na inne terytorya; że zaś przytém mogło także nastąpić zaburzenie pierwotnych stosunków płciowych, to już inna zupełnie kwestya, która powinna być całkiem odrębnie traktowaną.

Rozerwanie się par sobie „przeznaczonych” i powstawanie totemów o liczebnéj przewadze mężczyzn lub też kobiét, było jednak, zdaniem autora, podstawą do ewolucyi ekonomicznéj w rozczłonkowanych częściach „hordy” pierwotnéj. Dlaczego?! Oto! w poszczególnych totemach uczuto brak pracy mężczyzn, względnie kobiét, że zaś człowiek pierwotny w nabywaniu żywności posługiwał się rabunkiem, to też użył teraz tego samego sposobu do wypełnienia ekonomicznych luk, powstałych skutkiem zapotrzebowania rąk męskich lub kobiécych do pracy. W ten sposób tłómaczy prof. M. powstanie zwyczaju porywania ludzi obcych względem „hordy” czy „totemu”, przyczém męskie totemy miały polować tylko na kobiéty, a kobiéce—na mężczyzn. Wynikałoby z tego, jeśli porywanie to, jak chce prof. M., miało na celu początkowo tylko chęć zdobycia rąk do pracy, że podział pracy w hordach pierwotnych był już od samego początku tak ściśle zróżniczkowany, że męski porwany niewolnik nie mógł w żaden sposób zastąpić żeńskiego i odwrotnie; w ten sposób ekonomiczny stan „hord” i „totemów” musiałby być w tym względzie wyższy, niżeli późniéj — za czasów np. cesarstwa rzymskiego, gdzie niewolnicy i niewolnice, mimo skrupulatnego zróżniczkowania się ich pracy, przecież mogli się wzajemnie zastępować i uzupełniać. Nie da się zaprzeczyć wprawdzie, że mężczyźni starali się o niewolnice, a kobiéty o niewolników, ale chyba już w „hordach” i „totemach” musiało się to dziać mniéj z ekonomicznych, a więcéj z płciowych względów; ekonomicznie było — sądzę — długi czas dość obojętną rzeczą, czy potrzebna siła robocza była płci męskiéj, czy też żeńskiéj. Dla prof. M. taka konsekwencya jego własnych założeń była wprost niemożliwą, a to dlatego, że on różniczkowaniu się „hordy” na „totemy” nie przypisuje wpływu na zmianę stosunków płciowych monogamicznie „przestrzennych” i że porywanie niewolników lub niewolnic nie jest dlań początkiem „państwa”, tylko zawiązkiem „familii”, jako nowéj grupy społecznéj zaraz po „hordzie“ i obok niéj — najprymitywniejszéj. „Familią” nazywa prof. M. grupę niewolnic, otaczającą mężczyznę z „hordy” zróżniczkowanéj na „totemy”, lub odwrotnie takąż grupę niewolników, otaczającą kobiétę. Jest to pewna analogia z staro-latyńską i rzymską „familią”, ale bardzo względna, bo „familie” rzymskie obejmowały „obywatela” wraz z niewolnikami, niewolnicami i klientami, a późniéj wykluczano ponadto z tego pojęcia wszystkich niewolnych, którzy nie byli przeznaczeni do bezpośredniéj służby w domu swych „panów” i „pań”. Wiadomą jest rzeczą także, że niewolnictwo w „familiach” rzymskich znamionuje już okres stopniowego upaństwowiania komun plemiennych, a więc nie

da się podporządkować pod pojęcie „familii" prof. M., jakkolwiek ten o to się w książce swéj stara.

To oryginalne, acz — jak wykazywaliśmy, na bardzo niepewnych, nawet nieprawdopodobnych założeniach oparte odróżnienie „familii" od „hordy", a tém samém od „przeznaczonych porządkiem hordy" pierwotnych, wrzekomo monogamicznych małżeństw, jest ośrodkiem całéj teoryi prof. M. i zarazem główną jéj treścią. Z tego to powodu nosi hypoteza, którą omawiamy — tytuł nietylko w książce, ale i w całéj swéj treści „*Horde*" *und* „*Familie*".

„Familię" w swém znaczeniu tego wyrazu dzieli autor na androkratyczną (męskowładczą) i gynekokratyczną (żeńskowładczą), czyli inaczéj powiedziawszy, na patryarchat z poligamią i matryarchat z poliandryą, z tą jednak zasadniczą różnicą, że prof. M., odrzucając stanowczo małżeństwa gminne, rozumié, że pierwotne „familie" były płciowo od „hordy" zupełnie oddzielone.

W „familii androkratycznéj" jest „pan" właścicielem pracy, ale nie płci swych niewolnic; w „familii gynekokratycznéj" zachodzi odwrotny stosunek, bo tu kobiéta jest „panią" niewolników, lecz równie z wykluczeniem związków płciowych z nimi. Dopiéro w późniejszéj ewolucyi „hordy i famili" następuje zaburzenie małżeństw „przeznaczonych" sobie do pożycia monogamicznego, przyczém w andokracyi „pan" wchodzi w związki płciowe z niewolnicami, a w gynekokracyi „pani" z niewolnikami swych „familii". Śladami takiéj, a nie innéj, ewolucyi rodziny mają być: 1) fakt istnienia t. zw. „pierwszych żon" w poligamiach i 2) zwyczaj zakradania się mężczyzn do kobiét dopiéro po zachodzie słońca. Fakty te, znane rzeczywiście w etnologii, tłómaczone były dotychczas bardzo ściśle na zasadzie familii gminnych, jako przeżytki przemiany endogamii na egzogamię i nie ma żadnéj koniecznéj przyczyny, ażebyśmy je musieli łączyć z teoryą prof. M., przeciwnie, nie możemy nawet tego uczynić ze względu, że, co sam autor do pewnego stopnia przyznaje, w gynekokracyach t. j. w poliandryach są one bardzo rzadkie, prawie nieznane zupełnie. Znaną jest także rzeczą, że niewolnictwo pierwotne było jeszcze ściśle dość z ustrojem komunistycznym złączone dlatego mianowicie, iż niewolnicy i niewolnice były wspólną własnością całych „hord". Prof. M. przyznaje wprawdzie, że znane są takie fakty, ale nie wiemy dlaczego uważa je za późniejsze i lokalne, natomiast sądzi stanowczo, że pierwsi niewolnicy, względnie niewolnice, byli zawsze i wszędzie indywidualną własnością poszczególnych członków „hordy". Wprawdzie na podstawie spekulacyi autora o psychologii ludów pierwotnych, człowiek po-

siadał w okresie porywania „obcych” ludzi „poczucie własnéj możności”, względnie siły, indywidualnego działania; mówiliśmy już o tém, ile należy przywiązywać wagi do tego twierdzenia, lecz gdybyśmy je nawet w całości przyjęli, to i wówczas także nie wolnoby nam było na téj tylko podstawie wnioskować o indywidualistycznym ekonomicznie charakterze pierwotnego niewolnictwa, a bez tego cała teorya o „familii” okazuje się jeszcze mniéj prawdopodobną, — wprost niemożliwą do przyjęcia w nauce. Autor widzi w swych „przeznaczonych” monogamiach, które, według niego, przetrwały nawet zróżniczkowanie się „hord” na „totemy” i istniały długi czas obok „familii”, t. j. niewolnictwa — jedyne i wszędzie istniejące małżeństwa pierwotne. Popęd płciowy grał w tych małżeństwach mniejszą prawie rolę, niżeli „przestrzenny” porządek „hord” pierwotnych; nie dziw, że prof. M. porównywa te małżeństwa do podaniowego pożycia wspólnego Adama i Ewy w raju. Małżeństwo pierwotne mniéj lub więcéj luźne, czyli „gminne”, uważa autor za nieistniejące p i e r w o t n i e nigdzie. Nie istnieje ono rzeczywiście ani w raju biblijnym, ani w teoryi o „hordzie i familii”, jest jednak faktem niezbitym u ludów dzikich i barbarzyńskich. Na to ma prof. M. swą stereotypową w takich razach odpowiedź, że jest to już późniejsza ewolucya, względnie nawet deprawacya małżeństw pierwotnych, że jedném słowem dotychczasowa, przyjęta w nauce, historya małżeństwa, przemieniła się poprostu w nie-historyą wybryków płciowych wśród ludów dzikich (str. 149). Te „ekstrawagancye” zagnieździły się jednak mimo teoryi prof. M. zanadto silnie wśród ludów nieucywilizowanych, aby je można jedném pociągnięciem pióra uznać za deprawacyę małżeństw z raju Genezy; widzi to sam autor, dlatego mówi o nich obszerniéj w IV rozdziale swéj książki p. t. „Dzieci w hordzie i rodzinie” (str. 155—192).

IV.

Ponieważ w myśl teoryi, o któréj mowa, małżeństwa pierwotne były wynikiem „porządku przestrzennego” „hordy”, przyczém popęd płciowy grał rolę drugorzędną, że daléj związek przyczynowy między faktami płodzenia i rodzenia dzieci był całkiem nieznany i to tak dalece, że nawet matka nie była wrzekomo w stanie ani „pojąć”, ani „odczuć”, iż w jéj dziecku zawiéra się cząstka jéj krwi; otóż dlatego— sądzi prof. M. — dzieci w „hordzie” nie należały do żadnéj pary małżeńskiéj, były pod tym względem „niczyje” i uważano je za wspólną własność całéj „hordy”. „Porządek przestrzenny”, który decydował

o potomstwie „hordy", tak samo jak o rodzicach, przeznaczał siłą elementarną chłopców do męskich, dziewczęta zaś do żeńskich grup „hordy". Nie ulega wątpliwości, że dzieci w hordach pierwotnych nie należały do par małżeńskich monogamicznych; wykazano to już przed prof. M., ale działo się tak nie z przyczyn objętych teoryą o „hordzie i familii", lecz poprostu dlatego, że mimo téj teoryi monogamia w „hordach" była i jest do dziś dnia u plemion nieucywilizowanych nieznaną. Komunistyczne posiadanie dzieci przez całą „hordę" jest koniecznym wynikiem familii gminnych, t. j. równie komunistycznych; skutek wypływa tutaj jasno z równogatunkowéj przyczyny, kiedy teorya prof. M. jest w tym względzie mało zgodna z logicznym związkiem przyczynowym tak samo, jak mało znajduje na swe poparcie faktów etnograficznie zebranych. Ewolucya rodziny na zasadzie małżeństw gminnych jest w przeciwieństwie do teoryi prof. M. — ściśle logiczną i etnograficznie popartą; oprócz tego, nie potrzebuje ona podporządkowywać popędu płciowego wrzekomemu porządkowi „przestrzennemu" w „hordach", nie wyklucza zrozumienia konsekwencyi płodzenia i rodzenia u dzikich, nie potrzebuje ratować się za pomocą fragmentarycznéj teoryi deprawacyi i, co bardzo ważne, objaśnia należycie fakt przydzielania dzieci do linii żeńskich w niepewności ojcowstwa. Ten ostatni fakt, poparty zastanawiająco obfitym materyałem etnograficznym, jest dla prof. M. wyłomem w całéj jego teoryi, dlatego stara się autor wyjaśnić go poczęści na podstawie deprawacyi, ponadto — rozbiéra go szczegółowo ku końcowi rozdziału o dzieciach. Dlaczego jednak wydzielił autor tę—tak ważną dlań — kwestyę na późniéj? Oto dlatego, że w konsekwencyi swych założeń zasadniczych, — musiał wpierw omówić społeczne znaczenie i położenie dzieci w „familiach" od chwili, kiedy „familie" te zaczęły już wpływać na zmodyfikowanie pierwotnych „przestrzennych" monogamii w „hordach". Wpływ ten rozpoczął się, jak mówiliśmy, od związków płciowych „pana" z niewolnicami i „pani" z niewolnikami, stosownie do tego, czy „familia" była androkratyczną, czy też gynekokratyczną. Związek płciowy, który, zdaniem prof. M., nie decydował nawet o monogamiach „przestrzennych" w „hordzie", nie mógł tém mniéj wpłynąć odrazu na też „hordę", jeśli miał miejsce w łonie „familii", a więc w grupie niewolniczéj, wykluczonéj od „porządku przestrzennego" i nawet ekonomicznego „hord"; przeciwnie — takie wydzielenie „familii" z „hordy" doprowadzić musiało do tego, że także dzieci niewolników i niewolnic były dla „hordy" obce bez względu na to, że ojcem ich był człowiek „hordy" androkratycznéj lub matka z hordy gynekokratycznéj. Czy jednak było tak rzeczywiście? Nie! — odpowiada prof. M. — bo względy „przestrzenne", najważniej-

sze w „hordzie", sprawiły, że inaczéj ukształtowało się położenie społeczne dzieci w androkratycznych, a inaczéj w gynekokratycznych „hordach i familiach".

W androkracyi" były rzeczywiście dzieci „familii" obce dla „hordy" dlatego, że ich matki-niewolnice mieściły się wraz z swém potomstwem po za granicami „przestrzennego" układu „hordy". Wykluczenie to było tak silne i stanowcze, że nawet wówczas, kiedy wreszcie „pan" niewolnic i ojciec ich dzieci sam przenosił się na mieszkanie do grona swéj „familii", „porządek" hordy pozostawał długi czas niezmienionym. „Porządek" ten nie dopuszczał także kobiét i dzieci „familii" do wspólnego stołu komunistycznego „hordy", dlatego niewolnice musiały żywić się wraz z potomstwem nie komunistycznie, ale indywidualistycznie — z pracy rąk własnych bez pomocy kooperacyi ekonomicznéj. Była to rzecz w społeczeństwach pierwotnych zawsze bardzo trudna, a często wprost niemożliwa do wykonania, stąd-to — wyrobił się zdaniem prof. M. nie rzadki wśród dzikich do dziś dnia obyczaj—zabijania dzieci. Obyczaj ten rozpowszechnił się tém snadniéj, że „pan" familii androkratycznéj nie umiał początkowo obliczyć przyszłych korzyści z potomstwa swych niewolnic, naodwrót zaś, odczuwał bezpośrednio niekorzystne dla siebie ustawanie w pracy niewolnic obarczonych dziećmi.

Jeśli jednak tak się działo, jak prof. M. przedstawia, to jużcić obyczaj zabijania dzieci mógł zawsze i wszędzie odnosić się tylko do potomstwa „familii" androkratycznéj, ale nigdy do dzieci urodzonych w łonie „hordy". Czy było tak rzeczywiście? Jużcić — odpowiada bez wahania prof. M. — Gdzie na to dowody? Przedewszystkiém szuka ich autor sam u siebie, t. j. w założeniach swéj teoryi, że jednak w ten sposób dałoby się wszystko łatwo dowieść, bez wartości dla nauki, otóż decyduje się autor w tym wypadku zajrzéć do materyałów etnograficznych. Nie na wiele mu się to przydało; przeciwnie, fakty etnograficzne, które mają popiérać jego zapatrywanie, są stanowczo dla tak nowego i daleko idącego uogólnienia — niedostateczne; radzi sobie téż autor w ten sposób nawet, że powołuje się na takie z pośród nich, z których wniosek jego wcale koniecznie nie wynika. Nie wyjaśnia także na razie prof. M. innego, niezgodnego z jego teoryą obyczaju wśród dzikich, t. j. zabijania tylko dzieci płci żeńskiéj; ogranicza się na tém, że *a priori* zaznacza, że pozbywano się w androkracyi zarówno chłopców, jak i dziewcząt; zapatrywanie zaś Mac Lennana, iż wogóle cały obyczaj zabijania dzieci był wynikiem przyczyn jedynie—ekonomicznych, uważa za fałszywe. Mimo tak stanowczego orzeczenia, okazuje się jednak twierdzenie Mac Lennana bardziéj uzasadnio-

nėm od całėj teoryi o „hordzie i familii”. Poparł je niedawno licznemi faktami w naszéj literaturze socyologicznéj (w „Ludach”) L. Krzywicki, wykazując, że zabijanie dzieci nie jest obyczajem ogólnym, ale lokalnym, zależnym od niekorzystnych warunków żywnościowych na poszczególnych terytoryach, zamieszkanych przez ludy nieucywilizowane. Brak żywności zmusza przecież niektóre ludy do pozbywania się jeńców wojennych; u takich ludów niewolnictwo ani adoptacya obcych nie istnieją; plemiona ich są zawsze nieliczne, małżeństwo jest prawie wyklęte i wszelki przyrost ludności, normowany zabijaniem dzieci, — ogranicza się tylko na pozostawionych przy życiu dzieciach rodów silnych liczebnie, w których matki mogą się opiérać odbiéraniu im potomstwa. Fakt takiego wybrakowywania dzieci zabijanych i pozostawianych przy życiu podnosi także autor, mimo że nie daje on się zbyt ściśle wysnuć z jego teoryi. Że „panowie” z niechęcią widzieli początkowo niewolnice obarczone potomstwem, na to można się zgodzić bez potrzeby przyjmowania innych twierdzeń autora, wątpić jednak należy, czy ta niechęć byłaby wystarczyła do wprowadzenia w życie obyczaju zabijania dzieci; przeciwnie tam, gdzie warunki żywnościowe były zawsze korzystne — obyczaj ten, mimo powstania niewolnictwa, nie wytworzył się. Co więcéj, znamy ogólnie fakt jeden, który rdzennie sprzeciwia się teoryi autora. W Sparcie pozbywano się przecież tylko dzieci warstwy rządzącéj, t. j. mówiąc słowami prof. M. — „hordy”, a o potomków niewolniczych Helotów, tudzież pół wolnych perioków, czyli, jakby powiedział autor, o dzieci „familii”, nie troszczono się wcale.

W gynekokracyi los potomków „familii” był, zdaniem autora, inny jak w androkracyi. Tutaj matka dzieci niewolników była zarazem ich „panią”; jako taka należała do „hordy” i miała zawsze w odpowiadającym jéj „przestrzennie” przedziale męskim swego „przeznaczonego” sobie porządkiem „hordy”—męża. Dzieci pozostawały przy niéj, bo uważane były za potomstwo jéj męża bez względu na to, czy on, czy téż jakikolwiek niewolnik z „familii” był ich rzeczywistym ojcem.

Takie zapatrywanie, dla którego prof. M. nie znajduje na poparcie żadnych danych etnograficznych, jest wprawdzie konieczną konsekwencyą założeń teoryi o „hordzie i familii”, ale też właśnie dlatego zwraca się przeciw niéj, jako mało prawdopodobne i zawierające w sobie tyle tylko prawdy, że rzeczywiście u ludów nieucywilizowanych znanym jest fakt niepewności ojcostwa i przydzielania skutkiem tego— dzieci do rodów macierzystych. Sam autor rozumié, że należałoby inne, nietylko spekulatywnie psychologiczne znaléść dowody na popar-

cie tego swego twierdzenia. Pisząc o dzieciach w androkracyi, sięgnął on przecież do materyałów etnograficznych; szukał w nich także faktów, mających dowieść słuszności jego zapatrywania na położenie społeczne potomstwa w gynekokracyi, ale był w tém poszukiwaniu jeszcze mniéj szczęśliwy, niżeli poprzednio. Znalazł tylko fakt jeden i to niczego właściwie nie dowodzący, bo z charakterem wybitnie lokalnym. Dargun nie umié wyjaśnić obyczaju, istniejącego na wyspach maryańskich, że siostry matek są tam nazywane same matkami siostrzanego potomstwa. Prof. Mucke tłómaczy fakt ten w ten sposób, że dzieci sióstr były zawsze przydzielone do jednego i tego samego „przestrzennego" przedziału „hordy", a więc ssały często piersi matki i ciotek. Następnie przesiedlały się matki do swych męskich „familii", analogicznie—jak ojcowie w androkracyi do niewolnic, dzieci jednak—pozostawały nadal w „hordzie", przy piersiach ciotek, dlatego to „siostra matki jest tam dzieciom przestrzeniowo bliżéj spokrewniona, gdzie matka przysunęła się przestrzeniowo bliżéj do męża z obcego rodu (str. 165). Nie da się zaprzeczyć, że autor umiał fakt ten bystro złączyć z swą teoryą, ale téż na tém koniec, bo przecież niepodobna w żadnéj umiejętności popiérać nowéj, zupełnie oryginalnéj hypotezy jednym tylko faktem, mającym ponadto tak, jak matki z wysp maryańskich, charakter wyraźnie miejscowy. Nie należy tutaj do nas — zjawisko to analizować i inaczéj tłómaczyć, sądzę jednak, że w każdym razie tłómaczenie takie musi się opiérać na dokładnéj znajomości lokalnych stosunków społecznych wśród plemion tych wysp, a nie na tle ogólnéj teoryi o ewolucyi rodziny.

Analiza macierzyństwa Maryańczyków w myśl założeń zasadniczych teoryi o „hordzie i familii" jest jednak ważną dla charakterystyki dowodzeń naukowych prof. M., który umié zawsze, gdzie i jeśli mu potrzeba, przystosowywać fakty etnograficzne do swych zapatrywań ogólnych; tam zaś, gdzie one go zupełnie zawodzą, zasłania się niedostatecznością i bezkrytycznością całéj etnografii i wysuwa natomiast na pierwszy plan dowody, skoncentrowane na podstawie swych apryorystycznych poglądów na psychologię ludów pierwotnych.

Ponieważ — znany w poliandryach t. zw. „wielki ojciec", t. j. brat matki był w „hordzie" zawsze „przeznaczonym" mężem i koniecznym ojcem wszystkich jéj dzieci, otóż stąd — zdaniem prof. M. — powstał u ludów nieucywilizowanych obyczaj nazywania wujów — ojcami siostrzanego potomstwa. Fakt ten wynika, zdaniem innych etno- i socyologów, bezpośrednio z niepewności ojcostwa w „familiach gminnych", bo dzieci wliczane bywają zawsze do rodu matek i zostają dlatego pod opieką wujów.

Wogóle próby wyjaśnienia faktów etnicznych na podstawie teoryi o „hordzie i familii”, o ile one dotyczą dzieci w plemionach dzikich i barbarzyńskich — nie wytrzymują krytyki naukowéj i stwierdzają raczéj tyle tylko, że zarzucona przez prof. M. teorya t. zw. „małżeństw grupowych czyli gminnych” jest w porównaniu z jego hypotezą znacznie więcéj uzasadniona.

Nasuwały się samemu autorowi ciągle bardzo poważne wątpliwości, zostające mniéj lub więcéj w związku z jego systemem „przestrzennych”, a nie płciowych pokrewieństw w „hordzie i familii”; wskutek tego upewnia znów kilkakrotnie czytelników, że płeć nie mogła odgrywać w pierwotnych pokrewieństwach żadnéj decydującéj roli, wreszcie zastanawia się także nad tém, czy téż wówczas, kiedy dokonał się już podział dzieci na potomstwo „hordy” (*genossenschaftliche*) i „familii” (*nicht-genossenschaftliche*), wyrobiły się obok „przestrzennych”, także płciowe systemy i nazwy pokrewieństw. Prof. M. twierdzi stanowczo, że i w tym okresie ewolucyi rodziny nie znano jeszcze innych pokrewieństw, jak tylko „przestrzenne”, że jednak mimo to zaczęło się już wówczas wytwarzać „prawo ojców” (*Vaterrecht*) i „prawo matek” (*Mutterrecht*) w „hordach i familiach”. Tę wyraźną sprzeczność umié autor nader konsekwentnie pogodzić na zasadzie podstawowych założeń swéj teoryi. Według tych założeń było ojcostwo i macierzyństwo w naszém, t. j. płciowém rozumieniu tych pojęć, dla ludów pierwotnych, zupełnie nieznane; natomiast najstarszą formą, łączącą rodziców z dziećmi w „hordach i familiach” miało być jakieś „przeczucie” (*Ahnung*) lub „wiara”, że przecież jakiś węzeł między ojcem, matką i ich dziećmi istnieje. „Przeczucia” takie nie były jednak także—zdaniem prof. M.—wspólną przyczyną powstania „prawa ojców” i „prawa matek”, ale prowadziły tylko do mistycznego pojmowania życia i stosunków naturalnych, budziły wyobrażenia religijne i t. p. (str. 166).

Że stosunek rodziców do dzieci i naodwrót był między innemi także jedną z przyczyn pierwotnego kultu zmarłych przodków, wykazał najlepiéj Spencer, nie wynika z tego jednak wcale, ażeby zrozumienie stosunków płciowych i ich następstw miało być znacznie mniejsze, lub choćby tylko znacznie mniéj odczuwane u ludów dzikich, aniżeli u wyżéj rozwiniętych zwierząt, a wątpię, czy sam prof. M. węzłom łączącym np. lwicę z jéj potomstwem mógłby nadać nazwę „mistycznego przeczucia”. Tak samo nieprawdopodobném jest twierdzenie, że „przeczucia mistyczne”, łączące wrzekomo dzieci z rodzicami w „hordach i familiach” były przyczyną wcześniejszego odczuwania związku dzieci z matkami, aniżeli z ojcami. Właściwie fakt dawniejszéj sta-

rożytności znanego macierzyństwa w porównaniu ze znaném ojcostwem jest wyłomem w teoryi, ba, nawet w spekulacyach psychologicznych autora, że jednak nie mógł on zanegować tego zjawiska, popartego całą masą faktów etnograficznych, bezpośrednio, otóż uczynił to pośrednio za pomocą „mistyki". Za pomocą téj „mistyki" stara się on wyjaśnić także ślad starszego macierzyństwa od znanego ojcowstwa, istniejący u plemion nieucywilizowanych w t. zw. „kulcie matek" obok patryarchatu późniéj wytworzonego. „Mistyka" zajmuje tutaj w teoryi prof. M. miejsce znanego w dramatach klasycznych boga *ex machina*; mimo to jednak nie przypuszcza nawet autor, ażeby starsze macierzyństwo od znanego ojcostwa, tudzież „kult matek" mogły być wynikiem niepewności ojcowstwa w „familiach gminnych". Z gryzącą, acz nieuzasadnioną ironią pisze: „Co to za naiwność psychologiczna mieści w takiém objaśnieniu, jakoby dlatego czczono swą matkę, iż miano niepewność co do pokrewieństwa z ojca" (str. 169).

Rzeczywiście nietylko fizyologiczne, ale łączące się z niemi ściśle psychologiczne także względy złożyły się razem na ostateczne sformułowanie „kultu matek"; nikt temu zresztą nigdy nie przeczył, ale stanowczo musimy za to odrzucić twierdzenie autora, jakoby w tym specyalnym wypadku — „przeczucia mistyczne" poprzedziły naturalistyczne zrozumienie faktu pewności macierzyństwa, a niepewności ojcostwa.

Lepiéj i, zdaniem mojém, bardzo trafnie nawet, tłómaczy prof. Mucke ewolucyę pierwotnego ojcowstwa. Etymologia słowa *pitár-pater* wskazuje, że „ojciec znaczył początkowo tyle, co „żywiciel" — „opiekun", czyli innemi słowy: było pierwotne ojcostwo wynikiem przyczyn tylko ekonomicznych i dlatego miało również wyłącznie ekonomiczne znaczenie. Mężczyźni w „hordzie i familii" zaopatrywali swe komuny plemienne w żywność, byli ich „żywicielami" i „opiekunami dzieci". Takie ojcostwo mogło rzeczywiście istnieć obok rzeczywistego, t. j. płciowego macierzyństwa, mogło nawet razem z niém powstać i rozwijać się, jak chce prof. M.; ale—jeśli fakt ten skombinujemy z „kultem matek", to jużcić nasuwa się prawie mimowoli dotychczasowe tłómaczenie ewolucyi rodziny z familii gminnéj, bo w takiéj jużcić—matki znane dobrze przez swe dzieci, były prędko stosunkowo szanowane—doczekały się swego „kultu", niepewnych zaś ojców uważano ciągle tylko za „żywicieli" i „opiekunów" rodu całego, „kult" ich się nie wytworzył, przyczém, co sam autor słusznie podnosi, dzieci nazywały „ojcami" współrodowców swych matek i nosiły, dodamy, imiona rodów macierzyńskich. Naturalnie jednak, takie zrozumienie macierzyństwa i ojcostwa jest sprzeczne z całą teoryą o „hordzie i fa-

milii", to też nie dziw, że prof. M. stara się je wyjaśniać inaczéj, ażeby przecież ewolucyę „prawa matek" i „prawa ojców" złączyć z swemi założeniami. Założenia te wypada nam na tém miejscu za autorem powtórzyć. Są one: 1) w „hordzie" synowie należą do grup męskich, a córki do żeńskich; 2) w „familii" są dzieci wszystkie wykluczone od „porządku przestrzennego" i komuny „hordy" w androkracyi, w gynekokracyi przeciwnie uważane są za potomstwo „przeznaczonych" mężów-braci ich matek i jako takie są do „hordy" wliczane; 3) tłómaczenie ewolucyi rodziny na podstawie pewności macierzyństwa a niepewności ojcostwa, odrzuca się, przeciwnie ojcostwo, jako „żywicielstwo" i „opiekuństwo" jest równie stare, jak „prawo matek" i ich „kult", poczém „prawo ojców" przerosło w androkracyi „prawo matek", w gynekokracyi zaś stało się odwrotnie; 4) nazwy nosiły, zdaniem prof. M., dzieci w „hordzie" według grup, do których należały; w „familii" gynekokratycznéj miało być tak samo, lub też wszystkie dzieci bez względu na płeć nazywano po matkach, jak zaś było w androkracyi, tego autor nie rozstrzyga, bo, jak pisze, za mało ma na to „danych statystycznych".

Na podstawie takich to przesłanek wysnuwa prof. Mucke wniosek ogólny, że nawet wówczas, „kiedy już w „hordach i familiach" wytworzyło się „prawo ojców" i „prawo matek", pokrewieństwa płciowe w odróżnieniu od „przestrzennych" były nadal także zupełnie — nieznane. Przeciwnie, „przeczucia takich pokrewieństw" powstały i mogły dopiéro wówczas powstać, „kiedy już całkowicie się wykształciły: prawo macierzyste i prawo ojcowskie. *Aber nicht früher*" (str. 177).

Przyjmując przesłanki, musi się przyjąć także wniosek autora, tylko że — jak poprzednio wykazywaliśmy — chodzi właśnie głównie o to, że przesłanki te są albo mało uzasadnione, albo też zostały lepiéj i jaśniéj wytłómaczone na zasadzie „familii gminnych", niżeli ze stanowiska teoryi o hordzie i familii".

Jak dalece jednak jest autor bezwzględnie konsekwentnym w obronie swéj teoryi, widzimy między innemi także z jego skromnego, a więc jak u niego, niezwykłego uchylenia się od wyjaśnienia nazw dzieci w androkracyi. Brak przecież „dostatecznego materyału statystycznego", t. j. raczéj etnograficznego, nigdy nie przeszkadza autorowi do czynienia nawet najdaléj idących wniosków dlatego, że nie etnografia, ale psychologia i etymologia są dlań jedynie pewnemi kryteryami. Ale... prof. M. wie, że dotychczas etnografowie wykazują, iż dzieci nazywają się u ludów nieucywilizowanych zawsze — po matkach; że jednak tego z teoryą swą złączyć nie mógł, więc wolał się przyznać, że go rozstrzygnąć nie jest w stanie.

Ojcostwo, jako „żywicielstwo” i „opiekuństwo” mogło być całkiem dobrze połączone z rozwojem „prawa matek” i niepewnością ojcostwa w naszém zrozumieniu tego wyrazu — na to zgoda; że jednak autor także macierzyństwo pierwotne pojmuje w znaczeniu „przestrzenném”, musi zatém konsekwentnie do tego założenia dowodzić, że „prawo matek” i „prawo ojców” były nietylko od samego początku równoczesne z małą chyba różnicą w czasie ewolucyi, ale także w istocie swéj równorzędne. Etnografia nie mogła i w tym względzie dostarczyć dowodów, natomiast znalazł on dwóch zgadzających się z nim poczęści — poprzedników. Są nimi: Starke (*Die primitive Familie*) i Tylor (*On a Method of Investigating the Developpement of Institutions*). Zadowolony z tego odkrycia i tém pewniejszy siebie, odrzuca ostrzéj niż kiedykolwiek przedtém zdania innych poprzedników i to uczonych takiéj miary, jak: Hellwald, Bachofen, Dargun, M. Lennan, Westermarck i in. Jak wiadomo, badacze ci dowodzą mniéj lub więcéj zgodnie, że „prawo matek” poprzedza znacznie w ewolucyi rodziny „prawo ojców”, a już stanowczo, jeśliby nawet bystry wniosek prof. M. o ojcostwie pierwotném, jako „żywicielstwie” i „opiekuństwie” okazał się pewnikiem naukowym, to niepodobna przecież zgodzić się na to, jakoby także macierzyństwo było początkowo równorzędném, t. j. nie płciowém pojęciem. Zbijając poprzedników, zarzuca im autor brak należytego uwzględnienia i zestawienia spostrzeżeń etnograficznych, brak zrozumienia psychologii i logiki, sam jednak ma znów bardzo mało do czynienia z faktami, ale za to bardzo wiele z zwykłemi sobie uogólnieniami apryorystycznemi — psychologicznemi. Dowody autora są w tym razie wprost zabójcze dla jego metody i teoryi (por. str. 178—189), polemizuje np. głównie z Dargunem, a tylko tyle z polemiki téj można przyjąć za uzasadnione, że z „familii gminnéj”, uznającéj równość zupełną swych mężczyzn i kobiét, mogła się wyłonić tylko gynekokracya, t. j. poliandrya, czyli mówiąc słowami Darguna „matryarchat”; nie mógł się jednak z tego samego źródła i w ten sam sposób wyłonić „patryarchat”, złączony z poligamią. Wyłonił się on jednak innym sposobem, powiedziałbym rewolucyjnym, bo przez ujarzmienie kobiét „hordy” przez dotychczasowych „żywicieli” komuny i „opiekunów” dzieci. Tego prof. M. nie przypuszcza nawet, bo wnioskuje konsekwentnie do swéj teoryi, że „patryarchat” jest czysto ewolucyjnym wynikiem androkratycznéj „familii” tak, jak „matryarchat” gynekokratycznéj. Brat matki jest, zdaniem M. Lennana, zawsze opiekunem jéj dzieci, dlatego mianowicie, że dzieci te w niepewności ojcostwa (właściwego) należały do rodów macierzyńskich. Prof. M. chce na tym samym fakcie etnicznym dowieść czegoś wręcz przeciw-

nego, robi to w swój zwykły spekulatywno-psychologiczny sposób, a przecież nie waha się napisać: „Takie wyjaśnienie, jakie podaje, M. Lennan, muszę uznać za naiwne" (str. 186). Gorzéj jeszcze traktuje prof. M. Westermacka, co często robi niekorzystne wrażenie na czytelnika i nasuwa prawie na myśl, że autor nie tyle zbija, ile raczéj odstrasza przeciwników swéj teoryi. Nawet fakt sztucznego przekształcania czaszek chce prof. M. złączyć z swą teoryą. Najjaśniéj, zdaniem jego, można zrozumieć ten obyczaj na podstawie „porządku przestrzennego" w „hordzie"; twierdzenie to jednak mniéj nas na razie obchodzi, bo sam autor uważa je jeszcze za wątpliwe, natomiast łatwo zgodzić się z nim na wniosek, podniesiony przedtém przez Virchowa, że takie sztuczne przekształcanie czaszek mogło w wielu razach wpływać na przekształcenie ras antropologicznych — długo- i krótkogłowców. Naturalnie, że wniosek ten nie stoi w żadnym koniecznym związku przyczynowym z założeniami teoryi o „hordzie i familii", ale też w tém właśnie polega wielka część jego obiektywnéj wartości. Rozdział o dzieciach w „hordzie i familii" jest ostatnim w książce, mającym na celu b e z p o ś r e d n i e ukształtowanie, objaśnienie i udowodnienie całéj „nowéj teoryi" autora; następne rozdziały mają już na celu wyjaśnienie dalszéj ewolucyi rodziny ze stanowiska „hordy i familii", tudzież wytłómaczenie na téj zasadzie tych zjawisk etnicznych, które dotychczas przytaczane były zawsze na udowodnienie przeciwnych teoryi prof. M. zapatrywań etno- i socyologicznych. Z ustępów tych najważniejszym i względnie najgłębszym jest rozdział 5-ty p. t. „Wpływ ukształtowań rodziny na życie hordy".

V.

Ponieważ w myśl teoryi o „hordzie i familii", „familia" wytwarza się obok „hordy", jako nowotwór społeczny zupełnie odrębny, acz nie samoistny, że jest ona, jakby się bez zasadniczych założeń prof. M. wyrażono, wtargnięciem „państwa", opartego na stopniowéj indywidualizacyi własności do pierwotnych plemiennych komun; otóż całkiem naturalnie musiał autor osobne studyum poświęcić w swéj książce wykazaniu, czy i jakie wpływy wywarły „familie" na pierwotne, „przestrzennie" zorganizowane „hordy".

Wiemy, że autor nie przychyla się do przyjmowanego dziś ogólnie i faktami etnograficznemi popartego zdania Kauzky'ego, że niewolnictwo, *ergo* według prof. M. „familia", było początkowo wspólną własnością całéj „hordy". Jeśli nawet, robi koncesyę autor, działo się

coś podobnego, to dopiéro chyba w późniejszéj ewolucyi „hordy i familii". Niepodobna zgodzić się bez dowodów na to apryorystyczne twierdzenie autora, natomiast możemy mimo to przyjąć inne jego w tym kierunku zapatrywanie, nie nowe zresztą, że już w samych początkach „rozciągnięcie władzy nad cudzoziemcem narusza porządek związku ludzi *(Genossenschaft)*" (str. 193). Ten „porządek" jest, jak wiemy, dla prof. M. „porządkiem przestrzennym", a tém samém także małżeńskim w „hordzie"; konsekwentnie z tém założeniem wnioskuje autor, że pod tym wpływem „familii" następowało zaburzenie „porządku" — zarówno w „hordzie", z k t ó r é j niewolników lub niewolnice porywano, jak i w téj, d o k t ó r é j porwanych „obcych" wprowadzano. W pierwszym wypadku oddział „hordy" chce odzyskać utraconego swego członka i taką to jest, zdaniem autora, pierwsza przyczyna znanego w etnologii „prawa odwetu rodowego". W drugim wypadku, oddział „hordy" zostaje o jednego członka powiększony, że jednak przybysz ten nie może być do „hordy" włączony, przeto staje się jako „obcy" — „niewolnik" swego „pana", który go porwał — elementem, rozsadzającym zarówno „przestrzenny", jak i ekonomiczny „porządek" — „hordy" i wzbudza przez to w „hordzie" uczucia dla się wrogie *(Unlust Empfindungen,* str. 194). Wszystkie te twierdzenia dadzą się w rezultatach przyjąć. Rzeczywiście jest zamiana jeńców wojennych na niewolników najstarszą formą wytwarzania się niewolnictwa; faktem jest także, że niewolnictwo wpływa od samego początku powoli, ale stale i konsekwentnie na rozsadzenie komun archaicznych. Dowodów na to wiele zarówno w etnografii współczesnéj, jako téż w księgach świętych indyjskich, egipskich, żydowskich i parskich; jest to początek przemiany komun na ustroje „państwowe" z własnością mniéj lub więcéj indywidualną. Prof. M. popełnia w tym względzie tylko jeden, ale za to zasadniczy błąd, t. j. że fakty te chce podobnie, jak wiele innych, wysnuć z swéj teoryi.

Znany u ludów nieucywilizowanych obyczaj, że zięciowie i synowe unikają matek żon, względnie mężów, i naodwrót, uważa prof. M. za wyraźny ślad dawnych niechęci dla „obcych" ludzi w „hordzie" i zbija — słusznie zresztą pogląd Kohlera, że początek tego obyczaju był „mistyczny". Rzeczywiście faktem jest, że w komunach archaicznych „obcy" wogóle, a specyalnie niewolnicy, nie byli uważani za równych społecznie współobywateli, na to nie potrzeba jednak było „uczuć niechęci", ale wystarczały zupełnie przyczyny płciowo-rodowe i ekonomiczne; niemniéj faktem jest dawno stwierdzonym, że porywanie jeńców wojennych z „hordy" do „hordy" wymaga u ludów nieucywilizowanych — odwetu, „zemsty" wszystkich za jednego, t. j. „zemsty

rodowéj“, któréj ślad przechował się do dziś dnia w Europie nawet, w korsykańskiéj wendecie, kwestyą jest jednak, czy i o ile porywanie jeńców było pierwotną przyczyną „prawa odwetu“. Słusznie twierdzi autor, że pierwotna przyczyna była inną, bardziéj prymitywną. Widzimy ją dziś jeszcze np. u indyjskich Kookiów, u których całe plemię rzuca się na tygrysa, jeśli pożarł jednego z współplemieńców, ba, nawet niszczą wspólnie drzewo, jeśli ono padając — przygniotło przypadkiem jednego Kookia. To są bez kwestyi fakty, objaśniające początek „prawa zemsty“ lepiéj. niżeli teorye z zasady, późniéj znacznie wśród ludów nieucywilizowanych wytworzonéj — „krew za krew“. Dziecinne czysto pojęcie mszczenia się na wszystkiém, co dzikiemu lub jego współplemieńcowi zrobiło krzywdę, jest źródłem pierwszych— odwetu i dlatego nie można zgodzić się z Postem (*Bausteine*, etc., I), „że węzeł krwi, jednoczący pierwotne związki etniczne, w razie naruszenia go, domagał się bądź co bądź krwi.“ Nie da się także przyjąć zapatrywanie tegoż badacza, że zemsta krwawa miała pierwotnie na celu równoważenie sił między poszczególnymi „rodami“; słusznie twierdzi prof. M., że taki pogląd nie zgadza się z psychologią ludów pierwotnych, ani też z należytém pojmowaniem całéj dziejowéj ewolucyi ludzkości; inna rzecz jednak, że na wyjaśnienie przyczyn „prawa zemsty“ wystarcza zupełnie pogląd, iż nie jest ono początkowo niczém innem, jak tylko wynikiem uczucia doznanéj od kogo lub czegokolwiek krzywdy, t. j. zupełnie tak samo, jak u dzieci. Drzewo, zabijające dzikiego, czyni krzywdę całemu plemieniu, które nagle traci bardzo potrzebną siłę ekonomiczną, wojenną i płciową. To są powody, dlaczego plemię mści się na tém drzewie i wcale nie potrzeba na wyjaśnienia tak zwykłego faktu teoryi prof. M., że niszczą dlatego, że ono przerwało szeregi hordy (198). Fakty, że dzicy mszczą się tylko za współplemieńców, że prawo to obowiązuje przedewszystkiém wobec „obcych“, a wobec własnych współobywateli wówczas tylko, jeśli ci ostatni są zbrodniarzami np. złodziejami, cudzołózcami i t. p., uważa prof. M. za poparcie swego sądu, że chodziło tu pierwotnie zawsze o zaspokojenie krzywdy, powstałéj skutkiem uczynionéj gwałtownie luki w „porządku hordy“. Sądząc tak, nie godzi się prof. Mucke na pogląd Miklosicza (*Die Blutrache bei den Slaven*), że obyczaj wspólnéj zemsty wytworzył się, jako skutek konieczności wspólnéj obrony współplemieńców przed obcymi. Prawo to było „gwarancyą życia dzikich“ i jako takie obowiązywało współrodowców tylko między sobą wobec innych rodów. Później związki rodowe przybrały charakter szerszy— terytoryalny, a więc rozszerzyło się na więcéj członków także prawo współobrony, t. j. „prawo zemsty“. Na to, że rzeczywiście „prawo

zemsty", powstałe wszędzie i zawsze z dziecinnéj chęci odwetu, było późniéj głównie prawem zabezpieczającém życie i mienie komun rodowych, sąsiadujących z sobą — trudno się nie zgodzić. Nie przeczy temu także autor, ale nie godzi się, jakoby prawo to mogło się rozszerzyć w miarę przemiany związków rodowych na terytoryalne. Przecież dla prof. M. związek „przestrzenny", terytoryalny, jest „hordą", a więc społeczną komórką pierwotną, z któréj wysuwa się cała ewolucya dziejowa ludzkości; nie ma zresztą kwestyi, że z ustroju opartego na „rodach" — ustroje oparte na terytoryach nie mogły się wyłonić z przyczyn ewolucyi tylko rodzinnego życia, ale etnografia i historya starożytna dostarczają nam jednak całego szeregu dowodów na to, że „t e r y t o r y a l n y" n a s t ę p o w a ł p o „r o d o w y m", skutkiem współdziałania warunków ekonomicznych, politycznych i oprócz tego także rodzinnych („Reforma Serviusa Tullusa w Rzymie, Solon — Kleistenes w Atenach i t. p.). Bardzo wielką ilość faktów przytacza Miklosicz, a za nim także Hellwald i Lippert, które niezbicie stwierdzają, że „prawo zemsty" było dla dzikich wynikiem, raczéj powiedzmy synonimem współobrony przed obcymi. Wspomnieliśmy już, że i prof. M. nie przeczy temu, ale, idąc w myśl swéj teoryi, sądzi, że współobrona nie istniała pierwotnie między krewnymi przez krew (*consanguinei*), lecz tylko między krewnymi z porządku „hordy" *(agnati)*. Dowód na swe twierdzenie przytacza autor z biblii, gdzie wyrażoném jest, że „prawo zemsty" broni „kraju", a nie „krewnych" (przez krew) przed „obcymi". Że wyrażenie „kraj" jest tutaj przenośnią zamiast „krewni"—jest mimo przeciwnego zdania autora jasném; tak komentuje je także Lippert, lecz gdybyśmy je nawet chcieli rozumiéć d o s ł o w n i e, t. j. tak, jak prof. M. — to przecież nic nas jeszcze nie upoważnia do tłómaczenia sobie słowa „kraj" na „pokrewieństwa przez kraj" („przestrzennie").

Lippert i jego następcy wysnuwają z „prawa zemsty" *ergo* współobrony krewnych (przez krew), także znany u dzikich obyczaj rozszerzania tego prawa na nie-krewnych, przez t. zw. braterstwo krwi lub mléka, polegając na obrzędzie mieszania kropli własnéj krwi z krwią tego, którego się na „brata" przyjmuje. Taką zmieszaną krew wypijają następnie obaj nowi „bracia" z jednego naczynia; tu i owdzie zamiast krwi używają mléka, oznaczającego mléko matek. Prof. M. zgadza się na to, że takie mistyczne pokrewieństwa obowiązywały do współobrony, niemniéj jak związki „przestrzenne" „hordy"; sądzi jednak, że nie musiały wcale te „braterstwa" wyłonić się z pokrewieństw przez krew, że są one już etapami późniejszéj ewolucyi „prawa zemsty", bo prawo to obowiązywało początkowo jedynie „hordę", pozba-

wioną jednego współobywatela i to tę tylko grupę „przestrzennych pokrewieństw” w danéj „hordzie”, która przez gwałtowny ubytek jednego z „przestrzennych” krewnych została bezpośrednio w „porządku” swym zaburzoną. Mimo „prawa zemsty” zaburzenia takie powtarzały się często, ale im nie przypisuje M. siły społecznéj takiéj, iżby mogła wpłynąć na modyfikacyę stałą „przestrzennego” porządku „hordy”; ewolucya tego „porządku“ wyrosła dopiéro z zaburzenia go przez powstanie „familii“ obok „hordy“.

„Familia“ w znaczeniu teoryi prof. M., a więc niewolnicy i niewolnice, składała się z ludzi obcych dla „hordy“. Byli oni od „przestrzennego“ i ekonomicznego „porządku hordy“ zupełnie wyłączeni, dopiéro z czasem poczęli dążyć do emancypacyi społecznéj. Zróżniczkowanie się „familii“ na gyneko- i androkratyczne, wycisnęło na procesie emancypacyjnym tychże dwojakie piętno psychologiczne, bo (przypomina autor) kobiéta działa ku sobie saméj i według swych uczuć ocenia świat zewnętrzny, u mężczyzn dzieje się odwrotnie i dlatego byli oni także dla emancypacyi „familii“ lepiéj usposobieni. Nie da się zaprzeczyć, że dążności emancypacyjne żywiołów niewolniczych, względnie pół wolnych obywateli stanowią podstawę ewolucyi społeczno-politycznéj pierwotnych „państw“. Wśród najważniejszych etapów téj ewolucyi widnieją ustawodawstwa takie, jak reforma serwiańska w Rzymie, solońska w Atenach i t. p., które, jak wiadomo, w dalszym swym rozwoju—emancypacyę warstwy, nie włączanéj początkowo do „rodów“, zupełnie przeprowadziły. Wiemy jeszcze więcéj, oto że emancypacya taka doprowadzała zawsze do ustalenia się formy rządów w starych „p a ń s t w a c h“ i że rozpoczynała się od tego, iż uprzywilejowane „rody“ traciły powoli swe przywileje w miarę mianowicie, jak na miejsce prastarych urządzeń, opierających się na podziale „rodowym“ wyrastały nowe, opierające się na podziałach rodowców i nierodowców według terytoryum i zindywidualizowanéj już własności prywatnéj. Nie można i nie potrzeba także przeczyć autorowi, że w ewolucyi téj wybitną rolę odgrywał fakt, czy w danem społeczeństwie przeważyły kobiéty, czy téż mężczyźni; — krótko powiedziawszy, na cały rezultat zapatrywań autora można się w tym razie zgodzić, ale znów tylko z tą zasadniczą różnicą, że znamionuje on przemianę ustrojów rodowych w „państwa“ i jest dlatego znacznie późniejszym etapem ewolucyi społeczno-politycznéj, aniżeli to M. przypuszcza, widząc w nim prastarą stosownie do swych założeń modyfikacyę „porządku hordy“, skutkiem wtargnięcia i emancypacyi „famillii“.

W „familii gynekokratycznéj“ niewolnik jest w myśl założeń M. indywidualną własnością kobiety z „hordy“. Jako taki jest zupełnie

wykluczony z przestrzennego, a więc tém samém także z płciowego i ekonomicznego „porządku“ (życia) „hordy“, poczyna się zaś emancypować dopiéro z chwilą, kiedy staje się nielegalnym mężem swéj właścicielki. Przez to samo wkraczał niewolnik ów do „hordy“ pod względem płciowym; pozostawało jednak nadal zupełne wyłączenie terytoryalne i ekonomiczne, czego nie mogła zmienić nawet wola „pana“, bo decyzya o adoptacyi „przestrzennéj“ męskich niewolników należała według „porządku hordy“ do grup braci-mężów ich „pań“ (i obecnie już nielegalnych żon). Wobec dokonanego już faktu zbliżenia płciowego się kobiét „hordy“ do swych niewolników, — mężczyzni „hordy“ nie mieli przyczyny do opiérania się „przestrzennéj“ tychże adoptacyi, a będąc ponadto—jak zawsze mężczyźni „*freigesellig*“—sami tę adoptacyę przeprowadzali. Czy jednak mogła ona już być zupełną. Nie! — odpowiada prof. M. — bo pozostawało nadal jeszcze upośledzenie ekonomiczne. Dawni niewolnicy „familii“ — obecnie już półwolni członkowie „hordy“ — musieli nadal „służyć“ swym paniom-żonom i te, mając z takiego stanu rzeczy korzyść ekonomiczną, nie kasowały go z reguły, mężczyźni zaś „hordy“ nie mieli już teraz żadnego prawa, aby do ostatecznéj emancypacyi żywiołu niewolniczego dopomódz tak, jak dopomogli do emancypacyi „przestrzennéj“. Na dowód takiéj ewolucyi przytacza autor—opisaną przez Massdena—rodzinę na Sumatrze, gdzie istnieją obok siebie trzy rodzaje małżeństw: 1) t. zw. „małżeństwo z Ambilanak“, 2) małż. „z Djudjur“ i 3) „z Semando“. Ostatnie, t. j. małżeństwo „z Semando“, polega — zdaniem prof. M. — na prastarém „przestrzennėm“ małżeństwie wśród „hordy“, bo tu mąż i żona są sobie społecznie—równi. Starcke dopatruje się — zdaniem mojém — zupełnie słusznie w małżeństwie tém śladu familii gminnéj. Małżeństwo „z Djudjur“, w którém mąż żonę na własność kupuje jest, na co wszyscy się godzą, formą późniejszą —„patryarchalną“, naodwrót małżeństwo „z Ambilanak“ jest „matryarchalne“, bo męża kupuje dla żony jéj ród, względnie adoptuje w tym celu jakiegoś biédaka, który od téj chwili należy do rodu swéj żony i pani, jednak tylko połowicznie. Należy wprawdzie do komuny rodu żony i włączony jest do „prawa zemsty“, ale w razie rozwodu lub śmierci żony—staje się znów tak biédnym, jak przed adoptacyą. Takie małżeństwo jest—stosownie do teoryi prof. M.—wyraźnym śladem wytwarzania się w łonie „hordy“ „familii gynekokratycznéj“ i wpływu téjże na pierwszą. W myśl poprzedników naszego autora, małżeństwo „z Ambilanak“ jest całkiem czémś innėm; jest śladem poliandryi, wytwarzającéj się ewolucyjnie z małżeństwa gminnego „z Semando“. Ostatnie zapatrywanie jest — sądzę — słuszne, bo rzeczywiście mężowie w rodzinach poliandryj-

nych wchodzą do rodów żon jako pół-wolni, jak np. u Howasów, których urządzenia są—jak wiadomo — klasycznym obecnie typem przewagi kobiét. Taką familię poznał także Andrews u hawajskich Malajów a lokalna jéj nazwa „Punalua“ została przez Morgana wprowadzoną do socyologii na oznaczenie typu familii matryarchalnéj — ale takiéj, w któréj już skutkiem adoptacyi mężów rozpoczyna się przemiana ścisłéj endogamii rodzinnéj, na częściową egzogamię. Prof. M., nie godząc się z Morganem, przyjmuje jednak ten sam termin naukowy, t. j. „Punalua“ w innem zrozumieniu rzeczy. „Punalua“ jest dlań dawnym niewolnikiem „familii gynekokratycznéj“, który został już połowicznie, t. j. płciowo i przestrzennie do „hordy“ włączonym czyli adoptowanym, ale pozostało jeszcze nadal wyłączenie ekonomiczne. Nie ma kwestyi, że ze swych zasadniczych założeń nie mógł autor inaczéj takich rodzin rozumieć; inna rzecz, że jest tutaj w rażącéj wprost sprzeczności z faktami, bo adoptowany mąż czyli „Punalua“ należy przecież z reguły nietylko płciowo i przestrzennie, ale i e k o n o m i c z n i e do „rodu“ swéj żony.

Połowiczne włączenie „Punalua“ do „hordy“ — jest dla prof. M. pierwszym wyraźnym wpływem „familii gynekokratycznéj“ na zmodyfikowanie „porządku hordy“. W „hordzie“ początek jest następujący:

„Horda“ { bracia — synowie
siostry — córki }

„Familia gynekokratyczna“ — dzieci należące do hordy“.

Po włączeniu „Punalua“ „porządek“ się zmienia:

„Horda“ { wolni bracia — wolni synowie
wolne siostry — wolne córki }

„Familia gynekokratyczna“ { wolne siostry — wolne córki (mężów adoptowanych)
„Punalua“ — pół wolni synowie (również „Punaula“) }.

Skutkiem takiéj modyfikacyi w „porządku hordy“, wchodzą w jéj skład córki „Punalua“ włączone do „rodów“ (oddziałów) swych matek, a więc wolne i pół-wolni ich bracia, należący do „oddziałów“ swych ojców—równie pół-wolnych, ale „przestrzennie“ już przedtem do „hordy“ włączonych. Wolne córki „Punalua“ nie mogą być przeznaczonemi przestrzennie żonami swych pół-wolnych braci, to też mężami ich stają się ich wujowie (wolni bracia matek); późniéj wujowie ci przelewają to swe prawo na swych synów i tą drogą wytwarzają się—zdaniem prof. M.—nieznane dotąd w „hordzie“ małżeństwa córek

sióstr z synami braci. Są to znane u dzikich i barbarzyńców małżeństwa między krewnymi, o których pisze Morgan, że wytworzyły się wówczas, kiedy instytucya „Punalua“ zaczęła rozsadzać pierwotną kazirodczą endogamię w familiach gminnych. Jak widzimy, rezultat zapatrywań prof. M. nie odbiega w tym względzie od poprzedników, jakkolwiek z innych wychodzi założeń zasadniczych; każdy jednak nieuprzedzony czytelnik musi mimowoli przyznać, czytając dowody prof. M., że są one więcéj zawikłane, aniżeli Morgana i innych socyologów i że, co gorsza, są one także więcéj apryorystyczne. Wiele np. faktów stwierdza, że małżeństwa wujów z siostrzenicami są często formą „lewiratu” i jako takie są, zdaniem najpoważniejszych badaczy, pozostałością najwyraźniejszą familii gminnych, przechodzących jednak już w indywidualistyczne związki małżeńskie. Ślady takiéj ewolucyi zawarte są np. w księgach świętych ludów wschodnich, a więc w biblii (por. Stade, *Gesch. des Volkes Izrael*), u Egipcyan (Meyer, *Gesch. des alten Aegyptens*), Persów i Indów (Leffmann, *Gesch. des alten Indiens*), nie licząc już nawet faktów zebranych etnograficznie.

W chwili powstania małżeństw między córkami sióstr i synami braci—pisze daléj prof. M.—„horda“, złączona z gynekokratyczną „familią“ zmodyfikowała znów swój porządek i to w ten sposób:

„Horda“	wolni bracia — wolni „synowie braci“
„Familia gynekokr.“	wolne siostry — wolne „córki sióstr“
	„Punalua“ — pół wolni synowie „Punalua“.

Tak wyglądać musiał konsekwentnie do teoryi prof. M. „porządek hordy“, a więc i małżeństw w jéj łonie, zmodyfikowany przez familię gynekokratyczną, t. j. przez połowiczne włączenie dawnych niewolników, przemienionych obecnie w pół-wolnych mężów „Punalua“.

Inaczéj modyfikował się „porządek hordy“ pod wpływem „familii androkatycznéj”. Kobiéty „familii“ obozowały tutaj po za grupą braci „hordy“ i dlatego nie wchodziły w bezpośredni związek przestrzenny z siostrami „hordy“, to jest:

„Familia androkratyczna“ (*ergo* niewolnice) — dzieci niewolnic, córki i synowie.

„Horda“	bracia — wolni synowie
	siostry — wolne córki

W takim „porządku“ cała „horda“ korzystała terytoryalnie i ekonomicznie z pracy (i wyłączenia przestrzennego) kobiét „familii“, ponadto dodamy d-rowi M.—kobiéty „hordy“ miały wiele powodów natury fizyologiczno-psychologicznéj, aby nie dopuścić do emancypacyi

niewolnic; tak tedy „bracia“ — „hordy“ ze względów ekonomicznych, a „siostry“ ich (i żony) ze względów i ekonomicznych i psychologicznych — dążyli wspólnie do utrzymania raz ustalonego „porządku hordy“. Kobiéty „familii“, t. j. niewolnice, nie mogły liczyć w swéj dążności emancypacyjnéj na nikogo innego, jak tylko na swe potomstwo.

Początkowo pozbywała się „horda“ tego potomstwa, jako ciężaru ekonomicznego, późniéj doszli jednak „panowie“ do przeświadczenia, że przecież praca dzieci ich z niewolnic, a więc dzieci „familii“ opłaca się z czasem; od téj dopiéro chwili — sądzi prof. M. — potomstwo niewolnic wliczać poczęto do „androkratycznéj familii“. „Apryorystycznie“, jak sam autor się przyznaje, sądzi on, że „androkrat“ (pan) wychowywał początkowo tylko s y n ó w swéj kobiecéj „familii“, bo prędzéj pojął ich ekonomiczną użyteczność; córki niewolnic zabijano i nadal. Mówiliśmy już dawniéj, że i dlaczego nie można się zgodzić na wyjaśnienie zabijania dzieci, względnie specyalnie córek, u dzikich i barbarzyńców takie, jakie nam podaje stosownie do swéj teoryi prof. M. Te same przyczyny nie pozwalają nam także obecnie przyjąć jego zapatrywań, a tém samém uważamy za apryorystyczny i nieuzasadniony schemat przestrzennego porządku „hordy“ i „familii androkratycznéj”, jaki nam autor kréśli i z niego całą dalszą ewolucyą omawianych faktów wyprowadza. Schemat ten jest następujący:

I. „Familia androkrat.“ { „Famel“ (kobiéta) — jéj córki (niewolnice)
„wolni bracia“ (t. j. związki „braci hordy“ z niewolnicami), córki są niewolnicami lub zabija się je — zostają synowie. Synów tych z łona „familii“ przenosi ich ojciec do „hordy“, a więc robi ich „synami wolnymi“.

„Horda“ { wolni bracia — wolni synowie
wolne siostry — wolne córki.

Następnie „pan“, włączywszy już synów swéj „familii“ do „hordy“, przesiedla się także sam do téj na pół wyemancypowanéj „familii“ i „porządek hordy“ modyfikuje się tak:

II. „Familia androkr.“ { „Famel“ (kobiéty „familii“) — córki (niewolnice)
wolni bracia — wolni synowie

„Horda“ . . . . { wolne siostry — wolne córki.

Dzieje się tu odwrotnie, aniżeli przy modyfikacyi „hordy” przez „familię gynekokratyczną”. Tam — c ó r k i „familii” wchodzą do „hordy“, a synowie zostają równie jak mężczyźni „familii“ — „punalua“; tutaj, przeciwnie, córki „familii“ są z „hordy“ wykluczone, jeśli

je wogóle „pan i ojciec“ zostawił przy życiu, a synowie niewolnic zostają do „hordy“ przyjęci. Takie konsekwentne schematy nie nadawały się prof. M. do wyjaśnienia wszestronnego dalszéj ewolucyi życia rodzinnego, poradził sobie jednak wcale dobrze, bo sądzi, że konsekwentny rozwój był stosunkowo rzadki, natomiast najczęściéj modyfikował się „porządek hordy“ pod wspólnym wpływem, zarówno gynekojak i androkratycznych „familii“. Przy takich dwustronnych modyfikacyach wytwarzały się w łonie „hordy” podwójne małżeństwa krewnych. Obok legalnych, t. j. przestrzennie przeznaczonych dla siebie małżeństw córek sióstr z synami braci, poczynają się wytwarzać także nielegalne związki córek niewolnic i „panów“ (z „familii androkratycznéj“ z synami „punalua“ (z „familii gynekokratycznéj“); wogóle związki małżeńskie między krewnymi stają się regułą, a pierwotna czysto kazirodcza rodzina zanika. Nie ma kwestyi, że małżeństwa krewnych były pierwszym etapem przemiany familii gminnéj, ściśle kazirodczéj, na familię endogamiczną w obrębie „rodów“. Dowodzą tego liczne fakty etnograficzne zebrane i zestawione zarówno przez prof. M., jak i jego poprzedników. Ci poprzednicy wyjaśnili także przyczyny takiéj ewolucyi, a chociaż w szczegółach wiele jeszcze z tych przyczyn nie zostało dokładnie wytłómaczonych, to jednakże tłómaczenia te, wychodzące z zasadniczego założenia familii gminnych-kazirodczych, opartych na związkach płci—są, jak nieraz już wykazywaliśmy, ściślejsze i mniéj apryorystyczne, niżeli wnioski prof. Muckego, opierające się na jego teoryi. Do takich wniosków należy także tłómaczenie autora, skąd się wziął znany u dzikich i barbaczyńców zwyczaj t. zw. *couvade*, który, zdaniem jego, musiał wytworzyć się właśnie w czasie przemiany małżeństw kazirodczych wśród rodzeństwa na małżeństwa krewnych.

Położnice po odbytym porodzie opuszczają na pewien czas, 10—30 dni, obozowisko „hordy“ i mieszkają z niemowlęciem osobno, w „domu położnic“—jak się wyraża misyonarz Dannent. O znakomitych Tahiti—opowiada Wilson — że położnice są 6 tygodni, do 2 miesięcy „tabu“, aż do uroczystości zwanéj „wielką ucztą“. Taka odosobniona położnica karmi dziecię, a żywność ściśle oznaczoną donoszą jéj inne kobiéty „hordy“, aż do ceremonii, w któréj „horda“ noworodka przyjmuje. W „familii androkratycznéj“ nie ma położnica ani miejsca, ani czasu do takiego wypoczynku, wraca zaraz do pracy, natomiast ceremonię wypoczynku odbywa jéj „pan“ i mąż w ten sposób, że sam kładzie się na posłanie, pości i niczém się nie zajmuje. Jest tedy zwyczaj *couvade*, zdaniem prof. M., naśladownictwem przez panów „familii androkratycznéj“ — matek z hordy gynekokratycznéj. W takim

razie trzebaby najpierw dowieść, że u plemion patryarchalnych matki szły rzeczywiście zaraz po porodzie do pracy, tego jednak dowiéść faktami niepodobna; dlatego zapewne ważny ten moment dowodowy, który bardzo mógłby zapatrywanie prof. M. poprzéć, nazywa autor „rzeczą mniejszéj wagi“ i zbija, jak zwykle, poprzedników swych — bezwzględnie. Większość ostatnich, jak np. M. Müller, Bastian, Tylor i Starcke, tłómaczą „kuwadę“ motywami wyznaniowemi z powodu, że chodzi w nim o zabezpieczenie dobrego powodzenia dziecku, a nie o rodziców. Prof. M. nie przeczy temu; sądzi jednak, że znaczenie takie wyrobiło się co do „kuwade“ dopiéro późniéj, z powodu, że przez obyczaj ten pan „familii“ dziecię za swoje uznawał. Daleko wstecz, do pierwszych stadyów wpływu „familii“ na „hordę“ cofa autor chwilę powstania kuwady, — a przecież tak być nie może, bo mamy tu do czynienia bądź co bądź z ceremonią rytualną, któréj początek tkwi w wytworzonym pierwéj „kulcie przodków“. Wiemy, że mimo zaprzeczeń prof. M., w kulcie tym tkwi obyczaj ofiary z krwi dziecka na rzecz duchów rodu, t. j. obrzezanie (Meyer, *Gesch. des alten Aegyptens*) — to też tém łatwiéj możemy z tego samego źródła wysnuwać ceremonię *couvade*, przy któréj, co za ważne uznajemy, oboje rodzice odpoczywają—ku korzyści swego potomka. Łączyć ten obyczaj, a raczéj rytuał z przemianą małżeństw kazirodczych rodzeństwa na małżeństwa krewnych—trudno; prof. M. przynajmniéj nie przekonywa czytelnika, trudno również przyjąć jego dalsze wywody o małżeństwach synów sióstr z córkami braci. Są one—zdaniem autora—wynikiem współdziałania obu form „familii“ (gynekokratycznéj i androkratycznéj) na „porządek hordy“. I tak: w gynekokratycznéj „familii“ mieszkają razem: wolne siostry z swemi wolnemi córkami, a „Punalua“ ojcowie z swymi „Punalua“ synami. W androkratycznéj „familii“ naodwrót mieszka kobiéta „familii“ z swemi niewolnemi córkami, a „pan“ jéj i mąż, jako wolny brat „hordy“ z swymi wolnymi synami, spłodzonymi zarówno z kobiétami „familii“, jak i „hordy“. W obu razach „porządek hordy“ przeznacza więc znane nam już małżeństwa synów braci z córkami sióstr, ale nie naodwrót, córek braci z synami sióstr. A jednak i takie odwrotne małżeństwa istnieją tu i owdzie wśród ludów nieucywilizowanych. Połowiczna wolność — wyjaśnia prof. M. — synów sióstr, t. j. synów „Punalua“ w „familii gynekokratycznéj“ wobec pełnéj wolności synów „familii androkratycznéj“, musiała prowadzić ze strony pierwszych do walki emancypacyjnéj. Dowodów na to, przyznaje sam autor, nie posiadamy dotychczas, mimo to zbija stanowczo Kohlera, który wychodząc z zasady „familii gminnych“ i „prawa matek“ *(recte*

przynależności dzieci do linii żeńskiéj) — wyjaśnia małżeństwa, o których mówimy bardzo jasno w następujący sposób:

„Brat z plemienia (*recte* „rodu") *A* poślubia kobietę z rodu *B*; syn ich jest więc członkiem rodu (względnie plemienia) *B*;

siostra z *A* poślubiła męża z *B*; córka ich należy więc do *A*. Cóż z tego wynika; oto, że syn brata jest członkiem rodu (plemienia) *B*, a córka siostry jest przynależną do *A*. W takim stanie rzeczy, a więc za „prawa matek" małżeństwo dopuszczalne jest tylko między synem brata, i córką siostry. Następnie jednak, w dalszéj ewolucyi rodziny przechodzi się z „prawa matek" do „prawa ojców" t. j. do patryarchatu, ale ślady usuniętego „prawa matek" jeszcze istnieją. Teraz syn brata jest *A*, a córka siostry *B*, *ergo* znów w prostéj konsekwencyi syn brata żeni się z córką siostry. Został jednak znany u wielu plemion ślad „prawa matek" t. z. *awunkulat* t. j. „prawo wuja" nad siostrzenicami i siostrzeńcami. Wydając siostrzenicę za mąż — bierze wuj część „ceny kupna" za nią od narzeczonego i dlatego broni uparcie swego „prawa", ale prędko zrzeka się go nad siostrzeńcami, bo im raczéj dopłacić coś trzeba, niżeli za nich wziąć jakąś „cenę kupna." Wyrabia się zatém taki stosunek: Brat i syn jego są *A*. Siostra z *A* jest zamężną za męża *B*, *ergo* córka jest *B*. Ale—wuj *A* uważa córkę swéj siostry, mimo że ona jest *B*, za *A* i dlatego przeszkadza małżeństwu między synem brata *A*, a córką siostry (*B*, względnie *A*), uważając je na mocy swego „prawa" za rodzeństwo; wobec tego syn *A* musi szukać innéj żony, chociaż naodwrót syn *B* wypuszczony przez wuja z więzów „awunkulatu" ma teraz prawo ożenić się z córką *A* a więc — syn siostry staje się mężem córki brata. Prof. M., który bardzo często podporządkuje działanie przyczyn ekonomicznych i jak w tym wypadku cenę kupna za siostrzenicę, przyczynom dla siebie ważniejszym t. j. „przestrzennym" — nazywa ścisły wywód Kohlera—apryorystyczną kombinacyą, nie mniéj jednak sam także spekuluje *a priori*, bo „dowodów" z etnografii—jak sam mówi—nie posiada. Dla niego jest małżeństwo syna siostry z córką brata związkiem wykraczającym po za „porządek hordy". „On" jest—jak wiemy, synem „Punalua" z siostrą „hordy" i należy do grupy swego ojca, a więc jest także tylko pół wolnym; „ona" jako córka niewolnicy z bratem „hordy" — należy do matki i jest zupełną niewolnicą. Nie będąc małżeństwami członków „hordy", mogą takie małżeństwa istnieć tylko jako nielegalne, bo nie „przeznaczone porządkiem hordy", aby zaś nadużycia takie uprawnić, musiał wpierw „pan" adoptować do „hordy" swą córkę z niewolnicy zrodzoną i odwrotnie „pani" musiała znów pozwolić na zupełne wcielenie do „hordy" swego syna z grupy „Punalua". — Takie adoptacye

musiały juścić w myśl teoryi prof. M. zniszczyć podstawy „porządku hordy”, w którym przecież córki zawsze tylko do matek, a synowie tylko do ojców należéć mogli; mimo to—sądzi autor, przemiany takie musiały mieć miejsce. Gdzie na to dowody pozytywne? Nie ma ich także—dowiadujemy się tylko *a priori* lub pośrednio należy je sobie stworzyć. Jakoż stwarza je sobie prof. M.

W „familii androkr.” można przypuścić, że sam „pan i ojciec” wyemancypował t. j. wcielił do „hordy” swe córki widząc w „cenie kupna” za nie—korzyść ekonomiczną. Znamy z drugiéj strony fakty, że brat wydaje siostrę za mąż, być może, że dzieje się to dlatego, że ongiś wolni bracia pomogli swym siostrom - niewolnicom w walce o społeczną emancypacyę; wszystko to jednak, przyznaje autor—bardzo niepewne.

A jakżeż znów wyemancypował się syn „Punalua”, dla którego ani siostra wolna, ani mieszani rodzice nic zrobić bez zburzenia „porządku hordy” nie mogli i zapewne nie chcieli, nie mając ku temu żadnych motywów ekonomicznych. Także nie wiemy, pisze autor i musimy „również ograniczyć się tylko na przypuszczeniach” (s. 208). Na wyspach Fidżi np. jest dziwny obyczaj, że siostrzeniec (*vasu*) ma prawo zabierać dla siebie, co chce z posiadłości wuja. Starcke wykazuje, że obyczaj ten jest śladem wytwarzania się „prawa ojców” nad „prawem matek” i dlatego siostrzeniec dostaje władzę nad wujem, który pod „prawem matek” był jego *avunculusem* (ojcem w rodzie). Zresztą wykazuje także ten sam uczony, że to „prawo siostrzeńców” ma na Fidżi znaczenie społ. polityczne dla królów, bo ci za pomocą tych „siostrzeńców” opanowują mienie poddanych. Skutkiem tego, sądzi Starcke, że „prawo” to nie jest wiele starsze od „upaństwowienia” plemion fidżyjskich, czego jednak prof. M. nie chce przyjąć i sądzi, że w „prawie” tém, które zresztą w odmiennych nieco formach odkryto u innych także plemion, widzimy właśnie ślad walki emancypacyjnéj synów siostry („Punalua”) przeciw ich „ojcom i panom” z „porządku” „hordy” t. j. przeciw wujom. Aleź—to sprzeczność—można zarzucić prof. M., boć przecie synowie „Punalua” należeli do swych pół wolnych ojców, a nie do wujów, zdaje się jednak, że autor sam nie dowierza swemu dowodowi i przytacza go tylko pobieżnie—jakby nawiasowo. Całe wyjaśnienie małżeństw synów siostry z córkami braci—jest tedy nawet przez prof. M. uważane za apryorystyczne, ale mimo to za całkiem uzasadnione. Dziwią jeszcze autora różne modyfikacye przy zawieraniu i pojmowaniu tych małżeństw u dzikich i barbarzyńców, nie mniéj także ich stosunkowa rzadkość. Fakty te wysnuwa prof. M. równie apryorystycznie jak poprzednie z powolności wpływu „familii” na „porzą-

dek hordy" i z jego andro-, względnie gynekokratycznego przeważnie charakteru, bo sądzi, że jak bardzo rzadką była czysta zupełnie w tym kierunku ewolucya, tak też nie mniéj różnorodne było także współdziałanie obu form „familii"—na „hordę." Dlatego to nie wszędzie i nie zawsze muszą istnieć małżeństwa synów siòstr z córkami braci, owszem—są one wcale rzadkie; tu i owdzie uprawniono je już całkowicie, ale też są znane także wypadki, gdzie się je tylko toleruje. Przytacza np. prof. M. fakt, że na Madagaskarze są legalnemi małżeństwa między dziećmi braci, ale nielegalne są związki między dziećmi siòstr. Autor widzi w tym wypadku ułamkowy tylko wpływ androkracyi na „hordę", która uległa przeważnie wpływowi gynekokracyi. Chcąc zgodzić się na to twierdzenie, należy je tylko zmodyfikować. Wiemy przecież dokładnie, że na Madagaskarze „prawo kobiét" przeważyło nad „prawem mężczyzn" (ojców), to też tém samém wykluczone są tu małżeństwa dzieci siòstr, bo te są współrodowcami dzisiaj, a niegdyś były rodzeństwem w łonie „familii gminnéj", kiedy naodwrót dzieci braci nigdy tutaj ani do jednéj grupy rodzeństwa, ani też dzisiaj do jednego rodu nie należały i nie należą. Sam prof. M. przytaczając ten przykład na poparcie swéj teoryi, czuł zdaje się, że można zeń także wręcz odwrotne wnioski wysnuć, dlatego znów zapewnia ogólnikowo, że chociaż nie wszystkie tego rodzaju fakty dadzą się na zasadzie „przestrzenności" i „porządku hordy" objaśnić, to jednak gorsze jeszcze (zdaniem autora) są tłómaczenia na zasadzie pokrewieństw płciowych w familiach gminnych. Jako nowy dowód na to ogólne twierdzenie, przytacza on ogólnikowe wyrzeczenie Rennela, że „Kulisi (w Indyach) łączą się w małżeństwa bez względu na płciowe pokrewieństwa, tylko matka nie śmié poślubić syna." Czytając takie zdanie, to jużcić łatwiéj zeń wysnuć, że mamy tu przed sobą „familię gminną" w bardzo staréj formie, niżeli ściśle nader uporządkowaną „hordę" d-ra M. Autor nie zadaje sobie nawet trudu, aby spostrzeżenie Rennela wyraźnie z teoryą swą złączyć, sądzi, że to się rozumié samo przez się, natomiast zwraca się do wytłómaczenia ze swego stanowiska „lewiratu" t. j. znanego ogólnie w etnologii zwyczaju, że po śmierci bezdzietnéj męża, wdowa staje się z prawa żoną najstarszego wiekiem szwagra (brata męża), który w tym związku „winien płodzić dzieci" (s. 235). „Lewiratem" nazywano zdaniem prof. M. dwa odmienne zjawiska w ewolucyi rodziny. Post (*Studien zur Entwickelungsgeschichte des Familenrechtes*, 1889) rozumié przez „lewirat" fakt znany np. u starych Arabów, że jeśli męzki członek familii (ojciec, brat lub syn) zmarł, pozostawiwszy wdowę, wówczas żenił się z nią spadkobierca zmarłego, zarzuciwszy na nią swój płaszcz i nie był zobowiązany do

ponownego składania sumy kupna za nią jéj „rodowi“, względnie mógł ją nawet na własną korzyść sprzedać t. j. wydać za mąż. Uwolnić się z pod tego prawa mogła wdowa tylko w ten sposób, że starała się uciec do s w e g o „rodu“ przed zarzuceniem płaszcza. Prof. M. takiego zwyczaju nie uważa za ścisły „lewirat“, bo sądzi, że wyrobił się on z prywatnego prawa sukcesora nad kobiecą „familią“ zmarłego krewnego. Wyjaśnienie to znów nie wytrzymuje krytyki, bo 1-mo, chodzi tu wyraźnie o żonę legalną, a więc mówiąc w myśl teoryi prof. M. o kobietę z „hordy“ a nie z familii; 2-do, „prawo“ to ma wybitne cechy „rodowe“ (płciowe) dlatego, że kobiéta mogła przez ucieczkę wczesną do swego „rodu“—uwolnić się od poniewolnego małżeństwa, w przeciwnym zaś razie uważana była nadal za przynależną do „rodu“ zmarłego męża i dlatego przechodziła pod władzę jego spadkobiercy, bez składania ze strony ostatniego nowéj sumy kupna dla jéj „rodu“. Jestto wyraźne małżeństwo patryarchalne z zachowaniem prawa „rodów“, a więc prawa, które mimo całéj teoryi prof. M., nie da się lepiéj wyjaśnić, jak tylko na podstawie ewolucyi stopniowéj „familii gminnych.“ W tym arabskim „lewiracie“ widzimy ponadto przyczynę, dlaczego mimo stopniowéj indywidualizacyi małżeństw pod „prawem ojców,“ zachowano jednak zwyczaj, przypominający żywo dawniejsze stosunki rodzinne—komunistyczne pod „prawem matek“. Oto dlatego, aby spadkobierca majątku zmarłego patryarchy mógł odziedziczyć także wdowę po nim bez przykrego ciężaru ekonomicznego, t. j. bez potrzeby kupowania sobie téj lub względnie innéj kobiety, na żonę.

„Lewiratem“ w ścisłém tego słowa znaczeniu, nazywa autor „prawo“, przekazane nam najjaśniéj w hebrajskiem *Deuteronomium*. Brzmi ono tam: „Jeśli bracia razem z sobą mieszkają i jeden z nich umrze bezdzietnie, wówczas nie powinna wdowa po nim brać dla się męża obcego, ale ma ją wziąć za żonę szwagier i pierwszego syna, którego mu porodzi, ma przyjąć podług imienia zmarłego brata, aby imię ostatniego, jako bezdzietnego, nie zostało zgładzone w „Izraelu.“ Modyfikacyą tego samego zwyczaju jest indyjska t. z. „niyoga“, nakazująca szwagrowi żyć z bezdzietną bratową—jeszcze za życia jéj męża.

Prof. M. widzi, rozumié się, także w takim „lewiracie“ ślad „przestrzennych“ urządzeń „hordy.“ Celem nie jest tu odziedziczenie żony, ale utrzymanie seryi jednego brata między innymi braćmi — razem w „hordzie“ mieszkającymi. Nie ma kwestyi, że chodzi tutaj o potomstwo i utrzymanie „nazwiska“ brata, ale nie wiemy dlaczego mamy ten cel wyjaśniać na podstawie teoryi prof. M., jeśli np. w indyjskiéj Mahabharacie, Draupadi żona synów Pandu jest ich w s p ó l n ą ż o n ą, co znów stanowczo przypomina „prawo matek“ w familiach gminnych,

i jak z całego przedstawienia tego faktu w rzeczonéj epopei—wynika, jest już tylko śladem dawnych urządzeń;—jest „lewiratem“ z którego powstała dzisiejsza indyjska „niyoga.“

U Egipcyan starożytnych także jest „lewirat ścisły“, wyraźnym śladem „gminnych małżeństw“ o niepewném ojcostwie, tylko, że tutaj oprócz ekonomicznéj korzyści ożenienia się z wdową, widać jasno także religijny motyw, który np. u Żydów wpłynął decydująco na inne, niżeli u Arabów ukształtowanie się form „lewiratu“. Motyw ten opiéra się na pierwotnym „kulcie przodków“ i ich duchów. Duchy te żyją po śmierci przodków, ale—ażeby mogły znaléść wieczny odpoczynek, muszą się o to starać ich potomkowie przez budowanie grobów i przepisane ofiary za zmarłych. Z tego to powodu budowali egipscy faraonowie swe słynne grobowce i piramidy (por. Meyer j. w.), u Żydów zaś do dziś dnia utrzymuje się „lewirat“—dla celów wyznaniowych, t. j. zapewnienia szczęśliwości pośmiertnéj duszom zmarłych bezdzietnie braci. „Przesądy pogańskie“, a więc także względy wyznaniowe, utrzymały „lewirat“ nie tylko wśród Żydów, ale i u innych ludów cywilizowanych, u Słowian zaś wykazali jego uporczywe istnienie d-r Franko, Laweleye, Leroy Beaulieu, Hacquet i in. Coraz więcéj zbiera się dowodów na to, że „lewirat“ taki, jaki widzimy u Arabów, tudzież staro indyjski, egipski, żydowski i każdy inny, pochodzi, mimo różnic w szczegółach, z jednego wspólnego źródła, t. j. z „familii gminnéj“ (rodowéj) i utrzymuje się ze względów ekonomicznych i wyznaniowych jako ślad tejże wśród życia rodzinnego, już indywidualistycznie zróżniczkowanego. Przy takiém zrozumieniu rzeczy, jest „lewirat“ pozostałością po téj długiéj i zawiłéj ewolucyi, która przemieniła rodzinną komunę na małżeństwa mniéj lub więcéj monogamiczne; nawet z innéj zasady wychodzący prof. M. nie może się oprzéć takiemu naturalnemu widzeniu rzeczy. Pisze, że „horda“ w interesie samozachowawczym była stale „skazywana na dopełnianie szeregów przerywanych za pośrednictwem nadmiarów w innych szeregach” [1]), t. j. tak jak według niego w żydowskim „lewiracie” i, że wreszcie „ta naturalna dążność zadała cios śmiertelny tak małżeństwu przez krewniaków, jako też wogóle małżeństwu destynowanemu“ (s. 237).

Drugim, nie mniéj ważnym powodem upadku małżeństw z „porządku hordy“ jest dla prof. M. wzrost „familii“ i stąd nierównomierność liczby dzieci raz po stronie męskiéj, to znów po stronie żeńskiéj. Nierównomierność ta zwiększała się coraz bardziéj od chwili, kiedy

---

[1]) Auf die Ergänzung der lückenhaften Reihen durch die Ueberschüsse auf Seiten anderer Reihen angewiesen.

przestano dzieci zabijać i dlatego „horda“ musiała pozwolić na „przeznaczanie“ (*Destination*) takich par małżeńskich, których członkowie nie dorównywali sobie wiekiem; że jednak ponadto małżeństwa były późniéj możliwe także w obrębie „familii”, otóż wszelkie przeznaczenia do małżeństw stawały się coraz bardziéj nienaturalne i przykre. W Chinach np. istnieją destynowane małżeństwa krewnych, ale już przełamane po części, bo „przeznaczony” mąż (lub odwrotnie żona) może za zezwoleniem familii swéj przeznaczonéj żony (lub odwrotnie) zawrzéć całkiem inny związek małżeński.

W tym chińskim zwyczaju widać bez kwestyi ślad przemiany małżeństw rodowych endogamicznych w małżeństwa egzogamiczne z „obcymi”, mówiliśmy już jednak nieraz, że w wyjaśnieniu téj także ewolucyi, teorya prof. M. raczéj sprawę całą gmatwa, niżli jéj pomaga, kiedy naodwrót wyniki poprzednich badań, na zasadzie „małżeństw gminnych” oparte, — są daleko więcéj uzasadnione. Westermarck, który nawiasowo mówiąc — jest równie jak prof. M. przekonany, że ewolucya familii rozpoczęła się od monogamii, ale wychodzi z zasad płciowych, ba nawet etycznych w naszém zrozumieniu rzeczy, sądzi, że między innemi przemiana endogamii na egzogamię musiała nastąpić pod wpływem wrodzonéj dążności człowieka „do unikania kazirodztwa”. Całkiem słusznie zbija Westermarcka w tym względzie prof. M.; nie mniéj łatwo z nim się zgodzić, że przemiana endo- na egzogamię nie mogła się odbyć pod wyłącznym wpływem przyczyn, opartych na związkach płciowych, ale też z drugiéj strony nie podobna wyjaśniać téj ewolucyi na zasadzie „porządku hordy i familii”, lecz raczéj na zasadzie przemian ekonomiczno-społecznych, t. j. tak, jak ją pojmują Bernhöft (*Zeitschrift für vergl. Rechtswissenschaft*, IX, 1891), Alsberg (*Das Recht im Völkerleben*) cytowani przez prof. M. i wielu przezeń pominiętych, jako to: M. Lennan, Kauzky i in. W komunach kwestya ceny kupna za żonę była najprawdopodobniéj motywem głównym—popychającym niejako do rozszerzenia zakresu małżeństw, a więc do częściowéj egzogamii t. z. „małżeństw krewnych”. Bernhöft na ważnych spostrzeżeniach etnograficznych wykazuje, że nie mniéj ważny, ba decydujący wpływ na powstanie t. z. „małżeństw z musu” i „małżeństw dzieci” wywarło mieszanie się plemion endo- z egzogamicznemi; bez kwestyi jednak, sądzę, ostatnie etapy téj ważnéj ewolucyi życia rodzinnego łączą się ściśle z powstaniem „państw”, opierających się na własności indywidualnéj, w przeciwieństwie do ustrojów rodowo-komunistycznych. Wiadomo, o ile ta ostatnia przemiana polega na wytworzeniu się różnic społecznych, a te znów — na powstaniu i wzmożeniu się niewolnictwa. Niewolnictwo nazywa się w ramach teoryi o „hor-

dzie i familii"—pierwotnie „familią", to téż w tém znaczeniu z chęcią przyznajemy téj „f a m i l i i" wpływ decydujący na ostateczne zegzogamizowanie i także mniejsze lub większe zindywidualizowanie familii—ongiś gminnéj i endogamicznéj. Sądzę, że dostrzeżenie tego wpływu ze strony niewolnictwa na ewolucyę rodziny, stało się dla prof. M. pierwszym punktem wyjścia, pobudką do ułożenia całéj teoryi o „hordzie i familii", która jednak — jak ciągle wykazujemy, nie tłómaczy zjawisk ewolucyi społecznéj tak ściśle, jak teorye, opierające się na innéj nie-czysto „przestrzennéj" zasadzie i dlatego—zdaniem mojém—w nauce się nie utrzyma. Tam tylko można się godzić z poglądami prof. M., gdzie one są możliwe bez przyjęcia jego zasadniczych założeń, i tak np. nie da się zaprzeczyć, że wśród plemion dzikich i barbarzyńskich „wstręt do związków endogamicznych", dostrzegany przez Westermarcka, wcale nie istnieje, że nawet związki takie, jak dowodzą przyrodnicy (np. Reuber, *Urgeschichte des Menschen*, II), nie wpływają na wrzekomą fizyologiczną deprawacyę nieucywilizowanych ludów i, że nawet na stwierdzenie takiéj deprawacyi wśród świata kulturnego—potrzeba jeszcze więcéj dat statystycznych, ponad te, które dotychczas posiadamy.

VI.

Teorya prof. M., w któréj terytoryum i wogóle—„przestrzeń" jest pierwszym kluczem do zrozumienia ewolucyi „hordy i familii", byłaby niezaokrągloną, gdyby był autor nic nie powiedział o mieszkaniach ludów nieucywilizowanych; — brakowi temu czyni prof. M. zadość w 6 t. j. ostatnim rzeczowym rozdziale swéj pracy p. t. „Die Wohnungen der Horde u. der Familien" (s. 284—293). Nie jest celem badań autora śledzenie rozwoju technicznego mieszkań dzikich i barbarzyńców, dlatego zaznacza sam, że rozwój ten o tyle tylko uwzględnia, o ile wymagają tego względy socyologiczne. W socyologii opiéra się hypoteza autora, jak wiemy, na dwóch grupach zasadniczych społecznych t. j. wcześniejszéj „hordzie" i późniejszéj od niéj „familii"; naturalnie więc, że także w dochodzeniu tego, jakie były najstarsze mieszkania dzikich i jak wyglądało ich urządzenie wewnętrzne, — pyta autor zaraz z góry, czy i o ile różniły się mieszkania „hord" od mieszkań „familii". Wiemy już, że z tego założenia nigdzie nie udało się autorowi wysnuć niezbitych wniosków, któreby działając wstecz samo założenie uzasadnić mogły; mimo to jednak wypada nam tak, jak postępowaliśmy do-

tychczas, zanalizować krytycznie także jego pogląd na pierwotne mieszkania „hordy i familii”.

W „hordzie”, musiały zdaniem prof. M., mieszkania być średnio obszerne; małych nie budowano ze względu na chęć utrzymania w nich „przestrzennéj” organizacyi „hordy”, z drugiéj zaś strony nie budowano także zbyt wielkich, bo w miarę zwiększania się liczby mieszkańców, wyprowadzały się ze starych mieszkań poszczególne „oddziały” „hordy“ *Hordenreihen* do mieszkań nowych, wzniesionych na wzór i w sąsiedztwie starych. Ilościowy wzrost tych nowych mieszkań był możliwy dotąd, dopóki samo terytoryum zamieszkania „hordy” wystarczało i dopóki nie została przekroczoną „możność wyżywienia się na danym gruncie” (s. 248). Konieczny wzgląd na tę „możność“ zmuszał „hordy“ do osiedlania się — przedewszystkiém nad wodami, czy zaś i o ile człowiek pierwotny szukał żywności roślinnéj czy też zwierzęcéj, na to różni — różnie odpowiadają. Schwarz w dziele „*Sintfluth u. Wanderungen*“ sądzi, że brak broni przeciw zwierzętom i całe uzębienie człowieka pierwotnego — zmuszały go do wegeteryanizmu. Z tego powodu mógł ów człowiek zamieszkiwać tylko okolice w klimacie gorącym, bo w tych tylko miał zawsze—przez cały rok—dostateczną ilość owoców, nie mniéj wybujała flora tropikalna dostarczała mu wysokich drzew, na których zakładał swe najstarsze mieszkania z obawy przed wielką masą drapieżnych zwierząt. Prof. M. godzi się z Schwarzem tylko częściowo. Sądzi tak samo jak on, że człowiek pierwotny żywił się roślinnie, ale że bardzo wcześnie począł także zjadać robaki, mięczaki i inne t. p. zwierzęta niższorzędowe i tą drogą doszedł wreszcie do tego, że stał się wszystkożernym. Nie przeczy prof. M. Schwarzowi także w tém, że jedynie klimat gorący nadawał się na osady hord pierwotnych, ale nie godzi się, jakoby osady te miały zaraz u wstępu rozwoju mieszkań ludzkich, znajdować się na drzewach. Konieczność obrony przed drapieżcami poczyna się dla prof. M. dopiéro z chwilą, w któréj człowiek, poczuwszy swą siłę, wystąpił przeciw silniejszym odeń zwierzętom zaczepnie. Zdanie takie przypomina co prawda raj biblijny, ale zapomniał autor o jednéj ważnéj rzeczy, mianowicie, że drapieżne zwierzęta szukając żeru—nie czekały zapewne na tę niekorzystną dla nich epokę, w któréj człowiek nauczył się wyrabiać broń pierwotną, aby z nią rozpocząć polowania, t. j. kroki zaczepne przeciw światu zwierzęcemu. Także rozwój organizmu ludzkiego nie wykazuje, zdaniem autora, tego, aby życie owo pierwsze rozpoczął człowiek na drzewach; naodwrót musiał on, skazany na płody ziemne i na (emocyonalne czysto) przestrzeganie „przestrzennego porządku hordy”—mieszkać od początku już na twardym lądzie. Przeczą

temu przekonaniu prof. M. liczne fakty etnograficzne, że najdziksze ludy do dziś dnia nie opuściły jeszcze mieszkań drzewnych. Autor, jak często, przechodzi i w tym względzie nad etnografią do porządku dziennego, o tyle mianowicie, że z pomiędzy ludów osiedlonych na drzewach, uwzględnia jedynie t. z. „Weddów" ceylońskich bardzo dzikich myśliwców, którzy tylko w razie katastrof klimatycznych lub myśliwskich złażą z drzew i chronią się na krótki czas do prymitywnych mieszkań z liści, albo jaskiń. Ponieważ „Weddowie" ci mają wrzekomo być wliczani do wyższych kast ceylońskich, otóż prof. M. na tém bardzo wątpliwéj natury przypuszczeniu — opiera własną, jeszcze mniéj uzasadnioną hypotezę, że jestto lud zdziczały, który jednak przeżył już w swoim czasie chwilę rozwoju kulturalnego. Jak z tego widzimy, prof. M. nie potrafił zbić teoryi Schwarza o mieszkaniach drzewnych człowieka, jako najstarszych; inna rzecz, że teorya ta ma także zdaniem mojém, tylko lokalne znaczenie i, że w wielu okolicach chronił się człowiek pierwotny od początku w mieszkaniach na twardéj ziemi t. j. tak, jak to prof. M. o wszystkich „hordach" najdzikszych przypuszcza. Jak jednak wyglądały te pierwotne mieszkania niedrzewne; czy były to może naturalne jaskinie? Nie!—odpowiada autor i chcąc tego dowieść, rozbiera dość szczegółowo dotychczasowe wiadomości naukowe o mieszkaniach jaskiniowych. Przedewszystkiém, mówi, należy zwrócić uwagę na różnice mieszkalne, wynikające z większéj lub mniejszéj obszerności jaskiń. Przypuszczenie, jakoby człowiek pierwotny mieszkał familiami w małych jaskiniach odrzuca prof. M. *a limine*, jako zupełnie sprzeczne z podstawami jego całéj teoryi. O wykopaliskach z małych jaskiń można, zdaniem jego, wnioskować, że są to narzędzia myśliwskie i wogóle tylko najkonieczniejsze przybory do czasowego zamieszkania w czasie polowań i zmian klimatycznych; przeciwnie wykopaliska z jaskiń wielkich dowodzą, że w nich mieszkano stale. Oprócz wykopanych narzędzi, dowodzą tego także ozdoby na ścianach tych jaskiń wyryte, ubita ziemia pod nogami, a przedewszystkiém—sztucznie poprzedzielane komory. Ale... właśnie te ozdoby i przedziały sztuczne pouczają nas, zdaniem autora — także o tém, że były to mieszkania „hord" już więcéj rozwiniętych kulturnie—a więc nie pierwotnych, fakt zaś, że nie wszystkie wielkie jaskinie były zamieszkiwane, pochodzić ma stąd, że tylko niektóre z nich nadawały się do utrzymania w ich wnętrzu organizacyi „przestrzennéj hordy." Że jaskinie były mieszkaniami myśliwców, to fakt ten nie dowodzi także, iż były to najstarsze mieszkania ludzkie, bo— dziś już wiadomo, że myśliwstwo nie było pierwszym sposobem żywienia się ludzi. Wszystkie te okoliczności skłaniają prof. M. do wniosku,

że w zamieszkanych ongiś jaskiniach—widzimy już późniejszą ewolucyę mieszkań „hord“ dzikich i naśladownictwo mieszkań pierwotnych, któremi miały być jamy ziemne, porozdzielane nasypami tak, że wspólnie odpowiadały potrzebom „przestrzennego“ porządku „hordy“. Jestto znów—jak widzimy—mało uzasadniony dodatek do teoryi „przestrzennéj“ profesora dorpackiego, tyle tylko można z niego przyjąć, ile wiedziano także przedtém, mianowicie, że obok drzewnych istniały w innych okolicach mieszkania jaskiniowe. Autor, słusznie zdaniem mojém, rozszerza nasze wiadomości o pierwotnych sposobach mieszkania człowieka o tyle, że dołącza do przedtém znanych, jeszcze jamy ziemne. Rzeczywiście mamy dość danych etnograficznych, które mogą za tém przypuszczeniem prof. M. przemawiać, ale mają dane te znów tylko lokalny charakter — mianowicie z okolic zimniejszych; a nic już wprost, nie zmusza nas do przyjęcia twierdzenia, że takie, ziemne jamy były j e d y n e m i mieszkaniami „hord“ pierwotnych wszędzie, t. j. nawet tam, gdzie warunki miejscowe zmuszały ludzi do szukania schronienia po drzewach lub jaskiniach. Stosownie do „porządku przestrzennego hordy“, miały mieszkania w ziemi—zdaniem prof. M., w środku—jamy większéj objętości dla pomieszczenia ciągle przybywającego potomstwa. Przypuściwszy daléj w myśl téj saméj teoryi, że oba oddziały płciowe „hordy“ budowały swe grupy jamne obok siebie lub też po za sobą, otrzymujemy idealny schemat tych pierwotnych mieszkań taki:



w nim zaś mamy po jednéj stronie męzki, po drugiéj zaś żeński oddział „hordy.“ Przedziały między poszczególnemi jamami rosły ilościowo w miarę takiegoż zwiększania się „grup hordy“ (oczywiście według wieku), a przyzwyczaiwszy się raz do takiego urządzenia swych mieszkań, przeniosły „hordy“, ten schemat do jaskiń, na drzewa i wreszcie do mieszkań, wznoszonych już z właściwych materyałów budowlanych. Schemat prof. M. odznacza się—jak widzimy, sztucznemi przedziałami w mieszkaniach i kształtem, podobnym do łodzi, względnie pierwotnych okrętów, to też głównie według tych dwóch cech charakterystycznych, doszukuje autor pozytywnych dowodów, aby teoryę swą i w tym względzie uzupełnić i poprzéć.

Wiadomo, że w t. zw. „gminnych domach“ ludów dzikich i barbarzyńskich istnieją sztuczne przedziały; trudno jednak zrozumieć, dlaczego musiały one *anfangs unbewusst hergestellt werden sein*, jak się na str. 255 wyraża autor i motywuje zapatrywanie to w ten sposób, że przecież dziki nie mógł dojść do zrozumienia potrzeby przedziałów mieszkalnych przez refleksyę umysłową, lecz tylko na podstawie spostrzeżeń z zakresu świata zewnętrznego. Najkrócéj i najlepiéj możnaby znów autorowi odpowiedzieć na to, że psychologia ludów pierwotnych jest dla nas jeszcze zupełnie ciemną kartę i że zresztą gdybyśmy ją nawet lepiéj znali, to nie może ona zastąpić spostrzeżeń zewnętrznych n a s z y c h, t. j. faktów etnograficznych. Ale... *sit sibi* — nie da się bowiem zaprzeczyć, że i te fakty każą nam widzieć w duszy dzikiego p r z e w a ż n ą skłonność do odruchów na wrażenia zewnętrzne. Czy jednak przedziały w „domach gminnych“, służące do celów gospodarczych grup społecznych, powstały wówczas jeszcze, kiedy to reflektowanie dzikich na wrażenia zewnętrzne było dla nich regułą psychiczną bez wyjątku? Nad tém nie zastanawia się nawet prof. M., a to wyraźnie dlatego, że jestto dlań kwestya załatwiona dawno przy opisie schematu domów pierwotnych w ziemi, t. j. tego schematu, który został wykombinowany na podstawie — jak sam autor przyznaje — „pozornych przypuszczeń“; a więc, hypoteza popiéra znów inną hypotezę. Pozwólmy autorowi jednak i na to i zgódźmy się na przypuszczenie, prawdopodobne zresztą, że dzicy nauczyli się robić przedziały w swych mieszkaniach tylko na podstawie spostrzeżeń zewnętrznych. A więc, dziki widział naturalnie przedziały na drzewach w konarach i liściach, widział je w wielu jaskiniach, bo nawet w naturalnych jamach ziemnych, jako to: rozpadlinach, wąwozach i t. p. Mieszkając po drzewach, jaskiniach i jamach, lub choćby nawet — jak chce autor — początkowo tylko po jamach, miał tedy dziki ciągle przed oczami przedziały, które mu w mieszkaniach porobiła sama przyroda; nie dziw, że bardzo wcześnie począł je sobie także wytwarzać sztucznie i to, jak dzisiaj znane „domy gminne“ dowodzą, dla celów gospodarczych, a nie dla ułożenia w tych przedziałach „porządku przestrzennego hordy“. Tak tedy przedziały w mieszkaniach ludów nieucywilizowanych, dziś znanych, nie nadają się wcale do poparcia teoryi autora, jakkolwiek ten i na nich także chce ją oprzéć. Więcéj jeszcze stara się prof. M. o to, aby dowieść, że „podobny do naw” starożytnych schemat ziemnych mieszkań „hordy” istniał rzeczywiście i że posiadamy na to, oprócz kombinacyi apryorystycznych, dowody pozytywne.

Salustiusz wspomina, że mityczni imigranci medo-perscy w Afryce swe porobili mieszkania z przewróconych okrętów i że podobne domy

mieli także jeszcze za jego czasów mieszkańcy Kampanii. O zamianie okrętu Odysseusza w kamień wspomina znany myt grecki, niemniéj u Juana Pons y Soler'a (Globus, 1891) znalazł prof. M. wzmiankę, że t. zw. „naveta“ przehistorycznych mieszkańców wyspy Menorki, były także podobne do przewróconéj łodzi. Tyle tylko potrafił autor nagromadzić bezpośrednich dowodów na poparcie swego „podobnego do okrętów“ schematu mieszkan „hord“ pierwotnych; są to dwa myty starożytne i dwa mało znane spostrzeżenia etnograficzne, t. j. razem tyle, co prawie nic, a przecież prof. M. tak jest przekonany o niezbitéj prawdzie swych założeń zasadniczych, że mu dowody te wrzekome nietylko wystarczają, lecz że ponadto robi na téj saméj podstawie jeszcze śmielszy wniosek. Sądzi mianowicie, że jakkolwiek każdy lud zmieniał późniéj mieszkania swe rozmaicie, stosownie do swych upodobań, to jednak owalny ich mniéj lub więcéj kształt jest bezpośrednim wynikiem pierwotnego kształtu „okrętowego“, a to dlatego, że w miarę powiększania się liczby mieszkańców średniego przedziału — przybiérały podłużne przedtém mieszkania, kształt bardziéj zaokrąglony.

Wielu etnologów szuka typu pierwotnych mieszkań w kształtach jam grobowych, a więc także t. zw. *Schiffsgräber* były, zdaniem ich, formą, według któréj budowano późniéj mieszkania i łodzie. Prof. M. nie zgadza się z tém zapatrywaniem, przeciwnie sądzi, że dziki najpierw starał się o mieszkanie dla siebie, a późniéj dopiéro dla swych zmarłych. Wprawdzie w starych jamach, wrzekomo mieszkalnych, znajdują się licznie nagromadzone kości ludzkie, ale— sądzi autor razem z Pons y Soler'em — że są to kości naniesione późniéj w czasie wędrówek. A więc nie groby dla mieszkań pierwotnych, lecz odwrotnie, mieszkania ziemne były wzorem także dla jam grobowych; wobec tego powinnyby wszystkie takie jamy mieć podobny do naw kształt, według schematu prof. M. Istnieją rzeczywiście te t. zw. *Schiffsgräber*, ale co najmniéj w równéj liczbie znajdujemy także jamy okrągłe, wąskie ku górze, a rozszerzone w głąb ziemi. Prof. M. tłómaczy fakt ten w ten sposób, że takie jamy budowano tam, gdzie ziemia była miękka, bez kamieni, tam zaś, gdzie grunt był kamienisty, występuje kształt okrętowy jam wyraźnie na powierzchnię ziemi. Przypadkowo sam autor zbija to swe zapatrywanie, bo jako terytorya o jamach okrągłych, przytacza właśnie bardzo kamieniste kraje podalpejskie, jako to: Austrya, Bawarya i niemniéj górzysta — Anglia; przeciwnie, na namulistych wybrzeżach Baltyku widzimy okrętowe kształty jam takie same jak w górzystych okolicach półwyspu skandynawskiego. Wobec takich faktów—zapatrywanie prof. M. upada samo przez się, natomiast okazuje się, że t. zw. *Schiffsgräber* występują z reguły tylko u ludów nadmorskich, w Europie zaś specyalnie na Balearach, w włoskiéj Kam-

panii, a przedewszystkiém u dawnych Normanów. Sam autor przyznaje, że Normanowie grzebali swych zmarłych w grobach podobnych do kształtu łodzi i że t. zw. „kamienne okręty" (*Steinschiffe*) służyły im ongi za groby; mimo to wątpi o prawdziwości hipotezy, „iżby one miały być istotnie budowane dla umarłych" (str. 259). Aby dowiéść, że tak nie było, zwraca się autor znów do swéj zawodnéj metody psychologiczno-etymologicznéj. Wykazuje, że „okręt" był ongi wyrazem, oznaczającym także tyle, co „naczynie", „narzędzie", nigdy jednak nie używano tego wyrazu w znaczeniu „grobu"; jeśli zaś mimo to nie da się zaprzeczyć, że istniały także groby o kształtach okrętowych, więc wnioskuje prof. M., że w umyśle człowieka „w pewnym okresie rozwojowym musiał powstać popęd do budowania okrętów dla zmarłych" (str. 260), a jestto rzeczą ważną dla zrozumienia, jakie były pierwotne mieszkania dzikich dlatego, że „groby są dla zmarłych tém, czém mieszkania dla żyjących" (str. 261).

Dziki, co zresztą, dodamy, wykazał przed prof. M., Spencer, nie zdaje sobie dokładnie sprawy o fakcie—śmierci; jestto dlań jakiś wypadek nadzwyczajny, który mógłby także nie istnieć. Po śmierci — człowiek żyje właściwie daléj, tylko odchodzi gdzieś w mniéj lub więcéj nieznane miejsce i dlatego to „śmierć znaczy w hordzie posuwanie się żyjących na miejsca zmarłych i stąd jest to z jednéj strony uroczystość radosna, a z drugiéj—smutna" (str. 262). Te *Plätze der Verstorbenen* były u dzikich pojmowane jako mieszkania dla zmarłych, to jest groby urządzone na wzór mieszkań dla żywych, czego dowodzi etymologia, bo „grób" nie znaczył nigdzie pierwotnie tyle co „okręt", „naczynie", „narzędzie", lecz tyle co „mieszkanie". Ten wywód etymologiczny jest właściwie jedynym dowodem na poparcie teoryi prof. M. o mieszkaniach „hordy" w ziemi, każdy jednak—ktokolwiek rozumie, jak często etymologia zawodziła i po dziś dzień zawodzi etno- i socyologów, pojmie łatwo, że i ten dowód krytyki nie wytrzymuje. Nie wytrzymuje jéj także z tego ważnego względu, że wyrazy wchodzące doń, t. j. „grób", „mieszkanie", „okręt — narzędzie — naczynie" nie mogą być wliczone w żaden sposób do szeregu tych niezgłoskowych brzmień, jakiemi posługiwał się człowiek, przystępując do budowy „mieszkań" choćby najprymitywniejszych; przeciwnie, łatwiéj przypuścić, że wszystkie te wyrazy znamionują swém znaczeniem wyższy już względnie stopień ewolucyi społeczno-cywilizacyjnéj.

Istnieją jaskinie grobowe z przedziałami, te należą zapewne do późniejszego jeszcze okresu rozwojowego, a zresztą możemy się nawet zgodzić z autorem, że takie poprzedzielane groby były rzeczywiście na wzór mieszkań jamnych kopane; skoro jednak takich grobów jest stosun-

kowo mało, więc fakt ten przemawia znów za tém, co powiedzieliśmy przedtém, że obok drzew i jaskiń istniały zapewne równocześnie mieszkania w jamach i wąwozach ziemnych i że mogły się ponadto zdarzać wypadki, że urządzano także w grobach sztuczne przedziały; przeważnie jednak chowano — jak Spencer dowodzi — zmarłych tuż obok osad plemiennych w grobach *ad hoc* wykopanych, bez przedziałów i bez żadnego względu na mieszkania żywych. Prof. M. sam przytacza fakty, że jamy grobowe były kopane także całkiem poprostu, ale zamiast fakt ten wyjaśnić równie—poprostu—kombinuje znów *a priori*, że były to groby dla zmarłych członków „familii“, ale nie „hordy“. Naturalnie, że tak samo jak groby, tak też i mieszkania żywych niewolników i niewolnic, stanowiących „familie“, nie stosowały się do żadnego „porządku przestrzennego“ i jużcić wobec grobów i mieszkań „hordy“ wyglądały bardziéj prymitywnie. Prymitywniejsze groby i jamy mieszkalne są ewolucyjnie wcześniejsze, a więcéj skombinowane—późniejsze, taki wniosek mimowoli nasuwa się czytelnikowi dzieła prof. M., a zarazem widzimy znów jedną z tych licznych spekulacyi autora, dążących do tego, aby fakta etnograficzne, archeologiczne i t. p., wyjaśnić na podstawie swéj teoryi o „hordzie“ i „familii“.

Kiedy wskutek wędrówek nowe ludy przychodziły na terytorya niegdyś już zamieszkane, znajdowały dawne groby i ruiny mieszkań „hordy“ w formie jam, nasypów kamiennych i mogił. Ruiny te — sądzi autor — uważane były za coś nadziemskiego, to też wśród nich, osobliwie zaś na mogiłach poczęto składać ofiary. Taka, zdaniem prof. M., jest podstawa ewolucyi ołtarzów, ozdobionych rysowanemi na kamieniach znakami mistycznemi i świątyń pierwotnych. Znów mamy przed sobą apryorystyczną spekulacyą, niczém nie popartą i sprzeciwiającą się ścisłym badaniom Spencera nad rozwojem kultów, obrzędów i miejsc świętych. Obok Spencera, zajmował się cały szereg etno- i socyologów temi zagadnieniami, ale śmiało możemy powiedzieć, że żaden z nich nie odważył się na tak oryginalne, ale też nieprawdopodobne twierdzenie zasadnicze w tym względzie, jak to zrobił prof. M.; to też znów możemy całą tę jego kombinacyę odrzucić. „Familie“ mieszkały i grzebały swych trupów — zdaniem autora — w jamach nieurządzonych i nieporozdzielanych; mówiliśmy już co właściwie oznacza ten wywód; pozostają nam jednak jeszcze mieszkania, które zostały z pierwotnych mieszkań „hordy“ przez rzekome wpływy „familii“ zmodyfikowane. Znany fakt, że wioski ludów nieucywilizowanych nie są budowane według zasad „przestrzennie“ stałych, lecz że przeciwnie decydują w tym względzie lokalne tylko zwyczaje, wy-

jaśnia prof. M. w ten sposób, że „hordy“ nie troszczyły się o układ „przestrzenny“ całéj osady, lecz tylko wnętrza mieszkań. Przypuszczenie to, niczém znów nie poparte, jest ze stanowiska teoryi o „hordzie i familii“, prawie niedopuszczalne; mimo to utrzymuje je autor w całéj pełni i sądzi, że nawet jedyny dość ogólny zwyczaj obwarowywania palisadami pewnéj części osady jest dopiéro wynikiem wpływu „familii“ na „hordy“. „Horda“ broniła się przed coraz więcéj postępującą emancypacyą „familii“ i dlatego odgradzała się palisadą od niéj. Dotychczas wykazywano, że wszelkie obwarowywania się dzikich i barbarzyńców, a zresztą i ludów cywilizowanych mają zawsze na celu obronę przed napadami zbrojnymi i nie widzę żadnéj przyczyny, dlaczegobyśmy nagle mieli zacząć za prof. M. myśléć, że właściwie początek „grodów“ był natury wyłącznie pokojowéj, społeczno-prawnéj. Prawdą jest, że po za obrębem palisad — mieszkają u wielu plemion ludzie, uważani za „obcych“ i dlatego nienależący do komuny, ale fakt ten odnosi się już do okresu powstawania „państw“, a nie do wpływu „familii“ na sposób budowania osad „hordy“. „Grodami“ ludów, na drzewach mieszkających, stały się t. zw. mieszkania palowe i takie „grody“ były, mimo innego pojmowania ewolucyi mieszkań przez prof. M.,—zapewne równoczesne z obwarowywaniem jaskiń i jam ziemnych—palisadami. W jaskiniach i na palach znajdujemy wyryte znaki zwierząt, zapewne „totemów“—tylko przypominam, że „totemami“ nazywa autor „przestrzenne“ grupy „hordy“. W miarę różniczkowania się „hordy“, stały się te znaki — razem z tatuowaniem — oznakami pochodzenia.

Być to bardzo może, ale znów nie mamy przyczyny, bez przyjęcia całéj teoryi o „hordzie i familii“, sądzić, że oznaczano w ten sposób pochodzenie z „grup hordy”, nie zaś z „rodów” plemienia. W wielu językach używa się zwrotu „drzewo genealogiczne” na wyrażenie pochodzenia. Nie ma koniecznéj przyczyny, aby chwilę powstania takiego zwrotu przesuwać daleko wstecz do czasów „hordy” i „familii”; mimo to sądzi prof. M., że mamy tu przed sobą ślad zwyczaju rysowania, względnie wyrzynania znaków totemicznych na „drzewie”, mianowicie na palach, które podtrzymywały całe mieszkania lub co najmniéj dach mieszkań poszczególnych grup „hordy”. Znaki te były z reguły obrazami zwierząt; z czasem umieszczano je jako zwykłe ozdoby nad dachami, niemniéj jednak rozwinęła się tą drogą wiara, że poszczególne „totemy“ (grupy „hordy“) pochodzą od rzeczywistych zwierząt. Nie ulega wątpliwości, że wśród ludów nieucywilizowanych, istnieją rodowe i osobiste imiona zwierzęce, tudzież przekonanie, że

można mieć zwierzę za przodka. Spencer dowodzi, że mamy tu do czynienia z jedną ważną gałęzią kultu duchów. Dziki rozumuje, że sobowtór zmarłego człowieka ma, podobnie jak znachorzy, władzę przemieniania się, względnie przechodzenia w ciała zwierzęce; ponadto, używają te ludy imion zwierzęcych w przenośném znaczeniu przymiotów lub wad indywidualnych. Duch przodka staje się zwierzęciem, względnie przybiéra zwierzęcą postać; żywy przodek wodza nazywany np. lwem, przybiéra z biegiem czasu także kształty rzeczywistego zwierzęcia w mycie rodowym; to téż nie dziw, że poszczególne rody uważają się za potomków zwierzęcych, noszą zwierzęce imiona i wreszcie czczą zwierzęta jako „totemy“ w znaczeniu nie grup „hordy“, ale reprezentantów lub siedzib duchów przodków plemiennych. Obok Spencera, prof. Stade i wielu innych uczonych rozumié „totemizm“ w tém religijném znaczeniu i znów nie mamy żadnych danych pozytywnych, któreby nas zmuszały pogląd ten dla teoryi prof. M. porzucić; inna rzecz, że możemy bez potrzeby oglądania się na zasadnicze twierdzenia autora przyjąć jego dalszy wywód, mianowicie że znaki totemiczne umieszczane na słupach były wstępnym krokiem, raczéj powiedziałbym, jednym z wstępnych kroków do rozwoju religijnego „fetyszyzmu“. Prof. M. sądzi także, że znaki totemiczne wpłynęły na urobienie się form naczelnictwa w „hordach i familiach“, ale kwestyę tę porusza tylko bardzo krótko, bo jak pisze „w kwestyi naczelnictwa nie wyszedłem jeszcze po za samo zbieranie materyałów“ (str. 281). Wielka zaiste szkoda, że autor tak mało dotychczas postąpił w zbadaniu istoty, form i czasu powstania naczelnictwa u ludów nieucywilizowanych. Na podstawie zarzutów, które robiłem jego teoryi, sądzę, że dokładna analiza naukowa naczelnictwa pierwotnego, będzie z czasem dla prof. M. kluczem do zmodyfikowania poglądów o „hordzie“ i „familii“; natomiast na pierwszy plan wystąpi bardzo ważna i skombinowana kwestya przemiany organizacyi społecznych archaiczno-komunistycznych, na mniéj lub więcéj indywidualistyczne — „państwowe“. Już w rozprawie, którą omawiamy, niejednokrotnie poruszał autor różnice między ekonomiczną organizacyą „hordy“ a „hordy“, zreformowanéj przez „familię“, t. j. niewolnictwo, *ergo* przez wpływ tworzącego się „państwa“. Także przy końcu ustępu o „mieszkaniach hordy i familii“ wraca autor do téj kwestyi, omawiając: 1) organizacyę osad plemiennych na wyspach Mortlock, opisaną w *Mittheilungen der geographischen Gesellschaft in Hamburg*, przez podróżnika Kubarego i widząc w niéj typ wpływu „familii“ na osady „hordy“, tudzież 2) omawiając znany obyczaj wspólnych uczt u ludów dzikich i barbarzyńskich. Wniosek ogólny społeczno-ekonomiczny, który autor ostatecznie wysnuwa z tych i in-

nych tym podobnych faktów, jest ten, że własność w ścisłém tego słowa znaczeniu powstała dopiéro w „familii“ i przez wpływ „familii“ na „hordę“, kiedy *die ersten Genossenschaften waren, wie das Wort sagt, nur gemeinsam geniessende* (s. 290). Inaczéj powiedziawszy, doszedł prof. M. do nie nowego przekonania, że wpływ niewolnictwa na archaiczną komunę rozsadził „wspólne używanie“ ekonomiczne t. j. rozpoczął się rozwój „państwa“ na podstawie indywidualizacyi własności i wynikłych stąd — różnic społeczno-ekonomicznych, przedtém w „hordzie“, czyli lepiéj — w „plemieniu“ — nieznanych.

VII.

Prof. Mucke przy końcu swéj rozprawy („Schlussbetrachtungen“ s. 293—308) zaznacza sam, że nie zawsze mógł być zupełnie ścisłym, bo 1-*mo* ewolucyi ludzkości nie można zamknąć w granicach, przeznaczonych dla książki, 2-*do* dlatego, że autorowi chodziło przedewszystkiém o to, „ażeby rzucić nowe podwaliny pod prahistoryą, o ile ta wchodzi w sferę moich badań“ (293). Specyalną umiejętnością prof. M. jest statystyka; wiemy już, że całą swą metodę badań etno- i socyologicznych uważa autor za „statystyczną”, a całą teoryę o „hordzie i familii“ nazywa „syntezą statystyczną.“ Wniosek odpowiada wprawdzie założeniu, ale sądzę, że żaden ostrożny czytelnik książki o „hordzie i familii“ nie zgodzi się na to, ażeby założenie w tym względzie t. j. metoda, była rzeczywiście „statystyczną“; z większą znacznie słusznością nazwałem ją „metodą psychologiczno-etymologiczną“; teorya o „hordzie i familii”, wysnuta za pomocą téj niedostatecznéj metody, musiała również być mimo swéj oryginalności—niezadawalniającą.

Tyle jednak także pewna, że autor jest wielkim optymistą względem własnych poglądów, bo pisze, że mimo pewnych nieścisłości—nawet „najzaciętszy pesymista, któremu ciemne prawieki rodu ludzkiego wydawały się dzikim chaosem doraźnego spółkowania (*Promiscuität*), małżeństwa grupowego i heteryzmu zastanowi się co najmniéj, a może nawet do moich myśli zawróci.” Na to można autorowi „hordy i familii“ między innemi to także odpowiedzieć, że już przed nim wielu uczonych i to téj miary, jak Spencer, Westermarck—nawet Morgan, nie uważają „hordy pierwotnéj“ za „dziki chaos“, zaś „małżeństwa gminne“ i ślad tychże w niewyjaśnionym nawet wcale przez prof. M. „heteryzmie“ są formą rodziny, prymitywną wprawdzie, ale przecież nie „chaotyczną“, bo podporządkowaną ogólnym prawom przyrody i ewolucyi ekono-

miczno-społecznéj. Zarzut „spekulacyi apryorystycznych“, który autor robi poprzednikom swym w nauce, nie tylko nie da się utrzymać, ale ponadto zwraca się przeciw własnym jego założeniom. Całkiem słusznie twierdzi prof. M., że „spekulacye filozoficzne“ były, są i będą zawsze konieczne o tyle, że one fakty zszeregowują i je w jedną syntezę—jeden system konsekwentny układają. A jednak są także takie spekulacye, które w żaden sposób utrzymać się w nauce nie dają, t. j. takie, które *voreilig das auf dem Wege der Erfahrung nicht Begriffene, durch leere Einbildungen eines sich von der Wirklichkeit losreisenden Denkens suppliert* (s. 295). Zarzut takich spekulacyi robi autor przedewszystkiém Postowi, sądzę, że w części słusznie nawet; szkoda jednak, że w swéj teoryi nie dostrzegł prof. M. „tramu — jeśli umiał zawsze widzieć źdźbło w oczach bliźniego.“ Prof. M. chciał wykazać, że jego „horda“ była *die ursprungliche Ordnung der Dinge* (s. 297) i że ten „porządek“ był czémś n i e ś w i a d o m é m, bo nie wypływał z refleksyi umysłu ludzkiego, lecz wprost z jego przyrodzonych właściwości. Nie był tedy ten czysto żywiołowy „porządek” — „prawem“, tak jak nie jest „prawem“—„porządek“ istniejący np. u pszczół i mrówek. Człowiek poznał „prawo“ jako antytezę „bezprawia“, a więc były to już świadome refleksye, które z „porządkiem hordy“ nic nie mają wspólnego. „Porządek“ ten był jednak już „stanem“ (*status*), a więc był „państwem“ i s t n i e j ą c é m p r z e d p o w s t a n i e m „p r a w a”. Sam autor przyznaje, że takie uogólnienie jego teoryi jest zbyt oryginalne, aby je na słowo przyjąć można, to też objaśnia je dodatkowo w ten sposób, że „państwo-porządek“ było „państwem p i e r w o t n é m“, które „prawa“ n i e p o t r z e b o w a ł o, bo opiérało się na prawach naturalnych. Był to *status naturalis* nie zależny od woli ani wiadomości ludzkiéj, był „państwem częściowém wielkiego, uniwersalnego państwa bożego, zrealizowanego w przyrodzie”; było to „święte *mysterium*”, o którém myśléć, ale którego zbadać nie możemy. Dopiéro „zakosztowawszy owocu z drzewa świadomości“, „odpadł” człowiek od tego boskiego, zarazem naturalnego „porządku“ — został „z raju wygnany”. Ciekawa to i oryginalna egzegeza biblijna; zgodna wprawdzie z teoryą o „hordzie i familii”, ale równie z nią całą—dla nauki niedowiedziona i wskazuje tylko, że autor stanął wobec ewolucyi „p a ń s t w” bezradnie—jako przed „świętem *mysterium*”. Jakoż nie mogło być inaczéj. Cała hypoteza o „hordzie i familii” ma tyle słuszności naukowéj, zdaniem mojém, o ile zgadza się z badaniami dawniejszemi o przemianie stopniowéj komun archaicznych w „państwa”; że zaś prof. M. nie chce nawet w zakończeniu swéj rozprawy czegoś

podobnego przypuścić, otóż jużcić, że jego „horda" musiała się stać sama mistycznem „państwem pierwotnem" na wzór raju Genezy. Co ciekawsze—to, że autor nie chce temu swemu rajowi nadać nazwy „społeczeństwa" (*Gesellschaft*). Jestto dlań tylko „kongregat szeregów i punktów w tych szeregach", „wspólnota" (*Gemeinschaft*), która żyje i rozwija się tak jak indywiduum. Nie ma w téj „wspólnocie" t. j. „hordzie" żadnego zróżniczkowania społecznego; wszyscy żyją i muszą żyć wspólnie, bez różnic społeczno-ekonomicznych i bez potrzeby rządu, bo zastępuje go ów mistyczny „porządek przestrzenny". Innemi słowy powiedziawszy, stwierdza prof. M. raz jeszcze dawno znany fakt, że archaiczne komuny są niezróżniczkowane społecznie, bez różnic majątkowych i że wszyscy zastosowują się w nich do „porządku", wynikającego z niezłomnych praw przyrody i równie niezłomnéj konieczności starania się o żywność dla siebie i dla wszystkich. Aby tego dowieść, nie potrzebna była cała teorya o „hordzie i familii", ani odróżnianie „wspólnoty" od „społeczeństwa". Teorya o „destynacyi" małżeństw w „hordzie" jest wyłomem w niezróżniczkowanéj pod żadnym innym względem „wspólnocie", odróżnienie zaś „wspólnoty" od „społeczeństwa" jest znów apryorystyczną spekulacyą, która mimo zaprzeczeń autora, wyrosła przecież „na bezpłodnym stepie pustéj spekulacyi, rozszczepiającéj pojęcia" (str. 305). Słusznie sądzi prof. M., że „familia" t. j. niewolnictwo—jest początkiem „panowania" w „wspólnocie", bo jużcić „pan" panował nad swym niewolnikiem, względnie cała komuna panowała nad wspólnemi jéj siłami robotniczemi; wcale jednak nie rozumiemy, dlaczego każe nam autor dopiéro taki ustrój społeczny, w którém niewolnictwo wytworzyło różnice społeczne — nazywać *par excellence* „społeczeństwem". „Społeczeństwem" jest tak dobrze „wspólnota" niezróżniczkowana, jak i zróżniczkowane społecznie „państwo"; nawet teorya o „hordzie i familii" nie każe inaczéj sądzić, ale inaczéj twierdzi autor téj teoryi z powodu—o ile rozumiem, swych społeczno-politycznych, lecz nie naukowych, zapatrywań. Pisze on mianowicie, że człowiek musi albo zrzec się swéj wolności na korzyść społecznéj równości, albo też bronić wolności przed równością. Dla człowieka uświadomionego niemożliwém jest równoczesne spólistnienie wolności i równości (s. 307). Wielka szkoda, że prof. Mucke, skłonny często do dzielenia identycznych w istocie swéj pojęć, nie zróżniczkował sobie i czytelnikom pojęć „wolności" i „równości", bo wówczas dopiéro moglibyśmy go dokładnie wyrozumiéć. Przypuszczam jednak *a priori*, choć nie bez pewnéj podstawy, że autor jest zdania, iż społeczno-ekonomiczna równość jest koniecznym

przeciwnikiem indywidualnéj społecznéj wolności, tak ekonomicznéj jak i każdéj innéj. Jeśli dobrze w ten sposób wyrozumiałem autora, to jest on w pojęciach swych społeczno-politycznych liberalnym w ścisłém tego słowa znaczeniu i wobec tego mniéj się już dziwię, że nazwał archaiczne komuny „mistycznym rajem“, „wspólnotą“ czysto żywiołową, w odróżnieniu od zindywidualizowanych ekonomicznie „społeczeństw“, czyli jak inni etno- i socyologowie słusznie nazywają, „państw“.

Dr. Kazimierz I. Gorzycki.



RUCH LUDOWY W POZNAŃSKIEM.

W pamiętnej epoce rozkwitu piśmiennictwa poznańskiego między rokiem 1834 a 1848, w pamiętnych latach gorączkowego ruchu umysłów, rozpoczyna się także energiczna i systematyczna praca nad oświatą ludu poznańskiego. Demokratyczne programy Libeltów i Marcinkowskich, wraz z całą plejadą małych i wielkich ludzi słowa i czynu, nie pozostały jedynie deklamacyą ideową, lecz rychło przybierać zaczęły formy praktycznego działania, zrazu może nieudolne i ciasne, z biegiem lat jednak coraz skuteczniejsze i szersze.

Już założony w r. 1834 leszneński „Przyjaciel ludu“, redagowany wbrew tytułowi swemu dla inteligentniejszych warstw społeczeństwa, poczuwa się po czterech latach istnienia do obowiązku wydawania pisemka prawdziwie ludowego i powołuje do życia „Szkółkę niedzielną“ pod redakcyą ks. Borowicza. Mnożą się także, aczkolwiek w skromnych zrazu rozmiarach, wydawnictwa książkowe dla ludu, że tylko wspomnimy „Wieczory pod Lipą“ Siemieńskiego (1845), nieudolne „Dzieje Polski od Lecha do Jadwigi“ Julii Wojkowskiéj, książki Poplińskiego i nieco późniejszy utwór Jędrzeja Moraczewskiego p. t. „Opowiadanie gospodarza Jędrzeja“.

W połowie stulecia gaśnie ruch i życie umysłowe w Poznaniu, praca nad oświatą ludu jednak trwa daléj bez przerwy, słabnąc niekiedy, lecz nie zamierając nigdy. Dokładna charakterystyka i chrono-

logiczne katalogowanie wszystkich usiłowań w tym kierunku, przekraczałoby granice pracy naszéj, poświęconéj w głównéj swéj osnowie krytyce i dziejom najświeższych momentów rozwoju ludowego,—zwracamy więc tylko ogólnikowo uwagę na potęgujący się w kresowych dzielnicach ruch czasopiśmienniczy, z poznańskim „Przyjacielem ludu“ na czele, swego czasu wpływowym i ruchliwym, dziś już zgrzybiałym i zastygłym, — zwracamy daléj uwagę na bujny rozkwit książkowéj literatury o ludowym zakroju z Miarką na Szląsku, Chociszewskim w Poznańskiém, Danielewskim w Prusach, Cenową na Kaszubach, — podnosimy wreszcie ze szczególnym naciskiem sieć stowarzyszeń ludowych, rozszerzającą się z roku na rok coraz daléj i daléj, w coraz to innych kształtach i formach, a stanowiącą dzisiaj jeden z najpotężniejszych rozsadników oświaty w milionach poznańskiego i szląskiego ludu. W chwili obecnéj, pomijając korporacye drobniejsze, jak rozliczne bractwa kościelne, towarzystwa kwestarskie i t. p., wyróżnić nam wypada cztery typy stowarzyszeń ludowych, najsilniéj rozwiniętych, najgęściéj rozsianych i najrychléj połączonych węzłami orgazacyi związkówéj, opartéj na jednym, centralnym zarządzie, jednolitym kierunku i zasadach bratniéj pomocy. Mówimy tu o kółkach włościańskich, o stowarzyszeniach przemysłowych, towarzystwach śpiewackich i gimnastycznych. O pierwszych zamieściło „Ateneum“ przed kilku laty obszerne studyum i dlatego nie charakteryzując bliżéj ich organizacyi i dążeń, poprzestajemy na krótkich informacyach z rozwoju ostatniéj doby. Dzięki niestrudzonéj energii patrona Jackowskiego, wzrost liczebny kółek włościańskich trwa nieprzerwanie, lubo upadek wielkiéj własności ziemskiéj, zawojowanéj niemieckim kapitałem, i tu rozsypał ślady pewnego omdlenia. W ten lub ów sposób wypełnia się świécące szczerby, ale ambaras coraz częściéj puka do drzwi patronatu i wymaga zdwojonéj czujności i pracy. Upadek wielkiéj własności ziemskiéj i trudne położenie polityczne duchowieństwa, nasuwa też natarczywie kwestyę usamodzielnienia kółek włościańskich, pozostających dotychczas, z drobnemi wyjątkami, pod wyłączną opieką kleru i szlachty, czyli—wyrażając się ściśléj—obywatelstwa wiejskiego. Jestto wogóle charakterystycznym rysem demokratycznego rozwoju Księstwa, że mówi się wiele o domininującém stanowisku ludu w dziejach przyszłości i pracuje szczerze nad oświatą jego, lecz równocześnie broni się uporczywie ustroju patryarchalnego i wita każde drgnienie emancypacyi, każdy silniejszy objaw pełnoletności ludowéj z cichym protestem, jakoby krzywdę wyrządzoną zasłużonym rodzicom przez nieuzasadnione uroszczenia dzieci. Powtarza się tu

stare doświadczenie historyczne. Klasa kierująca nie zrzeka się nigdy dobrowolnie przywilejów swoich, lecz ustępuje dopiéro przed żelaznym wyrokiem ewolucyi społecznéj i ekonomicznéj, a zmiany te dokonywają się w ziemi wielkopolskiéj pod kołami machiny germanizacyjnéj z groźną szybkością. Jednowioskowa własność, o ile już nie zginęła, chyli się ku zgubie, dominująca warstwa obywatelska rozpływa się po miastach i ulega prawom niwelacyi społecznéj i towarzyskiéj, a niedaleka już pono chwila, w któréj społeczeństwo polskie w kresowych dzielnicach będzie społeczeństwem chłopów i mieszczan z przymieszką „ostatnich Mohikanów“,—wielkich latifundyów, tu i owdzie rozsianych jak wysepki w morzu niemieckiego ziemiaństwa.

Hasło usamodzielnienia ludu, odzywające się zaledwie szeptem w kółkach włościańskich, rozlega się coraz donośniéj w stowarzyszeniach miejskich, a mianowicie w organizacyach przemysłowców, śpiéwaków i gimnastyków. Do niedawna jeszcze panowała tu powszechna zasada powierzania rządów przedstawicielom zawodów naukowych, uczestniczącym bardzo skąpo w ruchu towarzystw, a powoływanym mimo to jako firmy błyszczące na urzędy prezesów, wice-prezesów, delegatów i t. p. W najświeższych czasach dopiéro postulat orędownikowego stronnictwa, by lud sam rządy swoje sprawował, zyskuje coraz liczniejszych zwolennikow, a pierwsze próby w tym kierunku wydały rezultaty pomyślne. W poznańskiém towarzystwie „Młodych przemysłowców“ objął dziedzictwo laski prezydyalnéj, po całym szeregu lekarzy i adwokatów zwykły rzemieślnik, siodlarz z zawodu, i nietylko zdobył niezbędną powagę jako *primus inter pares*, lecz zabiegliwą ruchliwością zelektryzował życie, chwilami nieco ślimacze. Niemniéj charakterystyczną jest potęgująca się z dnia na dzień samodzielność inicyatywy wśród ludu. W historyi stowarzyszeń polskich trud pierwszego impulsu i organizacyi spoczywa stale na barkach inteligencyi, która dziś, czy to wskutek opłakanych stosunków materyalnych, czy téż przerażona nienawiścią pruską, kontrolującą z argusową czujnością działalność społeczną polskich urzędników, lekarzy i prawników, bierze nieraz zupełny rozbrat z życiem publiczném i zamyka się szczelnie w granicach pracy zawodowéj. Nie dziw, że takie warunki przyśpieszają dojrzałość ludu, który rozumiéć zaczyna położenie i wynikające z niego obowiązki. Gdy dyrektorzy banków polskich odrzucają ofiarowane sobie w stowarzyszeniach urzędy, z obawy, aby niemiecki bank rzeszy nie cofnął im kredytu swego, gdy rozporządzenie naczelnego prezesa zniewala lekarzy ordynujących w szpitalach do opuszczania stowarzyszeń polskich,—gdy adwokat manifestujący swój udział w ży-

ciu publiczném liczyć nie może na to, że ministrowie obdarzą go notaryatem, gdy wreszcie — a to najsmutniejsza — w inteligencyi zanik zmysłu społecznego coraz wyraźniéj znaczy swe ślady i jakaś zimna, sybarytyzmem zabarwiona obojętność odsłania oblicze znudzone, to na warstwy dolne społeczeństwa spada olbrzymi ciężar pracy, któréj konieczność i doniosłość lud nie tyle może refleksyą, ile instynktem i czuciem odgaduje. Wraz z przewodnictwem w stowarzyszeniach przesuwa się inicyatywa ruchu korporacyjnego zwolna na niższe szczeble drabiny społecznéj. Dawniéj ksiądz lub lekarz byli typową sprężyną życia, dziś szewc, krawiec lub drukarz, nie czekając wysokich patronatów, coraz częściéj gromadzi i łączy lud samodzielnie, organizując go w formach stowarzyszeń.

Mimo czysto humanitarnych i utylitarnych celów tych towarzystw ludowych, wykluczających na mocy statutów i przyjętych zwyczajów nietylko działalność, lecz nawet dyskusyę polityczną z łona zgromadzeń i zakresu czynności swoich, spoglądał rząd pruski już oddawna — bo pół wieku zgórą — okiem niechęci na ruch korporacyjny w prowincyach wschodnich. Zwracam tylko uwagę na memoryał smutnéj pamięci ministra Flotwella, oskarżający zakładane między rokiem 1834 a 1838, za wpływem Jędrzeja Moraczewskiego, „Towarzystwa zabaw" o centralizowanie sił rozproszonych na słowiańskich kresach i krzewienie oświaty przeciwnéj interesom pangermanizmu. Minęła jednak epoka Flottwelowska i przez długie lata rozwój stowarzyszeń nie spotykał poważniejszych trudności; dopiéro z nastaniem ery żelaznego kanclerza rozpoczęła się budowa taranów dla rozbicia słowiańskiego przedmurza, a w chwili obecnéj, jakby na urągowisko wszystkim apostołom ugody polsko-niemieckiéj, całemu zelotyzmowi u stóp berlińskich ołtarzy i bezprzykładnéj prawie, dziecięcéj łatwowierności Koła polskiego, zmartwychwstaje stary Bismarck z posępném słowem zagłady. Załatwiono się ze szlachtą, sparaliżowano lub zdziesiątkowano inteligencyę, spętano dyplomacyą kościelną duchowieństwo, dziś przychodzi koléj na masy ludu. Organa policyjne rządu pruskiego wypuściły już od lat kilku szarańczę szykan dotkliwych na stowarzyszenia ludowe, a gdy cios żaden nie wzruszył potężnego wału, gdy mimo gromów niemieckich duch nie zamierał i nie mdlał, zabrzmiała z trybuny sejmowéj groźba Bismarckowska, — zapowiedź praw wyjątkowych. Minister spraw wewnętrznych, głośny von der Recke, z typowym cynizmem junkra pruskiego postawił żądanie, by w stowarzyszeniach polskich język niemiecki stał się urzędowym, pieczętując tém samém w całéj rozciągłości postępowanie niż-

szych urzędników, rozwiązujących już od kilku miesięcy zebrania ludu w Prusach zachodnich i na Szląsku, gdy na nich w polskim przemówiono języku. Sprawa potoczyła się obecnie w drodze prawem przepisanéj przed najwyższy trybunał administracyjny; lecz lubo postulat ministra jest najwidoczniejszém pogwałceniem konstytucyi, lubo prawdopodobném jest, że trybunał z grymasem ambarasu na poważném obliczu skardze Polaków słuszność przysądzi, lubo z ław deputowanych polskich ozwało się słowo ufności w sprawiedliwość Temidy pruskiéj, nikt się już dzisiaj łudzić nie powinien, że tam, gdzie ponad wyrokiém sądów stoi usłużne prawo wyjątkowe, rząd, wbrew ustawom, zamiarów swoich dokona. Nie jest to domyślnik polityczny, nie jest to wniosek wątpliwy, wysnuty z przesłanek ogólnéj sytuacyi, lecz echo przemówień ministeryalnych, zawierających wyraźną pogróżkę, że gdyby trybunał inaczéj, niż rząd pruski, rozsądzić miał sprawę stowarzyszeń polskich, to wtedy prawo wyjątkowe poprawi wyrok niewygodny. A gdy słowo takie padło z mównicy, trzęsły się mury od braw frenetycznych stronnictw kartelowych, pokornych przed forum parlamentu, lecz butnych i wszechpotężnych w granicach sejmu pruskiego. Tu trzyklasowy system wyborczy zapewnia stałą przewagę rządowi, prawica góruje siłą liczebną nad całą izbą i wita z zapałem każdy projekt, hołdujący reakcyi i ścieśnieniu praw konstytucyjnych. Duch 1848 roku zamarł już w Prusiech oddawna, epigoni liberalnych *Achtundvierziger* zdeptali ideały ojców i zaledwie tu i owdzie błąkają się niedobitki wielkiéj przeszłości. To też z ewentualnością wprowadzenia języka niemieckiego do stowarzyszeń polskich liczyć się należy poważnie, a tém samém liczyć się z chwilą, w któréj zjawi się przed społeczeństwem pytanie: Czy utrzymać byt stowarzyszeń z niemieckim językiem urzędowym, czy rozwiązać wszystkie stowarzyszenia, w których po polsku mówić zakazano? Jak się lud polski w zmienionych warunkach bytu politycznego zorganizuje, tego dziś jeszcze przesądzać nie śmiemy, — okazał on jednak tyle żywotności i siły rozwojowéj, że zbyteczną jest obawa, by nowa fala germanizmu pochłonąć go miała. Śląsk pruski świéci przykładem i otuchą — Czechy z uśmiechem dumy głowę swą podnoszą. Szlachta zginęła w potopie niemieckim, lud, jak arka biblijna, przetrwał wszystko, sam jeden został i rozkwitnął bujnie.

Oprócz ruchu stowarzyszeń, na dwa jeszcze rozsadniki oświaty przycisk kładziemy—na czytelnie i czasopisma ludowe. Pierwsze rozwijają się pod kierunkiem bardzo rozgałęzionego stowarzyszenia z ks. Zdzisławem Czartoryskim na czele, względnie pomyślnie, chociaż chwilami kłopoty finansowe i brak spreżystych, chętnych do pracy bibliotekarzy krępuje najlepsze zamiary. Rozbrzmiewa zresztą na walnych

zebraniach skarga zarządu, że nie wymarł jeszcze ród mamutów uważających oświatę ludu za eksperyment demagogii i odmawiających wszelkiego udziału w pracy, która, zdaniem ich, potęguje uroszczenia gminu i zagraża formom ustroju klasowego. Z drugiéj strony rzuciła w ostatnich latach t. zw. „inteligencya demokratyczna“, energiczny protest ku wyżynom władzy kierującéj, opanowanéj przez ludzi niewątpliwie zasłużonych, lecz zapleśniałych w pojęciach swoich na umysłowe potrzeby ludu i wytężających wszystkie siły, by do zarządu czytelni, na które całe społeczeństwo składa swój grosz wdowi, wstępowali wyłącznie ludzie barwy zachowawczéj. Oskarżenie to powtarzane trzykrotnie na walnych zgromadzeniach, znalazło echo głośne w niektórych czasopismach, lecz wobec potęgi koteryi konserwatywnéj, przebrzmiał bez zwycięskiego akordu protest „demokratycznéj inteligencyi“, nieco obojętnéj, rozbitéj i gorejącéj zwykle bardzo jasnym, lecz tylko słomianym ogniem.

Donioślejsze znaczenie dla rozwoju oświaty ma czasopiśmiennictwo ludowe. Krzewi się ono z taką szybkością w rozmaitych zakątkach kraju, że chwilami ten nagły wzrost ilościowy drobnych pisemek wydaje się niezależnym od istotnych potrzeb społeczeństwa, lecz wynikającym z postronnych motywów. Tak np. powstała przed kilku laty „Gazeta Gdańska“, redagowana dość zręcznie i wystarczająca zupełnie miejscowéj i okolicznéj ludności. Wkrótce jednak na gruncie ambicyi fałszywych czy też z motywów konkurencyjnéj natury, wyrosło nowe pisemko codzienne p. t. „Kuryer gdański“ i rozpoczęła się walka drobiazgowa, bez wszelkiéj ideowéj podstawy, między redaktorem-zecerem Milskim a redaktorem-koszykarzem Czyżewskim. Walka trwała niedługo. „Kuryer gdański“ skapitulował, zrujnowawszy kwitnący warsztat swego redaktora, który z resztek majątku, nie mogąc stłumić żadną miarą apetytów dziennikarskich, wydaje obecnie pod dawną firmą bardzo blady i bardzo jałowy tygodniczek.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że chęć czytania wśród ludu polskiego potęguje się we wschodnich prowincyach monarchii pruskiéj, lecz harmonijnego stosunku między galopującym rozwojem prasy ludowéj a popytem na drukowaną bibułę niekiedy doszukać się trudno. Wskutek nadmiernéj konkurencyi, kłopot finansowy zagląda coraz częściéj do biur redakcyjnych, które, licząc na brak zmysłu krytycznego wśród czytelników swoich, karmią ich nieraz materyałem jałowym i zaprzęgają do pracy siły zupełnie niewłaściwe, lecz tanie. Oczywiście nie rozciągam zarzutu tego na całe czasopiśmiennictwo ludowe, zwracam tylko uwagę na pewną nadprodukcyę w dziennikarstwie, wydającą gdzieniegdzie owoce niezdrowe. Poważniejszym natomiast za-

rzutem, który uczynić można całéj prasie ludowéj, niemal bez wyjątku, jest przeładowanie czasopism kwestyami polityki, często bardzo egzotycznéj i pełnéj kontrastów, bo wykradanéj bezkrytycznie z niemieckich czasopism tego lub owego kierunku. Jednostajność ta nietylko nuży czytelników, lecz oddaje bardzo wątpliwe usługi kulturze narodowéj, na którą składają się przecież rozliczne czynniki i którą z różnorodnych źródeł do serc i umysłów wprowadzać należy. Dusza ludu jest jak harfa o tysiącznych strunach. Kto tylko o jedną trąca, ten dźwięk wydobędzie, lecz wspaniałéj pieśni nie usłyszy nigdy. Literatura, historya, ekonomia narodowa — te trzy kopciuszki prasy ludowéj w Poznańskiém, Prusach zachodnich i na Szląsku — chyba znaczniejsze usługi oddać mogą oświacie, gdy we właściwéj podamy je formie, niż artykuły o zatargach kreteńskich, królu Milanie lub owacyach miasta Kissingen dla ks. Bismarcka. Oczywiście, reforma pożądana mogłaby wtedy dopiéro nastąpić, gdyby w każdéj redakcyi obok tłómaczy-kompilatorów, dla których alfą i omegą redakcyjnéj mądrości jest „*Germania*" lub *Posener Zeitung*, zasiadali prawdziwi pisarze ludowi, jak: Chociszewski, Danielewski lub ś. p. Ludwik Rzepecki, — zdaje nam się jednak, że tacy redaktorzy znaleźliby się już dzisiaj w poważniejszéj liczbie lub wyrośli z czasem z rzeszy dyletantów, gdyby do wydawnictwa czasopism ludowych zabiérali się ludzie silnie przejęci tendencyą reorganizacyi i gdyby wielkie dzienniki, ton nadające w Księstwie, stały się krzewicielami téj idei. Brak inicyatywy w określonym kierunku do tego stopnia zakorzenia politykomanię w dziennikarstwie ludowém, że nietylko tacy redaktorzy, którym ubóstwo umysłowe wyjść nie pozwala po za granice politycznych informacyi i rezonowań banalnych, lecz nawet pisarze zdolni, obdarzeni znajomością ludu i talentem szerokim w zakresie piśmiennictwa ludowego, jak Maćkowski i dr. Szymański, ulegają ogólnemu nałogowi i w pisma swoje, doskonałe pod względem języka, plastyki stylu i jasności rozumowań, tłoczą politykę i politykę bez końca. Jest to epidemia, któréj drogę utorowało wmieszanie się niepowołanych żywiołów do dziennikarstwa ludowego, wygoda redaktorów rozmiłowanych w łatwéj robocie i brak dyrektywy oraz trzeźwego krytycyzmu u sterników opinii.

Mimo tylu czynników oświaty i długoletniéj pracy w tym kierunku, samodzielny „ruch ludowy" w Poznańskiém jest dopiéro owocem najświeższéj doby i znajduje się zaledwie w pierwocinach rozwoju swego. Starszy brat jego galicyjski zmężniał już oddawna, zdobywa urny wyborcze, imponuje swą siłą żywiołową, — w Poznańskiém natomiast stronnictwo ludowe liczy zaledwie 5 lat życia i żadném poważ-

niejszém zwycięstwem poszczycić się jeszcze nie może. Ta zresztą jest różnica między ruchem jednym a drugim, że galicyjski opiéra się na szerokich masach ludu wiejskiego, poznański jest dotychczas produktem czysto mieszczańskim. Przyczyn jego późnego rozwoju szukać należy przedewszystkiém w warunkach politycznych Księstwa, nakładających jako pierwszy obowiązek narodowy skierowanie wszystkich sił przeciw nawale germańskiéj, bijącéj gromami swemi w ducha i język ludu polskiego na kresach słowiańskich. Potop niemiecki zbliżał się i groził, trzeba było budować mury i wały ochronne, a w téj gorączkowéj robocie lud wyrósł na dzielnego żołnierza-pracownika, lecz drzémał jako klasa, jako oddzielny żywioł społeczny, posiadający własny zakres interesów swoich i dążeń. Walka na zewnątrz wyczerpywała wszystkie siły i do téj walki wyłącznie tresowano niższe warstwy społeczeństwa, ucząc je mechanicznéj subordynacyi dla „ojców narodu“, prowadząc od jednéj urny wyborczéj do drugiéj, karmiąc poczuciem odrębności narodowéj wobec zakusów germanizacyi, lecz unikając wszystkiego, coby obudzić w nim mogło świadomość swéj klasowéj przewagi społecznéj. Najruchliwszych działaczów demokratycznych zanadto pochłaniała walka z żywiołem niemieckim, by pracę swą poświęcać mogli uregulowaniu stosunków wewnętrznych i rzucać hasła emancypacyi ludu tam, gdzie bezustannie brzmiał okrzyk: „na mury!“ i gdzie każdy ferment społeczny mógł stłumić chociaż na chwilę siłę tego okrzyku, mógł na szwank narazić solidarność. I dlatego w Galicyi nie zagrożonéj germanizacyą musiały wewnętrzne różnice, dysonanse klasowe i hasła emancypacyjne rychléj odezwać się niż w Poznańskiém—i dlatego ludowcy galicyjscy, nie mając na ziemi swojéj fali niemieckiéj, mogli swobodniéj i śmieléj głosić swój program ewolucyi demokratycznéj.

Dla tych jednak, co okiem sięgać umieją do głębi, jasném było już dawno, że prędzéj czy późniéj lud przebudzony upomni się o prawa swoje i zrywając paski, na których ojcowie wprowadzili go na gościńce polityki, wystąpi jako klasa samodzielna z własnym programem. Przed pięciu laty rozpoczęła się istotnie szeroka praca organizacyjna i rozpoczęła się walka, któréj bezpośrednim motywem było stanowisko Kół polskich w sejmie i parlamencie wobec rządu pruskiego a w dalszym rozwoju stanowisko kościoła i kleru wobec społeczeństwa.

Dzieje zbankrutowanéj dyplomacyi dworskiéj na wielkopolskim gruncie znane są powszechnie; głosami polskiemi zdobyto miliony na armię i marynarkę pruską a w nagrodę ofiarowano bicz Bismarckowski na kresy słowiańskie. Krótkowidztwo poznańskich wybrańców naro-

du było tak wielkie, że nawet w chwili, gdy z trybuny sejmowéj rzucono dyplom uznania rozszalałemu w szowiniźmie swoim Hakatyzmowi, Koło polskie rozwijało dumnie chorągiew ugody, odmawiając przez usta organów swoich społeczeństwu prawa ujemnéj krytyki. Szał jakiś ogarnął całą niemal inteligencyę i obywatelstwo wiejskie. Wiara w słońce wschodzące zamieniała się w fanatyzm, a chociaż niebo było ciemne i mroczne, tłum zahypnotyzowany wyciągał ręce i witał blaski urojone. Dyplomacya fantazyi dworskich podsycana tysiącem legend czarujących, rozsianych po kraju przez poetę Kościelskiego i jego Janczarów, święciła orgie prawdziwe, a kto w nich nie brał udziału, uchodził za obłąkańca, człowieka złéj woli, ambitnego oponenta, którym kieruje próżność bezgraniczna i żal, że inni mandat zdobyli, inni wyprostowali krzywizny dawnéj polityki. W takich warunkach powstał ruch ludowy z namiętnym protestem przeciw urojeniom politycznych dworaków i wystąpił po raz pierwszy jako stronnictwo i jako siła, posiadająca nie tylko słowa, lecz czyny w arsenale swoim.

Sprężyną ruchu, krzewicielem, i wodzem jest dr. Roman Szymański, redaktor „Orędownika". Nazwisko jego stało się głośném po raz pierwszy w czasie pamiętnéj walki liberalnéj i ultramontańskiéj partyi przed 25 mniéj więcéj laty, w okresie głośnych „punktów kościańskich" i zapasów dworu z plebanią. Wonczas to Szymański jako członek t. zw. „kapeli ultramontańskiéj", przygrywającéj po całém Księstwie programom Koźmianów, Stagraczyńskich i Kanteckich, otrzymał swój chrzest polityczny i nie marzył zapewnie o tém, że w kilkanaście lat późniéj usłyszy nad głową swoją wyrazy potępienia z tych samych ambon kościelnych, które niegdyś błogosławiły jego politycznym czynom i dążeniom. Minęła walka „kulturna" i przycichnął nieco rozgłos Szymańskiego, aby przed 5 laty zabrzmiéć tém donośniéj w szalonéj burzy tonów skłóconych. Były chwile takiego zamętu namiętności sprzecznych, że gmach „Orędownika" chwiać się zaczynał i zdawał się walić nad głową twórcy swojego, a przecież gmach ten stoi dziś silniéj niż kiedykolwiek, urągając wszystkim nawałnicom. Siła idei i talent wodza stały się jego opoką, lubo pewna niejasność i jednostronność programu wygląda bezustannie z okien budowy, budząc wątpliwości nawet w tych demokratycznych żywiołach inteligencyi, które żywią niekłamaną sympatyę dla ruchu ludowego. Ztąd to wypływa,—pomijając na razie inne ważniejsze przyczyny—uderzająca obojętność inteligencyi dla nowego prądu, oddziaływająca niekorzystnie na rozwój całego stronnictwa, które dziś wzrosło do takich rozmiarów, że jeden wódz, mimo całéj energii i talentu, wystarczyć mu już nie

może, a ciężar pracy mroczy nieraz myśli i staje się przyczyną błędów strategicznych, które są piętą Achillesową „Orędownika” i jego partyi. Szymański, jako mówca ludowy i polemista-dziennikarz, jest w chwili obecnéj niewątpliwie najwybitniejszą zdolnością na całym obszarze Księstwa, ale umysł to nieco ciasny, o ściśle prowincyonalnym zakroju, nie ogarniający szerszych dziedzin kultury narodowéj i całego mechanizmu życia społecznego. Pierwszorzędny talent agitacyjny, żelazna wola i energia, zręczny i zuchwały szermierz, natura bezwzględna, pozbawiona skłonności kompromisowych, oschła i trzeźwa, umysłowość ograniczona ciasną obręczą stosunków lokalnych—oto redaktor „Orędownika”. Mógł ten publicysta doskonały stworzyć inicyatywę ruchu, mógł zbudować pierwsze formy organizacyi, lecz do wielkiego odrodzenia duszy zbiorowéj, pogłębienia i rozszerzenia programu, przejęcia nie tysięcy ale milionów ludu ideą emancypacyi demokratycznéj i samowiedzą przewagi swojéj,—tam siła Szymańskiego nie sięga, tam inne, bujniejsze umysły ruchem ludowym pokierować muszą.

Początki jednak są głównie jego zasługą, bo chociaż twierdzenie, że ruch ludowy jest produktem agitacyi sztucznéj i nie stoi na żywotności idei swojéj lecz na barkach ambitnéj jednostki, należy do płytkich anegdot, kolportowanych w prasie starego obozu, to przecież trudno zaprzeczyć, że Szymański pierwszy uświadomił półsenne dążenia, zbudził opozycyę drzémiącą w tłumach szerokich, ułożył program, założył stronnictwo Oczywiście wszystko to dopiéro niepewne błyski przedświtu i konwulsyjne drgnienia porodu.

Za hasłem „Orędownika“ tysiące ludu poznańskiego stanęły w poprzek dyplomacyi dworskiéj, druzgocąc tu i owdzie karby życia parlamentarnego, gdzie w granicach prawa zwyciężyć nie mogły. Zrozumiał Szymański, że pierwsze klęski mogą onieśmielić nowozaciężnych szermierzy i dlatego nie dając im zwycięstwa, dał im niebezpieczną iluzyę zwycięstwa. Jego osławiona dewiza „Rozbijajcie zebrania!“ schlebiając nizkim instynktom tłumu, podziałała jak blekot, szał w sobie kryjący. Lud stawał na sali zgromadzeń, a gdy nie mógł przegłosować, starał się zakrzyczéć przeciwników, paraliżując obrady i zniewalając komisarzy policyjnych do rozwiązywania zebrań przedwyborczych lub sprawozdawczych. Radykalny ten teroryzm okazał się obosieczną bronią. Upajał on tłumy, lecz odstręczał rozmiłowaną w formach parlamentarnych inteligencyę demokratyczną od „Orędownika“, protegującego ochlokratyczne zakusy. Z drugiéj strony jednak, stronnictwo dworskie czyli partya polsko-pruskiéj ugody, opanowawszy komitety wyborcze, posługiwała się taką metodą bojową, która obracając się w pozornie legalnych granicach, osłaniała w rzeczy

saméj pozorami prawa rafinowaną niesprawiedliwość. Nie mówię już o wyzyskiwaniu ambony dla zabicia ruchu ludowego, nie mówię o bojkotowaniu kupców i przemysłowców popierających kierunek „Orędownika“, lecz zwracam tylko uwagę na takie środeczki represyjne, jak wyznaczenie terminu zgromadzeń o godz. 6 wieczorem, gdy rzemieślnicy i robotnicy pilnować muszą warsztatów, lub żądanie u drzwi wchodowych do sali wyborczéj uciążliwych legitymacyi i ćwierć marki wstępnego od każdéj osoby. To sztuczne ograniczanie swobód obywatelskich, scharakteryzowane w jaskrawych barwach w organach ruchu ludowego, rozdymało płomienie opozycyi w olbrzymi pożar nienawiści. Napróżno ostrzegał sympatyzujący z ruchem ludowym, lecz umiarkowany „Przegląd poznański“, przed podsycaniem namiętności; po jednéj i po drugiéj stronie rzucano paliwo w piece rozpalone i wreszcie stał się fakt niesłychany w ultrakatolickim Poznaniu, że na sejmiku relacyjnym podniosły się pięści przeciw jednemu z księży karcących tłumy wzburzone i przeciw ś. p. Franciszkowi Dobrowolskiemu, redaktorowi „Dziennika”, drażniącemu starczym uporem, mętną, tasiemcową i nudną retoryką, a przedewszystkiém tysiącem sztuczek złośliwych stronnictwo demokratyczne. Do jakiego stopnia geronci społeczeństwa, przyzwyczajeni do bezwzględnéj uległości wyborców i zwyczajowéj klaki, nie rozumieli psychologii i rozbudzenia tłumów, świadczy wymownie fakt, że jeden z posłów referujący o stanowisku Koła wobec projektu wojskowego, rzucił z estrady frazes drażniący: „Pilnujcie warsztatów a nam zostawcie politykę.“ Krzyk oburzenia był naturalną odpowiedzią na głos absolutyzmu poselskiego.

Redakcya „Orędownika“ wyzyskiwała z demoniczną rafineryą każdą niezręczność dworsko-klerykalnéj partyi, a gdy posłowie polscy głosami swemi zdobyli dla rządu nowe podatki na marynarkę i wojsko, zyskali wodzowie demokracyi jedno z najskuteczniejszych haseł agitacyjnych, zyskali apel do żołądka ludu. Zamiast „dworactwo“, wołano: „chléb“, zamiast niejasnych dźwięków politycznych, rzucano w tłumy popularne, zrozumiałe dla wszystkich pojęcia ekonomiczne. Stało się tu coś podobnego jak w ruchu ludowym Górnego Śląska. Tam różnice narodowe są równocześnie różnicami ekonomicznéj natury, bo gdy lud jest polskim, a przedstawiciele kapitału i biurokracya czysto niemiecką rzeszą, więc w opozycyi narodowéj tkwi równocześnie protest społeczny i ekonomiczny, a kto wié, czy ten właśnie motyw ruchu nie jest silniejszym od pierwszego. *Mutatis mutandis* rozegrał się w Poznańskiém pokrewny proces. W walce ruchu ludowego przeciw stronnictwu dworskiemu przemówiła silnie, obok kwestyi politycznéj, kwestya żołądkowa, a wskutek tego antagonizmy tak się za-

ostrzyły, przynajmniéj w samym Poznaniu, że w chwili wyborów nastąpiło zerwanie solidarności. Obok komitetu miejskiego powstał secesyjny komitet ruchu ludowego i obok kandydatów niemieckich stanęło dwóch przeciwnych sobie kandydatów polskich do wyborczego rekordu. To zdeptanie doniosłéj zasady życia narodowego sprowadziło na głowę „Orędownika" najcięższe zarzuty. Wyraz „solidarność" stał się ulubionym *cheval de bataille* w obozie „Dziennika" i „Kuryera", lubo ludzie obdarzeni dobrą pamięcią przypominali sobie dokładnie, że przed 25 laty, gdy partya liberalna i ultramontańska bój z sobą toczyły, właśnie stronnicy „Kuryera" świecili pierwszym przykładem zerwania solidarności, zalecając secesyę jako święty obowiązek prawego katolicyzmu. Etyka w polityce? Nie chcemy zabarwiać słów naszych ironią, ale rozpatrując zasady i hasła w zapasach partyjnych, przypomina się zaiste słowo Juvenala: *Difficile est satiram non scribere.* „Orędownik" zerwał solidarność, lecz potępiali go najostrzéj ci właśnie, którzy nie wahali się apostołować téj saméj metody walki, gdy w interesie własnego stronnictwa solidarność stawała się niewygodną. Nie uniewinniając zresztą w zasadzie taktyki ruchu ludowego, nadmieniamy tu mimochodem, że dr. Szymański zerwanie solidarności tam tylko zalecił, gdzie liczebna przewaga Polaków nad żywiołem niemieckim zapewniała w każdym razie polskiemu kandydatowi zwycięstwo. Oczywiście przykład kuszący mógł zgubne wydać owoce, ale był to krok rozpaczliwy, podyktowany goryczą momentu i może nawet tém milczącém przeświadczeniem, że lepiéj stracić ten lub ów mandat poselski, niż głosami ludu zdobywać nowych przedstawicieli iluzyi dworskich.

W chwili obecnéj przycichły gwary bojowe, — dwa komitety poznańskie załatwiają drobniejsze sprawy polityczne (np. wybory do rady miejskiéj) w drodze kompromisowéj, — ruch ludowy oblicza siły swoje i rozszerza organizacyę. Dotychczas ruch ten miał przeważnie charakter lokalny. W Poznaniu powstał, w Poznaniu staczał najwalniejsze bitwy, w Poznaniu tylko występuje jako cyfra poważna, i lubo faktycznych zwycięstw odniósł bardzo mało, zastanowił siłą swoją przeciwników. Po za obrębem stolicy tylko Inowrocław, Bydgoszcz, Śrem, Jarocin, Pleszew i Ostrowo ujawniły kilkakrotnie wyraźniejsze drgnienia ruchu ludowego i prawdopodobnie przy najbliższych wyborach energiczniéj przemówią głosem opozycyi. Lud wiejski natomiast nie zdradził dotychczas nigdzie samodzielnéj myśli politycznéj, chyba tylko w podmiejskich wioskach Poznania, Inowrocławia i Bydgoszczy, dokąd agitacya mieszczańska z łatwością dotarła. Przyczyn tego objawu szukać należy przedewszystkiém w bezwzględnéj uległości ludu

wiejskiego w Poznańskiém dla duchowieństwa i dworu, w jego naturze flegmatycznéj i bezwraźliwéj, oraz we wpływie konserwatywnych pisemek ludowych mianowicie „Wielkopolanina“ i „Dziennika Kujawskiego“, rozsianych gęsto przez księży i obywatelstwo. Jednym z najcięższych hamulców ruchu ludowego jest właśnie mała ilość hołdujących zasadom jego czasopism popularnych. Oprócz „Orędownika“, którego cena przewyższa dwukrotnie cenę „Wielkopolanina“, stanęły pod sztandarami ruchu ludowego jedynie „Postęp“ antysemicki, zgaszona już dzisiaj inowrocławska „Pochodnia“ i dwie odbitki „Orędownika“ „Głos ludu“ i „Gazeta narodowa“ [1]). Pewne sympatye dla ruchu ludowego okazuje także „Gazeta Ostrowska“, „Gazeta Grudziądzka“ i upadający coraz więcéj „Goniec Wielkopolski“, lubo wszystkie te trzy czasopisma, lękają się przemówić wyraźnie, a ostatni mianowicie z względów spekulacyjnych wyklina od czasu do czasu z wielkim hałasem „Orędownika“ i jego agitacyę. Śmiało po stronie ewolucyi demokratycznéj stawał natomiast w trzyletniém istnieniu swojém zwinięty z końcem ubiegłego roku polityczno-literacki tygodnik „Przegląd Poznański“. Inteligencya grupująca się około tego czasopisma popierała przy każdéj sposobności dążenia ruchu ludowego a zwalczała tylko jednostronność „Orędownika“, rozmiłowanego tak bałwochwalczo w ciasno pojętym programie pracy organicznéj, że każdy żywszy przejaw myśli narodowéj, przekraczający granice kwestyi żołądkowych, wydawał mu się „szlacheckim frazesem“ i chorągiewkową tromtadracyą. Dla rozszerzenia ruchu ludowego i wprowadzenia doń światlejszych żywiołów, marzyła nawet grupa „Przeglądowa“ o stworzeniu wielkiéj ligi demokratycznej pod kierunkiem inteligencyi,—skończyło się jednak na seryi artykułów programowych i uniesieniach chwilowych. „Przegląd“ umarł a kto wié, czy spełni się jego zapowiédź pożegnalna, że zmartwychstanie niebawem w formie wielkiego pisma codziennego. Ogólne finansowe wyczerpanie Księstwa paraliżuje najlepsze zamiary, a brak entuzyazmu trwałego i energii ideowéj przylgnęły jak piętno fatalne do młodszych żywiołów postępowéj inteligencyi. Najdzielniejsze umysły Księstwa stanęły jawnie lub skrycie pod sztandarami „Przeglądu“, najgorętsze serca niosły mu moralną i materyalną pomoc, wszystko to jednak kryło w swych duszach chorobę wieku: po chwilowych porywach omdle-

---

1) „Głos ludu“ wychodzi w Poznaniu 3 razy na tydzień i zawiera same odbitki z „Orędownika“. „Gazeta Narodowa“ wychodzi w Bydgoszczy codziennie i oprócz odbitek z „Orędownika“ podaje na 4-éj stronicy lokalne wiadomości bydgoskie.

nie, wyciąganie rąk do świtów słonecznych a potém drzémka bez końca, potęga słowa bez trwałéj potęgi czynu.

Mimo krótkiego istnienia jednak, oddał „Przegląd Poznański“ ruchowi ludowemu poważne usługi, pogłębiając i uzasadniając dążenia jego, torując mu drogę do podejrzliwéj i wykarmionéj staremi przesądami inteligencyi a przedewszystkiém ułatwiając trudne rozrachowanie z wpływami kościoła w sprawach publicznych i trudną reformę ustalonych pojęć w tém zagadnieniu spornem a drażliwem.

Liberalna epoka Księstwa przed i po wojnie francusko-niemieckiéj kres swój znalazła u progu walki „kulturnéj”. Gdy gromy Bismarckowskie uderzać zaczęły zarówno w narodowość, jak kościół katolicki, gdy głośne prawa majowe wkroczyły do kraju i każdy dwór szlachecki gościł w swych murach księży-banitów, gdy ks. arcypiskup Ledóchowski wstąpił na drogę krzyżową, wtedy to nastąpiło zawieszenie broni między ultramontańską a liberalną partyą. Gwary bojowe przycichły i powstał sojusz oparty na wspólném cierpieniu, które jak wiadomo skończyło się tryumfem kościoła. Z owych czasów walki „kulturnéj” pozostało społeczeństwu uczucien niezachwianéj łączności i jedności spraw katolicyzmu ze sprawami narodu, — uczucie psychologicznie zupełnie zrozumiałe, lecz nie oparte na rzeczywistéj sytuacyi politycznéj i rzeczywistym charakterze dwóch potęg społecznych. Dzieje i prosta logika przeczą takiemu pojmowaniu sprawy; dzieje mówią o kolizyach interesów politycznych narodu z jednéj, kościoła z drugiéj strony, logika uczy, że kościół jako instytucya międzynarodowa i jako hierarchia z niewygasłą pamięcią własnego państwa, z niewygasłém wspomnieniem średniowiecznego pryncypatu w Europie, z niewygasłą tęsknotą za dawnym ogromem przywilejów swoich, musi miéć własny zakres dążeń i celów. Około r. 1870 kwestya ta była przedmiotem walk zaciętych w społeczeństwie poznańskiém i pozostawiła w spuściźnie sporo polemik dziennikarskich i sporo broszurowych publikacyi. Nie uderzali wolnomyśliciele ówcześni — z małemi wyjątkami — w filozoficzną istotę religii, lecz rzucali światło krytyki na rolę kościoła w polityce krajowéj; wiara w obozie narodowców była równie szczerą i głęboką, jak w obozie ultramontanów, tylko pierwszym zdawała się bezwzględna jedność interesów kościelnych i narodowych niebezpieczną iluzyą, a opanowanie steru spraw publicznych przez duchowieństwo dobrodziejstwem elastyczném. To trzeźwe pojmowanie stosunków mgłą zapłynęło w czasie walki „kulturnéj”, z któréj kościół wyszedł z aureolą męczeństwa, ukochany już nietylko przez wrodzoną społeczeństwu wiarę, lecz ukochany za krzyż swój i ciernie.

Duchowieństwo, oparte na tém bezgranicznem przywiązaniu i ufności narodu zdobywa wkrótce stanowisko królujące na ziemi poznańskiéj, a związane z ludem węzłami krwi, pamięcią bólów przebytych, pamięcią ofiar poniesionych przez kraj dla dobra kościoła, pamięcią poświęceń szlachty, mieszczaństwa i chłopów, występuje zrazu jako energiczny czynnik w życiu publicznem, rozwija dodatnią działalność w stowarzyszeniach, czytelniach i piśmiennictwie ludowém, manifestuje obywatelskość swoją na wiecach, obchodach, w szkołach ludowych i w izbach prawodawczych. W takich warunkach dawniejsze liberalne odcienie prasy miejscowéj giną zupełnie, społeczeństwo zrasta szczelnie z kościołem i obdarza go w sprawach publicznych dziecięcą ufnością, a surowy katolicyzm przenika wszystkie stosunki i wyciska znamię swoje na całém życiu społecznem i towarzyskiém, na zwyczajach, polityce, literaturze i dziennikarstwie.

Z biegiem lat jednak polityka kościelna, ujęta w kluby dyplomacyi berlińskiéj, uległa zmianom charakterystycznym. Wstąpienie na tron arcybiskupi ks. prałata Stablewskiego powitano w społeczeństwie poznańskiém jako wielkie objawienie „nowych horyzontów“, łącząc z pierwocinami ery po-Dinderowskiéj rój egzaltowanych domysłów i złudzeń. Już wonczas jednak w kołach parlamentarnych, a mianowicie wśród przywódców stronnictwa centrum, utrzymywała się pogłoska, że Watykan okupił nominacyę ks. arcybiskupa Stablewskiego pewnemi gwarancyami natury politycznéj, które z rozwoju polskości na kresach słowiańskich wyłączą wpływy kościelne, a raczéj skierują całą działalność duchowieństwa ku zabarwieniu życia publicznego ideą katolicyzmu bez wszelkich postronnych idei i dążeń. W pojęciu zatém partyi papieskiéj sejmu i parlamentu był to akt kompromisu dyplomatycznego między Watykanem i rządem, gwarantujący pierwszemu swobodny rozwój kościoła pod skrzydłami wpływowego, bo posiadającego bezwzględne zaufanie ludu kapłana, a zapewniający drugiemu pewne hamulce w działaniu politycznem duchowieństwa poznańskiego. Władze pruskie oczywiście nie bardzo ufały arcypasterzowi polskiemu, posiadającemu głośne tradycye narodowe i pamiętnemu z namiętnych swoich polemik na arenie parlamentarnéj. Roztoczono tedy najczujniejszą kontrolę nad sprawami „polityki tumskiéj“, i znaleziono zawsze jakieś Cezarowe *sic volo, sic jubeo*, ilekroć ta polityka przekraczała granice zawartego kompromisu. W poczuciu tego dozoru, połączonego prawdopodobnie z dyskretnem watykańskiém *memento*, atmosfera na wyżynach arcybiskupich stawała się coraz duszniejszą, témbardziéj, że starsze duchowieństwo, wychowane w innych prądach politycznych, nie umiało i nie chciało się nagiąć do kierunku nowego.

Rozpoczęły się zatém wyrazistsze programowe enuncyacye u góry, a ciche wrzenie u dołu. Korzystając z wizyt interwiewerów niemieckich, dla których otwarły się niezwykle gościnne podwoje „pałacu tumskiego“, zamanifestował przedewszystkiém ks. arcybiskup Stablewski solidarność swoją z centrum niemieckiém w poglądach na rozwój Górnego Śląska, a mianowicie na tak zwaną „agitacyę wielkopolską“. Nastąpił potém cały szereg słabszych i silniejszych „wskazówek“, dotyczących stosunków miejscowych, a mianowicie wiec katolicki w Poznaniu, akcentujący bardzo jaskrawo ideały dyplomacyi dworskiéj i protest przeciw stronnictwu ludowemu, daléj nowy ruch w stowarzyszeniach pod auspicyami duchowieństwa z wyłączeniem wyrazu „polski“ w tytułach korporacyi, wreszcie charakterystyczny interwiew arcybiskupa o zmianie dawnych barw prowincyonalnych na czarno białe kolory, oraz głośny list arcypasterski o wykładzie religii w szkołach ludowych i spornéj kwestyi językowéj w stosunku duchowieństwa do parafian i uczniów. Nowa ta fizyognomia polityki kościelnéj objawiała wyraźne ślady zakulisowych sprężyn rządowych i bluszczową naturę dyplomacyi tumskiéj.

W łonie samego duchowieństwa ujawniły się wskutek polityki ks. arcybiskupa Stablewskiego dwa charakterystyczne prądy: jeden—silniejszy, reprezentowany głównie przez młodsze duchowieństwo, walczące dopiéro o byt, stanowisko i karyerę, skupił się około tronu arcypasterskiego i posłuszny jego intencyom starał się nowy program wcielić w życie publiczne, okazując wszędzie niezwykłą ruchliwość i bezwzględny zelotyzm dla idei „czystego katolicyzmu“; drugi—opierający się głównie na duchowieństwie starszém, nie troszczył się bądź to wcale o wysokie wskazówki, bądź téż cofał się z areny politycznéj, nie mogąc pracować po dawnemu, a nie chcąc hołdować nowym kierunkom. Pierwszy oczywiście stąpa zwycięsko po kraju. Ma za sobą rząd, ma za sobą zwierzchników, ma bodźce osobistéj natury i protekcye „Kuryera Poznańskiego”, który postawił bez wszelkich zastrzeżeń programową zasadę, że „na wszystkie sprawy narodowe patrzéć należy wyłącznie przez pryzmat katolicyzmu.“

Zrozumiał ruch ludowy w Poznańskiém, że kościół ujęty w kleszcze rządowe znajduje się w położeniu takiém, które zmusza społeczeństwo do poważnych obliczeń politycznych i nasuwa pytanie, czy w obronie słowiańskich kresów przeciw germanizacyi, nie należy sprawy publicznéj wycofać z opieki kleru i naczelnéj komendy mniéj zależnym, świeckim żywiołom powierzyć. Palące to zagadnienie stało się przedmiotem niesłychanego rozgoryczenia w całém społeczeństwie. Obóz ultramontański zszeregowany około dwóch naczelnych organów

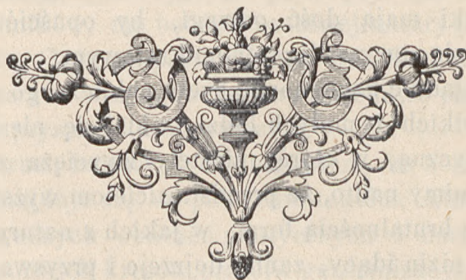
Księstwa i całego zastępu drobnych pisemek ludowych, uważał już samo postawienie kwestyi drażliwéj za bluźnierstwo, walkę z religią, liberalizm zdrożny i niewdzięczność wobec długoletnich dobroczyńców ludu. Zabrzmiała przestroga, że każda walka z dogmatem rozpoczyna się walką z wpływami jego przedstawicieli kościelnych, — pojawiło się w dziennikach mnóstwo artykułów, wyliczających materyalne i moralne ofiary duchowieństwa dla oświaty narodowéj, alarmem grała ambona, ścierały się prądy w dyskusyach prywatnych i życiu stowarzyszeń. W chwili obecnéj walka ta znajduje się w pełni rozwoju swego, a lubo po upadku „Przeglądu Poznańskiego" ruch ludowy stracił na linii bojowéj bardzo poważną redutę, to przecież zapoczątkowana opozycya wkorzeniła się już poniekąd w umysły społeczeństwa.

Oczywiście, walka z tradycyjnemi poglądami jest w Księstwie trudniejszą może niż gdziekolwiek, bo ćwierćwiekowe rządy ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, ćwierćwiekowy oportunizm „Dziennika Poznańskiego", ćwierćwiekowa era elastyczności ideowéj, nepotyzmu i ścierania na proch wszystkich wybitniejszych indywidualizmów, era drobnych ambicyi i postronnych względów, przyniosła społeczeństwu jeden wielki uszczerbek: brak charakterów politycznych. Ten miniony okres życia miał swoje niewątpliwe zalety, miał energiczną pracę nad oświatą ludu i budowanie wałów ochronnych przeciw inwazyi germanizmu, ale obniżył poziom moralny w inteligencyi, nauczył ludzi kurczyć się, i nie kult siły i odwagi, lecz kult giętkości asymilacyjnéj rozkrzewił bujnie i szeroko. Tu właśnie tkwi jedna z przyczyn, dla których ruch ludowy dotychczas nie utorował sobie drogi do szerszych warstw inteligencyi, dlaczego oprócz drobnych przemysłowców i robotników tylko mała grupa „Przeglądu" rozwijała sztandary jego. Poważny procent klas wyższych godzi się w duszy na program nowego stronnictwa, lecz zaledwie jednostki mają dość odwagi, by opuścić utarte deptaki ideowe i narazić się starym oligarchom krajowym.

Znając dokładnie fizyognomię życia publicznego w Poznańskiém i znając jego wielkich i małych ludzi, widzi się nieraz tę walkę idei z rachubą egoistyczną, w któréj niestety zwycięża zwykle ostatnia. A jeżeli uwzględnimy nadto, że przedstawicielom wyższéj kultury trudno się pogodzić z brutalnością form, w jakich z natury rzeczy objawia się każdy ruch z nizin idący, zanim dojrzeje i przyswoi sobie prawidła życia parlamentarnego, to zrozumiemy, czemu dotychczas, mimo ideowych zdobyczy ruchu ludowego, ruch sam, jako stronnictwo, liczy w szeregach swoich zaledwie drobny procent inteligencyi. Niedostatek ten dla rozwoju szerokich, uświadomionych prądów demokratycz-

nych w polityce i życiu społecznėm, staje się poważnym hamulcem. Cierpi na tém przedewszystkiém organizacya ruchu, cierpią aspiracye polityczne dla braku właściwych kandydatów do poselskiego mandatu i właściwych krzewicieli nowych poglądów we wszystkich zakresach życia publicznego, cierpi program nie dość pogłębiony, nie dość wykończony i nie dość szeroki, cierpią czasopisma demokratyczne pozbawione z małemi wyjątkami inteligentnych sił redakcyjnych, cierpią wreszcie drugorzędne dążenia ruchu, skierowane ku oczyszczeniu społeczeństwa z grasującego nepotyzmu i królestwa kliki, powierzającéj urzędy publiczne i stanowiska w pewnych instytucyach zbiorowych nie tyle ludziom zdolnym, ile związanym z koteryą węzłami przyjaźni, stosunków towarzyskich lub sympatyi politycznych. Mimo to ruch ludowy jest siłą poważną i nie dziś, to jutro ławą pójdzie po kraju, opiérając cały byt narodowy na świadomych własnéj przewagi masach ludowych, zdobywając dla swych społeczno-politycznych idei coraz szersze prawa obywatelstwa i strącając z wyżyn tę kierującą warstwę, która w chwilach własnéj agonii narzuciła społeczeństwu dążenia przeciwne samozachowawczym instynktom ludu. Życzyćby tylko wypadało, aby ruch ludowy w polityce parlamentarnéj, przyjął jaknajrychléj postulat t. zw. „inteligencyi demokratycznéj", skierowany ku zbliżeniu Koła polskiego do stronnictw lewicy, tych jedynych przedstawicieli dążeń humanitarnych, których rozwój rokuje kresowéj ludności słowiańskiéj stokroć większe korzyści, niż bałwochwalcze umizgi do partyi skrajno-zachowawczych.

Dr. Władysław Rabski.



BOLESŁAW PRUS O EGIPCIE.



„Faraon", powieść przez Bolesława Prusa, 3 tomy, str. 380, 475, 387. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897.

Ebers powieściami swemi spopularyzował Egipt starożytny w Europie. Pierwszy jego w tym rodzaju utwór: „Uarda" obudził zajęcie ogromne i nowością tematu i zajmującym sposobem opowiadania. To też, lubo dalsze nie dorównywały mu pod wielu względami, czytano je i tłómaczono. I u nas nie brak było przekładów takich.

Na oryginalne roztoczenie stosunków staroegipskich w formie powieściowéj, zdobył się u nas najprzód, o ile wiem, Wojciech hr. Dzieduszycki, który w długim zakręcie powróciwszy do formy tworzenia, uprawianéj przez siebie w latach młodzieńczych, napisał „Świętego ptaka" (Lwów, 1895, dwa tomy), przedstawiając czasy Ramzesa I i jego zawziętéj małżonki Ari-Hari, z uwydatnieniem losów pięknéj Hesz-Akery, córki jednego z panów egipskich i żydówki. Miłość Hesz-Akery i dzielnego wojownika Seti jest więzią sprzęgającą wszystkie części opowiadania, rozsnuwającego stosunki wewnętrzne Egiptu, usposobienie Żydów względem Egipcyan, przedsięwzięty, lecz niedokonany w zupełności bunt wojsk najemnych, pomiędzy którymi byli Grecy, przeciwko Faraonowi, i wiele innych zajmujących szczegółów.

Czy Prus czytał powieści Ebersa, czy znał „Świętego Ptaka"? nie wiemy: to tylko pewna, że, zabiérając się do swéj pracy, przestudyo-

wał dzieła Maspero, poświęcone starożytnościom egipskim, oraz teksty staro-egipskie, o ile w tłómaczeniu francuskiém były mu dostępne.

Rzucił tedy autor pod swą budowlę artystyczną granitową podwalinę z faktów niewątpliwych, ale samą budowlę wznosił po części tylko z faktów, w znaczniejszéj zaś mierze z wniosków logicznych, z domysłów i fantazyi.

Jako umysł szeroki, ogarniający całość stosunków społecznych, nie mógł się Prus zadowolić skrawkami tylko wiadomości, jakie nam o dawnych dziejach Egiptu przekazały pomniki różnego rodzaju, lecz starał się zbadać ustrój wewnętrzny państwa, zawarunkowany rodzajem gruntu, na którym się rozwinął, i rodzajem plemienia, które ustrój ów wytworzyło i wśród niego działało, zwrócił ku temu usiłowania swoje, by wszystkie składowe czynniki życia w starożytnym Egipcie jasno i wyraźnie stanęły przed oczyma wyobraźni czytelnika.

Opisuje tedy szczegółowo gatunek ziemi, zajętéj przez Egipcyan, jéj klimat, jéj urodzajność i znaczenie Nilu; a zarazem podnosi zdolności mieszkańców, co umieli skorzystać ze swego środowiska i wyzyskać je na rzecz rozwoju cywilizacyjnego.

Ponieważ w narodzie egipskim wyróżnił trzy pierwszorzędne siły, dokonywające téj pracy cywilizacyjnéj: kapłanów, reprezentujących myśl wykształconą, — faraonów, skupiających w swych ręku całą władzę wykonawczą — i lud, złożony z rolników i rzemieślników, spełniających to, co myśi nakreśliła, a co władza wykonać kazała; więc zobrazowaniu działania tych sił poświęcił Prus główną w swéj powieści uwagę.

Ale żaden naród nie jest odosobniony, otaczają go bliżsi lub dalsi sąsiedzi, w przyjaźni lub nieprzyjaźni z nim żyjący; co więcéj, do wnętrza narodu wciskają się obce pierwiastki, które źle lub dobrze wpływają na jego rozwój. Więc i te stosunki musiał Prus uwzględnić, mówiąc o zachowaniu się Egipcyan względem Asyryjczyków, Libijczyków, Żydów i Fenicyan.

Łatwo zrozumiéć, że autor, który sobie nakréślił plan tak rozległy i tak poważny, nie mógł się dać uwiéść chęci napisania zajmującego tylko romansu, gdzieby tkliwe lub rozpustne motywy główną odgrywały rolę, pociągając ku sobie wyobraźnię lub zmysły, nie mógł się téż pogrążyć w jakimś jednym efektownym epizodzie życia, coby rozciekawiał żądną wrażeń i wzruszeń publiczność; lecz zdecydować się musiał na rozwinięcie całego szeregu obrazów, uprzytomniających czytelnikowi główne zarysy ustroju państwowego z jednéj, a zasadnicze usposobienia i namiętności ludzkie z drugiéj strony.

Mniejsza o to, czy ten lub ów obraz przypadnie do smaku tym, co w powieści szukają zadowolenia silnéj sensacyi; mniejsza o to, że czytelniczkom przedstawienie miłości wyda się zbyt mało subtelném, a nawet tu i owdzie brutalném; mniejsza o to wreszcie, że miłość nie będzie stanowiła głównego tematu, pod który podporządkowują się wszystkie inne; autorowi chodziło o dotarcie do jądra prawdy i do zobrazowania stosunków tak, iżby one przedstawiały się jako wiarogodne, odpowiednie stanowi cywilizacyi i usposobieniu plemienia, którego dziejami się zajmował; względy więc takie, jak powyższe, nie mogły wpływać na jego pomysły.

Chcąc atoli pokazać różne strony życia staro-egipskiego, a mimo to utworzyć jednolitą całość artystyczną, potrzeba było obmyśléć jakąś więź, łączącą wszystkie cząstki obrabianego tematu i nadającą im znaczenie członków jeno w organizmie powieściowym. Więź tę odnalazł Prus w samych dziejach Egiptu; jest nią walka władzy świeckiéj z władzą duchowną, faraonów wojowników z kapłanami, którzy wzrósłszy w potęgę przy pomocy religii i nauki, zapragnęli panować w kraju swym wszechwładnie. Walka ta ponawiała się parokrotnie, ale kapłani po krótkotrwałéj porażce otrzymywali zwycięstwo. Właśnie jeden z takich epizodów wybrał Prus dla nadania obrazom swoim spójni artystycznéj.

Ramzes XII był faraonem i arcykapłanem równocześnie; rządził państwem i znał tajemnice świątyń. Niegdyś przedsiębierczy i wojowniczy, w ostatnich dziesięciu latach życia stał się właściwie figurantem tylko, gdyż sprawami państwa kierował w istocie arcykapłan Ammona, minister wojny, Herhor. Kierował jednakże tak dyskretnie, iż napozór wydawało się, że Ramzes XII nietylko siedzi na tronie, nietylko wié wszystko, co się w jego kraju dzieje, lecz także jest głową, z któréj wychodzą myśli ogarniające całość interesów państwowych, i ręką, która dosięga wszystkich poddanych. W całém jego zachowaniu się widać było niczém niezmącony spokój, jaki daje pewność, że się rzeczy układają według woli naszéj; z twarzy jego nie schodził uśmiéch zagadkowy mędrca spoglądającego pobłażliwie na smutki i radości, na zabiegi, kłopoty, na prace i uczty mrowia ludzkiego.

Świetném panowanie jego nazwać się nie mogło; narody, które niegdyś haracz Egiptowi płaciły, czasami tylko przypominały sobie, że należy ukazać mu przynajmniéj cień hołdu, raczéj z grzeczności, aniżeli z obawy. Dochody państwa uszczupliły się ogromnie, wojsko zmarniało i składało się w znacznéj części z najemników; ludność się zmniejszyła; biéda coraz częściéj i natarczywiéj zaglądała do chat wieśniaków i rzemieślników; cudzoziemcy (Żydzi, Fenicyanie) coraz

tłumniéj napływali do Egiptu i w swych rękuześrodkowywali handel, łupiąc i wyzyskując zarówno wielkich jak małych, bo za długi coraz więcéj brali zyskownych dzierżaw.

I w życiu domowém nie był faraon szczęśliwym. Jeden z jego synów, od czasu pełnoletności nie mógł chodzić; drugi przeciął sobie żyły i umarł, a trzeci „przez zatrute wino, którego nie chciał się wyrzec, wpadł w szaleństwo i, mniemając, że jest małpą, całe dni przepędzał na drzewach.”

A jednak Ramzes XII był spokojny; z oblicza jego nie schodziła nigdy pogoda; regularnie spełniał swe zwykłe czynności: składanie ofiar bogom, słuchanie raportów, objazdy kraju, jakby się wszystko najpomyślniéj składało i błogi stan zapewniało. Pragnął bądź co bądź utrzymać w Egipcie spokój i żadnéj z nikim nie prowadzić wojny, gdyż na lat 10 horoskopy wskazywały dla państwa jego same niepomyślności w razie walki orężnéj. Wolał więc zawrzéć układ z Asyryą, aniżeli się narażać na klęskę niewątpliwą.

A co do stosunków rodzinnych, to pocieszał się czwartym synem, również jak on Ramzesem, urodzonym z królowéj Nikotrys, córki arcykapłana Amenhotepa. Wedle początkowéj charakterystyki, podanéj przez powieściopisarza, był on „silny jak wół Apis, odważny jak lew i mądry jak kapłani.” Dwa pierwsze epitety uwydatniły się rzeczywiście w postępowaniu młodzieńca, lecz trzeci został późniéj przez samego Prusa znacznie zmodyfikowany, gdyż się okazało, że jego nauka mądrości zatrzymała się na niższych szczeblach wiedzy kapłańskiéj. Natomiast nie ma w téj pierwotnéj charakterystyce wymienionych dwu wad nadzwyczaj ważnych, które na dalsze losy królewicza wpłynęły stanowczo, a zarazem fatalnie, mianowicie nie dowiadujemy się tu o jego popędliwości i lekkomyślności, nie ma również zaznaczonéj jednéj zalety, czyniącéj go wielce miłym i sympatycznym, t. j. szlachetnéj, humanitarnéj uczuciowości.

Szkoda, że autor nie przedstawił od samego zaraz początku charakteru swego bohatéra w całéj pełni: uniknąłby w ten sposób pewnych nieporozumień z czytelnikiem. Jeżeli zaś chciał nie w określeniach, lecz w czynach, w zachowaniu się pokazać królewicza, to niepotrzebnie umieścił na czele owe trzy epitety, uprzedzające poznanie młodzieńca przez czytelników.

Zrobiwszy to zastrzeżenie, przechodzę do dalszych dziejów Ramzesa, który został właśnie ogłoszony następcą tronu *(erpatre)*, jako pełnoletni, i prosił ojca o powierzenie sobie dowództwa korpusu Menfi. Po naradzie z dostojnikami państwa, faraon rozkazał, by erpatre zebrał 10-tysięczny korpus, przygotowany całkowicie do boju i wyruszył

przeciwko armii, zostającéj pod dowództwem doświadczonego i dzielnego generała Nitagera, strzegącego Egiptu od najazdu ludów azyatyckich. Oba wojska zetknąć się miały w okolicach miasta Pi-Bailos, ale na pustyni, ażeby pracowity rolnik nie doznał przeszkód w zajęciach swoich. Erpatre zwycięży, jeżeli nie da się zaskoczyć Nitagerowi, a więc jeżeli zgromadzi wszystkie pułki i zdąży ustawić w szyku bojowym na spotkanie przeciwnika.

Podczas téj wyprawy towarzyszył następcy tronu minister wojny, arcykapłan Herhor, mający zdać sprawę przed faraonem z uzdolnienia i zachowania się jego syna. Erpatre wykazał w niéj swoje zalety i swoje wady. Sam on nie lubił miękkości i wygód, zadawalniał się strawą prostą i twardém łożem, wstawał rano i w ucztach nie brał udziału; ale za to dwór jego, złożony z elegantów, prowadzących ze sobą kobiéty w lektykach, opóźniał się w pochodach i sprawiał dużo zamieszania. Następca tronu nie karcił tych wybryków, tłómacząc się przed sobą, że nie w jego ręku naczelna władza nad wojskiem spoczywa, lecz w ręku Herhora. Nie miał w tém, jak się zdaje, słuszności; Herhor raczéj dla nadzoru, niż dla kierownictwa, był mu dodany; jako dowódca korpusu, powinien był następca tronu mieć oko na wszystko; brak atoli doświadczenia, młodzieńcza krewkość uniewinniały do pewnego stopnia nieoględne jego postępowanie.

Lecz do nieoględności przyłączyła się niebawem lekkomyślność. Spotkawszy podczas pochodu piękną żydówkę Sarę, zatrzymał się przy niéj na rozmowę; podobała mu się wielce, postanowił więc wziąć ją do siebie. Sara poczuła również skłonność do pięknego młodzieńca, a gdy się dowiedziała o wysokiém jego dostojeństwie, ujęta jego uprzejmością i obiecanemi darami, przystała na propozycyę.

Tymczasem opuszczone przez następcę wojsko pomaszerowało daléj i — spotkało armię Nitagera. Odezwały się trąby alarmowe. Erpatre wraz z swoim przyjacielem Tutmozysem podążył co prędzéj na stanowisko, a widząc się otoczonym, nie okazał wielkiego zakłopotania, lecz dobywszy miecza chciał sobie jak lew utorować drogę poprzez ściśnięte szeregi. Doświadczony wojownik uznał w tym szalonym postępku dowód bohatérstwa nieustraszonego i nazwał go zwycięscą. Na uwagę Herhora, powiedział w obronie następcy tronu: „czyż nie wystarcza ci, że pokazał lwie pazury, jak przystało na dziecię faraonów?”

W drodze powrotnéj ujrzał chłopa, który się powiesił dlatego, że mu wojsko zniszczyło jego dziesięcioletnią pracę obróconą na kopanie kanału celem uzyskania wolności. Serce jego szlachetne wzruszyło się, „przed oczyma wciąż stał mu obraz samobójcy”, a w duszy nurtowała

myśl, iż „temu pogardzonemu niewolnikowi stała się wielka krzywda, tak niezmierna krzywda, że nad nią mógł zastanawiać się nawet on, syn i następca faraonów."

To pierwsze ziarenko spółczucia dla niedoli ludu, które miało z czasem zakiełkować i rozwinąć się bujnie, lecz plonu nie wydało z powodu lekkomyślności młodego Ramzesa.

Lekkomyślność ta przejawiła się niebawem w innéj jeszcze dziedzinie, w sprawach finansowych. Upojony zwycięstwem, erpatre obdarzył hojnie swoich żołnierzy, ofiarował folwark Sarze, ale nie pomyślał, skąd weźmie pieniędzy. Skarb był wyczerpany; syn udał się do matki, ale i ta mu oświadczyła, że niczém obdarzyć go nie może. Trzeba się było uciec do Fenicyan i pożyczyć od nich dla wywiązania się ze swoich obietnic. Bankier fenicki, Dagon, wybornie odmalowany, pieniędzy nie odmówił, ale wziął parę folwarków następcy tronu w dzierżawę.

Za błędy popełnione nie otrzymał Ramzes dowództwa korpusu Menfi, a w nagrodę waleczności dostał dziesięć talentów, wielki łańcuch i dwa pułki greckie, z któremi miał odbywać ćwiczenia.

Boleśnie odczuł upokorzenie swoje następca tronu, a wiedząc, że Herhor był sprawcą tegoż, umocnił się w swojéj względem niego niechęci, jak wogóle względem stanu kapłańskiego. Zaczął się głośno odgrażać wobec swoich młodych przyjaciół, jak wobec ojca i matki. Skarcony przez faraona, usunął się od dworu, zajął się ćwiczeniem greckich pułków i swoją miłością dla Sary.

Jeżeli mówię o miłości, to nie mam na myśli miłości według naszych pojęć dzisiejszych. Prus w téj mierze był bardzo oględnym. Sceny sentymentalnéj, lub głęboko uczuciowéj nie nakreślił nigdzie. Zaszkodził tém sobie zapewne w oczach czytelniczek, ale pozyskał uznanie tych, którzy pamiętają, że nie wszędzie i niezawsze bywało tak, jak jest dzisiaj. Ramzes lubił Sarę, przywiązał się do niéj; chętnie z nią przebywał, ale rozmów miłosnych z nią nie prowadził, pieścił ją jeno. Sara była do niego przywiązana nietylko jak niewolnica, lecz z głębi serca; dla siebie nie pragnęła bogactw i nie wyciągała ich od następcy tronu; dbała wszakże o swoje plemię, to też folwark jéj darowany zaludnił się niebawem żydami; służba cała składała się z żydów, a krewniacy wszelkiego rodzaju rozsiedli się tu z żonami i dziećmi. Niecierpliwiło to niekiedy Ramzesa, lecz ponieważ nad niczém się długo nie zastanawiał, rychło przemijała jego niechęć.

Nudził się nieraz na folwarku Sary, więc przedsiębrał wycieczki w okolice, a wtedy miał sposobność widzenia scen przykrych i bolesnych wśród ludu morzonego i katowanego za nieopłacone jakoby po-

datki. Raz rozpędził napastników i pobił ich; a wówczas wśród ludu pojawiły się objawy uwielbienia dla młodego następcy. Obiecywano sobie, że gdy on zostanie faraonem, umniejszy się ich praca, znikną podatki, zapanuje dobrobyt. W pułkach greckich, próżnujących i pijących, śpiewano pieśni na cześć hojnego następcy tronu. Gdy przyjaciel Ramzesa, Tutmozys, zwrócił jego uwagę, iż takie pieśni i pogawędki mogły być uważane za rzecz uwłaczającą powadze faraona, przyznał mu następca tronu słuszność ich i surowo zakazał podwładnym odzywać się z czémkolwiek, co mogło dotknąć jego ojca; miał on bowiem wszczepioną głęboko w serce i miłość i cześć dla władcy Egiptu. Zrzekł się wreszcie dowództwa pułków greck ch.

Ten jego postępek zaliczyła rada królewska na karb jego skruchy, faraon przywołał go przed swoje oblicze, oddał mu korpus Menfi i uczynił namiestnikiem dolnego Egiptu, polecając wywiedzieć się o przyczyny zmniejszenia się podatków, a więc ubożenia skarbu.

Rzucił się królewicz z zapałem do nowéj pracy, obiecując sobie, że rychło złemu zaradzi, poznawszy przyczyny nieszczęść. Tu atoli na każdym kroku przekonywać się począł, jak trudną jest sztuka rządzenia i jak nie łatwo dotrzéć do istotnego źródła nieszczęść. Z początku chciał sam wszystko wiedziéć i wszystkich skarg i próśb wysłuchać; dostęp do siebie uczynił zupełnie swobodnym; niebawem wszakże musiał kazać zamknąć drzwi; tyle bowiem zgłaszało się ludzi i z takiemi projektami lub wymaganiami, że jednemu człowiekowi, choćby najgienialniejszemu, niepodobna było rozpoznać wartości i doniosłości wszystkiego, ani też najbogatszy nie potrafiłby zaspokoić tak licznych próśb i żądań.

Poszukiwanie przyczyn zubożenia kraju i skarbu również było długo bezowocném. Rządcy prowincyi kazali mu odczytywać bardzo obszerne raporty, zapełnione szeregami cyfr, które Ramzesa nudziły i niczego mu nie objaśniały, albo też składali winę na boga złego Seta, nieprzyjaciela Ozyrysa, patrona faraonów.

Zdaje mi się, że autor w tym całym ustępie, opisującym objazdy Ramzesa po dolnym Egipcie, zanadto upośledził bystrość umysłu bohatéra swego. Czytelnik zadaje sobie ciągle pytanie: czegoż się uczył następca tronu, jeżeli nie rozumié raportów, które zdają się rozumiéć nomarchowie? Nie wystarcza tu objaśnienie, udzielone przez kapłanów, że są pewne prawdy znane Ramzesowi, jako następcy tronu, a są inne, które pozna dopiéro jako faraon. Nie potrzeba zdaje się, zbyt wielkiéj mądrości i przenikliwości na to, ażeby poznać ucisk ludu, stopniowe zmniejszanie się jego liczby, zdzierstwa nomarchów lub dzierżawców. Może ta tępość umysłowa czy też zaślepienie nie wy-

pływały z natury umysłowości następcy tronu, ale były potrzebne autorowi do wykazania znaczenia kapłanów. Bo Ramzes, znużony poszukiwaniami bez wyników pożądanych, musiał się w końcu ugiąć przed kapłanami, i by przynieść ojcu odpowiedź na postawione przezeń pytania, podążyć w stroju pokutniczym do świątyni bogini Hatory, gdzie mu najmędrszy z kapłanów, a jego przyjaciel z powodu okazanego spółczucia dla ludu, obrazowo wyłożył przyczyny uszczuplenia się ziemi uprawianéj, siły roboczéj i podatkowéj, oraz powody zmniejszenia liczby wojska i wzrostu długów państwa. Pentuer dowodził, że wojny zewnętrzne więcéj przyniosły szkody niż korzyści, że utrata ludzi na wojnie zmniejszyła liczbę rąk do pracy i pogrążyła biédnych w nędzy, że Fenicyanie przez udzielanie pożyczek i wprowadzanie do kraju świecideł stali się pijawkami, wysysającemi krew z narodu.

W umyśle Ramzesa, który sam Fenicyanom wydzierżawił swoje majątki, który sam narobił już dużo długów, nauki Pentuera splątały się i pokrzyżowały. Przyjął on z nich jednę tylko jako niewątpliwą prawdę t. j. zmniejszenie się ludności i jéj zubożenie; ale co do środków zaradzenia złemu, do wprost przeciwnego przyszedł zdania: osądził, że tylko wojna zewnętrzna, wojna z Azyą może najprzód dostarczyć mnóstwa sił roboczych przez nabranie jeńców, a powtóre zapełnić skarb państwa złupionemi klejnotami i złotem.

Do takiego przyszedłszy przekonania, po opuszczeniu świątyni Hatory, nie tylko się przed mądrością kapłanów nie ukorzył, ale uznając zresztą Pentuera za rozumnego i zacnego człowieka, ugruntował się w swéj nienawiści względem kasty kapłańskiéj, zwłaszcza gdy coraz nowe znajdował dowody, iż w postępowaniu kapłanów fałsz i udanie wielką odgrywają rolę.

To téż gdy się ubocznie dowiedział, że kapłani zamierzyli przeprowadzić pokój z Assyryą za wydanie im Fenicyi na łup, postanowił próbować wszystkiego, coby zamiar ten udaremniło. Związał się tedy z Fenicyanami, a mianowicie z księciem Hiramem, który w sprawie ojczyzny swojéj przybył do Egiptu, i przez nich poznawał przebieg układów z Assyryą, trzymanych przed nim w tajemnicy. Do tém ściślejszego związku przyczyniło się pożądanie pięknéj kapłanki fenickiéj, Kamy, wytrawnéj kokietki, umiejącéj wyzyskiwać położenie w sposób sprytny a drażniący. Stosunek ten stał się dla niego zgubnym, chociaż posłużył do zamaskowania interesu, z jakim śledził działanie kapłanów egipskich. Zdawało się bowiem, że pochłonięty żądzą posiadania Kamy, oddawał się tylko miłostkom i hulankom, a o sprawach państwa zgoła nie myślał. Umiał téż istotnie z wielką zręcznością odgrywać rolę lekkiewicza, którego interesa polityczne zgoła nie obcho-

dzą. Kapłani wszakże byli czujni i ostrożni, a chcąc odwrócić uwagę następcy od spraw assyryjskich, wywołali powstanie libijczyków. Ramzes wysłany został, by bunt ten uśmierzył. Sądzono, że wojna pociągnie się długo, a tymczasem ukończą się układy z Assyryą. Następca tronu znalazłszy się w swoim żywiole, okazał dzielność nadzwyczajną; pokonał Libijczyków i wziął syna ich wodza w niewolę.

Ażeby zatruć mu chwilę upojenia tryumfem, kapłani odłożyli na nią właśnie wiadomość, która go musiała przygnębić. Dla przypodobania się Kamie, usunął Ramzes Sarę z zajmowanego dotąd gmachu i przeznaczył jéj miejsce podrzędne. Sara miała syna. Kama nienawidziła ją z całéj duszy. Wysłała więc swego wielbiciela Greka Likona, podobnego jak dwie krople wody do Ramzesa, by dziecko zamordował. Sara wzięła Likona za Ramzesa i lubo z rozpaczą w sercu, nie śmiała bronić syna przed ojcem. Dała tém dowód największéj miłości swojéj, bo stłumiła w sobie przywiązanie macierzyńskie. A podczas śledztwa sama się o zabójstwo oskarżyła. Schwytanie Likona uwolniło ją od więzienia, ale biedaczka nie przeżyła swych nieszczęść.

Otóż te smutne dzieje opowiedziano Ramzesowi zaraz po odniesieniu zwycięstwa. Nie mogły one oczywiście przyczynić się do wzmożenia tryumfalnego nastroju. W smutku więc i zamyśleniu odbywał swą podróż powrotną następca tronu. Przykro, niemal pesymistycznie go nastroił widok olbrzymiego sfinksa, który w jego wyobrażeniu był symbolem świętego stanu kapłańskiego, mającego „bardzo wielką i mądrą głowę, a pod nią lwie pazury“ (II, 469). „Wstrętny posąg — mówił o nim młodzieniec — pełen dwuznaczności, który zdaje się pysznić tém, że wyglądamy przy nim jak szarańcza. Ani to człowiek, ani zwierzę, ani skała. Więc czémże on jest? jakie ma znaczenie? Albo ten jego uśmiech... Podziwiasz wiecznotrwałość piramid — on się uśmiecha; idziesz porozmawiać z grobami—on także się uśmiecha. Czy zazielenią się pola Egiptu, czy Tyfon rozpuści swoje ogniste rumaki, czy niewolnik szuka wolności w pustyni, czy Ramzes Wielki spędza zwyciężone narody — on dla wszystkich ma jeden i ten sam martwy uśmiech. Dziewiętnaście królewskich dynastyi minęło jak cienie, ale on uśmiechał się i uśmiechałby się nawet wówczas, gdyby Nil wysechł, a Egipt zginął pod piaskami. Nie jestże to potwór, tém okropniejszy, że ma łagodną twarz ludzką? Sam wiekuisty, nigdy nie zaznał żalu nad znikomością świata, przepełnionego nędzami... Niczém się nie wzrusza. Nie jest litością, ale olbrzymiem szyderstwem i strachem. Gdybym wiedział, że w jego ustach kryje się wróżba dla mnie, albo sposób podźwignięcia państwa, jeszcze nie śmiałbym go zapytać. Zda-

je mi się, że usłyszałbym jakąś straszną rzecz, wypowiedzianą z nieubłaganym spokojem. On taki jest, ten utwór i obraz kapłanów. Gorszy od człowieka, bo ma lwi korpus; gorszy od zwierzęcia, bo ma ludzką głowę; gorszy od skały, bo kryje się w nim niepojęte życie".

Wśród takich rozmyślań otrzymuje Ramzes wiadomość, że ojciec jego nie żyje i że on został faraonem. Przyszła chwila do uporania się z tajemniczym sfinksem. Dotychczas prowadził z nim podjazdowe tylko utarczki, teraz rozpocznie się walka zażarta na śmierć i życie. W pierwszym dniu po objęciu rządów skarcił surowo Herhora za przywdzianie symbolu władzy królewskiéj, nie chciał przyjąć święceń kapłańskich, pragnąc pozostać wojownikiem, oddalił radę kapłanów, zniósł praktykowane na dworze obiaty dla przodków, dostające się licznemu zastępowi duchownych, drwił z głosów tajemniczo odzywających się w pałacu, otoczył się wojownikami, zapowiedział ulgi w podatkach oraz odpoczynek po pracy co dzień siódmy, jak było dawniéj, zamiast co dziesiąty, jak się działo za jego czasów.

Zachowanie się to młodego faraona, który jeszcze nie odbył koronacyi, gdyż mógł dokonać tego obrzędu dopiéro po pogrzebie ojca, co miało zabrać blizko trzy miesiące czasu, przejęło chwilową radością wojowników, rolników i rzemieślników, stających ochoczo po stronie nowego władcy przeciwko kapłanom, ale niebawem sprowadzić miało zamieszania i klęski. Młody zapaleniec, dorwawszy się do władcy, tak samo nie rachował się ze słowami i z pieniędzmi, jak po pamiętnych manewrach. Jakoś doświadczenia, rozmyślania i nauki Pentuera nie zdołały uczynić go rozważniejszym. Nie sądzę, ażeby to było trafnym i dobrze przez autora obmyślanym rysem charakteru Ramzesa. Na cóż mu kazał przez dwa tomy nabierać wiadomości o wielce złożonéj maszynie państwa, jeżeli w dzień zostania faraonem miał zostać zupełnie takim człowiekiem, jakim był w chwili, gdy go ogłoszono następcą tronu i gdy wracał ze szczęśliwie zakończonych manewrów? Ani jeden krok jego nie dowodzi, iżby upłynione miesiące w czémkolwiek zmodyfikowały jego poglądy, jego sposób zachowania się, jego wyobrażenia o układzie państwa. Tak samo jak poprzednio mniema, że słowo znaczy to samo co czyn; tak samo jak poprzednio, rzuca nieoględnie projekty zmian, nie zastanawiając się nad sposobami ich urzeczywistnienia, tak samo jak poprzednio jest lubieżnym — ma schadzki z żoną najlepszego swego, najwierniejszego przyjaciela i sługi, Tutmozysa; tak samo jak poprzednio szafuje pieniędzmi, chociaż skarb jest pusty, chociaż nie miał nawet czém opłacić pogrzebu ojca i musiał przyjąć upokarzającą go ofiarę kapłanów.

Może chciał powieściopisarz powiedzieć przez to, że upojenie się dojściem do władzy odebrało Ramzesowi trzeźwość sądu, jaką zdobyć przecie musiał przez ten przeciąg czasu, który upłynął od mianowania go erpatrem aż do objęcia tronu. Takie jednak przypuszczenie nie znajduje potwierdzenia w samym utworze. Zresztą upojenie się mogło trwać jakąś chwilę, ale nie być stanem przeciągającym się tygodnie i miesiące. Nie! mojém zdaniem, zaznaczony tu rys stanowi zasadniczy błąd w przeprowadzeniu powieściowém charakteru Ramzesa; czyni go niejasnym i niekonsekwentnym. Albo go nie należało obdarzać bystrością umysłu, albo téż wykazać, że bystrość ta rzeczywiście się na coś bohaterowi przydała.

Z porywczym, nieoględnym, lubieżnym faraonem walka nie przedstawiała dla kapłanów wielkiéj trudności. Ułatwienia walki nie można nazwać zaletą powieści. Lubimy, gdy ściérają się z sobą dwie mniéj więcéj równe potęgi. Ale człowiek taki, który nie tylko o zarządzie całego państwa, o środkach wykonania woli swojéj, o zasobach materyalnych nie miał należytego wyobrażenia i popełniał omyłkę za omyłką, lecz nadto nawet o swoje bezpieczeństwo osobiste nie zatroszczył się; nie mógł być poważnym wrogiem kapłanów. Wiedząc, że w ich ręku znajduje się Likon, tak łudząco do niego podobny, domyślając się, że nie bez przyczyny zatrzymali go u siebie, Ramzes ani razu po objęciu władzy nie wspomniał o tym sobowtórze, jakby to była rzecz podrzędnéj wagi, o którą nie ma co się kłopotać. Dziwne to zapomnienie musi być także zakarbowane na niekorzyść powieściopisarza, który chciał zachować w Likonie bardzo dogodne narzędzie do snucia wątku powieściowego.

Ramzes dla przeprowadzenia swoich planów brnął coraz bardziéj w długi i w coraz większą zależność od Fenicyan się oddawał. Ażeby oprócz pieniędzy fenickich, które miał dostać za pozwolenie przekopania kanału na międzymorzu Suez, mieć do rozporządzenia fundusze miejscowe, postanowił ich zaczerpnąć ze świętego skarbca narodowego, przechowywanego pod strażą kapłanów w sławnym Labiryncie. Chcąc się dobrać do tego skarbca, potrzeba było mieć jednomyślne zezwolenie przedstawicieli wszystkich stanów. Ramzes uzyskał znaczną większość głosów, ale jednomyślności nie osiągnął. Wówczas postanowił posiąść skarby podstępem i przemocą. Nastręczył mu się pewien kapłan, niezadowolony ze stanu kapłańskiego i obiecał wprowadzić do Labiryntu wojsko, ponieważ w świątyni swojéj odnalazł dokładny plan jego kryjówek, a z odmykaniem tajnych drzwi doskonale był obeznany. Rzeczywiście parokrotnie zwiedził Samentu Labirynt

i popsuł wszystkie niebezpieczne urządzenia, grożące śmiercią tym, coby zabieraniem skarbów się zajęli.

I tu się znowu nastręcza pytanie, kwestyonujące potrzebę opanowania Labiryntu siłą zbrojną. Jeżeli bowiem prawdą jest, co twierdzi powieściopisarz, że kilka drogich kamieni z owego skarbca mogło wystarczyć na pokrycie długów państwa, to dlaczegoż Samentu, parokrotnie zwiedzający Labirynt, nie zabrał bezpiecznie tych kilku kamieni? Zapewne, byłaby to prosta kradzież; ale czyż podstępne odkrycie dróg do Labiryntu i wprowadzenie tam siły zbrojnéj, uszlachetniłoby w czémkolwiek rabunek? Chyba nie! I ponownie musimy powiedzieć, że cała sprawa z Labiryntem jest wielką dowolnością powieściopisarza, gromadzącego sobie różnorodne efekty.

Istotnie gdyby Samentu w parokrotnéj swéj wycieczce zabrał był co najdroższe kamienie i zasilił skarb Ramzesa, ten mając fundusze, mógłby pozyskać zwolenników zapalonych i skuteczniéj walkę z kapłanami poprowadzić. Ale autor tego nie chciał; wolał, żeby Samentu był w Labiryncie odkryty i żeby tam zażył truciznę, chroniąc się śmierci głodowéj. A do tego odkrycia przyszło drogą niezwykłą. Okazało się, że Likon to doskonałe medyum; użyli go więc kapłani do wyśledzenia przeniewierczego Samentu; bez tego środka możeby nic przeciwko złupieniu Labiryntu nie poradzili.

Do ostatecznego pognębienia młodego faraona dopomogła kapłanom mądrość przyrodnicza. Żył w Egipcie samotnie kapłan uczony nazwiskiem Menes, który nie tylko umiał przepowiadać zaćmienia słońca, ale znał, zdaje się, wszystkie główne wynalazki techniczne, jakiemi wieki nowożytne się szczycą. Otóż Menes obliczywszy że zaćmienie słońca ma nastąpić w tym a tym dniu takiego a takiego miesiąca, przesłał wiadomość tę Ramzesowi, ale młodzieniec, któremu chodziło w owéj chwili o pieniądze, lekceważył sobie przepowiednię kapłana i kazał ją zanieść Herhorowi. Ten wraz z całym stanem kapłańskim bardzo zręcznie z niéj potrafił skorzystać. Gdy bowiem dowiedział się, że napad na Labirynt ma się dokonać o parę dni później niż przypadało zaćmienie słońca, sprawił za pomocą odpowiednich ajentów, że rozruchy ludowe, przeciwko kapłanom wymierzone, które napadowi owemu miały towarzyszyć, wszczęły się właśnie w dzień i w godzinę zaćmienia. Łatwo było wówczas ogłosić, że wskutek napadu na świątynię, bogowie światło dzienne cofają, a gdy tłum przerażony uderzył w pokorę i błagania, obiecać mu, że na teraz jeszcze otrzyma przebaczenie bogów i słońce ujrzy nanowo.

Cios w ten sposób zadany Ramzesowi był stanowczy: liczba stronników jego zmalała; w samém wojsku znaleźli się zdrajcy, co

zabili wiernego mu Tutmozysa; a Likon w stanie hypnozy, morduje faraona zatrutym sztyletem. Na tron wstępuje Herhor, któremu matka Ramzesa XIII oddała swą rękę. Uspokoił on bunty pospólstwa, pozwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym, zaprowadził surową karność między kapłanami, otoczył opieką cudzoziemców, a szczególnie Fenicyan, zawarł traktat z Asyryą, nie odstępując jednak Fenicyi, która pozostała hołdowniczką Egiptu. Zajął się też spłatą długów, obciążających majątki faraona i państwa; w tym celu skłonił Fenicyan do zrzeczenia się pewnéj części sum, należących się im od skarbu, a na pokrycie reszty podniósł z Labiryntu ogromną kwotę 30,000 talentów. Dzięki tym środkom, w ciągu trzech miesięcy nastał w państwie spokój i dobrobyt, a ludzie mówili: „Błogosławione niech będą rządy Sen-amen-Herhora! Zaprawdę, bogowie przeznaczyli go na władcę, aby uwolnił Egipt od klęsk, zadanych mu przez Ramzesa XIII, lekkoducha i łowcę kobiét"... (III, 382).

Czy w tym sądzie pospólstwa mieści się słuszna ocena krótkiego panowania Ramzesa XIII i czy to jest ostateczne zdanie autora o swoim bohatérze? Oczywiście nie. Sąd ludu liczył się tylko z dotykalnemi faktami, ale nie miał na względzie pobudek i myśli. Doświadczony i praktyczny Herhor nie wniósł do swych rządów żadnéj idei nowéj; ciągnął jeno daléj politykę ostatnich lat panowania Ramzesa XII, powodującą się lękiem przed wojną zewnętrzną, i wprowadził w życie główne zamiary Ramzesa XIII, dążące do podniesienia dobrobytu ludu i słusznego wymiaru sprawiedliwości. Nie był umysłem twórczym, ale umiał korzystać z pomysłów cudzych i rozumnie w czyn je zamieniać. Tacy ludzie zazwyczaj w walce życiowéj stają się zwycięzcami.

Ramzes XIII to nietylko „lekkoduch i łowca kobiét", ale to umysł świeży, otwarty, przedsiębiorczy, to serce spółczujące, to odwaga gotowa na przedsięwzięcia hazardowne; i tam, gdzie idzie wyłącznie o śmiałość i męstwo, okryje się chwałą; lecz do powolnego, praktycznego działania, do stopniowego urzeczywistnienia ideałów swoich okazuje się on niezdolnym; zadużo w nim ognia, zamało wytrwałości, systematyczności i doświadczenia. Powziąć myśl szlachetną, zapalić się do niéj, poświęcić za nią życie — potrafi, ale pokonywać przeciwności krok za krokiem, liczyć się z siłami i przeszkodami, czekać na chwilę sposobną—nie zdoła. I te to właściwości charakteru nie pozwalają takim ludziom przewodniczyć tłumom; rzucają oni nasiona w ziemię, a plon zbiérać będą Herhorowie.

Czy Prus dobrze i konsekwetnie taki pomysł przeprowadził? Z tego, com już powiedział poprzednio, łatwo czytelnik wywnioskować może, iż niepodobna mi całkowicie twierdzącéj dać odpowiedzi. Po-

staci Ramzesa nie mogę nazwać rozwiniętą należycie; czuję w niéj pewien zastój; życie nie nauczyło go prawie niczego; — krótkiém ono było, to prawda; lecz obfitowało w zdarzenia i przejścia, które nawet mniéj bystrego i lotnego, niż on człowieka, powinny były z zagadnieniami społeczno-politycznemi oswoić. Zdarzają się zapewne umysły, niezdolne wogóle do objęcia i kierowania rozległemi sprawami; są to umysły specyalistów, co w jednym tylko kierunku kształcą swe zdolności i w jednym tylko kierunku pożyteczni być mogą. Do takich wszelako umysłów Prus nie chciał z pewnością zaliczyć swego bohatéra; nie chciał go uczynić wojownikiem wyłącznie. On jest niepraktycznym jedynie, ale i niepraktyczni, jeżeli mają wyższe uzdolnienia, korzystają coś przecie z doświadczeń; mogą i w dalszym ciągu popełniać błędy, lecz w tych błędach nie trudno poznać różnicę od dawniejszych. Kulminacyjnym punktem rozwoju umysłowego u Ramzesa są rozmyślania wywołane widokiem Sfinksa; odtąd ani w myślach, ani w postępkach nie widzimy doskonalenia, lecz raczéj cofanie się na stanowisko zajmowane w początkach zawodu jako następcy tronu. Gorączkowe, niemal chorobliwe pragnienie ruchu wypiéra w nim czy przytłumia inne objawy energii duchowéj.

Powtóre, przeciwnicy Ramzesa, kapłani egipscy, otoczeni są jakąś tajemniczą zasłoną, właściwszą dla baśni, aniżeli dla powieści. Stan kapłański przedstawiony został przez Prusa jako mieszanina mądrości i szalbierstwa. Najzacniejsi nawet z pomiędzy nich, jak np. Pentuer, serdeczny i jedyny przyjaciel młodego faraona pośród duchowieństwa, ucieka się przecie do takich środków, jak udawanie głosów bóstwa. Czasami wśród kapłanów przemówi uczucie szczerego patryotyzmu, ale daleko częściéj chęć bezwarunkowego panowania łącznie z innymi kapłanami, np. chaldejskimi, których najcelniejszy przedstawiciel, umiejący się unosić w powietrze, jakiś Beroes wpływa stanowczo na postanowienia polityczne rady kapłanów. Gdy przytém obok objawów solidarności, widzimy najpospolitsze rywalizacye, połączone z płytkiém i śmieszném usposobieniem, jak w Mefresie, to trudno nam uznać w tym stanie kapłańskim poważnych reprezentantów jakiéjś idei, jakiéj wytycznéj dążności w kierowaniu sprawami narodu. Czasami przedstawiają się nam kapłani jako głębocy politycy i dobrzy obywatele, czasami znowuż jako aferzyści, dbający albo o znaczenie swego stanu, albo o wyniesienie się osobiste.

Z tego téż powodu trudno dostrzedz w walce Ramzesa z kapłaństwem jakiś czynnik zasadniczy, któryby mógł nas żywiéj i głębiéj zainteresować. Są wprawdzie w „Faraonie” próby takiego zasadni-

czego traktowania kwestyi, ale nie ma konsekwentnego jéj rozwinięcia.

Najwydatniejszą postacią z pomiędzy kapłanów jest niewątpliwie Herhor. Ale czyż on może się nazwać plastycznie nakréśloną figurą w całéj pełni? Poznajemy go w ciągu opowiadania epizodycznie tylko; niektóre rysy jego charakteru występują jasno i wyraziście: stanowczość, sprężystość, rozum praktyczny; niektóre pozostają w cieniu ub zbyte są półsłówkami i domyślnikami, np. jego stosunek do reszty kapłanów, a w szczególności do bigota przewrotnego Mefresa. Czasami takim nam się ukazuje, jakim wyobraźnia nasza wystawiaćby go sobie nie chciała ze względu na poprzednio zaznaczone cechy; mam tu na myśli np. parokrotne zalęknienie (chwilowe co prawda) wobec młodego Ramzesa. Nie chciałbym oczywiście miéć w nim nieruchomego posągu; ale téż nie sądzę, żeby to było rysem posągowości, gdy ktoś ma pewność siebie i obrachowuje wszystkie możliwe kombinacye, jak to o Herhorze przypuszczać nam wolno.

Tyle o głównéj treści „Faraona". Opowiadać, że Prus umié wybornie malować warstwy mieszczańskie (bankierów, kupców, oberżystów i t. p.), rzemieślników, chłopów; że ciągle ma w myśli obraz całości państwa, a nietylko tych jego cząstek, które mu w danéj chwili do powieściowego przedstawienia są potrzebne; że pod najrozmaitszemi przebraniami umié zawsze dojrzéć człowieka; byłoby dowodzić rzeczy, które już dowodzenia nie potrzebują. Postaci zwłaszcza drugoplanowe (Dagon, Hiram, Sargon, Sara i Kama) nakréślone są przepysznie z taką wyrazistością i dosadnością, że tkwić w pamięci będą bardzo długo.

Zwrócić atoli winienem uwagę na kompozycyę powieści. Wiadomo, że większe utwory Prusa szwankowały pod tym względem; epizody rozsadzały w nich całość. „Faraon" wyróżnia się w téj mierze wielce dodatnio. Widoczną jest rzeczą, że autor dbał o spójność cząstek składowych i dobrze się nad ich zespoleniem zastanawiał. Zauważyłem tu jeden tylko błąd znaczniejszy. Popełnił go autor, przedzieliwszy nadspodziewanie opis śmierci i pogrzebu Ramzesa XII przedstawieniem w trzech rozdziałach objęcia rządów przez jego syna. Można się domyślić powodu, który skłonił powieściopisarza do takiego układu. Chciał połączyć opis śmierci faraona z opisem obrzędów pogrzebowych. Uczynił tym sposobem zadość jednemu wymaganiu chronologiczno-artystycznemu, ale uchybił drugiemu, polegającemu na skupieniu wrażeń. Długi opis balsamowania ciała faraona i wszystkich drobiazgowych ceremonii, jakie przytém zachowywano, przerywa nieprzyjemnie ciąg opowiadania o pierwszych krokach nowego władcy. Nale-

żało te okoliczności jakoś inaczéj pokombinować; a w każdym razie przedstawienie saméj śmierci Ramzesa XII umieścić gdzieindziéj.

Drugą wadą kompozycyjną, którą za mniejszą uważam, gdyż wypływała może z umyślnego zamiaru autora, jest zbyt wyłączne zajmowanie się następcą tronu, przez całe dwa tomy, z pozostawieniem w cieniu tych osób, z któremi miał on podjąć walkę. Uniknął wprawdzie autor przerywania toku opowieści, ale zaniedbał, ze szkodą dla całości, figury ważne, mające stanowczy wpływ na dalsze losy młodego władcy.

Co do stylu, Prus prawie unikał obrazowości; pojawia się ona tam głównie, gdzie autor przemawia tekstami staroegipskiemi, we własném zaś opowiadaniu jego przemaga jasność, zwięzłość i trzeźwość wyrażenia. Pod względem językowym zauważyłem, że Prus kładzie spójnik zaś na początku zdań. W mowie chłopów spójnik ten rzeczywiście często na pierwszém miejscu staje, ale tam ma on trochę inne znaczenie, zbliżone do pierwotnego (zasię), aniżeli w powszechnym języku literackim, gdzie oddawna przyjętą jest rzeczą umieszczać go na drugiém miejscu w zdaniu.

I jeszcze jedna uwaga. Prus bardzo często, może nawet za często używa wyrazu: nomesy (w nomesach, do nomesów i t. d.) na określenie administracyjnego podziału Egiptu na prowincye. Nie wiem, czy poczytywał to słowo za egipskie i powtarzał je jako charakterystyczne, ale to pewna, że temi nomesami dowiódł braku poczucia filologicznego. Wyraz to grecki i brzmi: w 1-ym przypadku liczby pojedyńczéj nomos; po polsku należało pisać w liczbie mnogiéj: nomy, w nomach i t. d. Drobnostka to zapewne, lecz drobnostka przykra dlatego, że się tak często ją na kartach „Faraona" spotyka. Nie czyni ona ujmy wielkim zaletom niepospolitego w naszéj literaturze dzieła, lecz powinna być sprostowana ze względu... na sumienie filologiczne, które się i u literatów czasami odzywa.

Piotr Chmielowski.



Energetyka w zastosowaniu do ekonomii.

Z powodu książki Z. Herynga „Logika ekonomii, zasadnicze pojęcia ekonomiczne ze stanowiska nauki o energii“.

Od czasu kiedy Meneniusz Agrypa opowiadał zbuntowanym plebejuszom bajkę o zatargu członków z żołądkiem, minęło 2,400 lat. Czy rzeczywiście bajka ta przekonała wówczas plebeiuszów, nie ręczymy, ale od tego czasu porównań pomiędzy zjawiskami przyrodzonemi a społecznemi zjawiało się bez liku; nie było, prawie rzec można, mówcy, któryby nie użył przy sposobności tego rodzaju porównania; liczba zaś myślicieli, który snuli na ten temat teorye, jest olbrzymia. Od czasu zaś wielkich prawdziwie zdobyczy na polu nauk przyrodniczych w ostatnich dziesięcioleciach, systemy socyologiczne oparte na przeprowadzeniu analogii pomiędzy światem zjawisk przyrodzonych a społecznych, opanowały umysły w najwyższym stopniu. Heryng, badając „zasadnicze pojęcia ekonomiczne ze stanowiska nauki o energii“, poszedł za tym ogólnym prądem. Jednakże staje on odrazu wysoko nad wszystkimi swoimi poprzednikami, opierając się na najogólniejszych pojęciach przyrodniczych, a przytém cała metoda, według jakiéj pracuje, różni się dodatnio od téj, jaką posługiwano się dotąd w téj dziedzinie. Jeżeli bowiem porównamy książkę jego z dziełami np. Spencera lub Schöflego, odrazu uderza nas filozoficzne pogłębienie po-

stawionéj kwestyi, krytycyzm surowy i szerokie pojmowanie zadania. Dzieło jego w każdym razie jest ozdobą literatury ekonomicznéj, nie tylko naszéj ubożuchnéj polskiéj, lecz wszechświatowéj. Pomimo to nie przekonywa nas autor tego dzieła, aby droga po któréj kroczy, rzeczywiście mogła prowadzić do pogłębienia pojęć ekonomicznych, do lepszego wyjaśnienia skomplikowanych procesów społeczno-gospodarczych.

Jeżeli zadamy sobie pytanie, dlaczego badacze bezustannie powracają do prób odkrycia praw rządzących społeczeństwem za pomocą prawd zdobytych w przyrodoznawstwie, to zawsze natrafimy w końcu na twierdzenie, że te drogi „są ścisłe, pewne, niewzruszone, ogólne". Otóż czy tak jest rzeczywiście? Czy owe „prawdy" zdobyte w pracowniach przy pomocy najbardziéj wydoskonalanych metod i narzędzi są tak niewzruszone? Sądzimy, że nie, o ile chodzi o filozoficzne uogólnienia. Chemik i fizyk są w stanie odpowiedzieć nam na wszystkie pytania, jakie postawimy im co do własności pewnego ciała, co do zmian, jakim ono ulega pod wpływem określonych działów; skoro jednakże zapytamy ich o uogólnienia, o filozoficzne np. pojęcie materyi, albo odmówią nam odpowiedzi, albo dadzą tak samo wątpliwą, jaką da nam filozof spekulacyjny. Co ważniejsza, każda teorya przyrodnicza jest tyleż hipotetyczną, co spekulacya filozoficzna. Nieinaczéj téż ma się z nauką o energii, na któréj opiéra się Heryng: pewném jest tu to, co zbadano empirycznie i nic po nadto, cały filozoficzny podkład może się zmienić, i powiedzmy nacześć przyrodników, zmienia się w miarę tego jak coraz głębiéj wnikają w charakter zbadanych zjawisk.

I oto rezultaty: wszystko co nam Heryng powtarza za uznanemi powszechnie, „stojącemi na wysokości współczesnéj wiedzy" podręcznikami fizyki o energii, opiéra się na „mechanistyczno-materyalistycznéj" teoryi, która twierdzi, że wszystkie zjawiska przyrodnicze dają się sprowadzić do mechanistycznych. Tymczasem w roku 1895 wobec areopagu przyrodników znakomity fizyk i chemik, profesor Ostwald twierdzi kategorycznie: „twierdzenia tego, nie można nawet uważać za pożyteczną hipotezę do badań dalszych, jest ono prostym błędem" [1]). Niemniéj kategorycznie oświadcza téż: [2]) „Należy kłaść nacisk na fakt, że konsekwencyi, wynikającéj z téj teoryi (mechanicznego pojmowania zjawisk), jakoby wszystkie nie mechaniczne zjawiska, jak ciepło, promieniowanie, elektryczność, magnetyzm, chemizm, były

[1]) Wilhelm Ostwald: „Die Ueberwindung des wissenschaftlichen Materialismus". Lipsk. Veit et Comp. 1895, str. 21.

[2]) Tamże str. 16.

w rzeczywistości mechanicznemi, nie dowiedziono dokąd w żadnym, ale to w żadnym wypadku. Nie udało się bowiem ani razu, wyjaśnić rzeczywiście zachodzące tu zjawiska za pomocą mechanicznego systemu tak, aby nie pozostało jakiéjś reszty. Wprawdzie dla licznych zjawisk pojedyńczych z większym lub mniejszym skutkiem zdołano dać obraz mechaniczny; lecz skoro usiłowano wyjaśnić za pomocą takiego mechanicznego obrazu całokształt faktów znanych w pewnéj dziedzinie, zawsze i bez wyjątku okazało się, że pomiędzy rzeczywistym przebiegiem zjawisk, a tym jakiego kazał się domyślać obraz mechaniczny, istnieje niezwiązalna sprzeczność. Sprzeczność taka długo może pozostać niedostrzeżoną; historya wszelako uczy nas, że prędzéj czy późniéj sprzeczność ta wychodzi na jaw, i wszystko, co można orzec z całą pewnością o takich wizerunkach i analogiach, które nazywają mechanicznemi teoryami danych zjawisk, to to, że kiedyś zostaną obalone".

Tak orzeka jeden ze specyalistów. Tymczasem Heryng przyjmuje za pewnik niezbity, nie tylko, że „wszystkie formy energii sprowadzić można do dwóch zasadniczych postaci: energii zależnéj od ruchu widzialnego, inaczéj zwanej energią kinetyczną, i energii zależnéj od położenia, energii potencyalnéj,“ lecz również, że energia biologiczna sprowadza się do mechanicznéj, i za zadanie stawia naukom społecznym „zbadać warunki w których energia układów otoczenia przechodzi w biologiczną energię jednostek, a energia jednostek w kinetyczną lub potencyalną energią społeczną“ (str. 57). Tymczasem, jeżeli Ostwald wskazuje bezskuteczność dotychczasową usiłowań ku przeprowadzeniu dokładnie teoryi mechanistycznéj co do zjawisk fizycznych, to już wprost dowodzi niemożliwości wyjaśnienia tą drogą zjawisk biologicznych, a nawet na tém opiéra ostateczny sąd o materyalistycznym poglądzie na świat. Powiada on: „Mechaniczne zrównania wszystkie mają tę własność, że możliwą jest w nich zamiana znaku czasu. To jest, teoretycznie doskonałe procesy mechaniczne mogą tak samo odbywać się naprzód jak wstecz. W czysto mechanicznym świecie nie byłoby żadnego późniéj lub wcześniéj w znaczeniu naszego świata; drzewo mogłoby stać się z kolei gałąską i nasieniem, motyl gąsienicą, starzec niemowlęciem. Dlaczego tak się nie dzieje, nie znajdujemy wyjaśnienia w mechanistycznym poglądzie na świat i znaléźć nie możemy z powodu wspomnianéj własności równań mechanicznych. Rzeczywista nieodwracalność realnych zjawisk przyrodniczych, dowodzi zatém istnienia takich procesów, których nie mo-

żna wyjaśnić mechanicznie, a tém samém wydanym zostaje wyrok na naukowy materyalizm" [1]).

To przeświadczenie dało powód Ostwaldowi do prac nad energetyką, przy których zupełnie eliminuje pojęcie materyi, oraz nie robi „żadnych założeń co do związku zachodzącego pomiędzy rozmaitemi rodzajami energii prócz tych, jakie dyktuje zasada zachowania energii" [2]).

Teorya Ostwalda dotąd nie jest uznana przez cech uczonych, pomimo to, a może właśnie dlatego, zasługuje na baczną uwagę, gdyż być może, przyniesie nam ni mniéj ni więcéj, jak uwolnienie z więzów naukowego materyalizmu, w których zaczyna już być ciasno. W każdym jednakże razie, hypotetyczny czysto charakter mechanistycznej teoryi zostaje coraz więcéj uznawanym, w miarę jak oswajamy się z wielkiemi ideyami Kirchhoffa i Meyera. Bo oto drugi fizyk, wiedeński profesor Mach, kończy swój odczyt „o zasadzie zachowania energii" [3]) słowy: „Wyjaśnienie eksperymentalnych, logicznych i formalnych pierwiastków dzisiejszéj zasady energii, przyczynić się tylko może do usunięcia tego mistycyzmu, jaki ją jeszcze przyobleka. Co do formalnego dążenia ku najprostszemu, naocznemu pojmowaniu materyalnemu zjawisk naszego otoczenia, kwestya pozostaje nierozwiązaną, o ile natura mu odpowiada. Zdawać się może, że materyalistyczne pojmowanie zasady energii, podobnie jak materyalistyczne pojęcie ciepła, sformułowane przez Blacka, znajdzie swoje granice w faktach, po za któremi sztucznie tylko można ją utrzymać. Wobec tego godzi się pytać, czy rzeczywiście „poziom współczesnéj wiedzy" domaga się stosowania do nauk społecznych jednéj z teoryi materyalistyczno-mechanicznych, czy pozwala na takie stosowanie właśnie w chwili, kiedy wyniki badań przyrodniczych doprowadzają do gruntownéj rewizyi pojęć zasadniczych, na których oparto tę teoryę? Można

---

[1]) Tamże str. 21.

[2]) Tamże str. 30. Nie możemy tu wchodzić w bliższe wyjaśnienia różnicy pomiędzy „energetyką" Ostwalda a dotychczesową. Mając nadzieję, że specyaliści pośpieszą zapoznać czytelników polskich z wynikami badań tego oryginalnego myśliciela, tymczasem musimy odesłać ciekawych do jego prac głównych: „Studien zur Energetik" w „Zeitschrift für physikalische Chemie", tomy IX i X oraz „Lehrbuch der allgemeinen Chemie", tom II „Chemische Energie". Lipsk 1892, II wydanie.

[3]) „Populär-Wissenschaftliche Vorlesungen," Lipsk, 1896.

wątpić tembardziéj, że wszystkie materyalistyczne teorye w téj dziedzinie okazały się tak jałowe [1]).

Jeżeli Heryng twierdzi: „wszelkie inne stanowisko (prócz zajętego przezeń, polegające na badaniu przemiany energii mechanicznéj w biologiczną a téj w społeczną) o tyle tylko byłoby dopuszczalném, o ile by się udowodniło niezbicie, iż dział nauk społecznych przedstawia tak odrębną dziedzinę, że uogólnienia, poczerpnięte z badania przyrody, nie znajdują tu żadnego zastosowania. Nie potrzebujemy dodawać, że możność udowodnienia tak śmiałéj tezy jest nieskończenie mniéj prawdopodobną, aniżeli możność zastosowania uogólnień pozyskanych w naukach ścisłych do nauk społecznych wogóle, a w szczególności do politycznéj ekonomii",—odpowiadamy na to: stanowisko zajęte przez autora dopiéro wtedy byłoby dopuszczalne, gdyby wykazano niezbicie, że procesy społeczne wogóle, a ekonomiczne w szczególności, dadzą się sprowadzić do mechanicznych, udowodnienie zaś téj tezy nie tylko dotąd nie nastąpiło, lecz jest zgoła niemożliwe.

Jeżeli bowiem stwierdzona przez Ostwalda, niemożliwość sprowadzenia procesów biologicznych do mechanicznych, stanowi jeden szkopuł, to niemniéj ważne jest i to, że procesy społeczne nigdy nie dadzą się sprowadzić „bez reszty" do biologicznych, dlatego, że wchodzi tu w grę czynnik świadomości ludzkiéj, czynnik historyczny, właściwy tylko społeczeństwom ludzkim [2]).

Samo przez się rozumie się, że Heryng tego czynnika nie pominął, lecz chodzi o rolę jaką mu przypisać należy. U Herynga czytamy: „Z jednéj strony zjawiska życia gospodarczego, stanowią cząstkę ogólnego kosmicznego życia—i powinny być przeto badane ze stanowiska

---

[1]) Zaznaczyć wypada, że „materyalistyczne pojmowanie dziejów", uzasadnione przez Marxa i zdobywające sobie coraz szersze uznanie, z materyalizmem, o jakim mowa powyżéj, nie ma nic a nic wspólnego. Sam wyraz „materyalistyczne" dostał się tu do nazwy jak Piłat w *Credo*. Prócz dzieł Kautskiego, Bernsteina etc., trafne uwagi w téj kwestyi można znaléść w artykule profesora Tönnich: „Neuere Philosophie der Geschichte. Hegel, Marx, Comte" w „Archiv für die Geschichte der Philosophie" tom 7, 1894.

[2]) Heryng wskazuje obserwacye nad „społeczeństwami zwierzęcemi", dowodzące rzekomo, że w tych „społeczeństwach" zachodzą z biegiem czasu zmiany instynktu osobników. Obserwacye te dotąd, o ile wiemy, do tak stanowczych twierdzeń nie dają prawa. Lecz gdyby tak było, to wtedy badając mrówkę pojedyńczą, będziemy mieli prawo mówić o „danym ukształtowaniu jéj instynktu", badając „społeczeństwo" mrówcze, musimy badać ze stanowiska jego przekształceń, a więc już historycznie a nie przyrodniczo.

funkcyonalnéj zależności, z drugiéj strony, zjawiska te kształtują się niewątpliwie pod wpływem świadomości pożądanych zmian w życiu społeczném, a wywołana dzięki téj świadomości tendencya ku urzeczywistnieniu owych pożądanych zmian, ani na chwilę nie przestaje oddziaływać na bieg życia społecznego. Wobec pozornéj téj sprzeczności, możliwą jest—zdaniem naszém — jedna tylko odpowiedź. Zjawiska życia gospodarczego winny być badane przedewszystkiém (a więc nie wyłącznie jakby konsekwentnie należało wnioskować z poprzedzających wywodów autora) ze stanowiska przyrodniczego, bez względu na wpływ, jaki świadomość następstw danego procesu społecznego na zmiany w formie tego procesu niewątpliwie wywierać musi. To, co już jest w życiu gospodarczém, musi być koniecznie odróżnionem od tego, co być winno“ (str. 62). Na ostatnie zdanie zgodzić się można najzupełniéj. Chodzi tylko o to, czy taki wpływ należy przypisać świadomości, czy wpływa ona tylko na „pożądanie zmian w życiu społeczném.“ Sądzimy, że takie twierdzenie utrzymać się nie da.

Bezwątpienia, podwaliną gmachu społecznego są warunki bytu materyalnego; zależnie od stosunków produkcyi układa się całokształt zjawisk społecznych; te warunki produkcyi rozstrzygają ostatecznie o formach politycznych, prawnych; w zależności od nich znajduje się nawet sztuka i filozofia, albowiem: *primum vivere, deinde philosophari*. Jednakże tenże myśliciel, który na podstawie tego pewnika stworzył system socyologiczny, wypowiedział jednocześnie zdanie: „najwspanialszém prawem ludzi jest, że mogą czynić historyę“. Przytém i same te warunki produkcyi nie są jedynie zależne od przyrodniczych warunków i nie można na nie zapatrywać się jako na „cząstkę ogólnego życia kosmicznego“. Niezmiernie trafném jest tu znowu stanowisko Marxa, który powiada: „Darwin skierował uwagę na historyę naturalnéj technologii, t. j. na kształtowanie się narządów zwierzęcych i roślinnych, jako narzędzi produkcyi w życiu zwierząt i roślin. Czyż historya powstawania produktywnych narządów człowieka uspołecznionego, materyalnéj podstawy każdego układu społecznego, nie zasługuje na tyleż uwagi? I czyż nie łatwiéj stworzyć taką historyę, skoro, jak powiada Vigo, historya ludzka różni się tém od przyrodniczéj, żeśmy jedną czynili sami, drugą nie? Technologia odkrywa nam czynne zachowanie się człowieka względem przyrody, odkrywa nam bezpośredni proces produkowania jego życia, a tém samém jego społecznych stosunków życiowych i wypływających z tych stosunków intelektualnych wyo-

brażeń“ [1]). Niepodobna odmówić słuszności temu zdaniu, jeżeli zaś przyjmiemy je, to nie wolno nam nawet na bezpośredni proces produkcyi zapatrywać się ze stanowiska „przedewszystkiém przyrodniczego“, lecz trzeba zdobyć tu inne stanowisko. Témbardziéj zaś musimy to uczynić, dla zrozumienia np. podziału i obiegu towarów, gdyż tu olbrzymią rolę odgrywają stosunki społeczne, ukształtowane bezwarunkowo pod wpływem świadomości, np. stosunki prawne [2]). Nietylko więc w dążeniu ku temu, co być winno, odgrywa rolę świadomość, lecz to, co jest, jest takiém a nie inném wskutek przebiegu historycznego, w którym rolę dominującą odgrywa ta świadomość.

Weźmy pierwszy lepszy przykład dla wyjaśnienia doniosłości tego punktu wyjścia. Heryng powiada nam o płacy roboczéj: „Funkcyonalna zależność płacy robotników rolnych od ich potrzeb życiowych, będzie dla danéj formy stosunków agrarnych zawsze jednakową, bez względu na to, jakie warunki historyczne doprowadziły społeczeństwo do téj formy. Historyczne zaś poszukiwania w tym względzie mogą tylko dać odpowiedź na pytanie: jaką jest trwałość danéj formy stosunków agrarnych i jakiém jest ich prawdopodobne najbliższe ukształtowanie, skoro dane ukształtowanie nastąpiło po takich mianowicie, a nie innych fazach życia społecznego“ (str. 56). Z naszego zaś stanowiska wynika: istnieje funkcyonalna, zależność płacy robotników rolnych od ich potrzeb życiowych, lecz zarazem jakość téj funkcyi, jak również te właśnie potrzeby życiowe zależą przedewszystkiém od warunków historycznych, jakie doprowadziły społeczeństwo do takich, a nie innych stosunków agrarnych. Otóż sądzimy, że dokładniejszą można dać odpowiedź z naszego stanowiska w konkretnych wypadkach. Na dowód weźmy następujący fakt. Stosunki agrarne w Ameryce północnéj i w okręgach czarnoziemnych Rosyi, mają wiele wspólnego: tu i tam wielka ferma, tu i tam produkcya na olbrzymią skalę, tu i tam produkcya rolna przybiéra formy produkcyi fabrycznéj, tu i tam nie ma osiadłego robotnika-rolnika, a produkuje się przy pomocy najmitów ściąganych do fermy na czas stosunkowo krótki. Płaca jednakże robocza robotnika amerykańskiego zupełnie porównać się nie daje z płacą rosyjskiego. Dlaczego? Na to pytanie może dać jedynie odpowiedź zbadanie historycznéj przeszłości robotnika i warunków historycznych, przy jakich tu i tam powstała ta właśnie forma agrar-

---

[1]) „Das Kapital“, wyd. 4-te, strona 335, uwaga 89.

[2]) Znakomitą analizę wzajemnego wpływu stosunków produkcyi i instytucyi prawnych podaje Stammler: „Wirtschaft und Recht nach der materialistischen Geschichtsauffassung“, 1896.

nych stosunków, oraz zbadanie warunków prawnych, w jakich odbywa się produkcya agrarna. Ze stanowiska przyrodniczego zaś dowiedzielibyśmy się jedynie, że potrzeby życiowe robotnika rosyjskiego są inne, niż amerykańskiego, co nie jest chyba odpowiedzią wyczerpującą.

Prócz tego znaczenia, jakie przyznać musimy świadomości wyrobionéj historycznie, należy téż miéć na uwadze, że chwilowe ukształtowanie się stosunków jest rezultatem bezustannego zmagania się potęg społecznych w walce o bieżące, codzienne interesa. Nietylko więc istnieje świadomość zmian pożądanych, lecz zmiany same, o ile nawet odbywają się żywiołowo, pociągają za sobą przemiany w świadomości. Heryng wié o tém, lecz próbuje usunąć trudność, twierdząc: „jakkolwiek kierunek zbiorowéj woli społecznéj ulega ciągłym zmianom, jednakże możemy zawsze dane ukształtowanie téj woli. dominujące w pewnéj fazie społecznego życia i charakteryzujące tę fazę, przyjąć za względnie stałe i badać zjawiska gospodarcze, tak, jak gdyby ukształtowanie téj woli ludzkiéj, właściwe dla danego stadyum życia społecznego, stanowiło niezmienną własność natury ludzkiéj" (str. 63)

I na to zgodzić się nie sposób. Do zjawisk ekonomiczno-społecznych w wyższym może, niż do innych, stosuje się Heraklitowe: „Od niepamiętnych dni zamierzchłych w dali, wszystko jest w ruchu" a najpierwszém zadaniem ekonomisty jest śledzenie tego ruchu. Świadomości, o któréjby można było sobie wyobrazić, że jest „niezmienną własnością natury ludzkiéj", nie sposób sobie wyobrazić, gdyż zależy ona właśnie od warunków społecznych i wraz z niemi jest w ciągłym toku. Na dowód jak przerażająco szybko zmieniają się te ekonomiczno-społeczne warunki, dosyć jest zajrzéć do spisów ludności, w krajach posiadających mniéj lub więcéj dawną statystykę. W Niemczech np. w ciągu 13-tu tylko lat zaszła następująca zmiana: w roku 1882-im 48% ludzi żyło z rolnictwa, 52% z przemysłu; w roku 1895 stosunek był 41% — 59%. W tymże czasie liczba samodzielnych przedsiębiorców z 32.29 na stu wogóle zarobkujących, spadła na 28.99. Takie zmiany przekształcają bezwarunkowo i świadomość i ustosunkowanie wzajemne zmagających się sił. Kto chce mówić o energii społecznéj, na te czynniki przedewszystkiém musi zwracać uwagę, a wtedy o przyjęciu jakiéjś stałéj woli społecznéj, mowy być nie może.

Wyjaśniając swoją myśl przykładem, Heryng wskazuje nam fakt, „że kowal porusza dziś młotem parowym, a nie — jak jego poprzednicy—ręcznym młotem, jest wynikiem świadomości tych techników, którzy pracowali nad parową maszyną, transmisyami, oraz tych administratorów i organizatorów, którzy wynikom technicznych poszukiwań

nadali odpowiednią gospodarczą organizacyę.“ Otóż punkt ciężkości zmiany, jaka zaszła, polega na tém, że młot parowy kuje żelazo, ale wraz z nim wykuwa także świadomość społeczną. Technik i robotnik przy młocie parowym naturalnie nie uświadomili sobie tego, że uderzenia tego młota miażdżą setki egzystencyi ekonomicznych niezależnych, że zmiana techniczna, jaką zaprowadzili, spowodowała inne ukształtowanie ekonomiczne, a zatém pośrednio wpłynęła na świadomość społeczną,—mimo to zmiana ta zaszła.

Jeżeli więc Heryng twierdzi: „Z abstrakcyjném takiém pomijaniem możliwych zmian w układach zmianom podległych, spotykamy się w nauce na każdym kroku“ (str. 64) i wskazuje fakt, że anatom i fizyolog przy opisie tych organów, oraz ich funkcyi, postępują tak, jak gdyby przypuszczali, że te organy nie zmieniają się, to odpowiadamy: anatom i fizyolog mają prawo postępować tak, bo mają do czynienia ze zmianami, które odbywają się w olbrzymich okresach; ekonomista tego prawa dla siebie rościć nie może, gdyż zmiana tu jest nieustanna i szybka, jak to przyznaje sam autor. Jestto przecież zmiana nietylko ilościowa, jak twierdzi, lecz jakościowa. Tu ilość stanowi o jakości. Różnica — powiada Heryng — jest taka tylko, że przy badaniu życia społecznego „po pewnym, nieraz dość krótkim przeciągu czasu, konkretne zjawiska życia rzeczywistego — wymykać się poczną z pod uogólnień tą drogą pozyskanych“ (str. 64). Nie! różnica jest taka, że ekonomista ma do czynienia ze zjawiskami zasadniczo różniącemi się od przyrodniczych, i jeżeli będzie stosował metody przyrodnika, to nietylko zjawiska rzeczywiste wymykać się będą z pod jego uogólnień po krótkim bardzo czasie, lecz nawet nigdy nie będzie w stanie opisać zjawisk konkretnych w sferze ekonomiki, w któréj gra rolę pierwszorzędną świadomość, a już wcale nie będzie mógł wyjaśniać genetycznie tych zjawisk. To téż obstajemy przy zdaniu, że „ekonomika jest nauką *par excellence* historyczną“ [1]), a więc nie wiele ma do czynienia z naukami przyrodniczemi. Badania ekonomiczne przedewszystkiém powinny śledzić powstawanie, przekształcenie się form ekonomicznych, inaczéj nie wyjaśnią nietylko tego co być powinno, lecz tego co jest. To téż zgodnie ze Stammlerem [2]) sądzimy, że nietylko chodzi o usunięcie téj lub owéj niedogodności, która powstaje z zastosowania do nauk społecznych nieodpowiedniéj terminologii, zaczerpniętéj

---

[1]) Twierdząc tak, nie stajemy po stronie tak zwanéj „szkoły historycznéj“ Roschera etc., lecz po stronie rzeczywistych historyków-ekonomistów, jakimi są: Marx, Rodbertus, Bücher, Rogers, Maine, Seebohm, Knapp etc.

[2]) L. c., str. 351.

z nauk przyrodzonych, lecz „chodzi o konsekwentne odparcie tego najazdu intelektualnego.“

Nauki społeczne i nauki przyrodnicze, rozwijając się równomiernie, zbliżają nas do ideału, jakim jest harmonijny całokształt wiedzy o wszechświecie. Punkty styczności pomiędzy temi dziedzinami istnieją bezwątpienia i być może, kiedyś łącznikiem obu dziedzin będzie pojęcie energii, lecz—oswobodzone z materyalistycznych powijaków. Jedyną przecież drogą, prowadzącą do tego celu, może być tylko droga surowo krytycznéj analizy, doprowadzająca do pojęcia energii, właściwego każdéj z tych sfer. A więc, jeżeli chcemy mówić o energii społecznéj, musimy to pojęcie wywnioskować tylko ze zbadania przebiegu procesów społecznych. Heryng uczynił inaczéj: przeniósł on wprost pojęcie energii, wraz ze wszystkiemi atrybutami, jakie mu w swoich celach przypisali—a przyznać trzeba, przypisali dosyć dowolnie fizycy,—ze sfery przyrodniczéj do społecznéj. Było to tém niebezpieczniejsze, że jest to pojęcie zdobyte na drodze empiryi, a co gorsza, nieprzetrawione filozoficznie, jak tego dowodzą ostatnie spory Ostwalda z materyalistami. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju pojęcie okazuje się w téj sferze, dla któréj nie zostało utworzone, narzędziem niepodatném i—jak ośmielamy się twierdzić—jałowém naukowo.

Określenie Heryngà brzmi: „Energią zatém społeczną nazywać będziemy tę część ogólnéj energii kosmicznéj, która się przejawia w procesach indywidualnego i społecznego życia jednostek, tworzących pewien społeczny układ i dzięki któréj żywotność całego układu społecznego, oraz oddzielnych jego składników, podtrzymuje się i wzmaga“ (str. 52). Dowiadujemy się daléj, że specyalna forma ruchu społecznego nie istnieje—„na energię zaś społeczną składają się cząstki energii mechanicznéj, świetlnéj, elektrycznéj, nerwowéj i t. d., występujące przy odpowiednich działaniach bądź w organizmach ludzkich, bądź zewnątrz tych organizmów. Społeczną więc energią ma nazywać się suma takich cząstkowych energii, „o ile procesy odnośne, zachodzące w łonie społecznego układu, odbywają się na jego korzyść.“

Otóż twierdzimy, że pierwsza definicya objaśnia niewiadomą przez niewiadomą. Energię społeczną – przez energię kosmiczną. Jeżeli zaś przez tę ostatnią mamy rozumieć sumę energii mechanicznéj, świetlnéj, cieplnéj, elektrycznéj i t. d., jak tego chce autor, to nie pojmujemy, w jaki sposób pojęcie energii społecznéj ma być przydatne do wyświetlenia zjawisk społecznych.

Pamiętać bowiem należy, że zjawiska społeczne, to wyłącznie zjawiska zachodzące pomiędzy ludźmi, dotyczące stosunków i norm ich społecznego współżycia. A zatém dopiero wtedy, kiedy-

by nam wykazano niezbicie możność przekształcenia wspomnianych form energii, w jakąś specyalną formę energii społecznéj, która musi posiadać przynajmniéj tę wspólną ze wszystkiemi formami energii własność, że można wymierzać jéj pojemność i natężenie— dopiéro wtedy powiadamy, przekonanoby nas o naukowéj sprawności takiego pojęcia. Dopóki to nie nastąpi, powiadamy wobec tego nowego schematu mechanicznego, jak wobec dawniejszych schematów, stosowanych do nauk społecznych: „Nie będziesz wizerunku sobie czynił, ni podobizny!“

Wprawdzie schemat Herynga jest szerszy od schematów w gruncie rzeczy banalnych, jakiemi posługiwali się Spencer i Schäfle, i wielki krytycyzm autora nie pozwala mu na zbyt pochopne wyprowadzenia wniosków, jednakże sama metoda doprowadza do uogólnień niekiedy, naszém zdaniem, zbyt pośpiesznych. Pozwolimy sobie dla wykazania tego zacytować twierdzenia ujęte przez autora w formę kategoryczną: „Wskutek zasadniczego faktu, iż układy społeczne są układami istot organicznych, muszą się tu przejawiać pewne własności wspólne organizmu, co jednak nie jest dowodem jeszcze, aby układy te były organizmami“ (171). Zastrzeżenie bardzo słuszne. Lecz jakież to własności mają być wspólne? Odpowiedzi bezpośredniéj nie znajdujemy, sądzimy jednakże, że za odpowiedź można uważać drugie twierdzenie: „Układy społeczne, jako oparte na uorganizowanym związku istot organicznych, nietylko należéć muszą do układów samozachowawczych (takiemi autor nazywa układy, w których przez pewien okres czasu przejawia się stała dążność ku zachowaniu, a nawet wzmożeniu właściwéj im energii przez posiłkowanie się energią i własnościami otoczenia),—lecz przejawiają tę samozachowawczość w stopniu wyższym, aniżeli oddzielne naturalne organizmy“ (str. 242). Genetycznego uzasadnienia tego wniosku nie odnajdujemy w całéj książce. Tymczasem, jeżeli zgodzimy się przyznać tę własność prostym układom, jak np. oddzielne przedsiębiorstwo (układ cząstkowy u autora), to w układzie społecznym zbiorowym, w całém społeczeństwie przeczy temu fakt, że układy te istnieją w téj a nie innéj formie, dzięki właśnie walce toczącéj się pomiędzy składowemi częściami. Dlaczego więc tu istnieje samozachowawczość i dlaczego wzmaga się właściwa im energia, zrozumieć trudno. Sprzeczności téj autor nie rozwiązał i sądzimy, że jéj nie sposób rozwiązać drogą analogii z organizmem. Przeciwko Heryngowi zacytujemy tu chyba zdanie Herynga: „analogia wskazuje raczéj zagadnienie, aniżeli je rozwiązuje“.

Sądzićby można, że zająwszy takie stanowisko, wobec założeń autora, musimy zgóry odrzucić dalsze wywody. Tak jednakże nie jest

W nauce, będącéj na tak niskim stopniu rozwoju, jak ekonomia, jedyny miernik doniosłości nowego systemu, a Heryng tworzy nowy system ekonomiczny, zależy od tego wyłącznie, czy rozwiązuje on dokładniéj, od istniejących dotąd, najtrudniejsze, zawiłe zagadnienia naukowe, zależy, słowem, od jego sprawności. Dotąd z tego stanowiska oceniać pracy omawianéj nie można, gdyż zawiłych zagadnień autor zaledwie się dotknął. Dopiéro więc dalszy ciąg, który nam obiecano, pozwoli na sąd. To, co już mamy przed sobą, pozwala tylko na wniosek, że i przy takim systemie wyniki najsprawniejszych metod, jakiemi się posługiwali klasycy ekonomii i ich następcy, nie zostały obniżone. A to już wiele, dotąd bowiem w ekonomii, niestety, każdy nowy „system‘, nie zdobywał nowych prawd, lecz obniżał poziom naukowy, co oceni każdy porównywując wywody ekonomistów wulgarnych szkoły pseudohistorycznéj, lub wreszcie tak zwanéj szkoły psychologicznéj — z dziełami Ricardo. O ile jednakże pomyślny rezultat ten należy położyć na karb systemu, rozstrzygać nie można, wiadomo bowiem, że często prawdziwie głębokie umysły zdobywają rezultaty nie dzięki przyjętemu systemowi, lecz pomimo tego systemu.

Rozpatrzmy więc pokrótce przynajmniéj te rezultaty, w których autor różni się od najwybitniejszéj szkoły ekonomicznéj.

Rozpoczynamy od pojęć siły roboczéj i pracy. Siła robocza u Herynga nosi nazwę energii potencyalnéj, praca — energii kinetycznéj. Określenia bezwarunkowo trafne. Jeżeli jednakże autor twierdzi, że wartość jego ujęcia tych pojęć jest wyższa od tego, jakie znajdujemy u Marxa, dlatego że „obejmuje energię nerwową we wszystkich najwyższych jéj nawet przejawach“, kiedy Marx miał na myśli przeważnie pojęcie energii mięśniowéj i najprostszéj formy energii nerwowéj, to zwrócimy uwagę na fakt, że najwyższe przejawy energii nerwowéj, najmniéj wchodzą w rachubę przy traktowaniu kwestyi ekonomicznych. Najwyższe te przejawy powodują powstawanie dzieł sztuki i nauki, a więc są już po za sferą ekonomiczną prawie. O tyle tylko, o ile ta energia nerwowa przejawia się przy genialnych wynalazkach technicznych, musi ona wchodzić w rachubę ekonomisty. Z drugiéj zaś strony, energia kinetyczna przejawia się nietylko tam, gdzie człowiek pracuje w znaczeniu ekonomicznem. Dziś, jak trafnie powiedziano, ci, którzy zarobkują, robotnicy zarówno zajęci pracą fizyczną, jak inni, żyją właściwie dopiéro wtedy, kiedy zaprzestają pracować, a wtedy przecież również wydatkują energię kinetyczną, lecz te przejawy już nie wchodzą stanowczo w zakres badania ekonomisty. Nie możemy więc rozszerzenia wspomnianych pojęć uważać za rzecz doniosłą w ekonomice.

Nawiasem zauważymy także, że, naszém zdaniem, Heryng zbyt silny kładzie nacisk na ogromną jakoby różnicę zasadniczą, a nie ilościową tylko, przy wydatkowaniu „energii nerwowéj“ przez różne kategorye pracowników. Wprawdzie zdanie, jakoby inżynier, administrator, kupiec, byli olbrzymami myśli, jest ogromnie rozpowszechnione, a równie uporczywie powtarza się komunał, że praca robotnika przy maszynie jest tylko „mięśniową“. Tém niemniéj jest to błąd. Administratorzy najczęściéj, niestety, są tylko rutynistami. Gdyby było inaczéj, wypadki np. zaprowadzenia krótszego dnia roboczego, nie byłyby tak wyjątkowemi. Okazało się bowiem, że we wszystkich krajach, w Anglii zarówno jak w Rosyi, dzielni administratorzy umieli dopiąć tego celu z korzyścią zarówno dla robotników, jak dla przedsiębiorstwa. Gdyby więc ogół tych panów był w stanie wyrzec się rutyny, zdobywał się częściéj na „wydatkowanie energii nerwowéj w najwyższym jéj przejawie“, t. j. gdyby się zdobywał na pojmowanie swych obowiązków szerzéj, gdyby chciał przynosić korzyści społeczne, a nietylko ograniczał się do roli „poganiaczy“, jak ją określa gwara fabryczna, zmiana ta tak pożądana łatwiéjby się odbywała. Na giełdzie genialny spekulant, w rodzaju Saccarda chociażby, jest białym krukiem, wielki tłum giełdziarski oddaje się fali. Płaci o kilka franków mniéj lub więcéj, idąc za owczym pędem, sam nie wiedząc dlaczego. Fakt zaś, że każde przesilenie zastaje dziś przedsiębiorców, spekulantów, administratorów zupełnie nie przygotowanymi, daje ogólną miarę ich intelektu. Gwara giełdy i fabryki oceniła to trafnie: giełdziarz musi „mieć nos“, administrator jest „poganiaczem“. Jedno i drugie nie imponuje, kiedy chodzi o ocenienie wyłonionéj przez nich „energii w najwyższych przejawach“ [1]). Natomiast, kto zna pracę maszynową z długich obserwacyi lub jeszcze lepiéj z własnego doświadczenia, ten wié ile nerwowéj energii wyczerpuje dozorowanie potwora żelaznego, wykonywającego ruchy z piekielną szybkością, ile pracy czysto intelektualnéj wykonywa każdy robotnik. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że choroby nerwowe we wszystkich formach tak strasznie są rozpowszechnione śród robotników fabrycznych.

W teoryi wartości, autor napotkał szkopuł bardzo ważny przy stosowaniu zasad energetyki. Według niego, towar przedstawia dla

[1]) Że niekiedy „wyższe przejawy energii nerwowéj“ w fabryce, są wprost przeszkodą, wykazał trafnie jeden z powieściopisarzy polskich Wacław Berent jego „Fachowiec“ odznacza się bezwarunkowo wysoką „potencyalną energią nerwową“ i właśnie dlatego ginie przy śrubsztaku. Protektor, popierający „przemysł polski“, ma tylko „nos“ i dobrze mu się powodzi.

producenta pewną ilość „kinetycznéj energii społecznéj“, zużytéj na jego wytworzenie, dla konsumenta pewien zasób potencyalnéj energii społecznéj, którą można zużyć. Przy zamianie te dwie wielkości zostają porównane. Miernika jednakże absolutnie nie ma i być nie może, dopóki nie posiadamy miernika energii. Tém nie mniéj wskazuje nam autor kilka nowych punktów widzenia, porusza kilka kwestyi, których tymczasowo za rozwiązane przyjąć nie możemy, lecz już poruszenie ich jest doniosłém. Najmniéj może stosuje się do rzekomego pogodzenia dwóch zasadniczo-przeciwnych teoryi: teoryi wartości opartéj na pracy i na użytku. Pogodzenie w jednym wprawdzie tylko punkcie. Teorya wartości autora, w ogólnych zarysach, jest bowiem zgodna z teoryą opartéj na pracy, jako mierniku, wartości, robi jednakże jedną koncesyę przeciwnéj teoryi, przyczém zachodzi wielkie podobieństwo pomiędzy wywodami autora a tak zwaną szkołą „psychologiczną“, któréj początek wyprowadzać należy z badań Jevonsa, a która dziś ma najliczniejszych zwolenników śród profesorów, zasiadających na katedrach austryackich (Menger, Wieser, Böhm-Bawerk). Szkoła ta wprowadziła pojęcie „wartości użytkowéj granicznéj (*Grenznutzwerth*)[1]. Koncesya polega na tém, że konsumentowi przyznaje się wpływ przy ustanawianiu wartości. On: „1) zakreśla maksymalną i minimalną granicę dla nakładu pracy, potrzebnego do wytworzenia pewnego produktu i 2) orzeka, że nowy towar posiada nie tylko j a k ą ś wartość użytkową, lecz posiada ją w s t o p n i u c o n a j m n i é j o d p o w i a d a j ą c y m j e g o w a r t o ś c i w y m i e n n é j, opartéj, jak wiemy, na nakładzie pracy, na nakładzie energii kinetycznéj“ (str. 191). Jednakże ten udział sprowadza się do tego tylko, że kosument „korzysta, co najwyżéj, z przysługującego mu prawa powstrzymywania się od nabycia danego przedmiotu wogóle, lub przynajmniéj od nabycia go w danych warunkach“. Słowem, rzecz sprowadza się do tego: wobec danych kosztów produkcyi i dochodu, konsument rozdziela swoje wydatki w odpowiedni swoim potrzebom sposób. Jestto myśl niezmiernie trafna, lecz sama przez się zrozumiała. Znaczenia naukowego dopatrzéć się tymczasem nie możemy.

Natomiast bardzo owocném może być dalsze rozwinięcie myśli autora: „praca, t. j. energia kinetyczna jednostki pracującéj... nadaje zwiększoną wartość nie tylko temu materyałowi surowemu, na który bywa bezpośrednio skierowaną. Takim materyałem surowym jest tu

---

[1]) Bardzo dobrą krytykę téj szkoły znajdzie czytelnik u Konrada Schmidta: „Die psychologische Richtung in der neueren Nat. ekonomie.“ Neue Zeit. tom X.

jednocześnie otoczenie, wśród którego pewne roboty zostają wykonywane, jest nim wreszcie i sama siła robocza, wykonywających te roboty pracowników" (s. 195).

W tém twierdzeniu mieści się, jak słusznie zaznacza autor, *in nuce* nowa teorya renty. Zaznaczyć jednakże wypada, że i bez teoryi o energii można było dojść do takich wniosków, i rzeczywiście zostały one już w części wyprowadzone szczególnie w teoryi renty Marxa, zawartéj w III tomie „Kapitału" [1]). O ile zaś zupełnie nowe pojęcie jednéj z form renty „renta profesyonalna", wprowadzona do nauki okaże się owocném w nauce, przyszłość dopiéro wykaże. Nie wiadomo bowiem, jak poradzić sobie co do trudności polegającéj na tém, że wszystkie formy renty mają to wspólnego, że dla zrealizowania ich musi istnieć w mniejszym lub większym stopniu możność monopolizacyi. Posiadacz gruntu miejskiego ciągnie zeń rentę dlatego przedewszystkiém, że posiadanie przezeń tego gruntu wyklucza innych posiadaczy. Procederzysta zaś, mogłby ciągnąć korzyści dodatkowe z gęstego zaludnienia, rozwoju kultury etc. tylko wtedy, gdyby liczba współzawodników była ograniczona. To téż faktycznie istnienie téj renty zawodowéj wydaje nam się bardzo problematyczném. O ile bowiem zyski „procederzystów" zamieszkujących wielkie centra kulturalne mogłyby być wyższe, o tyle zostają one z góry zeskamotowane przez właściwych pobieraczy renty—właścicieli gruntowych. Przytém bardzo jest wątpliwém, czy zyski przeciętne wszystkich kupców, fabrykantów, doktorów, adwokatów, zamieszkujących wielkie miasta, są wyższe. Zdarza się przecież, że jakiś sprytny a „przedsiębiorczy" monopolista większą ciągnie daleko „rentę" z niskiego poziomu kulturalnego jakiéjś Pipidówki, aniżeli ta, jaką ciągną jego koledzy w centrach cywilizacyjnych. Przytém, twierdzenie autora staje w sprzeczności z znanym powszechnie faktem: renta gruntowa jest wyższa znacznie w kra-

[1]) Jeżeli Heryng twierdzi, że Marx nie doszedł do „zbudowania teoryi renty gruntowéj, organicznie powiązanéj z teoryą wartości" (uwaga do strony 199) to należałoby zdanie takie uzasadnić. Teorya renty zawarta w III tomie „Kapitału" stanowi niestety tylko tors wspaniały, pomimo to, jéj logiczna łączność z teoryą nadwartości a zatém z teoryą wartości wogóle zaprzeczyć się nie daje. — Zresztą musimy przypuścić, że pisząc swoje dzieło, Heryng nie znał jeszcze tego III tomu, inaczéj nie rozumiemy dlaczego, wskazując sprzeczność pomiędzy twierdzeniem Marxa o tworzeniu się nadwartości tylko z kapitału zmiennego, a przeciętną stopą zysku, powiada, że Marx téj sprzeczności nie wyjaśnił, przyczém powołuje się jedynie na tom II. Kiedy rozwiązanie znajduje się w tomie III i stało się już przedmiotem licznych bardzo rozpraw i sporów w literaturze bieżącéj. Tom III ukazał się w roku 1894.

jach o wysokiéj kulturze, dochody kupców i przemysłowców zaś są w stosunku do kapitału znacznie niższe. A więc „spotęgowana energia społeczna" nie zawsze chyba staje się powodem „renty profesyonalnéj".

Wprowadza autor również poprawkę do teoryi wartości, twierdząc, „że nie należy sądzić, aby wartość wymienna każdego poszczególnego produktu równać się musiała ściśle téj części energii społecznéj, która w rzeczy saméj przeszła w ów produkt" (198), na dowód czego przytacza, że przedsiębiorstwa pokrywają straty poniesione na jednym artykule handlu lub produkcyi zyskami z innych (199). Przytém zarzuca Heryng, że Marx i Rodbertus tę stronę kwestyi pominęli. Otóż: w mniéj gospodarczo prywatnéj, lecz naszém zdaniem, daleko więcéj naukowéj formie, Marx wyraził już to i wiele innych pokrewnych rzeczy (jak np. pokrywanie strat poniesionych w latach kryzysów zyskami lat pomyślnych), kiedy nauczył nas rozróżniać ściśle pracę faktycznie włożoną w daném przedsiębiorstwie w dany towar, od pracy „społecznie niezbędnéj". — Podobnie ma się rzecz co do „odpadków" i „produktów pobocznych"; fakt, że w pewnych procesach produkcyi, a specyalnie w wielkim przemyśle chemicznym, wyzyskiwanie tych produktów dla produkcyi wywołało przewrót zupełny, jest znany, lecz dotąd nie został ściśle opisanym w literaturze ekonomicznéj i zachodzących tu zjawisk nie oświetlono wszechstronnie. Sądzimy jednakże, że takie wyświetlenie na podstawie teoryi wartości Marxa nie nasuwa trudności.

Mamy właśnie przed sobą rozprawę „Przemysł sodowy w Niemczech", napisaną przez ekonomistę a zarazem chemika [1]), z któréj okazuje się, że przewrotom technicznym w produkcyi sody towarzyszył przewrót ekonomiczny. Cena sody np. spadała z 25 marek za 100 kg. w r. 1866, do 20 mk. w r. 1878 a do 8—9 mk. w r. 1886, a teraz grozi nowy przewrót wskutek nowego, elektrolitycznego sposobu produkcyi. Ceny spadały w części, lecz tylko w części, z powodu, że zdołano otrzymać produkty poboczne i zdobyć dla nich rynek, w większéj jeszcze części wskutek ekonomiczniejszego procesu produkcyi, zużywania tańszych materyałów surowych i to jest stały przebieg takich przewrotów. Heryng bierze pod uwagę tylko pierwszy fakt i wnioskuje: „Odpowiednio do podnoszenia się wartości owego wypadku, jest już możność stosownego zniżenia ceny głównego produktu, którego wartość wskutek repartycyi ogólnéj sumy zużytéj energii na dwa już pro-

---

[1]) „Deutschland Sodaindustrie von dr. J. Goldstein", wydane w „Münchener Volkswirtschaftliche Studien", zbiorze rozpraw pod kierunkiem Brentano i Latz. Stuttgart 1896.

dukty: główny i uboczny, będzie się stopniowo zmniejszać i to nie wskutek ilości energii wyzwalanéj przy produkcyi głównego wytworu w danym układzie społecznym, lecz wskutek stopniowo wzrastającéj, wartości użytkowéj ubocznego produktu dla innych układów społecznych“ (201). Wyjaśnienie jest zupełnie wystarczające, lecz sądzimy że i następujące jest nie mniéj jasne: Jeżeli wskutek przewrotu technicznego zamiast produktu *m*, wytwarza się teraz tymże nakładem pracy ogólno-społecznéj produkt $m+m$, z których ostatni gdyby nie był wytwarzany tym sposobem, to musiałby być wytworzony na innéj drodze (a to dotąd zawsze miało miejsce przy tych przewrotach), wówczas ilość pracy społecznie niezbędnéj do wytworzenia jednostki produktu *m* zmniejsza się, a zatém zmniejsza się jego wartość. Wprawdzie Heryng nam odpowiada na to: „oczywistém jest, iż we wszystkich tych wypadkach o wartości odpadku stanowi tylko większa lub mniejsza jego użyteczność, nigdy zaś praca, czyli energia kinetyczna, zużyta przy jego wytwarzaniu. Celem bowiem produkcyi nie może być otrzymywanie odpadków, a więc tém samém nie może być mowy o nakładzie energii specyalnie w tym celu użytéj“ (254). Jednakże tak prosto rzecz się nie rozwiązuje. W największéj ilości wypadków, przewrót techniczny spowodował właśnie zmianę produkcyi z celem zupełnie wyraźnym produkowania tych odpadków, a przynajmniéj zastosowania takich zmian, któreby ten produkt poboczny czyniły zdatnym do użytku. Faktycznie więc celem zupełnie wyraźnym i świadomym jest wytwarzanie „odpadków“. Oto np. fakt: produkcya sody procesem Leblanka utrzymała się dotąd jeszcze dzięki temu, że głównym jéj produktem stał się kwas solny. I oto technicy twierdzą: wkrótce uda nam się wyprodukować kwas solny taniéj daleko na innéj drodze, a wtedy przemysł ten upadnie. Nie tylko więc obecnie istniejące fabryki tego typu produkują tylko dla „odpadku“ i starają się ten „odpadek“ otrzymać jak najtaniéj i w jak najlepszéj jakości, ale inni chcą produkować tylko „odpadek“. Przytém, gdyby np. przy jakimkolwiek procesie chemicznym w fabryce, wytworzono jako odpadek wodę, materyał bezwarunkowo użyteczny, to przecież nie wpłynęłoby to ani trochę na ekonomiczną stronę przedsiębiorstwa. Z czego wniosek, że „odpadki“ wtedy tylko, o tyle wpływają na wartość produktu, o ile one czynią zadość warunkom by zostać towarem, to jest mają wartość użytkową i muszą być wytworzone pracą. Czy wówczas dla otrzymania ich wprost zużywa się pracę, czy też oszczędza się pracy społecznéj, którąby musiała być zużytą na ich wytworzenie, to już rzecz obojętna. Chcąc uzasadnić wyższość tego traktowania rzeczy z punktu widzenia teoryi Marxa po nad to, jakie znajdujemy u Heryn-

ga, musielibyśmy opisywać przedewszystkiém z całą ścisłością same zjawiska ekonomiczne, zachodzące w przemyśle chemicznym, co oczywiście w tém miejscu jest niemożliwe.

Co do pojęcia kapitału, sformułowanego przez Herynga, to nasze stanowisko jest tu podobne co względem pojęcia pracy: Heryng jako zaletę podnosi, że jest ono szerszém od dotychczasowego, nam wydaje ono się zbyt szerokiém. Zgodnie z Marxem nazywamy kapitałem środki produkcyi, o ile one stanowią wartość i o ile służą do wytwarzania nadprodukcyi. W ten sposób pojęcie kapitału staje się dla nas pojęciem ściśle historycznem. Heryng nie uwzględnia téj zdobyczy: jego pojęcie kapitału odnosi się tak dobrze do zamierzchłéj przeszłości jak przyszłości; według niego i pierwotny człowiek i ostatni potomek rodu ludzkiego, zamarzający wraz z naszą bryłą ziemną, będzie kapitalistą. Boż i on przecież będzie w posiadaniu „ogółu środków i warunków", którą może „poddać ocenie wartościowéj, opartéj na nakładzie energii czynnéj" i jeżeli wyrazi w formie pieniężnéj, to ta ocena „stanowić będzie tkwiący w gospodarczym tym układzie kapitał" (262). Dlaczego takie stanowisko jest niewłaściwe, nie potrzebujemy tu wyjaśniać, raczéj do autora należało uzasadnić dlaczego nie uwzględnił zdobyczy naukowéj, jaką zawdzięczamy ekonomistom téj miary, co Marx i Rodbertus, polegającéj na tém, że kapitał został pojęty nareszcie po zbytecznych uogólnieniach fizyokratów, Smitha i Ricardo, jako kategorya historyczna.

Nie możemy się téż oswoić z myślą, że przez kapitał należy rozumiéć coś więcéj nad „rzeczowy" kapitał, że prócz środków produkcyi mają tu wchodzić: „przybliżona ocena wartościowa specyalnych warunków, z danem gospodarstwem ściśle związanych, jak np. wykwalifikowany, wprawny i rutynowany personel robotników i oficyalistów, wyrobioną klientelę odbiorców, stale przedsiębiorstwu współdziałających dostawców, uzyskany kredyt i t. p." (262). Nie możemy się z tém oswoić dlatego, że w takim razie zupełnie ginie odgraniczenie kategoryi „kapitał", wyraz ten zaczyna znaczyć zbyt dużo i dlatego naukowo nie może znaczyć nic. Np. „wyrutynowany personel robotników" zgodzilibyśmy się zaliczyć do pojęcia kapitału, gdyby ci robotnicy byli własnością danego gospodarstwa, niewolnikami. O ile zaś są oni ludźmi wolnymi, przechodzącymi z jednego przedsiębiorstwa do drugiego, o ile sami mają swoje „gospodarstwo", o ile ową „rutynę" zdobyli własnym kosztem—gdyż przed nabyciem tejże byli gorzéj płatni, sądzimy, że zaliczenie ich do kapitału nie ułatwia, lecz utrudnia badanie. Podobnie z kredytem, wolimy mu ze względu na przejrzystość sy-

stemu naukowego, zarezerwować specyalną kategoryę. W końcu staje na przeszkodzie to, że owych „specyalnych warunków“ wymierzać nie można. Heryng na obronę swego twierdzenia przytacza, że w życiu ekonomicznem faktycznie kupcy i przedsiębiorcy tak się zapatrują, że płacą za „firmę“, że fabryka z dobranym personelem ma wyższą cenę na rynku w razie sprzedaży. Zupełnie słusznie; lecz punkt widzenia geszefciarza nie zawsze być może punktem ekonomisty. Toż dla pierwszego nawet spinka brylantowa w krawacie będzie kapitałem, a przy kupnie fabryki będzie on się nawet rządził tem, że posiadanie fabryki pozwoli mu zostać tajnym radcą. Jeżeli już pojęcie o energii doprowadziło Herynga do takiej definicyi, to może lepiej by było nadać nowemu pojęciu nową nazwę, również z energetyki a nie z ekonomii zaczerpniętą.

Omówienia części traktującej o dochodzie musimy się wyrzec w tem miejscu, gdyż należałoby zestawiać wywody autora z dotychczasowemi, aby okazać, o ile te ostatnie gorzej lub lepiej obejmują kwestyę. Traktowanie tej właśnie kategoryi ekonomicznej nasuwa pewne trudności, których nie sposób przezwyciężyć, gdyż musielibyśmy się zapuszczać w zbyt szczegółowe roztrząsanie. Zaznaczymy więc tylko ogólnie, że rozdział o dochodzie jest najciekawszą może częścią pracy autora, ale też najwięcej nasuwa wątpliwości co do sprawności systemu. Chodzi mianowicie o to, że ze stanowiska autora należałoby wykazać, jaka część dochodu jest pochodzenia, że się tak wyrazimy, „społecznego”, t. j. powstała w innych „układach” — u jednostek lub w przedsiębiorstwach—i została następnie wyzyskaną dla tego gospodarstwa, w którem ją odnajdujemy; jaka zaś część zależy — wyrażając się językiem Herynga—od „tej ilości energii przyrodniczej, która w danym okresie czasu zamienioną została na społeczną“ (272). Jednakże autor przyznaje, że tu właśnie środki naukowe zawodzą. Tymczasem jeżeli założenia są słuszne, w tej właśnie kwestyi naukowej — jednej z najważniejszych i zasadniczych w nauce ekonomii — Heryng powinien nam dać teoryę zasadniczo-różniącą się od dotychczasowej. Nie traci on nadziei, że odpowiedź na powyższe pytanie znaleść można. „Życzę, by to było, czego życzy“. Dopóki jednakże nie przekona nas w dalszym ciągu swej pracy o możności ścisłej odpowiedzi ze stanowiska energetyki, wolimy pozostać przy jasnej, a kategorycznej odpowiedzi, jaką daje dotychczasowa teorya „nadwartości“.

Pozostaje nam powiedzieć słów kilka o części II książki, rozstrząsającej „logiczne podstawy badań ekonomicznych“. Możemy tu być zwięźli, ograniczając się zdaniem: ta część jest poprostu wzorową, stoi o całe niebo wyżej od tych prac metodologicznych, jakie nam dali do-

tychczas ekonomiści i bez względu na to, czy system ekonomisty Heryngа utrzyma się w ekonomice, ekonomika będzie mu na zawsze wdzięczną za ten piękny prawdziwie rozbiór jéj podstaw logicznych. Streszczać wywodów autora nie możemy — zbyt są treściwe, zachęcać czytelników do czytania nie potrzebujemy—kogo interesują kwestye ekonomiczne, ten nie tylko czytać ale studyować będzie te kartki z zajęciem. A więc pozostaje nam jedynie podziękować za ten dar autorowi.

Dr. J. B. Marchlewski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Sigismond Balicki „L'Etat comme organisation coërcitive de la Société politique.“ Paris, 1896, p. 182.

Dr. praw, p. Zygmunt Balicki nie jest nowicyuszem na polu badań naukowo-społecznych i politycznych. Członek międzynarodowego stowarzyszenia socyologii, w którém, między innemi, spotykamy imiona oddawna znane wykształceńszéj publiczności europejskiéj (E. B. Tylor z Oxfordu, Th. Ribot z Paryża, P. Lilienfeld z Petersburga, I. Nowikow z Odesy, M. Kowalewski z Moskwy, I. Łuczycki z Kijowa, T. Masartyk z Pragi, L. Gumplowicz z Gradca i t. d.) i do którego należą, w charakterze współpracowników honorowych takie znakomitości, jak obecny prezydent rzeczypospolitéj francuskiéj, — nasz autor zamieszcza od lat już kilku swe poszukiwania w miesięcznym organie pomienionego towarzystwa, „Revue internationale de Sociologie”, oraz w bezterminowo wydawanéj „Bibliotece.” O ile wnosić wolno z dedykacyi ostatniéj pracy, p. Balicki otrzymał wyższe wykształcenie prawnicze w uniwersytecie genewskim, głównie pod kierunkiem prof. Ferd. Gentet; niedawno zaś wydał rozległą pracę erudycyjną p. t. „L'organisation spontanée de la Société politique”. Zarówno dzieło poprzednie, jak i świeże, zatytułowane Państwo jako przymuszający ustrój społeczeństwa politycznego, noszą na sobie bardzo wyraźnie odbitą pieczęć ogólnych dążności stowarzysze-

nia, polegających na tém, aby faktycznie istniejące stosunki i urządzenia towarzyskie, w najszerszém słowa znaczeniu, rozejrzéć w świetle najnowszych zdobyczy umiejętności ścisłych, pozytywnych, głównie biologiczno-socyologicznych, czyli prościéj: etnologicznych. Doniosłość zadania nie przesądza ani jego pożytków konkretnych, ani trudności teoretycznych. Towarzyskość ludzka, w poszczególnych swych objawach na powierzchni ziemi, podziśdzień dochowanych, rozbija się na tak mnogie i różnorodne odłamy, a każdy odłam, tak głęboko sięga rozwojem historycznym do swych posad pierwotnych, niezmiernie trudnych do wykrycia, że podprowadzenie samych wierzchołków téj towarzyskości pod jakikolwiek mianownik wspólny, gruntowniéj i głębiéj przenikający istotę zjawisk poszczególnych, wydaje się usiłowaniem wprost marzycielskiém i złudném pod względem ideowym, a bezcelowym ze stanowiska praktyki życiowéj. W y d a j e s i ę... — powiadamy, gdyż, ostatecznie, to co być może i już jest z téj strony Pireneów, o tém w westchnieniach nawet nic nie słychać ze strony tamtéj. Całe pytanie na tém się więc tylko zasadza, czy jest wzdychać do czego. Z naszego sprawozdawczego stanowiska — jest, niewątpliwie, najprzód do tego, aby się przedrzéć jakkolwiek do środka książki po przez zawady terminologii wstępnéj, złowrogo spoglądającéj z samego już nawet tytułu. Wyraz „Etat", przetłumaczony na „państwo", państwowość staje się prawie niezrozumiałym obok dalszego, podokładkowego określenia, że państwo—to zorganizowana obowiązkowość w społeczeństwie politycznem. Choćbyśmy taką organizacyę podparli kawałkami określeń z Bluntschli'ego, że „państwo — to jednostka politycznie zorganizowana ludu w pewnym kraju"; z Waitza, że „państwo—to organizacya ludu"; z Iheringa, że „państwo—to organizacya przymusu społecznego"; z Savigny'ego, że „państwo — to organiczny objaw narodu"; z Gumplowicza, że „państwo—to uporządkowana władza mniejszości nad większością innéj rasy" (str. 28),—to i przy takiém rzęsistém oświetleniu składowe cząstki definicyi naczelnéj nie wiążą się z sobą dość spoiście w umyśle polskim, uświadomionym czy to logicznie czy etymologicznie. Państwo, rzeczpospolita, powszechność, zbiorowość, ujęta w pewne granice czasu i przestrzeni — to, w konstytucyjném uwarstwieniu naszych wyobrażeń, taki ogół terrytoryalno-ludzki, w którym zarówno przymusowość (inaczéj obowiązkowość, *coërcitivité*), jak i wolność, znajdują miejsce, zarodek i uwydatnienie równoprawne. a poniekąd i równoznaczne, — gdyż niepodobna nam dostrzédz dlaczegoby określenie państwa jako organizacyi przymusu publicznego, przeważyć miało określenie państwa jako organizacyi swobód publicznych; a co do przymusowości właściwéj—to ją szeregu-

jemy w funkcye, noszące miano „władz”, „rządu”. A przytém, zestawienie źródłosłowów w wyrażeniu tytułowém „société politique — wychodzi w przekładzie polskim na jakiś pleonazm, lub na jakiś eutonizm, przypominający bądź trywialną gadkę o maśle maślaném, bądź odwrotnie, jakąś reminiscencyę nie strawną w gatunku „masła drewnianego”,—stosownie do tego, jakie słownikarskie zestawienie wybierzemy dla polityki z morza powinowactw dalszych lub bliższych, roztaczających się od greckiego *polys* (*multus*) aż do francuskiego *police.* To samo da się powiedzieć o wielu założeniach dalszych, odnoszących się np. do segregacyi pojęć zawartych w wyrazach „lud”, „naród”; sformułowane z francuska są one nie do odtworzenia po polsku. Utarło się wprawdzie i w naszém piśmiennictwie wysłowienie „wszechwładztwo ludu”, lud wszechwładny, ale w świadomości naszéj pływa ono całkiem po wierzchu i wtedy tylko nie budzi uczuć najzupełniejszéj obcości, ilekroć rozumujemy po francusku i o sprawach przeważnie francuskich. Za terminologią idzie psychologia, jak za łupiną—jądro. Ponieważ autor jest najwzorowiéj metodycznym, matematycznie ścisłym w swych wywodach (w drugiéj połowie książki wyłącznie niemal dedukcyjnych), przeto i następstwa jego postulatów najsumienniéj i do samego końca trzymają nas oburącz w oddaleniu od ostatnich i pośrednich wniosków. Rzućmy okiem na konkluzyę dzieła. „Działalność państwa jest szeregiem aktów wypływających ze wszechwładztwa i drogą przekaźno-mandatodawczą wprawiających w ruch organa wyróżnicowane aż do rozgałęzień najniższych. Te ostatnie, ze swojéj strony, przenoszą potęgę porządkującą na pierwiastki odrębne (nie zcalone), pozbawione spójni lub spoistości. Przewód ten działalny w całości swéj postępuje od uogólnień do uszczególnień i stanowi rozłogę (*substratum*), to jest poczet przesłanek fizycznych odpowiedniego przewodu intelektualnego” (175). Żeby piorun zelektryzował nam mózg i nerwy,—jeszcze i wtedy odbiłyby się w nas te aforyzmy czémś tak hałaśliwie pustém i bezdennie ciemném, jak cisza i mrok po gromie. Ale to tylko na razie. Przytomność niebawem wraca; odświeżając w sobie uważnie to wszystko, co autor poprzednio przytoczył z rzeczywistości o Ameryce na podstawie Tocqueville'a (*La démocratie*), o Szwajcaryi według T. Curti'ego (*Gesch. der Schweiz. Volkgesetzgebung*), o Anglii zgodnie z Ed. Fischelem (*La constitution*), o Polsce z „Prawodawstw słowiańskich” Maciejowskiego i „Sejmików” Pawińskiego (57—58), o dawnych Atenach w opisie Fustel de Coulanges'a (*La Cité antique*) etc.,—gotowiśmy wyznać, że powód niewyrozumienia i wina za nieufność tkwią w nas, nie zaś w przedmiocie. Przychylne

wrażenie wzmacnia jeszcze po skompilowaniu kilku zastrzeżeń, czy to oryginalnych czy zapożyczonych (od H. S. Maine'a np.): „Jest niekiedy nader trudno odsłonić, do kogo właściwie w pewnym ustroju państwowym należy wszechwładztwo, a gdy się je dostrzeże, wykaże się nieraz, że nie podlega ono żadnéj z kwalifikacyi znanych; oznaczenie jego charakteru jest zawsze kwestyą faktu,—nigdy kwestyą prawa lub moralności" (93). Albo téż: „Jedynie państwowość narodowa przedstawia ostatecznie sformowany typ społeczeństwa rządnego, urządzonego; odśrodkowy napływ ludów na narody ościenne, zwierzchnictwo zbiorowisk politycznych nad społecznościami skrystalizowanemi organicznie, to tylko resztki przeszłości zamętnéj i bezkształtnéj, tylko anomalie przechodnie, jak tego dowodzą same te zbiorowiska, wysilające się nadmiernie na to, ażeby podstawę swą różnolitą przeobrazić na podwaliny narodowe" (21). Oczywiście, mamy tu do czynienia ze spostrzeniami bezpośredniemi lub ze wzniesionemi na nich indukcyjnie uogólnieniami; ale już piętro trzecie tak się przedstawia, jak kiedy spoglądając na skałę nadmorską, przerzucamy nagle wzrok na falę i w jéj toni szczytu skały szukamy... To biologia wchodzi na dach socyologii. I tworzy się tym sposobem synteza amfibiczna, na poły wodna, na poły powietrzna, otrzymująca nazwę—jak w obecnym razie — „nowego naukowego pojęcia państwa". W migotliwych téj syntezy blaskach nie sposób, zapewne, nie podziwiać wyćwiczonéj gry odwzorów państwa, narodu, społeczeństwa, ludu, — wziętych już tym razem w niejakiém oderwaniu od państw, ludów, społeczeństw Wielkiéj Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rzeszy niemieckiéj, monarchii Rakuzkiéj i t. d. Nawzajem atoli, niepodobna téż i za daleko posuwać rozbioru téj nowéj architektury, skoro „staréj" dało się odprawę w pięciu-sześciu wierszach, głoszących, jakoby „linia demarkacyjna między władzami publicznemi, a samorządem społecznym nie mogła być wytkniętą *a priori*" (29). A przecież wytknęli ją wyśmienicie Al. Humboldt, Jan St. Mill, Al. Herzen ojciec i t. d.; z nimi to przedewszystkiém należało się porozumieć lub w inny jakiś sposób się załatwić, uwzględniając, bodaj w nawiasie lub odsyłaczu, obok unifikacyjnych modeł i godeł państwowości, godła i modły federacyjne, opiewające, że państwo — w okresach i określeniach cywilizacyjnych, — to dobrowolne zszeregowanie (lub szeregowanie się) różnic narodowych, trybem historycznym wyłonionych (lub wyłaniających się), pod chorągwią wspólnéj obrony zewnętrznéj i pod znakami wzajemnie sobie zapewnionego [spokoju wewnętrznego... Czytelnikowi, mniéj oswojonemu z zagadnieniami téj osnowy, radzilibyśmy—na wypadek, gdyby dzieło

p. Z. Balickiego trafem dostało się do rąk, lub gdyby zamiar bliższego z niém poznania się, powstał wskutek obecnéj wzmianki,—ażeby przed czytaniem, ponownie przejrzał dwie prace w „Ateneum" z r. 1896: W. Czerkawskiego: „Zadania państwa na polu gospodarstwa społecznego" (zeszyty kwietniowy i majowy), oraz E. Abramowskiego „Psychologiczne podstawy socyologii" (zesz. listopadowy). Trud zaznaczenia dróg zbieżnych i rozstajnych — opłaci się.

* *
*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Józef Kenig.* **Sprawa chińsko-japońska i dwa odczyty.** Warzawa, 1896, str. 137. — Czy w długiéj, pięćdziesięcioletniéj zgórą działalności „nestora publicystyki warszawskiéj" rozprawa, napisana w r. 1895 z okoliczności wojny chińsko-japońskiéj, istotnie zajmuje miejsce tak wybitne, że po ogłoszeniu jéj w „Ateneum" i powtórném w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiéj", nie znalazło się już nic cenniejszego i trwalszego do wydania w oddzielnéj książce? -- Stawiamy to pytanie nie dla tego, że odpowiédź twierdząca byłaby dla naszego pisma wielce zaszczytną, lecz jedynie w celu wywołania faktycznego zaprzeczenia ze strony naszych wydawców, którzy z tak zasobnéj skarbnicy, jak przeszłość Keniga, wydobyćby potrafili nie jeden szczegół swojski, rodzimy, bardzo a bardzo ciekawy. W danym razie podnieść nam tylko zostaje główną, najogólniejszą zaletę „Sprawy chińsko-japońskiéj": proste, jasne, dokładne uwydatnienie warunków, w jakich żywot olbrzymiego tego cielska chińskiego zwija się i rozwija w sobie, przez się, dla siebie, w sposób niemal mechaniczny, pod wpływem niepojętéj prawie dla nas siły konserwatyzmu i tradycyi, pod ciężarem bierności tak pochłaniającéj, jak gdyby całe to mrowie wyrosło i wychowało się nie na ziemi, lecz pod nią, w jéj wnętrzu. Obraz tego przygnębienia dobrze jest przesunąć niekiedy przed swojemi oczyma w czasach, kiedy i ta nasza Europa, choć znacznie od Chin młodsza, zaczyna już podobno uczuwać nad sobą senną, ołowianą zmorę zniechęcenia, omdlałości, poprzestawania na dniu, który chléb daje i na nocy, która poduszkę podsuwa. Druga też

część zbiorku, obejmująca dwa odczyty Keniga o nowych prądach w literaturach zachodnio-europejskich i w obronie naszego dogorywającego stulecia, szczęśliwie pod tym względem uzupełnia pierwszą, wschodnią, tworząc z nią całość, nie wszędzie jeszcze wyrównaną i gładką, lecz już mocno zlutowaną pasmami przejść i przesmyków rozmaitych,—jak nas o tém autor zapewnia na samym progu: „Końcowe lata naszego stulecia dziwny przedstawiają widok. Nie od dziś, ale od dziesiątka lat i więcéj, nad najwyżéj cywilizowaną częścią ludzkości, na obu półkulach, w tak zwanym starym i w nowym świecie, zawisła jakaś szara i ciężka atmosfera niepokoju, albo raczéj niedomagania. Czegoś wszystkim brakuje; jasne słońce zadowolenia, duchowéj równowagi, pewności jutra, nadziei i wiary w siebie, przysłoniły chmury, etc." (str. 79). Źródło owych braków i niedomagań Kenig upatruje nie w zastoju czegokolwiek, jakby może oczekiwać należało, lecz przeciwnie—w walce, i to w walce bądź co bądź podniosłéj i godziwéj, téj „jaka się dziś toczy pomiędzy wrodzonym człowiekowi idealizmem, a naukowym materyalizmem" (82). Starzy, zacni nasi ojcowie i przewodnicy na niwie literackiéj lubili, co prawda, posługiwać się metaforami; nie zgrzeszymy może zbytnią domyślnością, jeżeli i w tym razie z pod „wrodzonego idealizmu" wyciągniemy religię, kościół, papieża, a z pod „naukowego materyalizmu" — żydowski kapitalizm, giełdę, Rotszylda... Chybiliśmy—ale nie o wiele. W charakterystyce „dwu kierunków literackich występuje, z jednéj strony Honcey, młody pisarz francuski, zalecający naukę tryumfującą w Chrystusie, ze strony drugiéj... Zola, trochę Taine i w odrobinie Darwin, o którego epigonach — prawdopodobnie u nas — autor tak się wyraża: „Pamiętamy wszyscy owe krzykliwe dowodzenia, że jesteśmy praprawnukami Gorylla. Dziś krzyki ucichły czy przycichły; nawet studenci ich nie powtarzają" (90). Odczyt drugi, „w obronie naszego stulecia„ wygłoszony był w króciutkiéj dobie przypływu u nas t. zw. „fali smorgońskiéj" (około r. 1894). Na usypanéj tu i owdzie, naprędce, tamie, przeznaczonéj nie tyle do stawienia oporu nawałnicy, ani zbyt wysokiéj ani natarczywéj, ile raczéj do ochrony zanadto niskich i płaskich poziomów naszéj niedomyślności publicznéj, Kenig stanął z rozjemstwém miarkującém warcholstwo atakujących i zdumienie zaatakowanych. Czyn to obywatelski,—dla nas miła pamiątka wspólnie odbytéj kampanii... partyzanckiéj, niestety, i prawie bez wystrzału.

H.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawy wschodnie. — Blokada Krety. — Umiarkowane zachowanie się Turcyi. — Porozumienie się państw słowiańskich pod Bałkanami.—Zwłoka z powodu rewizyt w Petersburgu.—Przygotowania nasze do obchodu setnej rocznicy urodzin Mickiewicza.—Dziesięciolecie od zgonu Kraszewskiego, stulecie od przyjścia na świat Korzeniowskiego. — Rzeczy bieżące. — „Polityka wielka" w świetle małej rzeczywistości.—Przedstawienia utworów Korzeniowskiego w teatrach warszawskich.

Jakże nareszcie mocarstwa urządziły się na Wschodzie tureckim? Uchwaliły i doprowadziły do skutku blokadę Krety. Drobiazgowo skrupulatna w swych postanowieniach Anglia ogłosiła w d. 22 marca, że pokojowo-przymusowy ten środek rozciągać się ma najściślej tylko na ten wycinek globu ziemskiego, który się zawiera między 35° 48' a 34° 45' szerokości północnej i 23° 24' a 20° 30' długości wschodniej według południka Greenwich. W tymże dniu ros. „Goniec urzędowy" zamieścił oznajmienie następujące: „Na podstawie porozumienia się państw posiadających swe eskadry na wodach kreteńskich, połączone floty rozpoczęły od godz. 8-éj zrana, blokadę wyspy. Blokada rozciąga się na wszystkie okręty pływające pod flagą grecką. Statki mocarstw połączonych i neutralnych mogą wpływać do portów zajętych przez mocarstwa i wyładowywać towary, o ile one nie są przeznaczone dla wojsk greckich lub miejscowości wewnątrz wyspy położonych." O wyrzuceniu tych wojsk greckich z Krety, zajęciu wyspy przez wzmocnione oddziały koalicyi europejskiéj i zarządzeniu środków represyjnych

przeciwko dalszym zamachom Grecyi na nietykalność dzierżaw padyszacha, nie ma jeszcze tymczasowo mowy. W chwili stanowczéj uczepiła się margr. Salisbury'ego influenza, Gladstone wystosował list do „N. Fr. Pressy", piętnujący zachowanie się W. Brytanii, a i Niemcom akurat 22-go marca trafiła się przygoda nie lada: urodził się im przed stu laty cesarz Wilhelm I-szy. Wśród recept lekarskich w Londynie, wśród kokard galowych w Berlinie zawieruszyć się mogła niejedna energiczniejsza nota, niejedno ostrzejsze napomnienie telegraficzne.

A i to także uwzględnić trzeba, że utrzymanie spokoju europejskiego w karbach osamotnionego pogotowia wojennego i zapału Grecyi, najżywiéj do serca wzięła sama Turcya. Postawa jéj względem zaczepek helleńskich jest zaprawdę godna podziwu. Zbrojna siła grecka zalała wyspę niewątpliwie wchodzącą w skład państwa Ottomańskiego, rząd grecki ogłosił przyłączenie Krety do Grecyi, na lądowéj granicy stanęła pod bronią dobra połowa dorodnéj połowy młodzieży greckiéj, kresy macodońskie roją się od oddziałów powstańczych, wspieranych przez Greków, a W. Porta ani nie odwołała dotąd swego posła z Aten, ani nie doręczyła paszportów posłowi greckiemu w Konstantynopolu, ani też nie okazała najlżejszego zniecierpliwienia w odpowiedziach na pogróżki z Aten; przeciwnie, wojskom skoncentrowanym na granicy tessalsko-epirskiéj dała rozkaz zachowania się na stopie najpoprawniéj odpornéj, jak na paradzie.

Nadzwyczajna ta wstrzemięźliwość nie przestaje zasługiwać na miano roztropnéj, choćby dowiedzioném zostało, że jest wymuszona. Pomimo zapewnień życzliwości, otrzymywanych z Sofii i Belgradu, kilkudniowy pobyt króla serbskiego w Bulgaryi daje nad Bosforem do myślenia. Między dwoma państewkami słowiańskiemi na półwyspie Bałkańskim nastąpiło porozumienie, to niezawodne—ale w jakim sensie? Pierwsze depesze głosiły, że w sensie przychylnym dla Grecyi, późniejsze, że—naodwrót. Jedno z drugiém najmniejszéj sprzeczności nie stanowi. Ani Bulgarya z Serbią, ani Czarnogórze na własną rękę, nie będą sprzymierzać się z Grecyą w widokach rozszerzenia jéj granic, a tém mniejszy jeszcze miałyby powód do wypowiadania jéj wojny w celu poskromienia uroszczeń helleńskich... na morzu. Dba każdy o siebie, a jeśli musi niekiedy oglądać się na innych, to chyba tym razem nie na fanaryockie Ateny i nie na muzułmański Stambuł.

Na rezolucyę wypadnie zapewne zaczekać do końca kwietnia, do połowy maja. Osoby panujące odbyć wpierw muszą rewizyty swe w Petersburgu. Przyjazd cesarza Franciszka-Józefa zapowiadają nad Newą na trzeci lub czwarty dzień Wielkiéjnocy st. st.; prezydenta rzeczypospolitéj Francuskiéj—na Świątki. Daty środkowe pokryją: król

syamski, cesarz niemiecki, książę czarnogórski, następca tronu włoskiego i t. d. Ze szczegółów imponującéj téj manifestacyi podróżniczéj wiadomo dotąd tyle tylko, że p. Feliks Faure przybędzie drogą morską, zamieszka w pałacu peterhofskim i następnie uda się na kilka dni do Moskwy.

W rocznikach naszego społeczeństwa, miesiąc ubiegły zapisał się znaczącą podniosłością i odświętnym nastrojem uczuć i umysłów. Pobudką stało się przypomnienie wielkiego imienia Mickiewicza, z okoliczności przypadającéj w d. 24 grudnia 1898 r. setnéj rocznicy urodzin wieszcza. Wprawdzie, można było datę zbliżającéj się uroczystości nieco wcześniéj przewidzieć i tym sposobem przysporzyć sobie nieco więcéj czasu, nietylko na pomysły, ale i na ich urzeczywistnienie. Ale, bądź co bądź, szkody, jak dotąd, nie ma, według przysłowia: lepiéj późno niżli nigdy; przytém, znaléść się jeszcze może nawet niejaka wygrana. Wiadomo, żeśmy w gorącéj wodzie kąpani. Wielkiego trzebaby młota, ażeby na lat dziesięć, dwanaście zgóry, zawczasu, wydobyć z nas jakąkolwiek radę zdrowszą lub monetę grubszą—chociażby przedsięwzięcie miało donioslość i wysokość podniebną. Co innego, gdy nagła potrzeba na kark już wsiadła. Umiemy wówczas w dni dziesięć zarysować gmach, nad którym kto inny lat dziesięć namyślaćby się potrzebował. Więc i tym razem jubileuszowy obchód Mickiewiczowski jest już uplanowany i w jednéj czwartéj gotowy. Starań o złożenie komitetu podjął się Henryk Sienkiewicz, co przedsięwzięciu rokuje powodzenie niezawodne. Program — w zasadzie niezły — streściła redakcya „Kuryera Warszawskiego" w czterech punktach: jednéj z nowopowstających ulic Warszawy nadać nazwę Mickiewicza; u wylotu téj ulicy umieścić tablicę z napisem upamiętniającym stuletni jubileusz; wznieść pomnik na placu publicznym; utworzyć przy kasie imienia Mianowskiego stypendyum Mickiewicza. Jednocześnie posypały się przyrzeczenia stałych w ciągu pewnego okresu składek odsetkowych od dochodów pobiéranych przez instytucye i osoby prywatne; deklaracye te są tak różnorodne i wielostronne, że pozwalają przypuszczać nader szeroki udział ogółu w ofiarności zapoczątkowanéj w ten sposób. Co do charakteru obchodu, zdania na razie rozstrzeliły się cokolwiek, sięgnęły po za obręb „skromnego domowego święta", którą to ostatnią myśl wzięła w swoją obronę „Gazeta polska". Z opinią środkującą, rozjemczą, wystąpił jeden ze współpracowników „Gazety warszawskiéj", utrzymując, że obchód ściślejszy nie powinien zawadzać możliwościom rozleglejszego, rozciągniętego na pobratymcze—i nawet w ogólności ucywilizowane ludy. Warszawa wcześniéj lub późniéj miéć musi odlane ze spiżu oblicze odnowiciela literatury polskiéj, największego z wieszczów w Słowiańszczyźnie, jednego z naj-

szlachetniejszych geniuszów ludzkości. Ale dzień przyjścia Mickiewicza na świat tak ściśle wiąże się w sercach, w umysłach naszych i wiązać się będzie we wspomnieniach pokoleń najodleglejszych z **miejscem** jego urodzenia, że nie sposób pomyśléć o godném uczczeniu stulecia urodzin bez uczczenia **rodzinnych** stron twórcy „Grażyny" — w mińszczyźnie nowogrodzkiéj. Jeżeli zatém istotnie pragniemy dzień 24 grudnia 1898 r. uczynić świętem ogólniejszém, obejmującém zakresy postronne, — grunt nowogrodzki o wiele bliżéj niż wszelki inny odpowiada idealnéj normie takiéj gromadzkiéj uroczystości,— normie skreślonéj przez Mickiewicza w pamiętnych słowach: „Kursa literatury słowiańskiéj" w Kolegium francuskiém: „bez spychania się i bez wzajemnego wstrętu"...

Obok nadziei oczekujących uwieńczenia przyszłości, mieliśmy i parę westchnień z przeszłości. W d. 19 marca przypadła dziesiąta rocznica zgonu Józefa Ignacego Kraszewskiego i setna rocznica urodzin Józefa Korzeniowskiego. Okrom nabożeństw, poświęcono tablicę pamiątkową z imieniem i popiersiem Kraszewskiego w warszawskim kościele Ś. Krzyża, odbito medal z podobizną oblicza Korzeniowskiego, czasopisma zamieściły prace zastosowane do nastroju chwili, skréślone przez wybitniejszych przedstawicieli literatury i publicystyki naszéj współczesnéj: Antoniego Pietkiewicza, Piotra Chmielowskiego, Stanisława Krzemińskiego, Edwarda Siwińskiego i innych. Pług w rzewnych wyrazach usiłował odtworzyć powszechny objaw „czci i wdzięczności", jaki społeczność naszą ogarnął przed dziesięciu laty na wieść o zgonie człowieka, który podczas długiéj, pięćdziesiecioletniéj zgórą działalności pisarskiéj i obywatelskiéj, skołatanéj nadmiernym trudem i kolejami przejść ciężkich, tak się był ściśle z otoczeniem i potrzebami rozbitego naszego ogółu zespolił, że w tém uwzajemnieniu, do najgłębszych i najtkliwszych szczegółów życia sięgającém, „niepodobna było nieraz odgadnąć i przeczuć, kto na czyjém sercu dłoń trzymał i kto komu właściwie rad swoich użyczał: czy zbiédzona społeczność znękanemu Kraszewskiemu, czy chorowity Kraszewski podupadłéj społeczności"... Wtedy to, pod świeżém wrażeniem zasług nieboszczyka, w uświadomieniu straty dotkliwéj, poczyniono przyrzeczenia pewne, powzięto zobowiązania mniéj więcéj formalne, które — jak to nie bez ukrytego smutku Pług zaznacza — wcieliły się po dzień dzisiejszy w fundusz, uzyskany publicznie i prywatnie, a wynoszący dotychczas tysiąc sześćset trzydzieści cztery ruble... Za ubogie to może uznanie, jak na rodaków i współobywateli, wśród których ś. p. Kraszewski ujrzał poraz pierwszy światło dzienne, więc i pochować wśród nich pra-

gnął najlepszą choć cząstkę ziemskiéj swéj istoty, powiadając: „Niech serce, co dla was biło, pod obcą nie schnie mogiłą”...

Ale trudno — nie sposób nawet wszystkiemu nastarczyć. Tyle dokoła wymagań bieżących, tyle nawoływań i błagań o pomoc, ratunek, wsparcie dla tych co żyją, żyć chcą, żyć mają prawo, że już umarłym z konieczności dostają się zaledwie okruchy. Gdybyśmy tu chcieli i mogli wyliczyć bodaj do połowy, w okresie jednego tylko miesiąca postawione wnioski i sformułowane projekta, — naturalnie potrzebujące dla ziszczenia pieniędzy, przerażenie rozpędziéby mogło wszystkie komisye budżetowe państw europejskich, uczestniczączych w blokadzie Krety. Oto najpierw Bolesław Prus i ćwierćwiekowy jego zawód na polu piśmiennictwa ojczystego. Alboż jest między nami ktokolwiek godniejszy, pod czyjém imieniem zebraćby należało kapitał na czytelnie i książki dla ludu? „Kraj” składkę ogłosił w sposób rzeczywiście godny naśladowania, — asygnatką sturublową. Do tego p. Ludwik Straszewicz dorzucił rubli dziesięć — i już nie słychać jakoś, co z tego daléj będzie... Oto dr. Baranowski, wśród dwustu czy trzystu nie mniejszéj doniosłości przedsięwzięć, zrobił świéżo jeden jeszcze krok naprzód w sprawie kąpieli dla uboższéj ludności, dociągnąwszy gotowiznę zakładową do wysokości 10,000 rubli; ma się rozumiéć, pozostaje do zdobycia co najmniéj w czwórnasób tyle, jeżeli urzeczywistnienie nie ma poprzestać na przedsionku... Oto Michał ks. Radziwiłł zapewnia, że warszawskie Towarzystwo dobroczynności nie wié, jak ma radzić z legionami niedorostków włóczących się po mieście bez zajęcia, opieki, opatrzenia; należałoby obmyśléć dla nich jakiéś szkółki, schroniska, pracownie... Oto gronko założycieli i protektorów Muzeum rzemiosł na piątém dorocznem zgromadzeniu ogólném oświadcza, że młodociana ta instytucya, pomimo nie zawsze przyjaznych okoliczności, rozwija się pomyślnie na pożytek sfer, dla których została do życia powołaną — i że cały jéj majątek przedstawia się obecnie w sumie 42,800 rubli; niedawno — dodajmy — we Francyi, na zakład tego rodzaju szlachcic jakiś oddał dwie swoje kamienice i milion franków w papiérach procentowych... Oto „Ster” zaręcza, że wzrastający proletaryat niewieści, rzucony na pastwę nędzy i wyzysku, dobrowolnie i z wdzięcznością zaciągnąłby się do domów pracy, które w Anglii policya *ex-officio* bezrobocznemi ludźmi zapełnia... Oto ze zbliżającą się wiosną kolonie letnie, napomykające o nadmiarze chorowitéj dziatwy miejskiéj, dla któréj nie powinnoby u nas zabraknąć trochy świéżego wiejskiego powietrza i światła... Oto teatr ludowy — „rozrywka uczciwa dla ludzi uczciwych”, którego niezbędność

w mieście przeszło półmilionowém bije w oczy, który finansowo opłaciłby się zarówno właścicielom gmachu jak antrepryzie scenicznéj i przeciw któremu „prawnie, żadna przeszkoda nie walczy”...

Powolne, urywane, w wielu razach niesłychanie uciążliwe tempo naszego rozwoju ekonomiczno-społecznego, nie jednemu już nasuwało w ostatnich czasach przypuszczenie, azali przyczyny téj niemocy nie kryją się w mylnie obranym kierunku ogólnym, w zaszlamieniu głównego łożyska rzutkości publicznéj, w spaczeniu zasadniczego nurtu ducha narodowego. Wątpliwości takie powtarzają się od niedawna niemal każdego poranka, unoszą się jako dymek nad kominami naszych mieszkań, ażeby zniknąć pod wieczór i znowu się ukazać nazajutrz. Zaczynamy coraz częściéj siebie posądzać, że jesteśmy tą panną, któréj wiek i zamążpójście zależą od tego, jaką jéj sprawimy sukienkę, długą czy krótką, jakim ją okryjemy płaszczykiem: polityki wielkiéj czy polityki małéj. Wczora byliśmy za kusą pelerynką pracy organicznéj, dziś mniemamy, że należałoby przywdziać fałdzistą togę prawomocności rzymskiéj. Jeden z koryfeuszów owéj maskarady dziennikarsko-programowéj, zaniepokojony onegdaj faktem, że hasło „pracy u podstaw”,—pracy parafialno-społecznéj i domowéj, na zagonie i przy warsztacie, liczy już obecnie trzydziesty trzeci czy trzydziesty czwarty rok życia, sądzi, że już pora zmienić chorągiewkę nad dachem i tym sposobem ściany mieszkań odnowić, że na cyferblacie naszéj socyologii przestawić należy wskazówkę minutową na miejsce godzinowéj, godzinową na miejsce minutowéj, a zegarek pójdzie odtąd bez porównania lepiéj... „Ci wszyscy—powiada — którzy dziś jeszcze nawołują do robienia tego, co do nas należy, ujrzeliby się z pewnością w kłopocie, gdyby ich zapytano: i cóż właściwie robić mamy? co naprawdę do nas należy? Azaliż będziemy daléj podnosili do godności zasługi obywatelskiéj, że jakiś niemiec założył fabrykę musztardy lub płócienek i zysk z tego krzesze? lub wkładali wieńce na czoła autorów recenzyi teatralnych? lub unosili się w podziwie nad zwycięzkiemi wyścigami cyklistów pomiędzy Grójcem a Warszawą? — Nic innego przecie dotąd nie czyniliśmy — i oto do czegośmy doszli”... Naturalnie, dojdziemy do czego innego, gdy zamiast bocznego chodnika obierzemy przestronny środek ulicy. Jest to pewnik w dynamice ustalony, że kto nie udźwignie dziesięciu funtowego kamienia, niech próbuje udźwignąć bryłę dwudziestocentnarową... I rzeczywiście, spostrzegamy już pierwsze skutki prób podobnych... „Nie ma dziś zebrania towarzyskiego — pisze zwolennik frontów rozwiniętych w taktyce odpornéj, — w którémby o sprawach ogólnych nie mówiono, nie ma redakcyi, którąby nie była zasypywana tysiącami listów

z rozmaitych stron kraju, świadczących, jak żywotnych kwestyi dotyka ta polityka wielka i jak ogromny ruch umysłowy obudziła ona w drzémiących od tylu lat głowach”...

Czy po za rozumowaniem powyższém, po za jego plecyma, jest jakieś oparcie twardsze, nie wiemy; w niém samém nie ma nic zgoła. Ożywialiśmy się w rozmowach towarzyskich, nie jeden i nie dziesięć razy, ruszaliśmy się umysłowo w kierunkach zarówno wielkich jak małych, zarówno bocznych jak środkowych, nie zmieniało to jednak w niczém pustki, nad którą rozbijaliśmy koczownicze namioty swéj frazeologii, czczéj, bałamutnéj. Trzeba téż istotnie posiadać szczególny ustrój mózgowy, ażeby módz mniemać, że wyjeżdżając w pole bramą otwartą na oścież, znajdziemy na niém coś świetniejszego nad to, co na niém oglądamy, gdy wychodzimy zwykłemi drzwiami. Choćby nas kto na sto koni wsadził, — ugór, który mamy pod nogami, ugorem zostanie, jeśli z koni nie zsiądziemy i do orki się nie zabierzem. Zarzut, że dotychczasowe nasze oranie do niczego nie doprowadziło, jest chyba w tém słuszny, żeśmy wyłącznie językami orali. Ale, na stanowisku, które my, —rataje pióra, najmici wielkiéj czy małéj polityki zajmujemy, czyliż jesteśmy w stanie przypiąć sobie do ramion skrzydła husarskie i ująwszy w ręce pęki liktorskie, spędzać bydełko boże z chudych na tłustsze błonie?... Świętochowski np. nieustannie, do ochrypnięcia woła i wykazuje od paru tygodni w swéj „Prawdzie”, że po wsiach lud marnie ginie bez pomocy lekarskiéj, bez porady prawnéj, w matni znachorów i doradzców pokątnych, kiedy po miastach honorarya prawników i lekarzy schodzą niekiedy do poziomu 90 kopiejek na miesiąc. Czegóżbyśmy więcéj jeszcze wymagać chcieli od takiego Świętochowskiego lub od dziesięciu innych chorążych pracy organicznéj, czy téż tam pracy u podstaw? Alboż mają za kołnierz brać w Warszawie lub Siedlcach doktorów obojga praw, majstrów chirurgii, kandydatów akuszeryi, i wypychać ich na suche lasy świętokrzyskie, na mokradła kujawskie, na piachy mazowieckie?

Hodi.

* * *

Dnia 19 marca r. b. upłynęło lat sto od chwili, gdy znakomity powieściopisarz, dramatyk i pedagog nasz, Józef Korzeniowski przyszedł na świat. Kraj cały upamiętnił ten dzień już to nabożeństwem żałobném, już to charakterystyką działalności zasłużonego męża po-

mieszczoną w czasopismach, już to wystawieniem kilku sztuk jego na scenie.

Warszawa przodowała w téj mierze. Wszystkie pisma podały mniéj lub więcéj szczegółowe poglądy na życie i twórczość autora „Krewnych„ a w trzech teatrach: Małym, Rozmaitości i Wielkim wystawiono po kolei sześć jego utworów dramatycznych.

Było to może najlepszym sposobem uczczenia pamięci pisarza, który dla rozwoju literatury dramatycznéj u nas, położył tak wielkie zasługi, było to zarazem jakby pośmiertném zadośćuczynieniem za trudności, jakie spotykał Korzeniowski za życia w wystawianiu rzeczy swych na scenie warszawskiéj.

Istotnie, za życia Korzeniowskiego inne sceny, a mianowicie lwowska, wpiérw zazwyczaj dawały poznać nowe jego utwory, zanim je Warszawa ujrzała. Gdy autor „Panny mężatki" osiadł stale w naszém mieście, rzucił się gorączkowo do pisania komedyi, („Majster i czeladnik" 1846, „Okrężne" 1847, „Narzeczone", „Dwaj mężowie", „Pierwéj mama" 1849, „Stara elegantka" 1850, „Wojna z kobietą", „Przyjaciółki" 1851, „Wąsy i peruka", „Qui pro quo" 1852), niewątpliwie w tém przekonaniu, że mając tuż przed sobą pierwszorzędną scenę, będzie mógł skorzystać z prób wystawiania sztuk swoich na niéj, i udoskonalać prace swe dalsze pod względem roboty scenicznéj. Z początku przedstawiano rzeczywiście jego komedye, ale niebawem jakieś drobne zajścia i nieporozumienia, których dokładnie jeszcze nie znamy, sprowadziły przerwy w reprezentacyach; Korzeniowski się zniechęcił, zabrał się do powieści, i przez trzy lata ani jednéj sztuki dramatycznéj nie ogłosił. Dopiéro od r. 1856 na nowo wziął się do pracy, odpowiadającéj najbardziéj jego usposobieniu, pisząc następne utwory: 1856: „Cyganie", „Młody mąż"; 1857: „Reputacya w miasteczku"; 1858: „Konkurent i mąż", „Podróżomania", „Rokiczana"; 1859: „Majątek albo imię", „Stary kawaler"; 1860: „Beata", „Złote kajdany", „Pustynia", „Plotkarz". Kreśląc te dogmata i komedye czynił raczéj zadość popędowi własnemu, aniżeli domaganiu dyrekcyi teatralnéj o sztuki na scenę. Przeciwnie, w tym właśnie czasie był najbardziéj pod tym względem rozgoryczony. W jednym z listów do Karola Estreichera, ogłoszonym świéżo przez p. Maryana Gawalewicza, tak się wyrażał 15 lipca 1858 nasz dramatyk: „Nie krytyka, ale dyrekcya jednego naszego teatru, na którym prace moje (!) nie przedstawiano z tą dobrą wolą, z jaką powinny być przedstawiane dla własnego jéj interesu i dla zachęcenia mnie w pracy i postępie, rzuciła mnie na pole powieści wyłącznie. Zostałem jak kompozytor bez orkiestry. Dla drobnych zazdrostek, dla błahych powodów, o których

mówić nie warto, usunięto moje sztuki z repertoaru. A choć je po kilku latach wrócono, zawsze muszę się wpraszać na scenę, którą chciałem, a śmiem powiedzieć bez samochwalstwa, mogłem zasilać lepiéj, niż kto inny. Wszakże i ta niesłuszność nie zraża mnie zupełnie. Zrobię jeszcze dla teatru, co Pan Bóg da, na co sił stanie. Mam nadzieję, że dłużéj żyć będę niż dzisiejsza dyrekcya, niż dzisiejsi aktorowie, co chociaż zręczni i nieźli, ale uroili sobie, iż rzeczą ich jest: nie grać dobrze, ale surowo sądzić autorów, którzy dla nich piszą. Jak przyjdzie inny czas, inni ludzie, sądzę że i moje sztuki wyjdą z ukrycia i pokażą, że nikt więcéj ode mnie sceny naszéj nie kochał i nikt goręcéj, jak ja, zaszczytu jéj nie pragnął."

Nie tylko wszakże w listach prywatnych, lecz i w druku skarżył się Korzeniowski na brak możności wystawiania sztuk swoich na scenie. Właśnie w tym samym roku 1858 napisał on „dramat opowiedziany" p. t. „Ofiara i sumienie" i tu dwukrotnie wyraził swe utyskiwania. Najprzód, gdy szło o odmalowanie zjazdu szlachty w Humaniu, żałował, że osoby swego dramatu musi pokazać czytelnikom w druku „przed myślą" ich tylko, bo nie może ich przedstawić oczom widzów „na niegościnnéj dla niego scenie naszego teatru". Potém opowiedziawszy pewną scenę, dodawał: „Czujemy to dobrze, jak dalece potrzeba tu imaginacyi czytelników, aby dopełniła wszystko to, czego brakuje, a coby się znalazło w akcyi aktorów takich jak ich pojmujemy, i w żywém ich słowie, któreby się w sercach widzów odbiło. Ale trudno nam jest kusić się o to, abyśmy mogli przeskoczyć tam, gdzie nawet przeleść nie możemy. Niech więc czytelnicy raczą przestać na tém, co im ofiarujemy i nie nas obwiniają że ich okradamy z wrażeń, jakieby mieć mogli, dając im tylko rysunek zamiast malowidła."

Otóż obecnie po latach blizko trzydziestu od czasu napisania słów powyższych, Korzeniowski przeżywszy duchowo i dawną dyrekcyę i dawnych aktorów, wypełnił utworami swojemi kilka wieczorów w trzech teatrach warszawskich i w wielu prowincyonalnych lub amatorskich. Teatr Mały w Warszawie wystawił w wilię rocznicy trzy krotochwile: „Dwaj mężowie", „Okrężne" i „Qui pro quo". Nie wchodząc tu w ocenę sztuk, znanych dobrze i nieraz już przez krytykę literacką i teatralną rozważanych, stwierdzić winienem, że publiczność na czwartém jeszcze przedstawieniu licznie zebrana, bawiła się dobrze, śmiała się szczerze, zarówno z ograniczonych mieszczuchów, co swoich żon upilnować nie mogą, choć one ich nie zdradzają, jak i z zabawnych zawikłań, powstałych z pomyłki w adresach i z kłopotów, w jakie popadł młodzieniec świeżo z uniwersytetu niemieckiego przybyły,

gdy go wzięły w obroty wesołe i rezolutne panny. Wystawa była staranna; wszyscy aktorowie wywiązywali się dobrze ze swego zadania, a szczególniéj p. Gasiński, jako porucznik w „Qui pro quo", zasłużył sobie na zaszczytne wyróżnienie.

W teatrze Rozmaitości odegrano „Panią Kasztelanową" i „Pannę Mężatkę". Obie te sztuki pochodzą z roku 1844 i przywodzą na pamięć znamienne okoliczności z powodu ról tytułowych. Cecylię, 27-letnią pannę, udającą mężatkę, by pociągnąć ku sobie niezdecydowanego kawalera, grała wtedy jeszcze młoda i wielce utalentowana Leontyna Halpertowa. Gdy sztuka osiągnęła wielkie powodzenie, słynna aktorka napisała 11 kwietnia 1844 r. do nieznajomego sobie osobiście autora. Mówiła tu między innemi: „Jeżeli mierni autorowie dramatyczni *nam* winni wdzięczność za chwilową swoją sławę, to znów takim autorom, którzy są w stanie zaimprowizować „Pannę Mężatkę", zaledwie my w części wywdzięczyć się potrafimy, przedstawiając dobrze ich dzieła. Pochlebiam sobie, żeśmy się wywiązali z tego długu w ostatniéj komedyi, i to mnie ośmiela pisać do znanego, lubo nieznajomego mi autora. „Panna Mężatka" podobała się pomimo skażonego, zmysłowego i włoską melomanią zarażonego gustu naszéj publiczności; podobać się musiała, boś przemówił do niéj, Panie, językiem, uczuciami i zwyczajami swojskiemi: każde prawie słowo téj sztuki mimowolnie echem się odbiło w sercach wszystkich." Prosiła następnie o jakiś dramat dla siebie, powiadając: „jeżeli Talia mi przyjaciółką, to Melpomena siostrą; tamtę pragnę posiadać i przyswoić sobie; tę zaś, daną mi od natury, cierpiéć i znosić muszę." Nastąpiło potém osobiste zaznajomienie się aktorki z autorem, który obiecał napisać dla niéj rolę w dramacie i nadesłał niebawem z Charkowa „Panią Kasztelanową", oraz komedyjkę „Stacya pocztowa w Hulczy". Ubodło Halpertową wyznaczenie dla niéj roli staruszki, pełnéj wprawdzie godności, prawdziwie dramatycznéj, ale ślepéj i wiekowéj. Więc też w liście z 29 kwietnia 1845 r. nie mogła się powstrzymać od słów następnych: „Mniemałam w mojéj zarozumiałości artystycznéj i kobiecéj, że całą drogę o mnie tylko marząc, przybywszy na miejsce, napiszesz, Panie, wielki dramat, w którym ja i ja tylko sama będę musiała przyjąć na siebie odpowiedzialność za powodzenie lub upadek jego; tymczasem przybyła „Kasztelanowa", sztuczka w 1-ym akcie na małą scenę i którą mi dyrekcya zaprzecza, utrzymując, że ponieważ nikt mnie jeszcze w rolach kochanek zastąpić nie może, przeto nie trzeba, ażeby publiczność iluzyę traciła widywaniem częstém swojéj pierwszéj kochanki w rolach starych kobiét. Drugie dziełko: „Stacya w Hulczy" również nie dla mnie. Według własnych słów pańskich dwoje nas tylko, ja

i p. Żółkowski potrafiliśmy zasłużyć na niejakie pochwały; a przecież my tylko dwoje wydziedziczeni jesteśmy z jego rodziny w Apollinie. P. Żółkowskiego zbuntowałam, ażeby nie przyjmował roli lokaja w Hulczy, bo wszakże sam, Panie, zalceiłeś mi, ażebym go zwracała do wyższego zawodu, właściwszego jego talentowi. Słowa Pańskie przyjęłam za wyrocznię; tymczasem widzę, że one są dwuznaczne, jak te wszystkie, które uwodziły biédny gmin w starożytności..."

Czyż to niezadowolenie aktorki nie daje pewnéj wskazówki co do owych „drobnych zazdrostek" i „błahych powodów", na które żalił się Korzeniowski.

W obecnéj obsadzie rolę kasztelanowéj grała wybornie p. Niewiarowska; zarówno charakteryzacya głowy i twarzy, jak postawa wyniosła, jak ton głosu—doskonale uprzytomniały postać dumnéj, zaciętéj, nieznoszącéj żadnego oporu arystokratki, która przecież po za sferą przesądów rodowych ma dobre i czułe serce. W grze p. Niewiarowskiéj nie zauważyłem ani jednego niewłaściwego giestu, ani jednego fałszywego tonu; całość i szczegóły były przez artystkę obmyślane i wystudyowane.

Nic można tego powiedzićć o roli p. Lüdowéj w „Pannie Mężatce". Najniepotrzebniéj w świecie, niby to dla „stylu" garderobianego zrobiła się nieznośnie pękatą, ośmieszyła się poprostu ubraniem, które dla oka dzisiejszego wydaje się zabawném i dziwaczném. Tam, gdzie chodzi o podobanie się wzrokowi przedewszystkiém, trzeba być bardzo oględnym w wyborze kostyumu, ażeby nie wywołać niezamierzonego efektu. Prócz tego i sama gra artystki w pierwszych dwu aktach zadowolić nie mogła: nie było w niéj życia i prawdy; dopiéro w akcie trzecim, zarówno w ruchach jak w sposobie mówienia, rozwinęła pani Lüdowa szczęśliwe pomysły, które dodatnio wpłynęły na wrażenie końcowe. Pani Ostrowska grała bardzo dobrze rolę ciotki powolnéj na kaprysy swéj ulubienicy, a p. Rapacki z werwą przedstawił postać rubasznego, ale inteligentnego majora. Natomiast p. Wolski, grający rolę Adolfa, „Fabiusza Kunktatora", znajdował się widocznie w nieswoim żywiole.

Teatr Wielki wystawił najbardziéj zharmonizowany jako całość dramat Korzeniowskiego: „Karpaccy górale", dawszy mu napis, nie wiem z jakiego powodu, „Nad Czeremoszem". Reprezentacya wywoływała poważne, pełne skupienia wrażenie, urozmaicone czasem, wyjątkowo jakimś rysem komicznym (mandataryusz, karczmarz, przez p. Zejdowskiego charakterystycznie odegrany). Ujawniła ona właściwość utworu Korzeniowskiego, polegającą raczéj na szeregowaniu obrazów (10 zmian dekoracyi), niż na silném koncentrowaniu akcyi. Postać

główna, Antoś Rewizorczuk, pomimo starannéj gry p. Ładnowskiego, nie mogła, z powodu warunków fizycznych artysty, porwać swą siłą młodzieńczą, brzmieniem głosu, nastrojem nawskroś uczuciowym. Pani Rakiewiczowa, jako jego matka, najwspanialszą była w scenie przekleństwa. Zapewne, gdybyśmy wedle wymagań realistycznych rolę tę sądzili, możnaby jéj zarzucić wykończenie i zaokrąglenie klasyczne, ale zarzut nie tyleby się odnosił do aktorki, ile do autora, który nie chciał bynajmniéj malować obrazu rodzajowego, lecz go w zidealizowanych formach pomyślał. P. Trapszo w scenie obłąkania zachowała spokój i łagodność, które ująć mogły serca daleko silniéj, aniżeli miotanie się na deskach teatralnych; w chwilach gwałtownego wzburzenia natomiast głos jéj był za słaby. P. Wojdalowicz komiczną figurę mandataryusza głównie w minach, gestach i sposobie wymawiania zdań odtworzył z powodzeniem. O całości wystawy można powiedzieć, że znać w niéj było troskliwość, by piękne dzieło pięknem się widzom ukazało. Tylko pieśni górali i opryszków bardzo niefortunnie zostały wykonane i nietylko nie potęgowały efektu, jaki wywrzeć były powinny, ale go przeciwnie w wysokim stopniu tłumiły.

Usterki jednak, zaznaczone tutaj mimochodem, nie mogły bardzo zepsuć ogólnego, bardzo miłego lub podniosłego wrażenia, jakie budziły wśród ogółu te jubileuszowe przedstawienia. Dowiodły one, że ze starego repertuaru mogą być brane sztuki, które i dziś jeszcze cieszyć się będą powodzeniem. Życzyć tedy należy, ażeby reżyserowie scen naszych, którzy piękną myśl uczczenia setnéj rocznicy Korzeniowskiego podjęli i szczęśliwie przeprowadzili, pamiętali także i w dni powszednie, że od czasu do czasu wypada wznawiać sztuki oryginalne dawniejsze, lub też nawet zupełnie poprzednio nie przedstawiane do teatru wprowadzać.

P. R.



NEKROLOGIA.

† **Jan Kubary**, urodzony w Warszawie r. 1846, od lat najmłodszych odznaczał się rzutkiém, gorączkowém usposobieniem. Skończywszy gimnazyum, wstąpił na wydział lekarski w Szkole Głównéj, lecz przerwał studya i wyjechał do Hamburga. Nic mając środków do życia, jął się pracy rękodzielniczéj, wykonywając różne wyroby z gipsu. Naczelnik „Muzeum Godeffroy" w Hamburgu, poznawszy zdolności ś. p. Kubarego, zaproponował mu zajęcie zbiéracza ciekawych przedmiotów do muzeum w podróżach po świecie. Kubary zgodził się i w roku 1869 wyjechał na wyspy oceanu Spokojnego; zwiedził Samoa, Karoliny, Marschalla, Tonga, Nukuora, Pelew, ucząc się języka krajowców, badając ich zwyczaje i obyczaje. W r. 1875 już znany jako badacz Polinezyi wrócił do Europy i wziął udział w zjeździe przyrodników polskich we Lwowie. Ale po roku wrócił na ocean Spokojny i osiedlił się na Penape, jednéj z wysp Karolińskich. Tu urządził sobie pracownię naukową, a czyniąc wycieczki w różne strony, gromadził zbiory. Opisy podróży i wyniki poszukiwań ogłosił w *Journal des Museums Godeffroy*. Ostatniém wielkiém dziełem ś. p. Kubarego, opracowaném wspólnie ze Schmetzem, jest: *Ethnographische Beiträge zur Kenntniss des Karolinen-Archipels* (Lejda, 1895). Po polsku drukował swe prace w „Ateneum" (1882, 1885), we „Wszechświecie", „Tygodniku ilustrowanym" i „Wędrowcu". Zamierzał powrócić do kraju, a spełnienie zamiaru odkładał z roku na rok i tak doczekał się na Penape przedwczesnego zgonu w końcu lutego r. b.

† **Edward Jelinek**, Czech, urodzony w r. 1855, był bardzo gorliwym przyjacielem Polaków, pośredniczył w zaznajomieniu spółrodaków z życiem i literaturą polską, a nam dawał poznać ruch umysłowy

ojczyzny swojéj. Przeważnie pisał po czesku; ale zostawił także wiele artykułów w języku polskim. Najważniejsze z nich mieszczą się w „Rozprawach Akademii Umiejętności krakowskiéj”. Wydrukowano tu następne prace: „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich” (1880 i 1882); „Bibliografia przekładów i piśmiennictwa polskiego na język czeski do końca roku 1882-go.” Dużo jego korespondencyi z Czech mieściły w swoim czasie „Kłosy”. Był członkiem czeskiéj Akademii nauk, członkiem honorowym Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, rzeczywistym członkiem Towarzystwa Mickiewicza we Lwowie i t. d. Zmarł w Pradze Czeskiéj 15 marca r. b. Cześć zacnemu człowiekowi.

† **Tadeusz Sternal**, nauczyciel, badacz dziejów literatury polskiéj, zajmujący się specyalnie życiem i twórczością Zygmunta Krasińskiego, zmarł w grudniu 1896 r.

† **Józef Rettinger**, urodzony w r. 1848 w Krakowie, tam kończył i uniwersytet na wydziale prawnym, został adwokatem i rozwijał gorliwą działalność na polu życia ekonomicznego; zajmował się sprawą przejścia własności Zakopanego w ręce polskie. W literaturze zaznaczył się wydaniem „Powszechnéj ustawy wekslowéj, wraz z tekstem niemieckim, tudzież z Ustawą o postępowaniu w sprawach wekslowych” (Kraków, 1876). Przetłómaczył 5-aktowy dramat Goethego p. t. „Stella” (t-że, 1870), oraz dwie komedye niemieckie: Bergena: „Umrzéć z miłości” i A. Kotzebuego: „Fips, krawiec damski” (t-że, 1870). Umarł w Krakowie w początkach marca r. b.

† **Blumenstok Leon** (Halban), urodzony 11 marca 1838-go roku w Krakowie, nauki gimnazyalne i uniwersyteckie na wydziale lekarskim odbył w téмże mieście. Uzyskawszy w r. 1862-im stopień doktora medycyny, sprawował przez lat 4 obowiązki asystenta przy klinice chorób ocznych; w r. 1869 habilitował się jako docent prywatny medycyny sądowéj na wydziale prawnym uniwersytetu jagiellońskiego, w r. 1881-ym został profesorem zwyczajnym tego przedmiotu na wydziale lekarskim. Od r. 1877-go był redaktorem „Przeglądu lekarskiego”. Pisał po polsku i po niemiecku zdumiewająco dużo (blisko półtorasta artykułów). Wymienione są w „Słowniku lekarzy polskich” Kośmińskiego. W niemieckiéj encyklopedyi lekarskiéj Eulenburga pomieścił także wiele rozpraw. Wszystkie jego prace odznaczały się, zdaniem specyalistów, gruntowną znajomością przedmiotu i sumiennością opracowania; orzeczenia zaś jego sądowo-lekarskie stanowić mogą wzór logicznego rozumowania, bezstronności sądu, jasności przedstawienia rzeczy i prostoty a ścisłości stylu. Zmarł w Krakowie po długiéj i dolegliwéj chorobie 28 lutego r. b.

† **Dawid Wincenty** urodził się w Szczebrzeszynie, gdzie też nauki gimnazyalne pobiérał; następnie kształcił się w uniwersytecie petersburskim na wydziale filologiczno-historycznym. Wtedy to wziął już żywy udział w wydawanym przez Barszczewskiego noworoczniku „Niezabudka"; mianowicie na r. 1841 dostarczył dużo wierszy, oraz jedną rozprawkę estetyczną p. t. „Oryginalność i nowość w artystostwie". W r. 1843 wydrukował w „Bibliotece warszawskiéj" ciekawe „Myśli o statystyce". Od r. 1844 do 1853 służył w wojsku na Kaukazie, śledząc pilnie rozwój nauk filozoficznych i sam próbować sił swoich w tym kierunku. Przejąwszy się metodą dyalektyczną Hegla, wziął terminologię filozoficzną od Trentowskiego, styl swój kształcił na „Listach z Krakowa" Kremera, a poglądy zbliżył do przekonań Edwarda Dembowskiego, głoszonych w „Przeglądzie naukowym". Ze stanowiska tedy „twórczości" układać zaczął „Estetykę narodową", z któréj fragment pomieścił w piśmie wydawaném w Kijowie p. t. „Gwiazda" (t. IV, 1849). Ale równocześnie zajmował się i poezyą. Na Kaukazie jeszcze napisał powieść wierszem p. t. „Tehe czyli zburzenie aułu Dubby", która w druku ukazała się dopiéro r. 1859 w sierpniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiéj". Powróciwszy do kraju, został ś. p. Dawid nauczycielem gimnazyalnym, najprzód w Lublinie, potém w Płocku. Napisał wtedy i ogłosił następne utwory: „Nowa mnemonika czyli sposób ułatwiający naukę języków obcych, tudzież spamiętanie imion własnych i cyfr w geografii, statystyce i t. d." (według metody Jaźwińskiego, Warsz., 1854), „Wiadomość o kościołku katolickim w Dislagarze na Kaukazie" (tamże, 1857); „Krótka gramatyka polska dla dzieci polskich" (Lublin i Warsz., 1858, czwarte wyd. 1868); „Metoda początkowego nauczania czyli przewodnik dla rodziców, początkowych nauczycieli i wogóle dla osób kierujących pierwszą nauką dzieci" (Lublin, 1868). Ś. p. Dawid redagował przez czas jakiś „Gazetę Lubelską", a następnie w r. 1883 „Wędrowca". W r. 1896 drukował w „Kuryerze Niedzielnym" wspomnienia swoje p. t. „Na Kaukazie". Zmarł w Warszawie 15 marca r. b.

† **Kazimierz Langie**, ekonomista, urodzony w Krakowie r. 1839, chodził do szkoły realnéj tamże, skończył szkołę wojskową inżynieryi w Wiedniu i akademię budownictwa w Berlinie. Gospodarował potém na wsi w Królestwie Polskiém. Następnie był szefem wydziału statystycznego w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Wydał: „O związku budownictwa z ekonomią społeczną i obecném jego zadaniu u nas" (Lipsk, 1865); „O nieczystościach miejskich" (ze stanowiska ekonomicznego, Kraków, 1866); „Obraz cen zbożowych w Krakowie z lat 1816—1864"; „Obraz cen zbożowych w Warszawie

z lat 1805 do 1861"; „O dowolności dzielenia gruntów włościańskich"; „O zadaniu kółek rolniczych"; „O amerykańskich towarzystwach ubezpieczeń"; „Jak dźwigać bez nakładów zniszczone gospodarstwo rolne" (1880); „Wskazówki do obliczania wartości majątków ziemskich" (t. r.) i wiele in. Odebrał sobie życie w połowie marca r. b.

† **Lesław Boroński**, ur. 1854 r., adwokat i publicysta krakowski, redaktor odpowiedzialny „Nowéj reformy", autor licznych broszur, objaśniających ustrój państwowy Austryi i samorząd Galicyi; czynny członek Towarzystwa oświaty ludowéj, zastrzelił się w Katowicach 6-go marca r. b.



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Марта 1897 г. — Druk Jana Cotty.